

ANKIETA: MY WOBEC UNII EUROPEJSKIEJ

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 333287



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

ŚLASK

Nr 6 (92) • ROK IX • CZERWIEC 2003

CENA 4 ZŁ (w tym 0% VAT)

_____ Ciotka Cila idzie do Europy

_____ LECHA MAJEWSKIEGO prywatne centrum świata

_____ ANDRZEJ JARCZEWSKI: „Europoliteja”

_____ TYCHY: Miasto na ludzką miarę

_____ KRZYSZTOF ŁĘCKI: My som Europom

_____ JORGE JUSTO PADRÓN w przekładzie FELIKSA NETZA

_____ GRAŻYNA B. SZEWCZYK: Scholtis – Ślązak i Europejczyk





Po raz jedenasty odbyła się uroczystość wręczenia Nagród im. Wojciecha Korfanteo, przyznawanych przez Związek Górnośląski. Laureatów uhonorowano Nagrodami Honorowymi oraz Nagrodami Promocyjnymi.

Na zdjęciu laureaci Nagrody (od lewej): Alojzy Lysko, abp Damian Zimoń (Nagroda Honorowa), dr med. Stanisław Sakiel (Nagroda Honorowa) oraz prof. Michał Kliś w towarzystwie prezesa Związku Jerzego Śmiałka. Na zdjęciu nieobecny jest Marian Prodlík, który odbierał nagrodę w imieniu „Małego Śląska”.



W Gliwickim Teatrze Muzycznym zaprezentowano spektakl baletowy do muzyki „Siedem bram Jerozolimy” Krzysztofa Pendereckiego w reżyserii Jacka Łumińskiego. W tym niecodziennym przedstawieniu premierowym uczestniczył sam kompozytor.



Świątynia św. Stanisława BM w Czeladzi stała się miejscem jednego z największych festiwali muzycznych Zagłębia i Śląska. Festiwal AVE MARIA ma już swoją czteroletnią tradycję. Dyrektorem artystycznym tych majowych spotkań jest Sławomir Pietras - rodowity Zagłębiak, dyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu. Podczas Turnieju Tenorów zaprezentowało się grono znakomitych śpiewaków z całej Polski, któremu towarzyszyła orkiestra Opery Śląskiej w Bytomiu pod batutą Agnieszki Nagurki, drugiego dnia odbył się recital Grażyny Brodzińskiej. Trzeciego i czwartego dnia festiwalu gościła poezja śpiewana (w wykonaniu artystów poznańskich) oraz muzyka współczesna Oliviera Massiaena („Kwartet na koniec czasu”) i ks. Wojciecha Kałamarza („Stabat Mater”) - zaprezentowana przez muzyków Teatru Wielkiego w Poznaniu (na zdjęciu). Z tyłu siedzą (od lewej) Wojciech Kalarus - aktor, Sławomir Pietras i ks. Wojciech Kałamarz.

W NUMERZE:

Krzysztof Karwat REGION OTWARTY	5
ŚLĄSK I UNIA EUROPEJSKA. Ankieta miesięcznika „Śląsk”	6
Krzysztof Łęcki MY SOM EUROPOM	12
Rozmowa z prezydentem Tychów Andrzejem Dziubą	
MIASTO NA LUDZKĄ MIARĘ	16
Marek Skwarnicki WIERŠE	19
Feliks Netz MOJE PRYWATNE CENTRUM ŚWIATA	20
Katarzyna Sadura PRZYTUP MARKETINGOWY	24
Wiesław Koterski SZPITAL NIE NA PERYFERIACH	26
Włodzimierz Paźniewski ESEJE WEROWNE	30
Justo Jorge Padrón WIERŠE. Przekład z hiszpańskiego Feliks Netz	32
Ireneusz Twardowski PIERWSZA PIĘCDZIESIĄTKA	34
Marek Świercz POLSKIE GĘBY	37
Rozmowa z prof. UŚ dr. hab. Stefanem Szymutką CIOTKA CIŁA IDZIE DO EUROPY	40
Andrzej Jarczewski EUROPOLITEJA	44
Eryk Szozda OD BAILDONA DO PALMENA	47
Feliks Netz „ SILESIA ” ROK ZEROWY I NASTĘPNE	50
Grażyna B. Szewczyk ŚLĄZAK I EUROPEJCZYK	52
Ryszard Rychlicki ZŁOTE TULIPANY	56
ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA	
(W.J.) NASŁUCHUJĄC POLSKIEJ MOWY	60
Jerzy Samuel Bandtkie WIADOMOŚCI O JĘZYKU POLSKIM W ŚLĄSKU I O POLSKICH ŚLĄZAKACH	60
Bogdan Widera TAM NIE MA TAKICH SZKÓŁ	64
Ryszard Jasnorzewski ZIMNE GNIAZDA	65
Danuta Lubina-Cipińska KIERUNEK: DANIA	66
Edward Szopa SYNTEZY PONIEWIERY	80
Jerzy Machura STARE SZATY KRÓLOWEJ	88
LISTY	2
ŚLĄSKI MIESIĄC	4
POZA KADREM	
Feliks Netz JOHNNY ENGLISH	15
EKOLOGIA	
Jan Rzymelka ŚWIĘTO KWITNĄCYCH GŁOGÓW I AZALII	43
PODKOPKI	62
TEATR	
Krzysztof Karwat MIEDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ	68
SPOTKANIA	
Marek Baster WSPOMNIENIA SERDECZNE	69
MISTERIUM	
Krzysztof Karwat PRZYWOŁYWANIE ROZDZIENSKIEGO	70
Magdalena Dziadek MIEDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI	
Jan Pierzchała OPLOTKOWANY GÜNTER GRASS	72
Witold Turant WYSPY: PÓŁNOCNE CZY MALOWANE?	73
Ks. Jerzy Szymik PRZEKROCZYĆ PRÓG ZDUMIENIA	74
Edmund Wojnarowski ŁATWIEJ PYTAĆ NIŻ ODPOWIADAĆ	76
Barbara Dziekańska Z CZERWIENIĄ W TLE	76
Agnieszka Dudala W SZAREJ STREFIE	77
Krzysztof Karwat IRONIA I LIRYZMY	78
Agnieszka Nęcka POZAMAŁŻEŃSKIE IGRASZKI	78
POWROTY	
Marian Kisiel „ CORAZ NAM BLIŻEJ W ZAŚWIATY ”	79
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	81
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIELSKO	84
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz OPOLE	86
Jacek Sikora ZAOLZIE	87

Pismo
wspierane finansowo
przez
**ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO**



oraz dotowane przez
**URZĄD MIASTA
KATOWICE**



i **MINISTERSTWO
KULTURY**

W kolorze:
• Prace studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w Niemczech • Andrzej Kuczek - Wystawa malarstwa i grafiki w Miejskiej Galerii Sztuki w Chorzowie • Ludwik Poniewiera - wystawa z okazji 40-lecia pracy twórczej w BWA w Katowicach • Znaki i Twarze Miasta - „Spotkania Europejskie - europejska integracja Katowic”

Fotografia na okładce:
Andrzej
John-Przewłocki

NUMER ZOSTAŁ DOFINANSOWANY Z REZERWY
BUDŻETOWEJ PAŃSTWA Z PRZEZNACZENIEM
NA POKRYCIE KOSZTÓW KAMPANII INFORMACYJNEJ
PRZED REFERENDUM AKCESYNYM.

**Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
e-mail: zagran@pol.pl**

ŚLĄSK

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

Nr 6 (92). Rok IX. CZERWIEC 2003 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21
e-mail: slask@alfa.com.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
BARBARA GRUSZKA-ZYCH
dział krytyki

MAREK BASTER
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
PAWEŁ GARDAWICKI
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrowski 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

Druk: PW „Tolek”
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpłatnie - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 29 10202313 10588 1212. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X



XII TYSKIE LATO POETYCKIE

REGULAMIN KONKURSU

Miejskie Centrum Kultury w Tychach ogłasza konkurs poetycki, adresowany do wszystkich piszących, którzy nie opublikowali jeszcze samodzielnej książki poetyckiej.

Warunki uczestnictwa:

- Nadesłanie **zestawu trzech nigdzie niepublikowanych ani nagradzanych** w innych konkursach utworów;
- Utwory muszą być opatrzone godłem (wyrzutowym, nie rysunkowym) i powielone w trzech egzemplarzach każdy;
- W zamkniętej kopercie wewnątrz przesyłki, opatrzonej tym samym godłem, należy umieścić następujące dane: imię, nazwisko, adres zamieszkania, telefon, krótka notka biograficzna;
- Utwory należy nadesłać do **20 września 2003 r.** (decyduje data stempla pocztowego) na adres: **Miejskie Centrum Kultury — Świetlica Środowiskowa w Tychach-Wilkowyjach, ul. Szkolna 94 43-100 Tychy** z dopiskiem na kopercie: **XII Tyskie Lato Poetyckie**.

Uwaga: Koperta zewnętrzna — zawierająca utwory oraz zamkniętą kopertę wewnętrzną z zawartymi w niej danymi personalnymi — **nie może być opatrzona nazwiskiem i adresem autora**, gdyż wówczas nastąpiłoby automatyczne odtajnienie.

- Utwory opatrzone nazwiskiem nie będą brane pod obrady jury.

Nagrody:

Organizatorzy konkursu powołują jury, które dokona oceny nadesłanych utworów i przyzna następujące nagrody regulaminowe:

I nagroda	1200,- zł
II nagroda	1000,- zł
III nagroda	800,- zł

oraz wyróżnienia honorowe w postaci zamieszczenia utworów w antologii XII Tyskiego Lata Poetyckiego wraz z utworami nagrodzonymi.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Zgłoszenie do udziału w konkursie przez nadesłanie utworów traktowane jest jako akceptacja wszystkich warunków regulaminu.

Wyniki konkursu podane zostaną do wiadomości publicznej.

Sprostowanie

W majowym numerze „Śląska”, do tekstu Weroniki Siłczak wkradły się przykre błędy w podpisach pod ilustracjami. Duże zdjęcie na str. 56 przedstawia w rzeczywistości **powojenny widok na kościół św. Elżbiety, z pustym cokołem po Fryderyku Wielkim**. Zdjęcie na str. 57 u góry to widok rynku w grudniu 1945 r. Zaś u dołu te same strony mamy **rynek wrocławski w 1847 r. z pomnikiem Fryderyka Wielkiego**.

Autorkę i Czytelników przepraszamy.

Uroczyste zakończenie Tyskiego Lata Poetyckiego odbędzie się 7 listopada br. w Świetlicy Środowiskowej MCK (adres jw.).

Za przebieg konkursu z ramienia organizatora odpowiada i wszelkich dalszych informacji udziela dr Jan Andrzej Fręś — tel. (0..32) 227 26 22 — Świetlica Środowiskowa MCK w Tychach-Wilkowyjach.



BRACTWO ARTYSTYCZNE ZWIĄZKU GÓRNOŚLĄSKIEGO ogłasza

Konkurs otwarty na tekst Hymnu Związku

REGULAMIN — I etap

1. Tekst powinien nawiązywać do Deklaracji Związku Górnośląskiego zawartej w Dokumentach Statutowych Związku (do otrzymania w Biurze Związku).
2. Utwór powinien respektować poetykę hymnu.
3. Tekst hymnu powinien się składać z 3 rymowanych strof i refrenu.
4. Oceniane będą tylko niepublikowane dotąd teksty.
5. Komisja powołana przez Bractwo Artystyczne Związku Górnośląskiego w składzie: Prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Tadeusz Kijonka, Alojzy Lysko, Józef Sobczyk — v-ce Prezes Związku Górnośląskiego, wybierze 1 tekst do II etapu — konkursu muzycznego.
6. Utwór konkursowy należy przesłać w zamkniętej kopertach: zewnętrznej — opatrzonej godłem z dopiskiem „Konkurs na hymn” oraz wewnętrznej zawierającej tekst z podaniem godła, na adres: **Związek Górnośląski, ul. Stalmacha 17, 40-058 Katowice**.
7. Organizatorzy przewidują dla zwycięzcy nagrodę pieniężną oraz wyróżnienia.
8. Termin składania tekstów upływa z dniem: **30.06.2003 r.** decyduje data stempla pocztowego.



Golono — strzyżono

Podmiotem sporu jest recenzja Sławomira Matusza pt. „Almanach nie antologia”, która ukazała w miesięczniku „Śląsk” — nr 4 (90). Rok IV, kwiecień 2003.

Swoje odmienne stanowisko Sł. Matusz argumentuje odwołując się do etymologii owych słów wg Wł. Kopalińskiego. Cyt.: „Antologia etymologicznie pochodzi z greki i po grecku znaczy »zbieranie kwiatów«: od anthos »kwiat«, a w odniesieniu do literatury, to wybór utworów jednego albo wielu autorów, zwłaszcza z określonego okresu literackiego albo zakresu tematycznego. Almanach zaś jest pochodzenia łacińskiego lub nawet arabskiego i oznacza zbiór zawierający artykuły z określonej dziedziny nauki albo sztuki”.

Trudno zatem nie zauważyć, że książka zawierająca wybór wierszy z twórczości 35 autorów, obejmująca okres trzech pokoleń i opatrzona tytułem będącym wypadkową treści zamieszczonych wierszy — nie jest almanachem lecz antologią.

Prof. dr hab. Marian Kisiel, autor przedmowy, nie tylko nie uchyła się, ale wręcz nie czuje potrzeby tłumaczenia zasady budowy książki, która jest prawidłowa i zrozumiała dla Czytelnika.

Tworzenie podziałów, co zrobił Sł. Matusz w omówieniu książki, to przysłowiowy „kij w mrowisko”, który nie służy szuflce, tylko poróżnieniu. I właśnie — chcąc łączyć, a nie dzielić poetów, autorzy antologii przyjęli

(znów kwestionowany) porządek alfabetyczny. Czytelnik zainteresowany danymi biograficznymi wie gdzie po nie sięgnąć.

Zbiegi okoliczności bywają jednak perfidne. Jakoby mało było niefortunnnych potknięć, Sł. Matusz wpada w zastawioną przez siebie pułapkę.

Otóż w 1990 r. bracia Zaczekowscy — Andrzej i Piotr — wydają wiersze pod tym samym ogólnym tytułem „Wiersze”.

Autor niniejszej recenzji zafascynowany twórczością Piotra, zapomina o równie fascynującej twórczości jego brata — Andrzeja, przez co błędnie (choć przypadkowo) przypisuje zasługi Andrzeja — Piotrowi.

Sympatycy antologii „Jak smagnięcie gałązką” — oczekują zatem, iż Sł. Matusz wnieśli sprostowanie do mylnie podanej informacji.

BARBARA DZIEKAŃSKA



Odpowiedź Szymonowi Babuchowskiemu

Ze smutkiem przeczytałem recenzję Szymona Babuchowskiego z antologii poetów kręgu Orientacji (*Coś hybrydycznego*. „Śląsk” 2003, nr 5, s. 74). Tekst jest niesprawiedliwy i koncentruje się na z góry założonej tezie. Autor nie czyta książki, lecz o niej wyrokuje. Zdaje się, że w ogóle niewiele wie o poetach z Hybryd, ale też chyba mu na tej wiedzy nie zależy. Przyjmuje na wiarę stereotypowe sądy sprzed lat i dobrze z taką świadomością się czuje. Sprawy znane, jak choćby społeczno-polityczne zaangażowanie „hybrydowców” w latach 60., traktuje jak objawienie. I — za Wojciechem Wenclem — uznaje za haniebne. Hi! Też mi Autorytet i też mi objawienie krytyczne!

Pewnie, że poetów Orientacji można nie cenić. Można ich przemilczeć lub odrzucić. Można polemizować z ich programami, modelami wiersza itd. Bene. Ale Szymon Babuchowski odmawia jakichkolwiek wartości liroyce poetów znanych i uznanych. Powiada: „Ze stu kilkudziesięciu toników broni się może kilkanaście wierszy — głównie autorstwa Zbigniewa Jerzyny, Marka Wawrzkiewicza (spoza grupy podstawowej) i — jedynego poety w zestawie dziś naprawdę znanego — Edwarda Stachury”. No, to dopiero wyrok! Przeglądam antologię — i co? Krzysztof Gąsiorowski, Jerzy Górzański, Wojciech Kawiński, Jarosław Markiewicz, Barbara Sadowska, Andrzej K. Waśkiewicz, Janusz Żemicki — to poeci nieznanzi? Grafomani? Twórcy lipnych wierszy? I co? Poezja Stachury „stanowi zjawisko zupełnie osobne pod względem wyobraźni i poetyckiego języka”? Wolne żarty. Szkoda, że w swoim czasie nie wpisałem p. Szymonowi podkreślonej lufy do indeksu ze znajomości autorów współczesnych. Należy mieć swój sąd na temat poezji, ale nie powinno się upowszechniać niepoważnych tez!

W istocie rzeczy recenzja z antologii jest recenzją posłowania edytora. I ja z Krzysztofem Gąsiorowskim chętnie bym się pospieszał. Nigdy by mi jednak nie przyszło do głowy, by w polemice z nim potępiać w czambuł twórczość jego pokolenia. To są zupełnie odrębne sprawy. Młody recenzent powinien o tym także wiedzieć. A jeżeli nie wie, to niech się nauczy. Jeszcze tyle czasu przed nim...

A swoją drogą antologia jest bardzo interesująca. Po *Wnętrzu świata* (1972) i *Zjawie realnej* (1999) przynosi jeszcze inny obraz poezji kręgu Orientacji. Warto przemyśleć jej przesłanie, jej imaginatywną strategię, jej kształt wiersza. Leżę w łóżku za jakimiś śmiesznym i fan(ta)s(t)ycznym tekściem Wojciecha Wencła nie przystoi poważnemu krytykowi.

Wyglupił się Pan, Szymonie.

MARIAN KISIEL

Wśród przyjaciół Śląska

Rozmowa z TADEUSZEM CYPCAREM,
prezesem Zarządu
Górnośląskiego Banku Gospodarczego SA



- Od niedawna może się Pan szczycić serdecznym tytułem „Przyjaciela Śląska”, którym został Pan uhonorowany przez redakcję miesięcznika „Śląsk”. Czym jest dla Pana to wyróżnienie prywatnie, ale i zawodowo?

- Zawsze czułem się przyjacielem Śląska, bo jest on moją małą ojczyzną przez całe moje dorosłe, osobiste i zawodowe życie. Sam tytuł, przyznając, wywołał moją szczerą radość, bo to tytuł równie serdeczny jak na przykład Order Uśmiechu. I jak rozumiem, przyznany został przede wszystkim Górnośląskiemu Bankowi Gospodarczemu, którym kieruję.

Osobiście dostarczył mi wielu wzruszeń. I prawdziwej satysfakcji, związanej z dołączeniem do grona bardzo oddanych temu regionowi instytucji i osób, wśród których jest wiele godnych najwyższego szacunku autorytetów.

Zawodowo ten serdeczny tytuł przypominał mi raz jeszcze jak bliskie były mi zawsze najtrudniejsze problemy Śląska, w których rozwiązywaniu uczestniczyłem przez lata pracy w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach. Początkowo jako przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania, później dyrektor Wydziału Polityki Regionalnej.

- A zatem bliskie są Panu także pomysły, plany i projekty dotyczące zmiany oblicza województwa śląskiego na korzystniejsze. Jaki Śląsk się Panu marzy? Sądzi Pan, że we Wspólnej Europie łatwiej będzie nasz region odmienić?

- Mam nadzieję, że tak, co nie oznacza, że stanie się to bez ogromnego zaangażowania sił i środków. Nasze formalne przystąpienie do Wspólnoty oznacza unijną pomoc, wsparcie. Ale trzeba pamiętać, nie zastąpi ono naszego, ogromnego wysiłku czy wkładu pracy. Wręcz przeciwnie, by skorzystać z doświadczeń unijnych partnerów, dorównać najlepszym, a na to nas stać, musimy się jeszcze bardziej mobilizować i angażować w najtrudniejsze przedsięwzięcia. Zakończone sukcesem przykłady wielu gmin czy energicznych przedsiębiorców także z województwa śląskiego pokazują, że jest to możliwe. Zwłaszcza, że do wykorzystania mamy najcenniejszy kapitał - coraz lepiej wykształconą i przygotowaną do zmian młodzież.

Dlatego wierzę, że moje marzenia o Śląsku z nowoczesną, zrestrukturyzowaną gospodarką, drożym układem komunikacyjnym, uporządkowaną infrastrukturą, dostosowanym do wymagań czasów szkolnictwem i nowymi obiektami kultury spełnią się jak w wielu krajach bogatej Europy.

- Mimo to, z przystąpieniem naszego kraju do Unii Europejskiej wiążemy nie tylko duże nadzieje, ale i obawy. Także te związane z nowym rynkiem finansowym. Są one słuszne?

- W mojej ocenie niesłuszne. Czy rozszerzenie przestrzeni swobodnego poruszania się po świecie, nowych i większych możliwości spełnienia ambicji zawodowych i osobistych może budzić obawy?

Na pewno będzie to dla nas nowe doświadczenie. Unijny rynek finansowy przyniesie nam wiele ułatwień, ale i nowych dla nas rozwiązań, które będziemy musieli przyswoić. Po to, by z łatwością poruszać po unijnym, światowym rynku finansowym. Ale skoro obywatele innych europejskich państw już pokonali tę drogę dostosowawczą i nas na to stać.

- Nie wszyscy równie łatwo przyswajają nowości, zwłaszcza tak specjalistyczne, jak te związane z rynkiem finansowym. Czy Klienci banków będą mogli w sytuacjach dla nich trudnych liczyć na ich wszechstronną pomoc w poruszaniu się po unijnym rynku finansowym?

- To oczywiście. Zwłaszcza, że banki, nie tylko te z kapitałem obcym, w sposób naturalny współpracują z zagranicznymi i są dobrze przygotowane do nowych wymagań unijnych. Sami bankowcy oceniają, iż na wstąpieniu naszego kraju do Unii Europejskiej zyska cały rynek usług bankowych w Polsce oraz korzystające z usług banków podmioty gospodarcze. Potwierdziły to ostatnie badania Pentora, przeprowadzone na zlecenie Związku Banków Polskich w maju br. wśród pracowników sektora bankowego.

Również w GBG Banku wiele firm już korzysta między innymi z kompleksowej obsługi transakcji handlu zagranicznego. Obejmuje ona nie tylko dokonywanie płatności, ale również doradztwo na etapie zawierania kontraktu, realizację rozliczeń zagranicznych jak i finansowanie działalności eksportowo - importowej. A że transakcje tego typu związane są z ryzykiem kursowym, bank pomaga je minimalizować. I nie jest to jedyna forma opieki banku nad klientem na zagranicznym rynku finansowym.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: JOLANTA KARMAŃSKA

■ NA koniec 2002 r. bezrobocie w województwie śląskim wynosiło 16 proc.

■ UPADŁOŚĆ firmy Colloseum ogłosił Sąd Gospodarczy w Gliwicach.

■ NA hałdach i terenach zniszczonych przez kopalnie należące do Katowickiego Holdingu Węglowego uprawiane będą rośliny energetyczne: malwa pensylwańska i wierzba.

■ PONAD 70 tys. zł przyznała na odchodnym rada Śląskiej Kasy Chorych członkom jej zarządu.

■ MINIONEJ zimy w Beskidach zdarzyło się 916 wypadków. Beskidzka Grupa GOPR nie notowała takiej liczby od 10 lat.

■ PIERWSZĄ w Polsce wystawę z okazji 60-lecia ujawnienia zbrodni Katyńskiej otworzyło 3 bm. w katowickim Muzeum Archidiecejalnym.

■ PIĘCIOLETNIA Emilka Stachurska z Sosnowca od 5 bm. ma tytuł Dziecięcej Miss Urody i Wdzięku Śląska i Zagłębia, a Misterem Dziecięcej Urody i Wdzięku został 11-letni Patryk Jelonok z Rudy Śląskiej.

■ ŚLAZACY dadzą sobie w Europie radę — mówił metropolita górnośląski abp Damian Zimoń podczas spotkania z uczniami Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego w Katowicach.

■ SPOŁECZNY Komitet Budowy Pomnika Generała Jerzego Ziętki powstał w Katowicach.

■ SĘDZIA Witold W. przewodniczący jednego z wydziałów Sądu Okręgowego w Katowicach jest podejrzany o współpracę z SB.

■ ORDYNARIUSZ diecezji sosnowieckiej bp Adam Śmigielski mianował pierwszego w diecezji egzorcystę. Został nim. Ks. Roman Patyk.

■ HUTA „Pokój” w Rudzie Śląskiej uruchomiła 10 bm. nową linię do cięcia blach. To pierwsza od kilku lat inwestycja w śląskim i polskim hutnictwie.

■ CZŁOGI warte 400 mln dolarów trafiają z „Bumaru” w Gliwicach-Łabędach do Malesji.

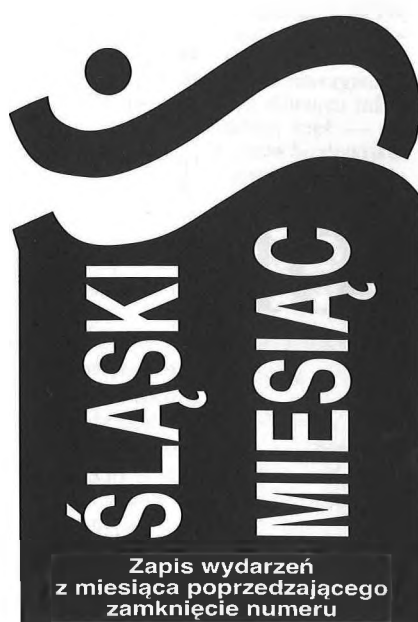
■ OD niedawna w Gliwicach działa honorowy konsulat Demokratycznej Socjalistycznej Republiki Sri Lanki. Konsulem honorowym jest Mieczysław Drobisz, prezes gliwickiej firmy Enco.

■ ZŁOTĄ nartę otrzymał 11 bm. Adam Małysz podczas uroczystości w rodzinnej Wiśle.

■ WŁADZE Rudy Śląskiej — wzo-rem Żor — chcą płacić 500 zł nagrody za wskazanie grafficiarzy, którzy dewastują miejscowe świeżo wyremontowane budynki i kamienice.

■ UCZEŃ Liceum Ogólnokształcącego im. S. Żeromskiego w Bielsku-Białej Piotr Tymaszkiewicz wygrał 13 bm. XXIX Ogólnopolską Olimpiadę Geograficzną.

■ WOJSKO nie zniknie z krajobrazu Gliwic. Na gruzach 23. Śląskiej Brygady Obrony Terytorialnej powstanie batalion o charakterze ratowniczo-inżynieryjnym.



■ LEKARZE z katowickiej Kliniki Hematologii i Transplantacji Szpiku prof. Jerzego Hołowieckiego przeprowadzili tysięczny przeszczep szpiku.

■ ZARZĄD Kompanii Węglowej zdecydował 14 bm., że szyb „Bolesław” Zakładu Górniczego „Bytom III” zostanie odbudowany.

■ WOJSKOWE Zakłady Mechaniczne w Siemianowicach Śląskich w ciągu dziesięciu lat dostarczą polskiej armii 690 kołowych transporterów opancerzonych.

■ KATOWICKI radny Andrzej Sośnierz wystąpił z Platformy Obywatelskiej, gdyż zamierza działać w nowej partii — Inicjatywa dla Polski Aldony Kameli-Sowińskiej.

■ SETNE urodziny obchodziła 16 bm. pani Zofia Wleczyk z Katowic.

■ TEGOROCZNYMI laureatami nagrody Towarzystwa Przyjaciół Śląska zostali arcybiskup Alfons Nossol, ordynariusz diecezji opolskiej i śpiewaczka operowa Krystyna Szostek-Radkowa.

■ DZIECI z Domu Dziecka przy ul. św. Barbary w Gliwicach wysłały do papieża list i swoje najpiękniejsze rysunki. Na adres domu nadeszła koperta z Watykanu z wydrukowanym listem i odręcznie napisane życzenia świąteczne przez papieża Jana Pawła II.

■ KAMIENI węgielny wmurowano 17 bm. pod gmach Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

■ BYC może do gliwickich szkół powróci język rosyjski. Na życzenie rodziców, jest niezbędny w stosunkach handlowych na tzw. „wschodniej ścianie”.

■ BARDZO uroczyste i hucznie obchodzono w Pszowie 50. urodziny ks. Jerzego Szymika, poety i profesora teologii dogmatycznej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

■ PROKURATURA Okręgowa w Katowicach zakończyła śledztwo

w sprawie Barbary G., pierwszej kobiety na Śląsku, której prokuratura zarzuciła założenie i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą o charakterze zbrojnym.

■ HONOROWYMI laureatami Nagrody im. Wojciecha Korfanteo zostali metropolita górnośląski abp. Damian Zimoń i dr Stanisław Sakiel z siemianowickiej „oparzeniówki”. Nagrodę — przyznaną przez Związek Górnośląski — wręczono 23 bm. po raz jedenasty. Nagrodami w kategorii promocyjnej wyróżniono rektora katowickiej Akademii Sztuk Pięknych prof. Michała Klisia, krajoznawcę dr. Leona Korca, propagatora śląskiej kultury Alojzego Lyskę oraz Zespół Pieśni i Tańca „Mały Śląsk” z Radzionkowa. W uroczystości wzięli udział mieszkający w USA Feliks Korfanty wnuk Wojciecha, i Christopher, jego prawnuk.

■ DZIESIĘĆ osób odpowiada za wypadek (z 24 lutego br.) w kopalni „Bieliszowice” w Rudzie Śląskiej. Cztery osoby staną przed sądem.

■ PRZED Sądem Dyscyplinarnym Izby Adwokackiej w Bielsku-Białej odbyła się 25 bm. pierwsza rozprawa Marka B. znanego śląskiego adwokata, już oskarżonego o czynny udział w aferze związanej ze sprzedażą kradzionych aut.

■ MIMO deszczu ponad 200 zawodników uczestniczyło 27 bm. w tradycyjnym już biegu Wojciecha Korfanteo ośmiokilometrowej trasie z Katowic do Siemianowic Śl.

■ AŻ 83 tysiące tzw. chlebków miłości sprzedano w kościołach archidiecezji katowickiej w czasie Wielkiego Tygodnia. W ten sposób na cele charytatywne uzbierano 330 tys. zł.

■ ABSOLWENCI Wydziału Architektury Politechniki Śl. Agnieszka Kruszek i Bartosz Majewski odebrali 28 bm. na Zamku Królewskim w Warszawie nagrodę za pracę dyplomową — projekt zagospodarowania terenu po zlikwidowanej Hucie 1 Maja w Gliwicach.

■ WYSTAWA „Losy społeczności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim” została otwarta 29 bm. w Bibliotece Głównej w Sosnowcu.

■ STU bezrobotnych miało sprzątać teren Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku. Prac interwencyjnych nie będzie, bo park znalazł się na krawędzi bankructwa.

■ NAJSTARSZA w Tychach — Szkoła Podstawowa nr 1 obchodziła 29 bm. 210-lecie istnienia.

■ PRZEBUDOWA dworca PKP w Katowicach powinna się rozpocząć za dwa lata. Według wstępnych szacunków inwestycja może pochłonąć nawet pół miliarda zł.

■ RADNY Andrzej Sośnierz chce, żeby w Katowicach stanął pomnik Richarda Holtzego, jednego z budowniczych miasta.

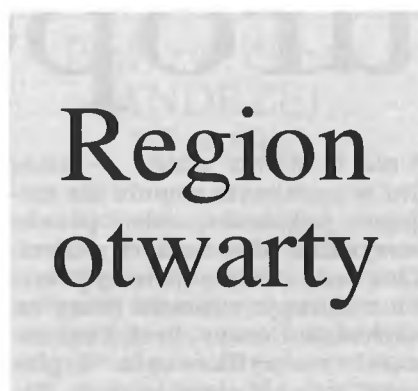
Prowadzone jeszcze w pierwszej połowie lat 90. badania na temat obecności kapitału zachodniego w Polsce pokazały, że na Górnym Śląsku jest on akceptowany w stopniu nieco wyższym niż w innych regionach naszego kraju. Można to było tłumaczyć większą otwartością kulturową południowych rubieży Rzeczypospolitej. Ale czy dałoby się to udowodnić? Rozsądniej jest więc przyjąć, że Ślązacy częściej od innych mieszkańców naszego kraju przenikali granice państwowe, nawet w latach, gdy stanowiły one bariery trudne do przekroczenia. I chyba właśnie ten czynnik był rozstrzygający.

Jakiś obieg informacji, nawet jeśli uproszczonych i schematycznych, w tym regionie istniał od dawna. Obraz świata zza żelaznej kurtyny, choć migotliwy i niepewny, bo wypełniony sprzecznościami, które trudno było przyjąć i zrozumieć, został ukształtowany już w latach 50. W następnej dekadzie dość oczywiste się stało, że Polska Ludowa cywilizacyjnie coraz bardziej odstaje od Zachodu i zachodnich sąsiadów. W jednych budziło to silniejsze bądź słabsze proniemieckie sentymenty, w innych - tęsknotę do okresu międzywojennego, do „starej Polski” - wprawdzie nie wolnej od kłopotów i panoszącej się biedy, ale przecież własnej, swojskiej.

Ale to nie jest tak, że oto Ślązkom przyszło przez całe lata żyć w jakimś chorobliwym rozdwojeniu. Swoją osobność i inność pielęgnowano poprzez domowy obyczaj, rodzinne wartości, szczególnie poszanowanie pracy i miejsca pracy oraz silny, ludowy katolicyzm. Dialekt śląski wzmacniał poczucie odrębności i jednocześnie chronił tożsamość regionalną. Ta zaś była i jest spoiwem, które przydaje się zarówno w myśleniu w kategoriach racji państwowych, jak i europejskich. Każdorazowo w przypadku politycznych przesilen i zawirowań, a także gwałtownych spadków zaufania do władzy centralnej, to właśnie silniejsza niż gdzie indziej tożsamość regionalna stanowiła i nadal stanowi antidotum na bolączki życia codziennego.

Nie przypadkiem wszystkie ugrupowania i stowarzyszenia lokalne i regionalne, niezależnie od wewnętrznych sporów i różnic programowych, zachowują dziś

zdecydowanie prounijny kurs. Wcześniej opowiadały się za tworzeniem specjalnych stref ekonomicznych, euroregionów i szerszym otwarciem granic. Przyszła Europa - ich zdaniem - ma być konfederacją samorządzących się regionów, w dużym stopniu samodzielnych, także a może przede wszystkim - finansowo i ekonomicznie, choć respektujących zwierzchnią władzę państwową oraz szanujących integralność terytorialną poszczególnych krajów. Wzorem mogłaby być struktura landowa Republiki Federalnej Niemiec albo rozwiązania ustrojowe przyjęte w Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii.



Akcent kładzie się zatem przede wszystkim na kwestie samorządowe, a te tradycje na Górnym Śląsku są żywe i akceptowane. Sięgają co najmniej do świadczeń II Rzeczypospolitej. Można się było o tym przekonać, gdy na przełomie dekad na nowo pokrojono administracyjny organizm kraju. Wprawdzie w przekonaniu większości liczących się śląskich środowisk opiniotwórczych i samorządowych reforma była połowiczna i nie przyniosła takich zmian, jakich oczekiwano, a także nie zaowocowała powołaniem dużych, scalonych regionów, to jednak trwale przyczyniła się do uaktywnienia tych grup społecznych, które chcą działać poza strukturami ogólnopolskich partii politycznych. Zwłaszcza na poziomie gmin powstało wiele lokalnych ugrupowań, które wykazują zdumiewającą żywotność i trwałość, zdobywając sympatię wyborców między innymi poprzez akcentowanie i wydobywanie tradycji lokalnych, mogących stanowić źródło obywatelskiej dumy.

Przewartościowano przede wszystkim historię najnowszą

i dowartościowano kulturę rodzimą, już nie obciążaną - jak w przeszłości - rozmaitymi powinnościami ideologicznymi. Bodaj nigdzie indziej w kraju nie powstał tak szeroki jak w województwie śląskim samorządowy ruch wydawniczy, wspierający badaczy i entuzjastów lokalnej historii i lokalnych tradycji. Niemal każda gmina, każda parafia dopracowała się w ostatnich latach jakichś prac monograficznych, zawsze wydobywających wielokulturowy charakter małych śląskich ojczyzn. Sesje naukowe i popularno naukowe organizuje się nawet w niewielkich gminach.

Podniesiono walory krajoznawcze i cywilizacyjne regionu, i to akurat w okresie, gdy nieuniknione procesy restrukturyzacyjne prowadzą do zagłady wielu starych, jeszcze XIX-wiecznych zakładów pracy. Pejzaż się zmienia, ale przynajmniej w świadomości współczesnych mieszkańców niektóre jego elementy nabrały waloru cennych relikwów, które należałoby chronić. Świadomość, że przez całe dekady Górny Śląsk był regionem silnie i nowocześnie uprzemysłowionym, wcześniej zurbanizowanym i połączonym więzami ekonomicznymi i kulturowymi z Europą Zachodnią, stanowi dla wielu źródło nieklamanej dumy. Nie niweczy jej nawet gorycz, wynikająca z degradacji społecznej regionu, jego nagle obniżonego prestiżu. Bywa przeciwnie - kulturowe i cywilizacyjne dziedzictwo Górnego Śląska jest jak wyrzut sumienia, którym można obciążyć tych, którzy rządzą nieudolnie, bez respektu dla społeczeństwa.

Jednocześnie zagrożen jest tu więcej niż w wielu innych regionach kraju. A skoro tak, to i strach jest większy. A mimo to - twierdząc - wyniki referendum nie będą na Górnym Śląsku gorsze od średniej krajowej. Chciałoby się, by były wyraźnie wyższe. Byłby to jednoznaczny dowód na to, że przyjęto perspektywę łączącą przeszłość z przyszłością. Perspektywę pomijającą czy wręcz lekceważącą dzień dzisiejszy, jakże dla Górnego Śląska trudny. Może nawet najtrudniejszy od czasu zakończenia II wojny światowej?

KRZYSZTOF KARWAT

Ankieta miesięcznika „Śląsk”

Bilans potencjalnych zysków i strat czy ważenie cywilizacyjnych szans i zagrożeń? Liczenie dotacji z brukselskich funduszy czy szumny powrót do europejskich struktur, w których zawsze byliśmy?... Przed czerwcowym referendum nie brakowało zasadniczych pytań o Unię i Polskę.

My postanowiliśmy zapytać o Śląsk, Górny Śląsk. *Co nasz region, ze swoim dziedzictwem kulturowym, może wnieść do zjednoczonej Europy po przystąpieniu Polski do UE?* To pierwsze pytanie. I drugie: *na co Górny Śląsk może liczyć po wejściu Polski w struktury europejskie, a co – być może – będzie musiał utracić?*

W naszej ankiecie wzięli udział przedstawiciele środowisk opiniotwórczych – naukowcy, literaci, politycy, przedstawiciele środowisk samorządowych i gospodarczych. Oto ich wypowiedzi.

Śląsk i Unia Europejska

BARBARA
BLIDA
poseł SLD

— Na co może liczyć Śląsk? Na to samo, na co może liczyć cała Polska: jeżeli znajdziemy się, w co głęboko wierzę, w granicach Unii Europejskiej, zmienione zostanie nasze ustawodawstwo gospodarcze i w ślad za tym kapitał zagraniczny będzie u nas więcej inwestował. Bo ten, co dotąd do nas napłynął, to jeszcze nie jest ten kapitał, na którym nam najbardziej zależy — taki, który planuje tu swoją obecność na kilkadziesiąt lat naprzód.

Mówię o inwestycjach, bo inwestycje to miejsca pracy, a miejsca pracy to pieniądze dla Śląska. Także te pieniądze, po które sięgniemy, kiedy już staniemy się członkami Unii. Oczywiście pod warunkiem, że ruszymy wreszcie głową i nauczymy się to robić. Tak, jak Hiszpania na przykład czy inne kraje, które w wielkim stopniu na wejściu do Unii Europejskiej zyskały. Powieszono przed nami dla zachęty kielbasę, ale żeby jej skosztować, musimy sami się wykazać: spełnić potrzebne kryteria, nauczyć się wypełniać wnioski. Tylko od nas, od naszej pracowitości, mądrości, zaradności zależy, czy będziemy umieli po to dobra sięgnąć. Wierzę, że tak będzie, ponieważ mądrości i zaradności nigdy na Śląsku nie brakowało. Bo

Unia to wielka szansa — może już w mniejszym stopniu dla mojego pokolenia, ale przede wszystkim dla naszych dzieci. One będą miały najwięcej pożytku z Europy: swoboda pracy na zachodzie Europy, brak konieczności nostryfikowania dyplomów, wolność podróżowania. Poczują się, wszyscy się poczujemy, jak równi między równymi. Dlaczego z tej cywilizacyjnej szansy nie skorzystać?

Nie sądzę, żeby Śląsk miał coś stracić po wejściu do Unii. Dlaczego? Przecież mało która grupa jest tak przygotowana do integracji z krajami Unii jak Ślązacy. Nie stracimy niczego, bo przecież cały czas z tą Unią pracowaliśmy. W Europie byliśmy! Nie, nie obawiam się niczego — po prostu znajdziemy się w nowej rzeczywistości i trzeba nam będzie się w tej rzeczywistości znaleźć. Ale myślę, że pomoże nam solidność, pracowitość, uczciwość — te cechy, z których Ślązacy są znani i które są powszechnie cenione w Europie. Kiedy pytają mnie w Warszawie, dlaczego ja ciągle podkreślam na każdym kroku, że jestem Ślązatką, odpowiadam — być może naiwnie, ale głęboko w to wierzę — że jeśli mówię, że jestem Ślązatką, to ma znaczyć, że jestem solidna, obowiązkowa i pracowita.

A poza tą naszą solidnością i pracowitością mamy też polską fantazję, czego w krajach Unii tak bardzo brakuje. To także możemy do Europy wnieść!

GABRIEL
CHMURA

dyrektor artystyczny
Narodowej Orkiestry
Symfonicznej
Polskiego Radia
w Katowicach

— Wejść czy nie wejść, to nie jest pytanie. Polska nie ma innego wyboru. Po latach komunizmu czyli izolacji od świata postępowego, od demokracji, Polska ma szansę i musi iść dalej drogą, którą dzięki Bogu już jakiś czas temu wybrała. Dzisiejszym światem rządzi rynek i wszystko, co się z tym wiąże. Kupuje pan przecież fiata nie dlatego, że pan lubi Włoszki, czy bmw nie dlatego, że pan Goethego czyta. Nawet, jeśli niektórym Polakom się Unia nie podoba, nie ma innego wyboru. Problemy będą, ale nie ma świata bezproblemowego. Po prostu nie ma. Nie wejść do Unii to znaczy iść z powrotem.

Mówi się o bezrobociu. Wszędzie na świecie jest bezrobocie. Ale państwo nie jest od tego, żeby wszystkim pracę dać, to nie jest zapisane w żadnych dziesięciu przykazaniach, ludzie muszą sobie radzić. Nieraz idę ulicą Katowic i widzę demonstrację ludzi bezrobotnych. Ja sobie myślę, że to jest strata czasu. Ci ludzie marnują swoje możliwości, zamiast spożytkować swoją energię, usiąść i zobaczyć, co jeszcze można zrobić. Ktoś, kto ma pięć-

dziesiąt pięć lat, to nawet go rozumiem, bo on, można powiedzieć, źle się urodził. Ale jeśli młodzi ludzie tracą czas na takie demonstracje, to moim zdaniem to jest nienormalne. Czy nie lepiej się zastanowić, co ja mogę zrobić dla własnego portfela i jednocześnie dla społeczeństwa?

Polska nie jest pierwszym krajem, który wchodzi do Unii. Przed nami była Portugalia, Irlandia, kraje jeszcze kilkanaście lat temu dość zapóźnione. Wiem, bo w Hiszpanii pracowałem przez wiele lat i widziałem, że Franco zostawił ten kraj mocno zacofany. **Wyzwania cywilizacyjne stojące przed krajem oczywiście przekładają się na regiony. Ale nikt Polakom nie zabierze tożsamości, tak jak Portugalia została Portugalią, a Hiszpania Hiszpanią. Jeszcze Polska nie zginęła.**

KRYSTYNA DOKTOROWICZ

senator RP

— Regiony mają szczególne znaczenie w strukturach Unii Europejskiej, zjednoczona Europa to przede wszystkim Europa regionów. Ich pozycja i zasobność będzie decydowała o pozycji gospodarczej państw należących do Unii. **Regiony to jednak przede wszystkim wartości kulturowe i tradycja. Wartości te są dla Unii Europejskiej równie istotne jak standard ekonomiczny i polityka społeczna.** Górny Śląsk jest jednym z najbogatszych kulturowo regionów w Europie. Tu spletały się losy polskie i niemieckie. Nie należy zapominać o tym co wielcy Ślązacy dali Europie przez ostatnie 150 lat. Nie trzeba obawiać się utraty tożsamości Górnego Śląska, przeciwnie od nas zależy jak będziemy prezentować naszą kulturę i nasze tradycje innym członkom struktur unijnych. Śląsk jest pełen zabytków kultury materialnej. Z tego miejsca promieniują artyści najwyższej miary. Mamy niezwykle uzdolnione i twórcze środowisko muzyczne. Górny Śląsk to także takie wartości jak etos pracy i rodzina. Możemy wiele wnieść ale pamiętajmy, że mamy zobowiązania wobec Europy obligujące nas do wysokiej pozycji.

Górny Śląsk odczuwa czas transformacji niezwykle traumatycznie. Zagłada wielu tradycyjnych dziedzin przemysłu to nie tylko problem gospodarczy, ale również społeczny i kulturowy. Utrata pracy i zmiana funkcjonowania tradycyjnej śląskiej rodziny to fakty bardzo bolesne dla

wielu mieszkańców naszego regionu. Wejście do Unii może nam pomóc w budowie wielu miejsc pracy. Fundusze strukturalne i spójnościowe dobrze wykorzystane przez samorządy są ogromną szansą dla tych, którzy zmuszeni są opuścić swoje tradycyjne miejsca pracy. **Niewątpliwie utracimy to, czego właściwie już nie ma — stare struktury przemysłowe i ich otoczenie, które kształtowało nasze życie przez dziesiątki lat i trudno się mentalnie pogodzić z rozpadem tego świata.** Z drugiej strony Unia Europejska to nowe technologie, nowe dziedziny przemysłu i usługi. Górny Śląsk jest atrakcyjnym miejscem dla inwestorów. Przyjęcie nowego też bywa trudne, ale jest wielką szansą.

Prof. zw. dr hab. ANDRZEJ KLASIK

— Referendum akcesyjne jest stosownym momentem do podejmowania zbiorowej refleksji i snucia mniej lub bardziej optymistycznych czy pesymistycznych scenariuszy przyszłości polskich regionów. Podjęta w tym względzie inicjatywa przez redakcję miesięcznika „Śląsk” jest nie do przecenienia. Sądzę, że odpowiada ona na żywione tu i ówdzie nadzieje i obawy z integracją europejską.

Co przemysłowy Górny Śląsk może wnieść do europejskiej przestrzeni? Region ze swoim wielokulturowym dziedzictwem, a ściślej mówiąc z tym co się jeszcze z tego dziedzictwa ostało wróci do rodziny tradycyjnych regionów przemysłowych „starej Europy”. **Jest pytanie czy będzie się umiał w tej dziedzinie odnaleźć z tradycyjnymi wartościami społeczności lokalnych, takimi jak rodzinność i religijność, profesjonalność w wykonywaniu zawodu i pracy, silne przywiązanie do miejsca urodzenia itp.** Czy uda się nam tymi wartościami „zarazić” tamte, daleko zaawansowane w procesie przemian społeczno-gospodarczych regiony?, czy też będziemy skazani na trwałą peryferyzację?

Na co w unijnej Europie przemysłowy Górny Śląsk może liczyć? Sądzę, że uzyskamy zrozumienie dla trudnej sytuacji problemowej regionu okaleczonego skutkami prymitywnej industrializacji i urbanizacji, która skazywała kilkumilionową populację na niską jakość życia i nie-
możność decydowania o własnym

losie i przyszłości. Region może też liczyć na coś więcej, na zwiększony transfer wiedzy i doświadczenia aby uniknąć dzięki niemu popełnienia kardynalnych błędów w procesie przemian ogarniających wszystkie sfery życia. Region uzyska być może zwiększoną pomoc finansową w ramach europejskiej polityki regionalnej. Skala tego wsparcia zależy jednak będzie od nas samych, od naszej inicjatywy i innowacyjności oraz od zdolności do odważnego podejmowania śmiałych przedsięwzięć.

Co przemysłowy Górny Śląsk może utracić? Społeczności lokalne regionu już teraz doznają i w przyszłości doznawać będą — i ma to związek z procesem integracji europejskiej — zachwiania bezpieczeństwa i pauperyzacji ekonomicznej. Jest tak gdyż jest się nisko konkurencyjnym i mało atrakcyjnym regionem. Jest jednak nadzieja, że zmaganie się z wyzwaniami czasu przemian nie będzie odbywać się ze świadomością osamotnienia. **Rodzi się natomiast obawa że na Górnym Śląsku w przeszłość odejdzie silna więź sąsiedzka, że z trudnością przyjdzie na tym obszarze tworzyć nową generację kapitału społecznego, kapitału zaufania i współpracy.** Region utraci też zapewne niemałą część nowej, jakościowo lepiej wykształconej, generacji kapitału ludzkiego. Młodzi ludzie, tak jak to bywało w przeszłości, będą szukać możliwości realizacji szans życiowych poza regionem i krajem. Dobrze by było, aby ich powodzenie życiowe, jeśli się zrealizuje, skutkowało nowymi szansami rozwoju Górnego Śląska w przyszłości.

KAZIMIERZ KUTZ

reżyser, senator RP

— Unia ma niesłuchanie rozbudowaną świadomość wspierania odrębności etnicznych. To stwarza nadzieję, że idąca za tą świadomością pomoc materialna, pozwoli Śląskowi odżyć. Ja w ogóle uważam, że popieranie naszych małych tożsamości jest największą szansą odbudowania tego, co zostało za peerelu tak zniszczone, wręcz splugawione — a co się nazywa aktywnością obywatelską. Bo aktywność obywatelska może się brać wyłącznie z poczucia tożsamości. Ona się opiera, mówiąc najbanalniej, na

miłości do miejsca, z którego się człowiek wywodzi. To jest podstawa prawdziwej miłości ojczyzny. A Ślązacy mają swoją tożsamość, bo mają swoją odrębność kulturową, odrębną historię. Najgorszą rzeczą, jaka się w Polsce stała, było rozmycie podstaw do utożsamiania się z Państwem. Jeśli spytać dzisiaj Polaków, czy kochają swoją ojczyznę, bardzo byśmy się zdumiali wynikiem... Najpierw trzeba by ludzi zapytać, czy kochają ziemię, z której się wywodzą. Tu Ślązacy nie mają większych problemów. Niezależnie czy myślą po polsku czy po niemiecku, utożsamiają się ze swoim gniazdem, mają swój korzeń. I to jest europejskie! Więc sądzę, że **Ślązakom łatwiej będzie się utożsamić z Europą, skoro się utożsamiają ze swoją ziemią.**

Oczywiście, Śląsk przechodzi okres dramatycznych zmian. Ale rozpad starej formacji industrialnej nie ma nic wspólnego z wchodzeniem czy niewchodzeniem do Unii: to jest wyrok losu, nieuchronna konieczność przy zmianie ustroju. To też jest rzecz jasna źródło wielkiej biedy i perturbacji na Śląsku. Ale przez to trzeba przejść. Zabezpieczeniem będzie nasze dziedzictwo kulturowe, o którym wcześniej mówiłem, nasz kapitał ludzki, który poprzez, często dramatyczne splątanie historii, jest w gruncie rzeczy europejski, bo zawsze był w Europie.

Więc Europa może być nadzieją dla tego Śląska, biednego i poharatanego. Bo z tym trzeba coś zrobić. **Być może Śląsk powinien być wręcz okręgiem szczególnej troski, ponieważ tu zniszczenia są o wiele większe, procesy społeczne o wiele drastyczniejsze, przez swoją masowość. Tu pomoc Unii jest najbardziej potrzebna. A też Ślązacy jej nie zmarnują ani nie przejedzą.** Przeciwnie — wierzę, że na bazie swoich cech, wyrobionych od dawna, podźwigną się z kolan biedy.

Prof. JAN MALICKI
dyrektor Biblioteki Śląskiej

— Przystąpienie Polski do Unii to będzie z pewnością istotny przełom cywilizacyjny. To wielka szansa dla Śląska, szansa na przeformowanie naszego systemu gospodarczego. Odchodzi świat węgla — musi się pojawić coś nowego. Co? Wszystko właściwie zależy w tej materii od naszej własnej aktywno-

ści i albo będzie to sukces, albo klęska.

Nie mamy takich warunków, jak Zagłębie Rury, gdzie było inne zaplecze społeczne i gospodarcze, i przede wszystkim finansowe, ale wierzę głęboko, że można na Śląsku stworzyć nową jakość o charakterze cywilizacyjnym. Że wzmocnienie procesów już rozpoczętych oraz inwencja ludzi tu mieszkających pozwoli stworzyć pomost między Zachodem a Śląskiem. Jestem jednak optymistą: wierzę, że doczekamy na Śląsku społeczeństwa ludzi zadowolonych, a nie frustratów. Musimy tylko w miarę spokojnie przejść przez pierwszy, trudny okres, a prędzej czy później musi dojść do wyrównania możliwości.

Co może zyskać Śląsk po przystąpieniu Polski do Unii? Myślę, że **najwięcej zyskamy w sferze świadomości społecznej. W tej chwili wszyscy wciąż jesteśmy zapatrzeni w przestrzeń historyczną; do tego, co było przedtem, Polacy dodają swoje partykularne doświadczenia narodowe. W Europie już tego nie będzie. I Śląsk, właśnie Śląsk jest takim miejscem, które pozwala prędzej odejść od narodowych partykularizmów.**

Gdybym miał wskazać grupę, która najwięcej zyska na wejściu do Unii, będzie to młodzież i pokolenie średnie, bo oni mają największą szansę... Starsi oczekują raczej jednoznacznego opowiedzenia się za taką czy inną opcją kulturową. Natomiast pokolenie średnie i młodzi absolwenci szkół oczekują możliwości normalnego życia, już po zjednoczeniu. Oni najprędzej poczują się w zjednoczonej Europie jak u siebie w domu, oni też w największym stopniu zmienią naszą świadomość społeczną, kulturalną, narodową. To będzie zupełnie nowa jakość. Tak, jak w 1989, kiedy zmieniło się wszystko, tak i z tego zderzenia narodzi się zupełnie nowy świat.

KLEMENS ŚCIERSKI
dyrektor Elektrowni „Łaziska”

— Patrząc okiem pesymisty, Śląsk wnosi do Europy ogromne bezrobocie, problemy z restrukturyzacją, bagaż biedy i zaległości — technologicznych i ekologicznych, potrzebujące restrukturyzacji górnictwo i hutnictwo. Ale spojrzmy inaczej:

Śląsk wnosi do Unii potężne firmy, w stu albo niemal w stu procentach produkujące już na tamten rynek: Opla, Isuzu czy Fiata. W dziedzinie energetyki i medycyny także osiągnęliśmy europejski poziom. To pierwsze jaskółki, ale mamy tyle, ile mamy. Jeśli przyjdzie na Śląsk nowoczesna technologia, będzie ich więcej.

Przede wszystkim jednak, **razem ze Śląskiem wchodzi do Unii rzesza ludzi pracowitych i solidnych, w sporej liczbie dobrze wykształconych.** Ci, co wyjechali za pracą do Warszawy albo na Zachód jakoś wcale tam biedy nie klepią, przeciwnie. Więc Ślązacy sobie poradzą, a już na pewno poradzą sobie lepiej niż mieszkańcy innych regionów.

Każdy Polak, Ślązak zada sobie pytanie, idąc do referendum: A co ja z tego będę miał? Ja, moja rodzina, miasto, mój kraj? **Ja sądzę, że pierwszy zysk z Unii to nowoczesne normy i silne, stabilne prawo. W grupie będziemy silniejsi, Unia zaś będzie musiała podzielić się z nami budżetem, na czym zyskać może w największym stopniu transfer nowoczesnych technologii oraz ekologia.** Podzieli się także z nami miejscami pracy, a więc umysłowe, którymi jesteśmy spętani, pękną w obliczu swobody przepływu siły roboczej między krajami Unii.

W perspektywie ogólnej, **w perspektywie naszych dzieci wejście do Unii może nam się tylko opłacić.** Oczywiście, w Unii jak w życiu — coś za coś. Z początku będzie tak jak z wżenieniem się do rodziny, kiedy na początku patrzą na nowego trochę krzywo. Jakaś kopalnia być może padnie, jakaś huta będzie musiała poddać się restrukturyzacji. Ale jak się weźmiemy bardziej do roboty, wszystko się ułoży — jak w rodzinie, gdzie prędzej czy później wszyscy są sami swoi.

WIESŁAW SIWCZAK
Prezes Zarządu
Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony
Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach

— Otóż Górny Śląsk do Unii Europejskiej wniesie przede wszystkim swoje dziedzictwo kulturowe. Jak wiadomo, Europa, w swej części unijnej, jest oparta o regiony. Polska

stanie się jednym z państw Unii i podlegać będzie temu samemu zasytaniu w wielu dziedzinach. To będzie regionalna mozaika kulturowa. Nie chcę podkreślać jakichś super odmienności, bo przecież Śląsk nie leży na Księżycu, a odmienności są charakterystyczne dla wszystkich krajów Unii. Jest za to regionem silnie uprzemysłowionym, ma również wiele znaczących osiągnięć w innych dziedzinach i to na zaskakująco wysokim poziomie, jak np. w dziedzinie medycyny, w muzyce, częściowo w plastyce. Nie postrzegam Śląska jako krainy kominów i dymów, tylko jako miejsce, gdzie wiele się dzieje. Uważam, że mamy tu osiągnięcia nie tylko na skalę europejską ale i szerszą. Europa rozszerzając się pozyskuje bardzo mocny region pod względem nauki.

Wnosimy też zjawiska negatywne, jakimi są z pewnością skomplikowane problemy społeczne a także zagadnienia związane z ochroną środowiska, wnosimy szereg problemów związanych z konsekwencjami restrukturyzacji wielu gałęzi przemysłu. Generalnie w Unii obowiązuje zasada, że każdy region, każdy kraj coś wnosi, nie tylko pozytywnego, a Śląsk jest przecież fragmentem Europy Środkowej i podlega tym samym uwarunkowaniom.

Śląsk, jako jeden z regionów Europy, obowiązywać będą te same reguły. Możemy zyskać na szybszym tempie wzrostu dynamiki gospodarczej. Będziemy musieli nauczyć się współpracować nie tylko z najbliższymi regionami, ale także tymi nieco bardziej oddalonymi, jak np. Hiszpania. Sądzę, że łatwiej nam będzie rozwiązywać problemy wynikające z przebudowy gospodarczej. Trudno Śląskowi samemu radzić sobie z wieloma trudnościami, skoro nie radzi sobie z nimi całe państwo. Po wejściu do Unii nastąpi swobodniejszy przepływ obywateli i wówczas inaczej spojrzymy na problemy społeczne. W warunkach akcesji do Unii będzie również bardziej dynamiczny przepływ kapitału, bowiem przedsiębiorcy i inni inwestorzy będą mieli mniejsze obawy wynikające z niejednorodnych dotąd przepisów prawa, przepisów podatkowych, przepisów dotyczących zarządzania majątkiem czy przy nabywaniu gruntów. Zwiększy się dynamika gospodarcza: na Śląsk trafiają bardzo nowoczesne technologie. Wraz z akcesją będą dla nas dostępne fundusze, które przeznaczone będą na rozwiązywanie problemów publicznych, a także — co jest niezwykle istotne — dotyczące ochrony środowiska. Chociaż po-

stęp technologiczny w zakresie ochrony środowiska jest u nas widoczny od około 10 lat, to środki akcesyjne spowodują bardziej dynamiczny jego wzrost. Oczywiście wiąże się to z określonymi, wysokimi kosztami, ale wysiłek ten zostanie poniesiony nie dlatego, że takie są wymogi unijne, ale w interesie nas samych, naszego środowiska. Łatwiej będzie osiągnąć wyższy poziom rozwoju. Pamiętać trzeba, że na każde 1 euro wydane przez Polaków wpłyną 3 euro z Unii Europejskiej — to gwarantuje lepszy standard życia, warunków ekologicznych w których funkcjonujemy i ożywioną gospodarkę.

Prof. TADEUSZ SŁAWEK

— **Do Europy Śląsk może wnieść przede wszystkim swoje historyczne poczucie międzynarodowości i kosmopolityczności, co w jednoczącej się Europie stanowi niezaprzeczalny walor.** Przewrotność historii sprawiła przecież, że kiedy w Polsce wybuchały narodowe powstania, na Śląsku wybuchał przemysł, wznoszony rękami niemieckimi przecież. I kiedy inne dzielnice kraju trwały w zasadzie przy tradycyjnej gospodarce, opartej na roli, tu powstawały kopalnie i huty, wokół których wytworzyła się kompletna kultura proletariacka. Dzięki temu Śląsk był zawsze bliższy orbicie społeczeństwa europejskiego, przyzwyczajony do inności, otwarty na inne modele życia; to rzecz cenna, bo dzięki temu do Europy jest Śląskowi bliżej. I jest jeszcze jedna ważna cecha tej kultury proletariackiej — **Śląsk posiada z dawną ukształtowany etos pracy. To w kontekście przystąpienia Polski do Unii Europejskiej kolejny walor,** który — choć poddany silnej erozji — nie całkiem zanikł.

Drugie pytanie jest trudniejsze, ponieważ dziś to wciąż w jakimś sensie wrócenie z fusów... Co Śląsk może zyskać, a co stracić? Zależy, jak na to spojrzeć. Jeśli przyjąć „czarną” perspektywę, tak czarną jak węgiel, to przynajmniej na początku suma strat może wyglądać na większą niż bilans zysków. Ale pryzmat przemysłu węglowego nie wyczerpuje całości spojrzenia. Bo jest też perspektywa „zielona”, nie w znaczeniu turystycznym, a na pewno nie tylko. Taka perspektywa koncentruje się na zmianach, na nadziei zmian. Takich, jakie przeszły przecież podobne do Śląska regiony jak Ruhra czy Nord-Pas de

Calais. A właściwie wciąż przechodzą, bo tam restrukturyzacja trwa od ćwierci wieku i jej końca w zasadzie jeszcze nie ma.

Jedno wszakże wydaje mi się pewne: **wejście Polski, wejście Śląska do Unii Europejskiej przyniesie w ostatecznym rozrachunku więcej pożytku niż szkody.** Bolesna okaże się, szczególnie na początku, konkurencja, niektóre huty nie będą produkować, a niektóre kopalnie fedrować. **Co robić, musimy zacząć to, co inni już zdążyli zrobić przed nami.** Ale w zasadzie wyrażam **ostrożny optymizm.** I nadzieję, że tym szybciej skończy się na Śląsku dyktat poprzez pryzmat potrzeb przemysłu węglowego. Droga ku przyszłości tego regionu nie prowadzi ani przez, ani obok górnictwa. Ona powinna iść równolegle do niego. Na Śląsku przecież trzeba budować nie tylko nowy przemysł, ale przede wszystkim nowy model życia.

Prof. MAREK S. SZCZEPAŃSKI

— Górny Śląsk i Śląsk to regiony pogranicza kulturowego. Tereny, które przez stulecia zmieniały przynależność państwową — Śląsk raz był polski, raz czeski, raz austriacki, a później niemiecki. W związku z tym znajdował się pod wpływem zróżnicowanych kultur i cywilizacji. Była to zatem kultura niemiecka, polska, morawska, i — o co się stale upominam — żydowska. W XIX w. mieliśmy w naszym regionie wielu wpływowych Żydów, całą „baronierię węglową”, która współtworzyła potęgę miejscowego górnictwa. Obecnie w regionie odszukać jeszcze można, ślady uroczego w sensie socjologicznym, mozaikowego układu społecznego. Obok siebie istnieje świat hanysów, goroli, kresowiaków, pamponiów, cyso-
roków, przyżenionych. Pograniczność stała się urodą tej ziemi i jej wartością.

Skrzydłami regionu i całego województwa śląskiego są ludzie. Na małym skrawku ziemi żyje 5 mln mieszkańców — w języku Unii Europejskiej — konsumentów, a zatem o wiele więcej niż ma obywateli Malta, Cypr czy Estonia. Co więcej — mieszkają oni na skrzyżowaniu europejskich traktów: Północ — Południe, Wschód — Zachód. Dlatego możemy korzystać z tej wielkiej renty tranzytowej i geopolitycznej. Warunek jest jeden, ale

bardzo podstawowy: dobre drogi i sprawne infostrady.

Śląsk i województwo śląskie muszą się przygotować do sięgania po pieniądze, technologie, wzory organizacyjne czy kulturowe z Unii Europejskiej. **W pierwszej zatem kolejności region powinien pomóc sobie samemu, a dopiero potem pomoże mu Unia.** Bardzo liczę na fundusze strukturalno-pomocowe, ale najpierw konieczne jest sprostanie wygórowanym i trudnym wymaganiom administracyjno-biurokratycznym Unii. Znakomitego przykładu udanej akcesji dostarcza Irlandia. Powtórzmy zatem jej sukces i bądźmy Celtami Wschodu. Wielką szansę Śląska upatruję w jego otwarciu się na nowe rynki pracy. Po wejściu do Unii — czterdziestu z każdej setki Europejczyków poszukujących pracy, to będą Polacy. Swoboda i łatwość podróżowania, obecność w instytucjach europejskich to bezsprzeczne korzyści integracyjne.

Wielkim natomiast zagrożeniem i niebezpieczeństwem jest wciąż niska konkurencyjność regionalnego przemysłu czy sektora usług. A to oznacza możliwość dalszej jego degradacji, likwidację kolejnych miejsc pracy, powiększenie obszarów biedy i patologii. Taki los stał się udziałem wielu dawnych regionów Europy, zagłębi walijskich, angielskich, francuskich czy nawet niemieckich. Uczmy się zatem na cudzych błędach.

Ks. prof. JERZY SZYMIK

— Na ekonomii i gospodarce się nie znam. W kwestii przemian społecznych też mocny nie jestem. W sferze ducha i kultury jest już trochę lepiej, ale i tak — uważając się za lichego proroka — odpowiadam na pytanie ankiety ostrożnie i bez wielkiej pewności, czy na pewno tak będzie.

O Śląsku i o jego potencjale duchowo-kulturowym jestem (wbrew wielu obiegowym opiniom) dobrze zdania. Śląsk, z racji głęboko zakorzenionego w nim chrześcijaństwa, swojej skomplikowanej historii, położenia geograficznego, a także uwarunkowań geopolitycznych, ma szansę być w procesie integracji europejskiej uprzywilejowanym regionem Polski. Powinien wręcz być „integracyjnym pomostem” — jak najpozytywniej rozumianym — dla innych regionów Polski. Eu-

ropa bowiem zawsze była ojczyzną Śląska (proszę absolutnie nie rozumieć tej tezy antypolsko, bo jeśli ona się czemuś sprzeciwia, to jedynie ciasnocie nacjonalizmu). Wielokulturowość jest naturalnym środowiskiem dla tego, co autentycznie śląskie.

Śląsk pozostał bodajże jedynym uprzemysłowionym rejonem Europy, którego religijność nie została ogłuszona obuchem industrializacji i towarzyszących jej przemian społecznych. Czy jego duchowość wytrzyma równie skutecznie procesy globalizacji? Oto pytanie. Odpowiedź nie musi być pozytywna, oczywiście. Wypisywanie się w latach 80. emigrantów śląskich z parafialnych ksiąg chrzcielnych (by nie płacić w Niemczech *Kirchensteuer*) już przerabialiśmy. Duchowa próżnia wielu środowisk zlaicyzowanej Europy może wessać tradycyjną religijność Śląska. Może, ale wcale nie musi. Jest to przede wszystkim teren pasjonującego zadania ewangelizacyjnego dla Śląska i całej Polski. Zaś zasada jest prosta: wiara ulega pomnożeniu, kiedy jest dzielona. O sile duchowych pokładów mojej Małej Ojczyzny jestem przekonany głęboko.

Etos pracy generalnie na Śląsku nie zaginął, choć lata komunizmu zrobiły swoje. Etos ten, na szczęście, jest w Europie stawiany ciągle bardzo wysoko. Polacy jako zlatynizowani Słowianie, a Ślązacy szczególnie (z wyraźną kulturową domieszką akcentu germańskiego i czeskiego), mają szansę wnieść do jednoczącej się Europy jedną w swoim rodzaju syntezę tego, co serdeczne, z tym, co rozumne. Rzecz jasna, nie należy wpadać w euforię. Po grzechu pierwotnym serdeczność nieraz przeradza się w nadpobudliwość emocjonalną bądź sentymentalizm, a rozumność — w oschłość i wyrachowanie. A te połączenia wydają owoce wyjątkowo mało dorodne: kicz i interesowność. Ale synteza serca i rozumu może być wielkim wkładem w budowanie europejskiej demokracji. Jeśli tylko wyzbyć się niepotrzebnych kompleksów.

Prof. U.Ś. dr hab. STEFAN SZYMUTKO

— Jestem humanistą, historykiem literatury, czasem krytykiem, a w literaturze — jak w sztuce w ogóle — nigdy nie było podzielo-

nej Europy. (Przykładowo) Francuz Proust, Irlandczyk Joyce, Polak Gombrowicz i inni pisarze z innych krajów zamieszkiwali tę samą literacką Europę, gdzie żadne granice nie uniemożliwiały wpływów, przepływów — gdzie żadne literackie imperium nie mogło i nie chciało przeszkadzać lokalnemu, które wносиło swój wkład w ogólne. Parafrazując *Hamleta*: nieskończone przestrzenie sztuki, gdzie każdemu wolno osiedlić się i opowiedzieć swoją historię ku pożytkowi i korzyści drugich.

Europę chciano zjednoczyć już w czasach Bolesława Chrobrego, ale zawsze jednoczenie było związane z dominowaniem. Kiedy pojawia się szansa, że Europa polityczna upodobni się do literackiej pod względem równości podmiotów, Śląsk może troszczyć się tylko o to, co pozostali: żeby mieć co wnieść do Unii Europejskiej, coś własnego, odrębnego, zdobyć się na tożsamość, z którą ostatnio krucha.

Na co może liczyć Górny Śląsk po wejściu Polski do Unii Europejskiej, a co będzie musiał utracić?

W Śląsku — nie: na Śląsku — **za dużo jest przeszłości. Zainteresowanie przeszłością, zachowywanie przeszłości ma sens tylko wówczas, gdy patrzy się w przyszłość; kiedy przeszłość jest zobowiązaniem wobec przyszłości.** Może więc warto przypomnieć sobie, iż Śląsk właściwie nigdy nie był jednonarodowy, jednoplemienny? — nawet w socjalizmie znajdowali tu mieszkanie i pracę ludzie z różnych regionów kraju, wtapiali się w miejscową społeczność, ubarwiali ją swoją innością. Może należałoby tę istotową niejednorodność Śląska postrzekać jako predyspozycję do Wspólnej Europy?

Z na nowo wielonarodowym Śląskiem łączę własną nadzieję: chciałbym, żeby moje koleżanki i moi koledzy z dzieciństwa i młodości, dzisiaj obywatele (głównie) Niemiec, znów byli moimi sąsiadami.

HENRYK WANIEK

malarz, eseista, pisarz

— Na oba pytania spróbuję odpowiedzieć łącznie, choć z góry wiem, że bardziej niż odpowiedzi, będą to zastrzeżenia do samego przedmiotu. Bo gdziekolwiek — prasa, radio, telewizja, rozmowy prywatne — natykam się na temat naszej akcesji do UE — odchodzę, zatykam uszy, od-

wracam uwagę. W referendum (którego nadejście jest dramatyzowane jakby to był jakiś huragan lub sąd ostateczny) prawdopodobnie odpowiem — tak. Ale obawiam się, że ta wrzawa zwana akcją informacyjną, a będąca w istocie ordynarną presją dobrze opłacanych kiepskich urzędników, może sprawić, że w ostatniej chwili pęknie we mnie napięta struna wytrzymałości. Jestem za Unią, ale jestem przeciwny prostactwu, które chce uchodzić za egzamin patriotyzmu i politycznej dojrzałości. Co to jest Unia Europejska, wiem raczej z autopsji. Gdybym miał tę wiedzę wyłącznie ze słów pana premiera, prezydenta, ministrów odpowiedzialnych a nieodpowiedzialnych, oczywiście byłbym przeciw. Dlaczego miałbym uwierzyć, że ktoś kto mnie dziesięć razy oszukał, nagle mówi prawdę? Dlatego odwracam uwagę, zatykam uszy, odchodzę.

I oto stoję przed pytaniami, które już na odległość pachną mi tamtym radosnym i spryciariskim absurdem. Długo i wytrwale musiałbym tłumaczyć dlaczego nie mam poglądu na takie postawienie problemu. Najpierw spytałbym, jaki to region — Górny Śląsk? Ostatnia reforma administracyjna zaburzyła geografię Śląska — fizyczną, gospodarczą, społeczną i etniczną — któryś już raz od 1945 roku. Wraz z dalszą degradacją regionu, szumnie nazywaną „restrukturyzacją”, jego sprawy poszły ku gorszemu. I teraz pytają mnie państwo „co Górny Śląsk... jako region...” i tak dalej. Odpowiadam na to nadzieją, że Śląsk w ramach UE odzyska utraconą tożsamość i ponownie stanie się regionem poważniejszym niż to sobie wyobrażają nasi ustawodawcy. Szanse są nikłe, prawie żadne, więc w tej chwili właściwie nie ma o czym mówić. Bo to jest zadanie dla Katowic, Bytomia i Opola, a nie Brukseli czy Strasburga. Skoro Śląsk w ramach całego państwa ma taką suwerenność jak ojczyzna oscypków lub pasiaków łowickich, nie widzę podstaw do zastanawiania się, co „może wnieść”. Okradzione kopalnie? Nieczynne huty? Bezrobocie? Jeśli więc cokolwiek pozytywnego, to chyba tylko Prawdę o Sobie. I wnieść nie „do Europy” ale „do Polski”, gdzie o Śląsku ma się na ogół gazetowe mniemanie. Więc może już lepiej byłoby nie „wnosić” niczego, tylko wysilić się na normalność, bez której ani rusz.

Z początkiem lat 90., gdyśmy wszyscy tyle gadali o powracaniu do Europy (z poniekąd Syberii) Artur Międzyrzeczki rzekł mi krótko w pro-

gu swego mieszkania: — Nie mam po co wracać. Jak nie wychodzę z domu, jestem w Europie. Od śmierci pana Artura zasadniczo nic się nie zmieniło. Przynajmniej nic na lepsze, jeśli pominąć niektóre statystyki, którymi jednak nikt się nie żywywi. Nadal podzielam jego pogląd. Więc powtarzam: **najlepiej nie wnosić, tylko uczynić Europę w swoim własnym domu. Bo inaczej Europa może nie wytrzymać naszej akcesji. Rozpieprzymy ją, jak tyle rzeczy wcześniej. Wszak Polak potrafi.**

Prof. JACEK WÓDŹ

— Odpowiadając na takie pytanie mam pewien dylemat wynikający z tego, że nie do końca rozumiem, w jakim sensie używany jest przez redakcję „Śląska” termin region. Bo jeśli przyjmiecie państwo postawę także, jaka obowiązuje w Europie, tzn. postawę obywatelską, która zakłada, że **region to jest pewna całość administracyjna, która w dodatku potrafi mobilizować ludzi do działań**, ma wpływ na ludzkie postępowanie, to w tym sensie tym regionem jest województwo śląskie. Województwo śląskie a Górny Śląsk, to są dwie różne rzeczy. **Górny Śląsk jako taki w Unii nie zaistnieje, bo Unia nie miesza się do żadnych całości społecznych z wyjątkiem jednej rzeczy: rezerwuje indywidualne prawo do wyrażania swojej odrębności, ale to są zadania raczej Rady Europy.** Europa „piętnastu” przeżywała w latach 80. bardzo trudny problem, jakim jest dowartościowanie praw człowieka. Bardzo często ludzie identyfikujący się z Górnym Śląskiem, myślą w kategoriach plemiennych, a to jest absolutnie antyeuropejskie. Podobny problem pojawił się np. w Hiszpanii. Dla Unii region jest jednostką administracyjną. Uważam, że jeśli chce się poważnie myśleć o szansach tego regionu w Unii trzeba po pierwsze szybko zapomnieć o ciągłotach czyśto plemiennych, które są antyobywatelskie i które nas oddalają od szans, a zacząć myśleć w kategoriach indywidualnego prawa do odmienności i bardzo je szanować. Dlatego uważam, że wszelkie wspieranie i rewitalizacja kultury powinny mieć miejsce i powinny dotyczyć każdego, kto chce kimś być.

Dla mnie istotnym jest to, jak województwo śląskie, jak ten region z jego różnicowaniem znajduje się w Unii. Jestem w tym względzie

optymistą, dlatego że województwo śląskie jako region ma kilka atutów, których nie mają inne regiony polskie. My jesteśmy w czołówce polskich regionów do tego, żeby dobrze zaistnieć w Europie — ale tylko jako województwo. A to dlatego, że mamy coś co jest niesamowicie cenione w Europie czyli różnicowanie i gospodarcze, i kulturowe. **Proszę zapamiętać o tym, że Śląsk jest węglowy, jest równie dobrze turystyczny, zwłaszcza na południu, jest rolniczy, jest hutniczy, jest inteligencki bo mamy kilka centrów inteligenckich bardzo dobrze rozłożonych: jest Częstochowskie i Bielskie, mamy Katowice i Gliwice.** W tym różnicowaniu jest szansa na rozwój. Mamy różnicowanie kulturowe, które wynika z tego, że pochodzimy z różnych zaborów. Ale mimo tego, iż mamy trzy różne kultury polityczne, to mamy również umiejętność współdziałania, nie kryjąc różnic. A to się w Europie bardzo ceni. Wreszcie mamy rzecz bardzo ważną — współdziałanie religijne. Tu gdzie występuje protestantyzm, katolicyzm i religia prawosławna nie ma żadnych sporów. Dodałbym jeszcze do tego nieumiejętnie wygrwaną tradycję żydowską.

Kolejna sprawa to położenie: z jednej strony przygraniczne, z drugiej — poprzez Częstochowę — zbliżające się do centrum kraju. Trzeba wygrać tranzytowy charakter tego miejsca. Powinno powstać lobby regionalne na rzecz wybudowania autostrady z Cieszyńska do Warszawy i wschód-zachód, powinniśmy zmienić dojazd do portu lotniczego. Ta infrastruktura jest argumentem do wygrania. Do tego ludzie, którzy są chętni do pracy. Ostatnia sprawa — jest to region, który mimo tylu sporów, często niesympatycznych, potrafił mimo to wytworzyć jedną z ciekawszych kultur, w tym kulturę polityczną otwartą na wymianę zdań przy jednoczesnej partycypacji. Tu nie ma problemu z europejskością wśród mieszkańców tego województwa. Nikt się nie obawia o wyniki referendum w województwie śląskim. Istnieje jednak potrzeba stworzenia nowej komunikacji społecznej w ramach województwa. Województwo, jako region, będzie potrafiło wiele osiągnąć, ale dużo zależeć będzie również od dynamiki sejmiku wojewódzkiego.

Problemem może być to, że młodzież jest mało edukowana w kategoriach obywatelskich rozumianych jako np. czynny udział w sprawach publicznych.

My som Europom

KRZYSZTOF
ŁĘCKI

Jerzy Stempowski w jednym z esejów opisuje fenomen swojej małej ojczyzny, doliny średniego Dniestru. To szachownica wielu współżyjących ze sobą narodowości, konglomerat języków, gdzie często „zmieniało się język ojczysty, ale żaden z tych języków nie ginął”.

Nie tylko odcienie języków, także narodowości znajdowały się w stanie częściowo płynnym. A kombinacje powstające z małżeństw mieszanych ojciec Jerzego zamknął w takiej oto zgrabnej i paradoksalnej quasi-regule: „Jeśli Polak żeni się z Rosjanką, dzieci ich są zwykle Ukraińcami lub Litwinami”. Jak w bajce, prawda? Takiej bardziej wielokulturowej...

No cóż, najpiękniejsze prowincje, to utracone prowincje... A co z prowincjami odzyskanymi?

Powiada się o Górnym Śląsku (i pisze – sam tak o nim pisałem, czytałem także, jak pisali inni) jako o regionie pogranicza kulturowego, ba, ambitniejsze ujęcia, ujmujące aspekt historyczny, kazały mówić nawet o wielokulturowości Górnego Śląska (bo i wpływy czeskie, i jeszcze inne); wielokulturowości, czyli czymś jak najbardziej wartościowym, takiej – w domyśle – może nawet symbolicznej przepustce do Europy, bo Europa też jest i będzie wielokulturowa. Tak, tak, co jak co, ale Górny Śląsk ma za sobą poważny i długotrwały wielokulturowy trening, to wreszcie tu, prawda, dawno, bo przed wojną, zdarzało się, rodzeństwo chodziło do różnych szkół – jedno do polskiej, drugie do niemieckiej. Jakież to wspaniałe test ponowoczesnej kultury, która tożsamości nie chce narzucać, tylko daje wiele tożsamości – do wyboru.

Tak, Górny Śląsk zdaje się mieć do spełnienia szczególną rolę – jako europejskie laboratorium, albo pomost na przykład, taki pomost pomiędzy Polską, a bardziej zachodnim Zachodem, skoro już ustaliliśmy, że Europą jesteśmy my wszyscy tutaj nad Rawą i Wisłą, oprócz tych, oczywiście, którzy są na Wschód od nas. Tak, bycie pomostem, to kusząca propozycja. I zasługujemy na nią. Bo co? Bo my, na Górnym Śląsku, mamy do życia w takiej nowoczesnej, a nawet ponowoczesnej Europie szczególne predyspozycje, bo przecież choć cała Polska od zawsze była w Europie, to Śląsk jakby bardziej, bo przemysł, bo nowoczesny etos pracy, bo dziadek urodził się nie w jakimś tam Mohylewie, czy rzeszowskiej wsi, tylko samym Gelsenkirchen, bo babcia jeździła do Wiednia, bo jakiś jej brat miał sklep w samym Berlinie. Taka śląska wersja Europy w rodzinie. I tylko, cholera, ta wojna...

A może warto jednak potraktować Śląsk choć przez chwilę poważnie? Bez chciejstwa, ideologicznych okularów, tanich sentymentów i towarzyszącej im nieuchronnie cepeliady.

Niewiele tego zostało. Jakież niemieckie napisy w zbudowanych przed dobrze ponad pół wiekiem kościołach; msze św. w języ-



ku niemieckim, które można było zacząć odprawiać, kiedy większość z tych, którym pewnie tak bardzo były potrzebne odeszła już dawno z tego świata; architektura, którą tak bardzo zachwycał się mój krakowski promotor, profesor Ryszard Dyoniziak, którą obfotografowywał wytrwale, umykającą przecież uwadze przechodniów na katowickim rynku; jakieś książki pisane gotykiem, przechowywane przez lata, ponoć tak bardzo cenne, a które teraz bezskutecznie próbują sprzedać w antykwariatach późni wnukowie dawno zmarłych nabywców. Ostatnich zresztą w rodzinie, którzy umieli je przeczytać. Te książki to zwykle żadna zresztą wielka literatura, choć zaryzykuję, że Goethe zdarzał się w tych skąpych biblioteczkach częściej niż Eichendorff. Z tych samych powodów, dla których łatwiej dzisiaj znaleźć na śląskich bibliotecznych półkach Miłosa i Szymborską niż innych poetów. Co jeszcze? Hans Bellmer, artysta – czyli krótka historia, jak z Katowic trafić do Europy. Tyle, że bilet jest w jedną stronę. I jednorazowego użytku. I inne napisy, powstałe niedawno, które oznajmiają, że oto tu, na Górnym Śląsku, mieszkali nobliści, jakieś niemieckie nazwiska, związane z osiągnięciami, o które próżno pytać spieszących dzisiejszych przechodniów. Przechodniów, którzy w swych kuchniach mają może jeszcze odziedziczone po przodkach pojemniki na przyprawę z napisami takimi jak „salz” czy „pepper”, ale oni sami herbatę nalewają do kubków z napisem „Lipton tea”. Bo Wielka Brytania jest może daleko, ale wielokulturowość, a przynajmniej jedno z jej rozumień, ma charakter globalny – to także kultura McDonalda, MTV i Hollywood. Czy tego chcemy, czy nie. To kultura konsumpcji. To nie przypadek, że na Górnym Śląsku wpływy czeskie zdają się dziś najbardziej widoczne w trakcie zbiorowych zakupów organizowanych do przygranicznych czeskich miejscowości.

Tak, po wyciąganiu z kuferka babuni „dowodów na istnienie”, warto przyjrzeć się rzeczywistości, nie tej projektowanej, rekonstruowanej, ale tej za oknem. Wzruszy się jeszcze nią jakiś onkel, kiedy przyjedzie na odwiedziny z Niemiec, ale z niemieckiego usłyszy już na Górnym Ślą-

sku tylko jakieś ausdrucki, chyba, że trafi na kogoś, kto – obojętnie skąd by pochodził – uczył się niemieckiego w szkole. Horst Binek, kiedy odwiedził po latach Gliwice, Gleiwitz był ponoć osłupiały tym, że nic się nie zmieniło. Ale zaczęło się na Górnym Śląsku zmieniać dość szybko. Zmienia się wygląd śląskich miast, zmienia się styl życia ich mieszkańców. Coraz mniej tu elementów charakterystycznych wyłącznie dla Śląska.

Weźmy zupełnie banalny przykład – w miejsce (czy może tylko – obok) wspominanych przez Wilhelma Szewczyka ogródków piwnych (wspominanych na łamach „Poglądów”, ale nie ma już „Poglądów”) pojawiły się na śląskiej ziemi puby, opiewane w „Gazecie Wyborczej” przez Jarosława Gibasa. Porównajmy sentymentalne wspomnienia starego pisarza, z układem kulturowych odniesień młodego, a zobaczymy jak zmienia się nie tylko rzeczywistość, ale także jej postrzeganie. U Szewczyka dostrzec można śląską specyfikę, u Gibasa – próżno jej szukać, jego teksty powstały na współczesnym Górnym Śląsku, czyli coraz bardziej Wszędzie i Nigdzie. Tradycja, w zderzeniu z wielością innych rozwiązań, przestaje być tradycją – staje się możliwością. Dokładnie zaś – jedną z możliwości. Do wymiany następnego dnia. Dzisiaj kuchnia śląska, jutro – chińska, pojutrze meksykańska, albo indyjska. I to wszystko niedaleko katowickiego rynku. Dostępną dla tłumów mieszkańców Górnego Śląska, a więc Ślązaków, choćby i nie „korzennych”.

Śląskie korzenie nie decydują dziś już prawie o niczym. A już z pewnością o niczym takim, co miałyby jakkolwiek wyróżniać pozytywnie. Śląski tygiel (o jakaż atrakcyjna metafora, prawda?) ma w coraz mniejszym stopniu charakter kulturowy, w coraz większym opiera się na rosnących różnicowaniach społecznych. To właśnie one, a nie mityczne (czy nawet – dobrze, realne) korzenie będą decydowały, czy na nowo staniemy się Europejczykami. Bo Europa jest nie tyle pojęciem geograficznym i nie tyle nawet historią, ale wyzwaniem. Jest poziomem życia,

a – jak pisał Stanisław Brzozowski – „kto nie zdoła żyć na nim, zrosnie się z niższymi formami życia, stanie się dziejowym materiałem, nie twórcą”. Nie wystarczy więc rytualnie zaklinać się na Europę. Nie wystarczy wyciągać drobiazgowo drzew genealogicznych. Możemy sami definiować się jako Europejczycy, ale na ile nimi naprawdę będziemy, zdecydują także inni. Inni Europejczycy. Przypomina się dowcip z czasu zjednoczenia Niemiec. – „Jesteśmy jednym narodem” – przekonują Ossie Niemców z landów zachodnich. – „My też” – odpowiadają im rezolutnie tamci.

W Spisie cudzołóżnic Jerzego Pilcha jest scena o charakterze niemal symbolicznym. Oto główny bohater taszczy wraz z żoną siatki z butelkami po wódce. Taszczą je do skupu, co było wówczas, jak mi się zdaje warunkiem dalszej konsumpcji alkoholu – mijają meneli, którzy udają się do tego samego punktu skupu w tym samym celu. „Jesteś Europejką” – przekonuje po wielokroć główny bohater żonę. Dalej taszczą puste butelki. Brzmi to, i tak właśnie ma zabrzmieć, żałośnie...

Całkiem niedaleko centrum Katowic, tak niedaleko, że nie da się tego nie zauważyć, codziennie gromady zbieraczy złomu popychają swe wózki wypełnione po brzegi żelastwem; żelastwem wszelkiego rodzaju – znalezionym, kradzionym... Mijają bilboardy, na których Anna Przybylska, Michał Żebrowski, czy Hołowczyc informują ich, że są Europejczykami... Mijają te bilboardy, ale nie podnoszą głowy. Mają na niej inne problemy. Takie jak bieda. Inteligencjo śląska, ten salon nie ma podłogi!

Badania śląskiej biedy (w ramach międzynarodowych badań porównawczych zorganizowanych i koordynowanych przez Instytut Nauk o Człowieku w Wiedniu), badania, w których miałem okazję uczestniczyć, pokazują kształt śląskiej tradycji sprowadzonej do poziomu stylu życia, horyzontów oczekiwań, mentalności, którą ona wytwarza; pokazuje jej funkcje w procesie transformacji systemowej (K. Wódz, K. Łęcki, New and Old Poverty in Upper Silesia [w:] Poland beyond Communism.

„Transition” in Critical Perspective. Edited by Michał Buchowski, Edouard Conte, Carole Nagen-gast, University Press Fribourg Switzerland 2001). Otóż ten ba-gaż, czy może raczej garb kultu-ry, trzeba nie tyle z rozrzwie-niem kultywować, co poddać głę-bokiej rewizji. Można było na ła-mach „Śląska” dekonstruować prozę Gustawa Morcinka (piórem prof. Krzysztofa Kłosińskiego), można podjąć próbę sprawdzenia śląskiej tradycji i kultury w sze-rokim, socjologicznym tego sło-wa rozumieniu. Bo być może dzi-siaj – „Wiele się musi zmienić, aby wszystko pozostało po stare-mu” – jak powiada Tancredi, je-den z bohaterów Lamparta Toma-so di Lampedusy, oddając w tej zgrabnej formule sedno współ-czesnego konserwatyzmu.

W badaniach, o których wspo-mniałem wyżej, badaniach ślą-skiej biedy, czy biedy na Śląsku, poddano analizie serię wywiadów autobiograficznych przeprowa-dzonych z członkami dwóch rod-zin – autochtonicznej rodziny śląskiej i rodziny, która na Śląsk przybyła „za pracą”. W drugiej połowie lat 90. obie zetknęły się, ba, odczuły na własnej skórze zjawisko bezrobocia. W przypad-ku rodziny śląskiej wiele wskazu-je na to, iż to właśnie pewien kul-tywowany typ tradycji, związany z nim model rodziny i wynikają-cy z powyższych, preferowany typ relacji z szerszym otoczeniem społecznym stanowią istotną ba-rierę adaptacji do zmian, hamują aspiracje edukacyjne najmłodszego pokolenia, bądź też po prostu niszcza je w zarodku, sprzyjają tendencjom roszczeniowym pod-trzymując wyuczoną bezradność, co najwyżej zaś skierowując ak-tywność niejako obok głównych ścieżek ruchliwości społecznej; że wreszcie – spychają znaczące grupy badanej zbiorowości do poziomu underclass, podklasy społecznej. Wiązałoby się z tym takie rozumienie biedy, które nie oznacza koniecznie (czy też – przede wszystkim) spadającego poniżej konwencjonalnie przyję-tego progu poziomu życia rodzi-ny, ale przede wszystkim wyłączenie rodziny z pełnego uczest-nictwa w życiu społeczności. O ile w przypadku rodziny ślą-skiej uprawnione wydają się in-terpretacje przypisujące istotne znaczenie właśnie tradycji kultu-rowej (której ośrodkowym ele-

mentem jest właśnie gwara, for-ma kodu ograniczonego, ze wszystkimi tego konsekwencja-mi), dziedziczonej z pokolenia na pokolenie, o tyle w przypadku ro-dziny napływowej – na plan pierwszy wysuwają się czynniki strukturalno-systemowe, związa-ne ze zmianą ustrojową. Rozdź-więk pomiędzy rozbudzonymi aspiracjami (edukacyjnymi, kul-turalnymi) a realnymi możliwo-ściami jest w przypadku rodziny napływowej zarówno źródłem frustracji osobistej, jak i swoiste-go buntu pobudzającego do walki o przetrwanie (zob. K. Łęcki, K. Wódz, Droga do ubóstwa? Gwara śląska jako bariera edukacyjna [w:] Przeciw biedzie. Programy, pomysły, inicjatywy. Red. nauko-wa Elżbieta Tarkowska, Oficyna Naukowa Warszawa 2002).

* * *

Tradycje, mity i legendy (także bery i bojki) stanowią ważny element symbolicznych ram, które pozwalają trwać, a niekiedy nawet dosłownie przetrwać cał-łym społeczeństwom. Pamięta-cie? „Tradycja to dom, który ty-siąc lat rósł w górę, niech nikt kielka małego z dębem nie przy-mierza, tradycja naszym dziełem jest warownym murem, to jest właśnie kolęda, świąteczna wie-czerza, to jest ludu śpiewanie, to jest ojców mowa, to jest nasza hi-storia, której nikt nie zmienia”.

Dojrzałe społeczeństwa posłu-gują się jednak nimi rozumnie i tylko wtedy kiedy jest im to po-trzebne. Dramat tradycji Górnego Śląska ma dwa wymiary. Po pierwsze tradycje te nie są tak atrakcyjne i bogate jakby się chciało. I tego faktu nie da się za-tupać, nie da się przekreślić zgrab-na starą formułą – „są nieatrakcyj-ne, bo ich nie znacie, gdy pozna-cie, zmienicie zdanie”. Ich reani-macja, to wszystko co się robi, by je „uchronić od zapomnienia”, zdaje się ważne, acz nie najważ-niejsze. Podtykanie Polsce, Euro-pie i całemu światu, naszych rod-zimych, śląskich skarbów kultu-ry i tradycji, często daje gombro-wiczowski efekt Bładaczki – „Jak zachwycą, kiedy nie zachwycą?”. Życie to nie akademie „ku czci”, nawet jeśli gromadzą się na nich wciąż jeszcze jacyś ludzie.

Po drugie zaś, po latach kneblo-wania i przykrajania tradycji ślą-skiej, teraz, kiedy już można,

okazuje się ona nie tylko niespe-cjalnie atrakcyjna, ale i dysfunk-cjonalna zarazem. To jest zeschnięty liść w albumie, nie pasz-port w XXI wiek. Nie ma niczego złego w zbieraniu zeschniętych liści, ale na zeschniętych liściach niczego zbudować się nie da, a kiedy się maniakalnie na zbieractwie takim koncentrować, coś człowiekowi w życiu ucieka.

Nic innego, jak właśnie szacu-nek dla śląskiej tradycji, dla ślą-skiego dorobku kulturalnego, ka-że spojrzeć na nią w taki sposób. Tylko wtedy może okazać się dla nas czymś pożytecznym, kiedy nie to, że się go wstydzić będzie-my, że się go wyprzemy, ale przeciwnie – szanując, zdobę-dziemy do niego dystans. Obno-szenie się z własną, jakżeż prze-cież wyjątkową, tradycją i dorob-kiem kulturalnym, podtykanie ich innym pod nos, czy tego chcą, czy nie zdaje się słabą strategią marketingową. Świadczyć może także o tym – przywołajmy raz jeszcze Gombrowicza – że tak naprawdę, nam samym jeszcze one w krew nie weszły. Poza tym – tylko prymitywne plemiona są-dzą, że to właśnie ich wioska jest środkiem świata.

Być może rzeczywiście trzeba wiele zmienić, żeby wszystko zo-stało po staremu. Nawet jeśli to „stare” jest w części tylko rzeczy-wistością, w części zaś mitem i legendą.

* * *

Mieszkańki Krety jeszcze nie tak dawno nosiły specjalne amulety, pieczęcie z hierogli-ficznymi preferickimi inskryp-cjami. Wierzyły, że zapewnią im „mleczność”. Te kamienie i tury-styczne atrakcje Knossos i Faj-stos to jedyne, co dziedziczy współczesna Kreta po tzw. cywil-izacji minojskiej, którą znisz-czył kataklizm bardziej bez-względny niż wojna.

Otóż niewiele więcej pozostało na dzisiejszym Śląsku po jego tak od niedawna hołubionej na oko-licznościowych akademiach i w tematach naukowych konfe-rencji niegdysiejszej wielokultu-rowości, z tym, że w jakimś sen-sie wciąż mamy do czynienia z re-gionem pogranicza kulturowego.

Niewiele więcej, czyli – po-wiedzmy szczerze – prawie nic.

Rowan Atkinson postanowił tym razem wykipić wszystko, co angielskie, a ściślej - brytyjskie. Od szarego rezydenta United Kingdom po królową Elżbietę II, nie zostawiając suchej nitki na MI-5 i M-I-6 (sławnych z sukcesów i nie mniej głośnych wpadek brytyjskich agencji wywiadowczych), nie okazując ani odrobiny litości (już nie mówiąc o szczątkowym szacunku!) dla arcybiskupa Canterbury.

Tytułowy Johnny English już w imieniu własnym i nazwisku uosabia typowość, pospolitość, szarość. Jan Anglik, to przecież potomek Everymana, słowem jest to „każdy”, „pierwszy z brzegu”, „byle kto”, „szary człowiek”, „przeciętny obywatel/poddany”, raczej obywatel niż poddany. Na pierwszy rzut oka i nie bezpodstawnie - Głupi Jasio, któremu, jeśli nawet coś się uda, to pomimo jego głupoty, a nie ukrytej pod maską głupkowatości, tak zwaną „ludową mądrością”.

Johnny English pracuje w MI-7, ta „siódemka” została wymyślona dla potrzeb filmu, w wydziale do nadzwyczaj trudnych zadań, w którym Johnny English jest podrzędnym urzędnikiem, dzielącym biuro z jeszcze większym od siebie gamoniem, niejakiem Boughem.

Film rozpoczyna się wyraźną parodią tak zwanych „bondów”: oto niepokonany Jaś Fasola-James Bond, radzący sobie ze zbirami, za co odczeka nagradzają go swoim uwielbieniem piękne kobiety - „dziewczyny Bonda”. Jest to, jak się rychło okaże, marzenie Johnny'ego Englisha, który chciałby być kimś takim, jak ten agent numer 1, który właśnie wchodzi do jego biura, pełnym nonszalancji gestem zdejmując z ramion płaszcz i rzuca go na wieszak tak celnie, iż płaszcz pokonawszy w powietrzu odległość trzech metrów, trafia bezbłędnie pętelką na haczyk. Agent odbiera plan szpiegowskiej superłodzi podwodnej, w której ma wykonać niesamowicie trudne zadanie. Pyta, czy łódź jest O.K., co Johnny English skwapliwie potwierdza, dodając, że działania wjazdu osobiście sprawdził. W kilka dni później Agent nr 1 ginie, ponieważ, jak podano w telewizyjnych wiadomościach, nie otworzył się właz. Jeszcze jedna równie szczęśliwa okazja i giną pozostali extraagenci.

Przed Johnnyem Englishem otwiera się droga awansu. Z braku innych, on zostaje agentem nr 1, mając do pomocy Bougha, a drogi jego będą się stale przecinać z piękną i tajemniczą dziewczyną (Natalia Imbruglia) i Francuzem nazwiskiem Sauvage, arystokratą i przestępcą zmierzającym po trupach do wytkniętego sobie celu, jakim jest tron Wielkiej Brytanii. W tej roli wystąpił wybitny aktor amerykański John Malkovich, który nieodparty komizm granej przez się postaci zbudował na fonetyce: sposób, w jaki ów „Francuz” wysławia się w mowie Szekspira jest perłą aktorskiego kunsztu. Mistrzem w tej konkurencji był niegdyś niezapomniany angielski komik Peter Sellers, który w serii filmów o ró-



Johnny English

zowej panterze stworzył kapitalną postać francuskiego inspektora Clouzota. O ile jednak w jego komediach szło wyłącznie o zabawę, to w filmie reżysera Petera o superagencie Johnnyem Englishu, idzie o coś więcej. Zabawa, tak, naturalnie, momentami niewybredna. Jest tu też sporo kiczu. Wszystko tu jest dość grubo ciosane (poza fimezyjną zabawą językową Johna Malkovicha), ale nawet to, co jest poślednie, wydaje się nawet trochę lepszej jakości, porwane i niesione przez rozchukane (czy raczej rozbrykane) fale totalnej kontestacji, śmiechu ze wszystkiego i wszystkich, z nadmiaru kultury i jej braku, z monarchii, która traci myśk, z animozji angielsko-francuskich, z rozumu, który całą swoją energię skupia na wynajdywaniu niezwykle wymyślnych narzędzi zbrodni.

„Johnny English” jest bezlitosną drwiną z popkultury, której kultowym wykwitem jest przecież Agent 007. Dość wspomnieć jakim testom poddawano kandydatów do roli Jamesa Bonda, iżby uzyskać na ekranie efekt niepodrabianej brytyjskości! A te cuda techniki! Te śmiercionośne wieczne pióra! Johnny English bierze do ręki takie pióro (przekonany, że trzyma w palcach zwykłe pisadło!) i mówi z rozrzewieniem i nutką pobłażliwej wyższości o „tamtych” wiecznych piórach, rodem z wczesnych „bondów”, jednocześnie, mimo woli, wypuszczając z owegoż pióra „zatrutą strzałę” w korpus sekretarki. Nie trzeba dodawać, że rzucając płaszcz na wieszak, z nonszalancją co najmniej dorów-

nującą Bondowi, trafia nim w otwarte okno... Tak oto odbywa się operacja ośmieszania niemal sakralnych rekwizytów ze świątyni popkultury przez kolejny doskonały produkt owej popkultury, jakim jest bezspornie Jaś Fasola. Bo nie udawajmy, że idziemy do kina na komedię pt. „Johnny English” z doskonałym aktorem brytyjskim Rowanem Atkinsonem w roli agenta nr 1, pracującego dla MI-7. Idziemy na Jasia Fasolę, cokolwiek tam wyprawia na ekranie. Albowiem Jaś Fasola jest mieszkańcem

masowej wyobraźni. Tu, naturalnie, pojawia się problem nie tylko klasy, stylu i rangi. Pytanie, czy superagent w wykonaniu Rowana Atkinsona jest gorszy, czy lepszy od kreacji Jasia Fasoli, to jedyna kwestia. Druga: czy fakt, iż Jaś Fasola zdomowił się na dobre w naszej wyobraźni, nie został cynicznie wykorzystany w akcji przemycenia do naszych głów superagenta Johnny'ego Englisha? Odpowiedź na drugie pytanie jest łatwiejsza: tak, całe to skądinąd zabawne przedsięwzięcie „żeruje” na zaiste globalnej popularności Jasia Fasoli, a celem jego jest zrobienie możliwie największej kasy. Natomiast kwestia wyższości Jasia Fasoli nad Johnnyem Englishem, czy też odwrotnie, nie jest tak jednoznaczna.

Jaś Fasola urodził się jako bohater telewizji niemej na wzór dawnego kina niemej. Jaś Fasola nie mówił, bawił całym sobą, ograniczając się wyłącznie do mruknąć. Twarz miał zaiste z gumy, olbrzymie oczy, język, gdy wyciągnął, przerażał długością, a Jaś Fasola pokazywał język często, w ogóle było w tej twarzy coś obłędnego, chwilami odpychającego, ręce i nogi każdej chwili gotowe zawiązać się w supeł. To ciało wyrażało wszystko. Lecz Rowan Atkinson to nie tylko doskonały mim. To przecież wybitny aktor teatralny. Tak jak John Malkovich parodiuje Francuzów mówiących po angielsku, tak też Rowan Atkinson parodiuje swoich rodaków, którzy poprzez wyszukaną modulację frazy i mimikę towarzyszącą wysławianiu się, akcentują swój językowy arystokratyzm, swoją fonetyczną wyższość względem „niższej” artykulacji amerykańskiej.

Bez wątpienia, to, co robi Rowan Atkinson, lepiej, lub gorzej, w zależności od polotu scenarzystów i klasy reżysera, ma właściwości ozdrowieńcze. On naprawdę potrafi rozzmieszyć do łez. Bywa, że chwilami tak, jak nikt inny na świecie. Tak, że poprzez łzy nie widać, co dzieje się na ekranie. Czasem z pożytkiem dla widza, bo Rowan Atkinson jest mistrzem paraminutowych sekwencji. W pełnometrażowym filmie ma „przeistoję”. Lecz to nie on musi się dokształcać, a jego ekipa.

FELIKS NETZ

POZA KADREM

Miasto na ludzką miarę

z Prezydentem Tychów ANDRZEJEM DZIUBĄ
rozmawia MAREK BASTER

- Jest Pan tyszaninem, Panie Prezydencie?

- Jestem. Chociaż urodziłem się we Wrocławiu i jak wielu tyszan, przyjechałem do tego miasta, w roku 1980. Miałem wtedy 25 lat. Przez pierwsze lata pracowałem w kopalni „Ziemowit”, krótko mieszkalem w Łędzinach. I powtarzałem wtedy, że do Wrocławia wrócę choćby na kolanach. Wiadomo - duże miasto, teatr, akademicka atmosfera... A dziś, gdyby ktoś mi nawet proponował powrót, już bym do Wrocławia nie wrócił. Mało tego, kiedy z Wrocławia przyjeżdża do mnie rodzina, jest zachwycona Tychami. To jedno z ładniejszych miast, mówią, i dobrze się tu czują. Mają rację. Ja też się tu dobrze czuję. Jestem tyszaninem.

- Czemu dobrze jest mieszkać w Tychach?

- „Tychy. Dobre miejsce”, mówi słown naszemu miastu. To jest prawda: Tychy to dobre miejsce do życia. Nie znajdzie pan tu familoków, kopalnianych szybów, czy tak charakterystycznych elementów śląskiego krajobrazu jak huty. Tego tutaj nie ma. Za to mamy w Tychach wiele nowoczesnych przedsiębiorstw, którymi możemy się szczycić, działających globalnie i stosujących najnowsze technologie. Tychy to takie najmniej śląskie miasto na Śląsku. Proszę zauważyć, że bardzo wiele znaczących ludzi mieszka w Tychach, na przykład spora część kadry śląskich uczelni. Nasycenie profesurą i znakomitymi architektami na metr kwadratowy jest w Tychach bardzo wysokie.

- Ale nie zawsze tak było. Kiedyś mówiło się o Tychach z lekceważeniem: „sypialnia”.

- Pojęcie „sypialni” w odniesieniu do Tychów wymyślili dziennikarze. Według zamysłu projektantów miasto miało być pełnowartościowym ośrodkiem miejskim. Faktem jest, że powstały całe osiedla, w których zamieszkali ludzie z konkretnych zakładów pracy. Z Katowic, z najbliższej okolicy, głównie kopalń. W ciągu lat Tychy wygrały jednak na dobrym położeniu - skrzyżowaniu dróg północ-południe i wschód-zachód oraz na swoich walorach naturalnych; spójrzmy na mapę, praktycznie ze wszystkich stron otaczają miasto lasy, a wśród nich jest piękne Jezioro Paprociańskie. Wszystko to spowodowało, że zaczęło się tutaj osiedlać coraz więcej ludzi. I oni zaczęli tworzyć klimat tego miasta, jego atmosferę. Ja też jestem takim przypadkiem. Pamiętam, że jeszcze dwadzieścia parę lat temu Tychy nie wyglądały tak, jak dzisiaj. To była wciąż sypialnia. Ale już wtedy zaczynało się coś dziać. I z roku na rok coś nowego przybywało. Robili to ludzie, którzy stworzyli - w najlepszym tego słowa znaczeniu - elitę miasta.

- Ale powiedzmy też, że trzeba było roku 1989, żeby - dzięki samorządowi - odbić się jeszcze mocniej.

- Oczywiście, choć nie wszystkie miasta zdołały tę szansę w pełni wykorzy-

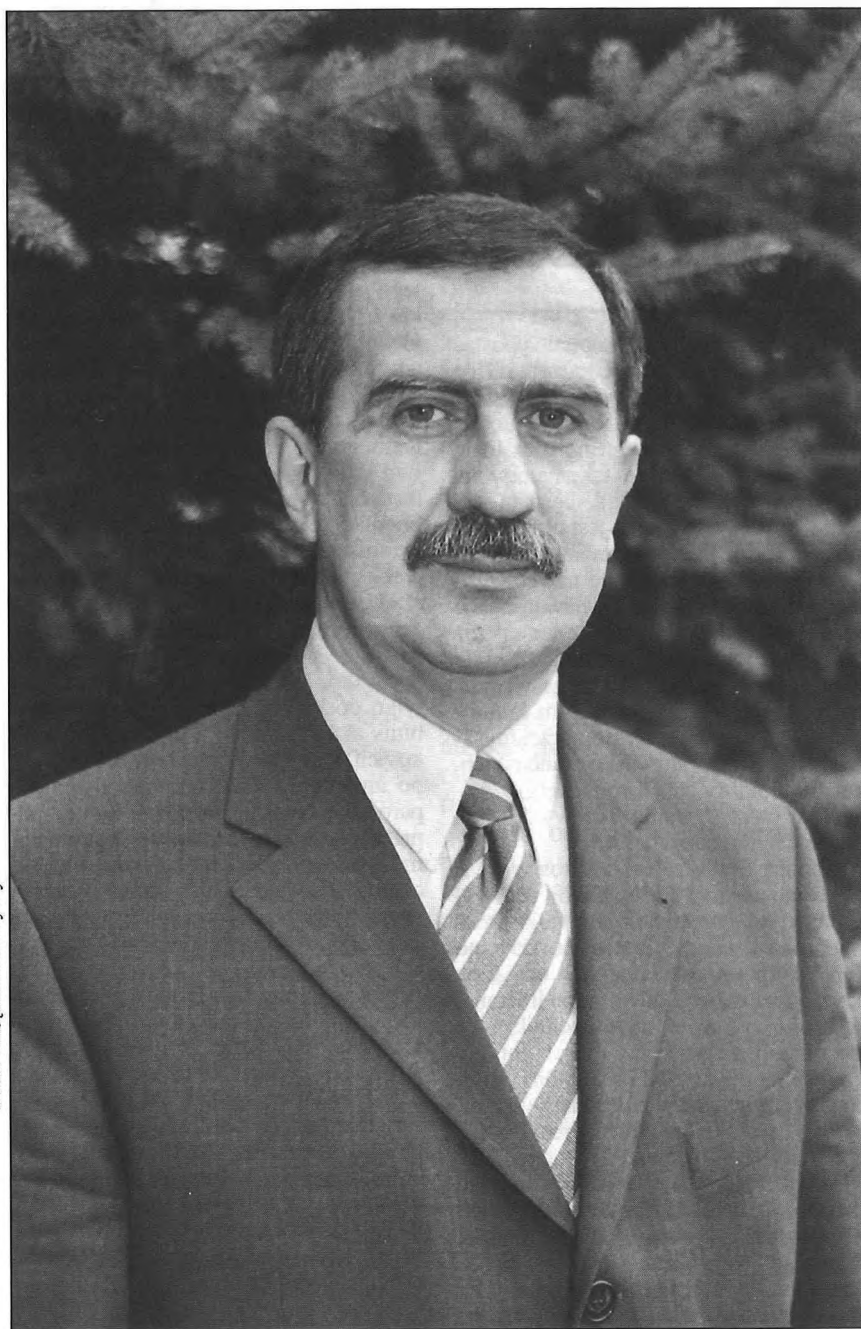


Foto: Urząd Miasta Tychy

stać. A w Tychach, jak sądzę, wykorzystano w pełni możliwości, jakie przyniosły nowe czasy. Ale powtarzam: motorem wszystkiego są ludzie. Na przykład fakt, że w Tychach powstała specjalna strefa ekonomiczna, która wywarła olbrzymi wpływ na obraz tego miasta, jest заслуżą grona konkretnych ludzi, których potrafię wymienić z imienia i nazwiska. To, że powstała u nas Wyższa Szkoła Zarządzania i Nauk Społecznych, która z czasem stała się ośrodkiem intelektualnym promieniującym na całe miasto, to też była idea kilku konkretnych osób. Dziś uczy się tam 3200 studentów. Jedyna taka uczelnia w Polsce - uczelnia municypalna, której założycielem jest miasto.

- I ma coraz lepszą markę.

Mamy jako jedyni podpisaną umowę z Akademią Ekonomiczną w Katowicach, dzięki której nasi absolwenci bez żadnych dodatkowych egzaminów mogą studiować dalej na akademii. Podobną umowę podpisujemy niebawem z Uniwersytetem Śląskim. A myślimy też o Akademii Górniczo-Hutniczej.

Śląska Jesień Gitarowa ma raptem kilkanaście lat. Tyskie Spotkania Teatralne więcej, bo już trzydzieści. Tyskie Seminarium Majowe - dwunasty rok. Politechnika jest w Tychach trzeci rok; zaczęliśmy bardzo skromnie, a dzisiaj to piękna uczelnia dla 600 studentów. Albo kulturalna wizytówka naszego miasta, działająca od czterech lat - Orkiestra Kameralna Miasta Tychy „Aukso”.

- Która częściej bywa za granicą, niż koncertuje w mieście...

Grają i w Tychach bardzo często. Ale występowali też na otwarciu EXPO w Hanowerze, w Hiszpanii z okazji otwarcia Dni Polskich na Majorce, a z prezydentem Kwaśniewskim, któremu wyraźnie przypadli do gustu, byli z serią koncertów w Brazylii. O naszej orkiestrze mówi się powszechnie, że po bezkonkurencyjnej orkiestrze kameralnej z Moskwy, to druga orkiestra kameralna w Europie.

Proszę zauważyć, że to wszystko w ciągu ostatnich kilkunastu lat, od czasu przełomu. Nowa Polska dała nam szansę i myśmy ją zdołali wykorzystać, żeby uczynić z Tychów normalne miasto.

- Co to dzisiaj znaczy - normalne miasto? Pięćset lat temu miasto musiało mieć rzekę i rynek. I fontannę na głównym placu.

Znakomita większość miast powstała w ciągu setek lat. A Tychy najpierw powstały w umysłach urbanistów, po czym na plac budowy wjechały maszyny. Czy tak można zbudować normalne miasto? Niedawno gościliśmy u siebie konferencję Instytutu Architektury i Urbanistyki Polskiej Akademii Nauk. Architekci i urbanisci dyskutowali o ideach Wejchertów i zastanawiali się, na ile ich wizje zostały wcielone w życie. Jeździli po mieście, oglądali konkretne rozwiązania. I w konkluzji

stwierdzili, że założenia urbanistyczne przyjęte w Tychach w latach pięćdziesiątych były głęboko humanistyczne, a miasto od początku - w sensie urbanistycznym - było głęboko przemyślane. Nawet w zakresie obronności Tychy są wymieniane jako przykład, gdzie strefa przemysłowa jest oddzielona od reszty miasta.

Albo weźmy kwestię układu komunikacyjnego - tego „wykopu”, który biegnie przez środek miasta i stwarza nieprawdopodobne możliwości komunikacyjne. Dziś znaczna część mieszkańców uczy się i pracuje w Katowicach. Obciążenie trasy Tychy-Katowice jest tak duże, że za dwa-trzy lata już na Giszowcu będą korki, a czas przejazdu do Katowic może się wydłużyć nawet do godziny. A ten wykop stwarza możliwość budowy szybkiej kolei do Katowic, z centrum parkingowym, na którym zostawimy samochód i po dwudziestu minutach znajdziemy się w śródmieściu Katowic.

- Na to potrzeba będzie olbrzymich pieniędzy!

Naturalnie. Chcemy zgłosić ten projekt do Unii Europejskiej. W narodowym planie rozwoju są również przewidziane środki na usprawnienie komunikacji w aglomeracji śląskiej i szybkie połączenie Tychów z Katowicami jest jednym z jego elementów. Prezydenci miast na prawach powiatu pracują wspólnie nad tym projektem. Jeżeli dojdzie do jego realizacji, a mam nadzieję, że tak się stanie, trasa Katowice-Tychy powstanie na pewno.

Tychy miały zawsze więcej szczęścia od innych śląskich miast. Tam, gdzie Wejchertowie zostawili miejsce na park, jest dzisiaj park. Gdzie miały być tereny przemysłowe, stoi teraz las, a nie jeszcze jedno osiedle. To miasto to nie zwarte blokowisko, jak Jastrzębie czy nowe Żory.

Wielka w tym zasługa nieżyjących już państwa Wejchertów, ale i konsekwencji wszystkich kolejnych władz miasta, które pilnowały, aby miasto nie rozwijało się w sposób chaotyczny.

- A jak to wygląda na płaszczyźnie społecznej? Są kłopoty z integracją?

Generalnie problemu nie ma.

- Już wszyscy są z Tychów?

Podkreślanie swojej tożsamości czy odrębności ma miejsce głównie w Paprocanach, Żwakowie, Wilkowyjach - wśród starszej ludności dzielnic otaczających miasto. Oni byli zawsze stąd, nigdzie się nie ruszali. To Tychy przyszły do nich, dlatego oni do dziś mówią: my jesteśmy z Paprocan, nie z Tychów. I bardzo dobrze, że się tak dzieje, niech ludzie kultywują pamięć i dbają o swoje rodzinne miejsce.

- A ci „nowi tyszanie” interesują się tą ziemią, jej historią?

Od kilkunastu lat środowiska związane z kulturą walczą o muzeum dla Tychów. Myślę, że już ostatecznie udało nam się ten pomysł sfinalizować. Prawdopodobnie na początku przyszłego roku powstanie muzeum miejskie.

Wszystko dzięki olbrzymiej pomocy browaru, który remontuje na własny koszt dwa piękne budynki na swoim terenie. Jedna część pomieści muzeum browarnictwa, druga zostanie przeznaczona na muzeum regionalne. Uchwała rady miasta już jest - teraz musimy powołać jednostkę kultury. Cieszę się, że uda się w końcu zrealizować marzenie o muzeum. Ekspонатów jest mnóstwo.

- Kolejny element na drodze do normalności?

Tak jest. Wie pan, arcybiskup Damian Zimoń, który z Tychami jest emocjonalnie mocno związany, był u nas na poświęceniu kościoła pw. Świętej Rodziny. I w czasie homilii powiedział, że Tychy stają się coraz bardziej ludzkie... Bardzo mi się to spodobało, bo oddaje doskonale to, o co nam w Tychach chodzi. Pięknie powiedziane, w tym się naprawdę wszystko zawiera. To znaczy, że Tychy stają się miastem na ludzką miarę; nie tylko sypialnią, ale miastem, które spełnia wszystkie potrzeby i oczekiwania mieszkańców. Począwszy od mieszkania, poprzez pracę aż po wszystko to, czego człowiek potrzebuje po pracy. A żeby mógł to dostać, musi mieć dobrą komunikację. My mamy świetną - własną, bo Tychy i to wyróżnia, że nie należą do ZKK GOP. Nasza komunikacja jest wręcz modelowa, nikt nie ma takiej - tak czystej i punktualnej, gdzie każdy może na przystanku się dowiedzieć, dlaczego autobus się spóźnił dwie minuty, albo przez komórkę zgłosić swoją uwagę, że kierowca jechał bez krawata, co nie powinno mieć miejsca.

- Czego jeszcze Tychom potrzeba?

Chociażby hospicjum z prawdziwego zdarzenia, bo nie wyobrażam sobie miasta, które nie potrafi zapewnić potrzebującym godnego miejsca do odejścia. Albo odrabiania zapóźnień w dziedzinie sportu i rekreacji: baza sportowa, z przykrością muszę to stwierdzić, była w tragicznym stanie, kiedy przychodziłem na ten urząd. Budujemy osiedłowe centra sportu - boiska ze sztuczną nawierzchnią, ogrodzone. Proszę zobaczyć - tam w tej chwili gra masa młodzieży. W sumie tych boisk, trawiastych i sztucznych, powstaje kilkanaście. Rozpoczynamy też budowę sali gimnastycznej przy Politechnice. No i cieszymy się, że w Tychach mamy wreszcie korty tenisowe z prawdziwego zdarzenia. I ciekawostka: budujemy teraz pole do nauki i treningu golfa, tzw. driving range. Na Zachodzie i w Stanach jest to bardzo popularne, w Polsce widziałem podobne w Jankach pod Warszawą. Na Śląsku nikt czegoś podobnego nie ma.

Czego jeszcze Tychom potrzeba?... Wielu uważa, że centrum miasta z prawdziwego zdarzenia. Ale są głosy, że może to i dobrze, że zamiast jednego punktu centralnego jest kilka miejsc, które są centrami poszczególnych osiedli. W każdym razie dzięki budowie hal targowych zwolniło się po kupcach miejsc, gdzie teoretycznie może powstać nowe centrum miasta. W pracowni pla-

nowania przestrzennego i architektury powstaje projekt kwartału o niskiej zabudowie, z centralnym placem i - właśnie! - z fontanną w środku. Do tego cały ciąg handlowo-usługowy, z kafejkami i małymi restauracjami, których w mieście wciąż brakuje.

- Widać wciąż różnicę między starą częścią miasta a nową. Czy są plany rewitalizacji najstarszych tyskich osiedli?

- Swego czasu rząd wprowadził dla spółdzielni mieszkaniowych premię termomodernizacyjną. Z programu wyłączone były miejskie zasoby mieszkaniowe. Te spółdzielnie, które podeszły do tego poważnie, przeprowadziły u siebie termomodernizację, a mieszkańcy mniej płacą za ciepło. Efekt jest również taki, że estetyka ich budynków znacznie zyskała. Tymczasem nasze zasoby można rozpoznać gołym okiem... Rozpoczynamy więc program termomodernizacji zasobów MZBM-owskich. Koszt ogromny. Będziemy to robić stopniowo - w tym roku zaczynamy.

- Panie Prezydencie, co by było, gdyby nie było w Tychach specjalnej strefy ekonomicznej? A wcześniej FIATA?

- Co by, było, gdyby nie strefa? Najprościej można odpowiedzieć, że nie byłoby prawie pięciu tysięcy miejsc pracy, bo tyle osób zatrudniają już firmy w strefie. A wciąż przychodzą nowi inwestorzy - nie dalej jak na początku mają otwieraliśmy kolejną fabrykę. FIAT... Niedawno zostałem zaproszony do zakładu i zamiast dawnego molocha, produkującego cinquecento, zobaczyłem supernowoczesną fabrykę, w której rządzi niesamowity porządek, niczym nie różniący się od tego, jaki panuje w japońskim Isuzu. Pełna automatyzacja. Załoga młoda, doskonale wykwalifikowana. To nie przypadek, że gingo robią w Tychach, a nie na Sycylii. Nie zdecydowały o tym ani względy polityczne, ani fakt, że u nas jest wciąż tańsza siła robocza; okazuje się po prostu, że jakość samochodów, które schodzą z taśmy u nas i we Włoszech jest różna - na naszą korzyść. I właśnie w otoczeniu FIATA, który przeszedł potężną reorganizację i zwolnił wiele terenów, utworzyło się drugie, po strefie, centrum przemysłowe. Ulokowanych jest tu około pięćdziesięciu różnych firm, kooperujących z FIATEM oraz firm zewnętrznych. W tej chwili jest tam już więcej podmiotów gospodarczych niż w strefie i dalej przybywa nowych: prowadzimy rozmowy z kolejnym inwestorem, który chce zatrudnić 2000 ludzi.

Myślę, że to jest dobra odpowiedź, na pytanie, co by było, gdyby... FIAT i strefa to dwa główne centra, które dały potężne impulsy rozwojowe dla Tychów.

- FIAT, Isuzu, Delphi: wszystko to branża motoryzacyjna. Co Pan mówi tym, którzy twierdzą, że monokulturę węglową zastąpiła nowa - samochodowa?

- Takie opinie pojawiają się zawsze, kiedy koniunktura w branży motoryzacyjnej spada. Bo ona od kilkudziesięciu lat wygląda ja sinusoida - góra, dół. Kiedy jesteśmy w dole sinusoidy, mówią, że to problem, że jest to monokultura. Ale już teraz widać ożywienie na rynku samochodowym. FIAT przyjmuje nowych pracowników, ostatnio 70 osób.

- A jak dobrze pójdzie z gingo, to mówią, że szczęście kolejnych.

- Więc jeśli FIAT zwiększy zatrudnienie i produkcję, to również wszystkie firmy, które pączkowały na jego obrzeżach, będą więcej produkować i przyjmować ludzi. To wszystko napędza koniunkturę. A poza wszystkim, trudno mówić w Tychach o monokulturze. Jest przecież browar, można powiedzieć, nieśmiertelny, bo założony w 1629 roku - dziś jeden z najnowocześniejszych i największych w Europie. Potężnym zakładem pracy jest szpital wojewódzki, jeden z najnowocześniejszych na Śląsku, zatrudniający ponad tysiąc osób. Akademia Medyczna posiada tutaj dwie kliniki. Poza tym wielu ludzi pracuje wciąż w kopalniach i nie wszystkie, dzięki Bogu, będą zamknięte. Bo kiedy przyszła restrukturyzacja, natychmiast dało się to w Tychach odczuć.

- To może zamiast węgla - nowe technologie? Co z pomysłem, aby Tychy stały się częścią „autostrady informatycznej”, biegnącej od Wrocławia po Kraków?

- Przygotowujemy się do realizacji tej wizji. I bardzo byśmy chcieli, aby się ona ziściła. O Technoparku mówiło się przecież w Tychach od kilkunastu lat, wskazując nawet miejsce: to prawie dziesięć hektarów w centrum miasta, przy parku Północnym. Zupełnie dziewiczy teren. Po wizycie w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej prace nabrały tempa. Są duże szanse, że jeżeli się dobrze przygotujemy, pojawiają się u nas inwestorzy z branży nowych technologii. Dlatego uzbiliśmy teren, wybudowaliśmy piękną, oświetloną drogę. Pierwsze działki już sprzedaliśmy. Kiedy będą zrealizowane te inwestycje? To już nie zależy od nas. W każdym razie całe przedsięwzięcie zostało zaakceptowane przez zarząd województwa śląskiego i wpisane do strategii rozwoju województwa. Tychy i Gliwice, bo są dwa takie Technoparki, byłyby istotnymi elementami na tej tzw. autostradzie firm nowych technologii. To jest przyszłość nie tylko dla Śląska, ale i dla Polski.

- Czytam temat majowej sesji, organizowanej przez Wyższą Szkołę Zarządzania i Nauk Społecznych: „Tychy i tyszenie 2003-2005. Miejski kapitał społeczno-kulturowy i procesy integracji europejskiej”. Czy to znaczy, że Tychy są już jedną nogą w Europie?

- To już dwunasta taka sesja w naszym mieście. Tym razem przeprowadziliśmy badania socjologiczne pod kątem wejścia Polski do Unii Europejskiej, które będą podstawą warsztatów

na sesji. W dniu, kiedy rozmawiamy, nie znam jeszcze wyników tych badań. Ale wierzę, że pozwolą nam one zorientować się, jak nasze społeczeństwo jest przygotowane do Unii i czego jeszcze brakuje, aby tyszenie mogli w Europie normalnie funkcjonować. Co sami jeszcze w mieście musimy zrobić, gdzie jesteśmy i w którym miejscu powinniśmy przyspieszyć, żeby nasi obywatele mogli czuć się pełnoprawnymi Europejczykami.

- Gminy teraz biją się o europejskie pieniądze. Czy Tychy też chcą pozyskiwać pieniądze z Unii?

- Już to zrobiliśmy. Prezydentem zostałem w lipcu 2000 roku i tej samej jesieni powołałem specjalny wydział, który zajął się monitorowaniem funduszy europejskich i przygotowywaniem wniosków. Dwa duże projekty już wygraliśmy. Pierwszy to hale targowe, o których „Gazeta Wyborcza” napisała, że to najnowocześniejsze hale targowe w Polsce. Imponujący obiekt. Myślę nawet, że wręcz modelowy dla innych miast, które w Tychach mogą zobaczyć, jak wygląda w praktyce stwarzanie szansy rodzimym kupcom w konkurencji z wielkimi sieciami handlowymi.

Drugi duży projekt, za trzy miliony euro, rusza w połowie tego roku. Właśnie ogłaszamy międzynarodowy przetarg na wykonawcę. Mieliliśmy w centrum miasta teren po fabryce domów z lat 70. - teren absolutnie zdegradowany, z tonami betonu wbitymi w ziemię, którą trzeba było zrewitalizować. Tam właśnie powstaje strefa aktywności gospodarczej dla nowego osiedla „Balbina”, budowanego przez Tyskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego. Będzie to budynek o powierzchni ponad ośmiu tysięcy metrów kwadratowych, w którym znajdą siedzibę instytucje, banki, małe firmy, brokerzy ubezpieczeniowi, nawet niewielkie warsztaty usługowe. Mają one obsługiwać blisko 2-tysięczną dzielnicę. Planujemy zakończyć budowę pod koniec 2004 r.

Przygotowujemy już kolejny wniosek, na prawie 200 milionów złotych, a dotyczy on skanalizowania wszystkich dzielnic na obrzeżach miasta. To jest w dalszym ciągu odpowiedź na to samo pańskie pytanie - co to jest normalne miasto. Bo okazuje się, że my rozmawiamy o hospicjum, o być może stałym teatrze, o muzeum, a w niektórych dzielnicach ludziom wciąż brakuje tak elementarnej sprawy, jak kanalizacja. Przecież to jest niegodne, żeby dużym mieście w XXI wieku były jeszcze nieskanalizowane dzielnice! Gdybyśmy to robili z własnych pieniędzy, trwałoby to następnych pięćdziesiąt lat - taki koszt tego przedsięwzięcia. Dzięki funduszom strukturalnym z Unii chcemy to zrobić w cztery lata. Projekt przeszedł już wszystkie kwalifikacje w Polsce i w tej chwili znajduje się już w Komisji Europejskiej. W 2004 roku zaczynamy.

- Dziękuję za rozmowę.

Ost Bahnhof Wien

Pierwszy raz w życiu
z bocznic Ost Bahnhof Wien
w roku 1944
przyglądałem się jak bomby
rujnują dworzec i okolice.

Był jasny dzień grudniowy
pełen zdumiewającej radości
pokonanych którzy stają się zwycięzcami.

Co za wspaniałe widoki dla czternastolatka
który przeżył koncentracyjny obóz:
eksplodująca lokomotywa
agonia wagonów
ziemia pochłaniająca wieżę ciśnień
z napisem „Deutschland sieg am allen Fronten”
zwłoki w mundurach z epoletami

i nieustępliwy łomot nieba.

Amerykanie

Cieszyła mnie cudza śmierć
przeżywałem radość spustoszenia
byłem sojusznikiem zagłady

Do dziś to sobie wybaczam
ale nie potrafię już zrozumieć.

(2003)

Kobiety Mehoffera

Narodziny moich uczuć
do Krakowa
to była secesja.
Kobiety Mehoffera
Anioły Wyspiańskiego
Wyznania na klatkach schodowych
zdobionych witrażami kwiatów.
Lilie i orchidee, egzotyczne ptaki wśród pnączy,
i oczekujące na schadzki z faunami chimery.
Wszystko i wszyscy oni, lub one, przetrwały
w sztuce i w rzeczywistości
Cały świat jest już inny
a one są jak były.
Piękne.

Kawiarnia „Prowincja”

Lubię tę kawiarnię na Starym Mieście
w Krakowie
ponieważ nie wyróżnia się niczym specjalnym
poza nazwą.

Wyraz „prowincja” przypomina
nieistniejące dawno cesarstwo
które mimo klęski swych wojsk
i administracji
przetrwało w stylu kamienic
w wesołości kabaretów
w salach Muzeum Narodowego
w bryle Teatru im. Juliusza Słowackiego
w którym ze sceny nie schodzi
do tej pory Chochol
a na Rynku trwa nieustające „Wesele”.

Dobrze jest żyć na prowincji
w równej odległości
pomiędzy Wiedniem i Warszawą.
Łatwo jest tutaj skryć się
przed gwałtownościami epoki
w dolinach górskich zmierzchów
a kiedy znów gdzieś komuś grozi wojna
wtedy schronić się można po prostu
w kawiarni
i zastanawiać z profesorami uniwersytetu
„wybuchnie czy nie wybuchnie”.

„Prowincja” pełna jest młodych ludzi.
Mają sobie do powiedzenia o wiele więcej
niż dorośli.

Nie wiem co
ale sądząc po ich gestach i twarzach
życie jest dla nich pasjonujące.

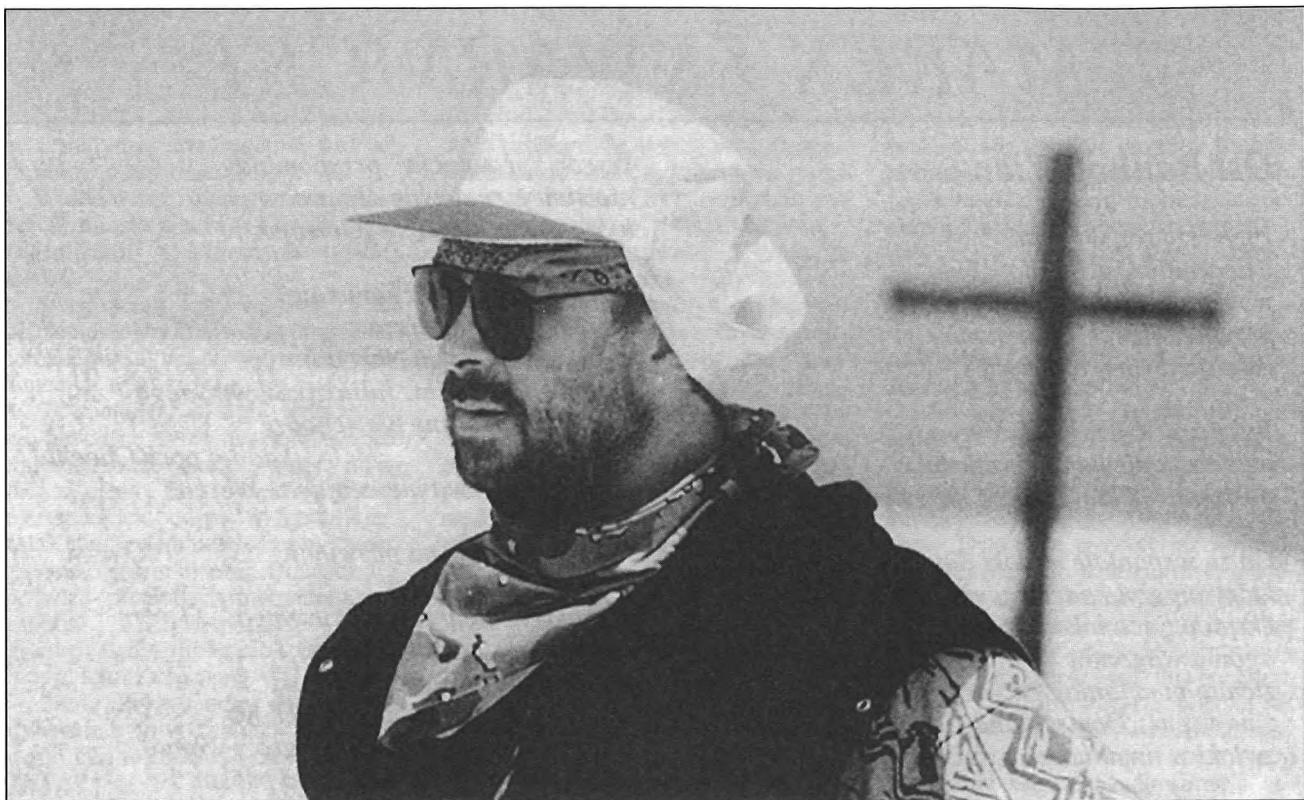
Mają rację
To również i mnie przynosi otuchę.



Rys. Wojtek Łuka

Dar

Trudno mi oderwać myśli
od twojego istnienia i urody płynącej
ze spojrzenia, z dobroci uśmiechu,
może z twojego serca.
Same tajemnice zawsze ubrane w modne suknie.
Wdzięk tych tajemnic
przypomina o istnieniu w kobietach
ukrytego daru
który otrzymały od Boga
po to by świat był mniej samotny.



Moje prywatne centrum świata

FELIKS NETZ

Lech J. Majewski, katowiczaniek z urodzenia (rocznik 1953), wyjechał z Polski w r. 1981 do Anglii na festiwal filmów opowiadających o kulturze Średniowiecza, na który zaproszono jego fabularny, pełnometrażowy debiut pt. „Rycerz”. Po powrocie miał wyreżyserować w warszawskim Teatrze Studio własną adaptację, czy raczej autorską wizję „Odysei”. W planie - dalsze projekty filmowe i teatralne. Także pisarskie. Ogłoszenie przez WRON stanu wojennego w Polsce miało przemożny wpływ na życie - wybory i decyzje - milionów Polaków. Także prowadziło istotną korektę w biografii Lecha J. Majewskiego. Chciałem użyć słowa „zwrot”, lecz po namyśle wybrałem „korektę”, ponieważ uważam, że życie osobiste i artystyczne autora „Rycerza” potoczyłoby - acz innym pewnie torem - jednak podobnie. Nie wątpię, że Lech J. Majewski dotarłby do Hollywood z Katowic (czyli z Polski), bez trampoliny londyńskiej, choć inscenizacja „Odysei” na Tamizie i w londyńskich dokach,

niezwykłego spektaklu, który zdobył uznanie krytyki i publiczności, przyspieszyła wyprawę za ocean.

Lektura recenzji zamieszczonych w czołowych dziennikach londyńskich, ale także w Los Angeles Times, z jakimi zapoznałem się dzięki uprzejmości reżysera, świadczy o ogromnym sukcesie Polaka, co jednak, ze względu na blokadę informacyjną zastosowaną przez skrupulatnych funkcjonariuszy generała Wojciecha Jaruzelskiego, nie dotarło do Polski. Zarejestrowane kamerą video fragmenty spektaklu dają pewne wyobrażenie o skali przedsięwzięcia i klasie wyobraźni plastycznej Lecha J. Majewskiego. Swoją drogą, to ciekawe, że Majewski - reżyser teatralny nie zadebiutował na deskach scenicznych, lecz na barce pływającej po Tamizie. Zrobił spektakl na wodzie. Gdy jednak wczytać się w poezję Majewskiego, w jego prozę, dostrzec w niej można łatwo zafascynowanie żywiołem wody. Kasztan, rodu górnik z katowickiej Koszutki, bohater debiutanckiej powieści Majewskiego „Kasztanaj”

(Czytelnik 1981) „... kulejąc podchodzi do morza (jest to jego pierwsza podróż nad Bałtyk - FN.). Jak zahipnotyzowany, bez zatrzymywania wchodzi do wody (...). Wyciąga rękę i zanurza ją w morzu (...). Unosi wilgotną dłoń i przykładą ją do twarzy. Powtarza ten ruch jeszcze raz i jeszcze raz (...). Gesty rytualne, woda jest w świetle sztuki Majewskiego żywiołem oczyszczającym, jak ogień. Powiada artysta, że „Człowiek lepiej czuje się w wodzie, niż w powietrzu. Przychodząc na świat, pływamy w wodzie, w brzuchu matki. Potem kołyska powtarza ten ruch kołysania się w wodzie. Sen także jest jakby zatapianiem się w wodzie”. W „Pokoju saren” (1996) operze, do której napisał muzykę wspólnie z Józefem Skrzekiem, a także w filmie, jaki powstał w rok później, bohater - Syn oraz jego starzy Rodzice w nabożnym skupieniu zanurzają ręce w wodzie, która wytrysnęła nagle z podłogi stołu w ich mieszkaniu.

Powieść „Kasztanaj” pewnie by trafiła prędzej czy później na ekrany

jako film polski zrealizowany w Polsce, ponieważ jej struktura, narracja, obrazy układające się w ciągi narracyjne pozwala postawić tezę, iż była pisana jako scenariusz filmowy, lecz z niewątpliwą inwencją stylistyczną, właściwą raczej prozie artystycznej, niż scenariuszowi. Losy (tu w roli losu występuje generał Jaruzelski!) sprawiły jednak, że na kanwie tej powieści powstał hollywoodzki film Lecha J. Majewskiego pt. „Flight of the Spruce Goose” (Lot świerkowej Gęsi), zrealizowany w r. 1983 (a więc już w rok po londyńskim sukcesie „Odysei”) dla Michaela Hausmana, producenta m.in. „Amadeusza” Milosa Formana.

W tym czasie Lech J. Majewski zdecydował się żyć i pracować na Zachodzie. Kursowanie między Polską Jaruzelskiego i Kiszczaka a wolnym światem było niemożliwe. Jak wielu wówczas młodych Polaków podejmuje ważką decyzję: występuje o obywatelstwo amerykańskie. Wiąże się z tym wydarzeniem zabawne qui pro quo, które wedle relacji reżysera miało taki oto przebieg: odbyła się dziwna rozmowa z czarnoskórym urzędnikiem, który zapoznawszy się z pedantycznie przetłumaczonymi dokumentami Lecha J. Majewskiego (urzędowo tłumacz przełożył na angielski nawet nazwę ulicy, przy której urodził się twórca „Angelusa”!), zapytał, kim właściwie jest? „Jestem Polakiem” - odparł Lech J. Majewski. „Zaraz - powiada urzędnik - urodziłeś się w mieście STALINGRAD...” Lech J. Majewski poprawił go: „STA-LI-NO-GRÓD”. W tekście anglojęzycznym w nazwie miasta Stalinogród nie było „o” z kreską. Dla Amerykanina Stalingrad, czy Stalinogród - to jedno i to samo. Urzędnik otworzył księgę z nazwami miast świata. „Nie ma miasta o nazwie Stalingrad, obecnie Wolgograd. Jesteś Rosjaninem. Urodziłeś się w Stalingradzie czyli w Soviet Union, przy ulicy - i tutaj pojawił się gwóźdź do trumny w postaci pedantycznego tłumaczenia nazwy ulicy - Red Army Street!” Lech J. Majewski tłumaczy: To miasto dzisiaj nazywa się Katowice, jest w Polsce, Poland, Upper-Silesia, a Red Army Street to ulica Armii Czerwonej w Katowicach, w mieście, które w roku, w którym się urodziłem, nosiło nazwę STALINOGRÓD!”. „Kłamiesz!” - orzekł czarnoskóry urzędnik - A nie ma nic gorszego, niż kłamstwo!”

„Byłem bezradny. On miał rację” - wspomina Lech J. Majewski - sytuacja wyglądała bardzo poważnie, nawet groźnie.

Na szczęście, udało mu się, choć z niełatwym trudem, przeprowadzić dowód prawdy.

Amerykańską filmografię Lecha J. Majewskiego tworzą trzy filmy fabularne, które wyreżyserował (poza „Lotem świerkowej Gęsi”, nakręcony w Brazylii „Prisoner of Rio” (Więzień Rio) 1988, do którego scenariusz napisał wspólnie z Ronaldem Biggsem, „mózgiem” słynnego napadu stulecia „Desert Lunch” polski tytuł filmu „Ewangelia wg Harry’ego” (utwór zrealizowany dla studia Davida Lyncha) oraz „Basquiat” (1995), do którego napisał scenariusz, zamierzając zrazu film reżyserować, lecz ostatecznie został jego producentem, mając przemożny wpływ na ostateczny kształt obrazu.

Te amerykańskie produkcje Majewskiego mają pewną skazę, było w nich coś wymuszonego, ponieważ artysta walczył w nich o lepsze z rzemieślnikiem, słowem Majewski próbował zachować względną równowagę pomiędzy komercją a kinem ambitnym. Moim zdaniem najciekawszą pozycją jest „Ewangelia wg Harry’ego”, rzecz o groźbie dehumanizacji rodzaju ludzkiego w epoce cywilizacji konsumpcyjnej. Warto zauważyć, że ten amerykański film zrealizował Majewski już w Polsce, dokąd w r. 1989 przyjechał po raz pierwszy na zaproszenie warszawskiego DKF „Kwant”, który zorganizował retrospektywę jego filmów (pokazano wówczas: „Grand Hotel”, „Zwiastowanie”, „Rycerza”, „Lot świerkowej Gęsi”). „Ewangelia wg Harry’ego” mogła powstać w różnych miejscach świata, w końcu można było znaleźć plenery bardziej pustynne niż plaża (pustyniopodobna) w okolicach Łeby, lecz stało się dobrze, ponieważ Lech J. Majewski wyraźnie nabrał pewno-

ści siebie, czując rodzimy grunt pod nogami. Ale to, co najważniejsze, dopiero było przed nim.

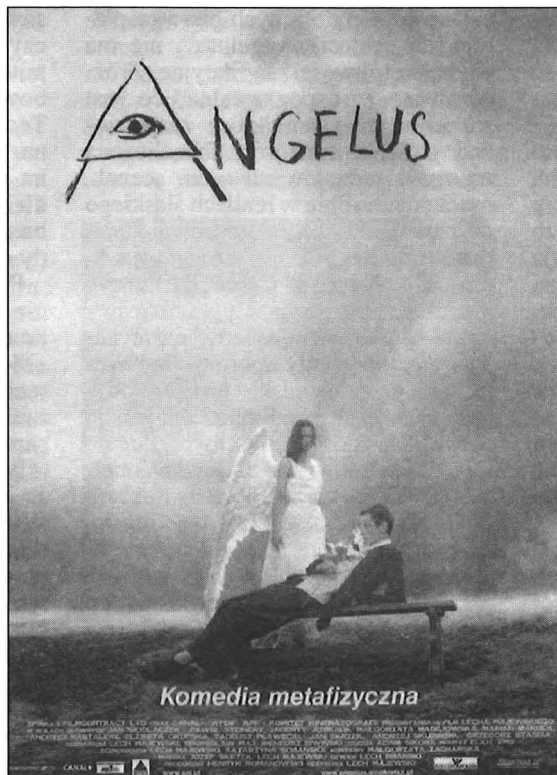
Następne lata przyniosły kilka tomów prozy. „Aszan Blues” (1991) - ta książka zawiera w jednym tomie „Kasztanę” i scenariusz „Lotu świerkowej gęsi”, dając wyjątkową okazję porównania literackiej i filmowej wersji pewnej historii, która - jak powiedział autor - zaczęła się blisko dwadzieścia lat temu w Katowicach.

Powieść „Szczury Manhattanu”. To z okazji wydania tej książki wyznał Lech J. Majewski: „Książka ta jest tłumaczeniem tłumaczenia. Napisałem ją w Nowym Jorku w czasie strajku śmieciarzy, gdy miasto opanowały szczury. Z polskiego przełożyłem ją na angielski. Szczęśliwie mój przyjaciel, Ireneusz Siwiński, podjął się spolszczenia angielskiego tekstu. Moje życie jest takie jak historia tej książki: mieszkam w Ameryce, a czuje się Polakiem. Jestem poetą i malarzem, a robię filmy. Ciągłe muszę tłumaczyć się z języka na język”. Te słowa wypowiedział Lech J. Majewski w r. 1993.

Krytyka nie zauważyła, zajęta hałaśliwymi efemerydami, poważnej powieści polskiego pisarza, jaką jest bez wątpienia „Pielgrzymka do grobu Brigitte Bardot cudownej” (1996). Znakomity poeta Bronisław Maj rekomendował tę powieść takimi słowami: „Cały zgłębł głosów, konwencji, stylów; gromada narratorów, skomplikowany system luster... A mimo to - jednorodność, zupełny, substancjonalny świat”.

Ale, jak rzekłem, najważniejsze jest dopiero do zrobienia.

Kontrowersyjna opera „Pokój saren” wystawiona na bytomskiej operowej scenie („I co z tego? A jaka ma być sztuka?” - powiedział, przecież słusznie, jej współtwórca, Józef Skrzek), doskonała łódzka (Teatr Wielki) inscenizacja opery Krzysztofa Pendereckiego „Ubu Rex” - (operowy spektakl roku 1993), zachwycająca wizyjnością, ruchem, wielością znaczeń, głębią inscenizacja opery „Carmen” w Teatrze Wielkim w Warszawie (1995), powtórzona na wileńskiej scenie operowej. Również uznany za spektakl roku, tyle że w Niemczech - „Black Rider” - opera wystawiona w Stadttheater w Heilbronn (1994); także zrealizowana z niezrównanym rozmachem, z fantazją, jaką by nie pogardził sam Mistrz Fellini, „Opera za trzy grosze” Bertolda Brechta. Wreszcie opublikowany w r. 1998 tom zawierający małe eseje, coś w rodzaju dziennika podróży, w którym czytamy: „Zza zakrętu wyłania się ogromny billboard. Koślawe, ręcznie napisane litery:



OFICJALNE CENTRUM ŚWIATA (taki też jest tytuł tej książki! - FN) - WSTĄP I ZOBACZ - TERAZ SKRĘĆ W PRAWO”.

Najważniejsze jest przed. Oficjalne centrum świata, to może być żart. Ważne i prawdziwe jest PRYWATNE CENTRUM ŚWIATA. A dla Lecha J. Majewskiego znajduje się ono w Polsce, na Śląsku, w Katowicach, na Koszutce. Raz jeszcze potwierdziła się stara prawda, że najważniejszy widok widzimy z okna własnego mieszkania.

Najpierw był film „Wojaczek” (1999), rzecz absolutnie pod prąd, gdy publiczność kinowa oszałała na punkcie kolejnych „Psów” i „Kilerów”, a starzy mistrzowie produkowali ekranowe wersje szacownych lektur szkolnych. Film Lecha J. Majewskiego o „poecie wyklętym” z Mikołowa, przypominał, że prócz filmów, na których się rechoce i zżera kilogramy kukurydzy, jest jeszcze kino szlachetne, rozumne i prawdziwie artystyczne.

To najważniejsze było tuż-tuż. Najważniejsze, czyli „nieomal: arcydzieło Lecha J. Majewskiego, film pt. „Angelus” (2001). To jest prawdziwy powrót Lecha J. Majewskiego do źródeł.

Historia opowiedziana przez Lecha J. Majewskiego (współscenarzysta i reżyser) oraz Adama Sikorę (autor pięknych zdjęć) jest w najwyższym stopniu intrygująca: oto umiera stary mistrz gminy okultystycznej w Janowie koło Katowic, na swojego następcę wyznacza Teofila, przekazuje mu tajemne księgi wraz z przepowiednią, która ma się ziścić w trzech fazach: 1. wybuch wielkiej wojny, 2. inwazja świata astralnego i rządy jego demonów, 3. apokalipsa - zniszczenie świata przez promień z Saturna, co nastąpi wówczas, gdy ludzkość sprzeniewierzy się prawu moralnemu i boskiemu.

Dwie pierwsze przepowiednie sprawdzają się co do joty. Wybucho wielka wojna, demony wcielają się w nazistów i komunistów. Z tym, że figurą groźniejszą od Hitlera wydaje się Stalin, pierwszy bowiem zdradza się z niepohamowaną żądzą władzy nad światem fizycznym, drugi odbiera człowiekowi Tajemnicę: duszy nie ma, mówi Stalin (jedna z lepszych sekwencji filmu, także dzięki Janowi Bógdołowi, jednemu z kilku zaledwie profesjonalnych aktorów w „Angelusie”), nie ma jej do tego stopnia, że właściwie nie trzeba z nią walczyć, bo jak walczyć z czymś, czego nie ma, czyli z niczym! Lech Majewski nie zatrzymuje się dłużej na okupacji nazistowskiej. Scena z Hitlerem, dobra i kosmiczna, pozabawiona jest pierwszka diabelskiego. Zmory są gdzie indziej. W komunizmie. Lech Majewski urodził się w Stalinogrodzie.

W mieście, którego nie ma. Które pojawiło się w Polsce w roku śmierci Stalina, w roku Wielkiego Placzu, obłędnej ekstazy polityczno-religijnej. W „Angelusie”, skromna inscenizacyjnie scena zamiany Katowic na Stalinogród, niby pogodna i bezbolesna, działa precyzyjnie jak nóż chirurgiczny. Ten Stalinogród zwyczajnie, po ludzku, boli Lecha Majewskiego, rani jego serce. To jest ważna kwestia, ponieważ zamiana imienia miasta jest jak zdercie skóry z żywego człowieka i ubranie go w skórę obcą, nie przylegającą do jego ciała. W podobny sposób ma się dokonać proces przerabiania Polaka, w „Angelusie” Polaka-Ślązaka, na człowieka sowieckiego.

Tu i ówdzie komunistyczni inżynierowie ludzkich dusz odnosili jakieś sukcesy. Ale ich trud okazał się całkowicie daremny w Janowie, w każdym razie w przypadku grupy skupionej wokół Mistrza Teofila. Myślę, że można w tym miejscu dodać nazwisko: Ociepki. Chociaż film ucieka od nazwisk - autorzy utrzymują, że ich historia jest zmyślona, prawdziwy jest tylko ów janowski zaczyn, punkt wyjścia, fakt, że była tam grupa okultystyczna, powstała w latach trzydziestych i żywo działająca w dwóch pierwszych dekadach powojennych. Mistrz Teofil Ociepka nie uległ inżynierom dusz; od świata ordynarnej manipulacji i propagandy uciekł w rejony swojej fantastycznej wyobraźni. W baśń, w śląskie bery i bojki, w rzeczy tajemne, w mistykę. W jakim stopniu filmowy mistrz Teofil jest Teofilem Ociepką, nie potrafię orzec, ale Lech Majewski musi się liczyć z tym, iż jego bohater będzie utożsamiany z wielkim naiwnym malarzem z Janowa. Co do innych pierwszoplanowych postaci „Angelusa”, nie ma chyba wątpliwości: są fikcyjne. Zróżnicowane i rozpoznawalne, co jest sukcesem reżysera, który zaangażował głównie amatorów. Niezliczona mnogość rodzajowych scen, scenek, osadzonych silnie w realiach śląskiego familoka, krajobrazu szybów i hałd; rubasznosć tego filmu; dosadny język, dla uszu Polaków spoza Śląska być może nawet obsceniczny; państwowy rytuał przemówień, wieców, nawet zabaw przełamany uporczywie i skutecznie przez swojski, tutejszy obyczaj i zwyczaj (kapitałna sekwencja zabawy, która z każdą chwilą oddala się od peerelowskiej ludowej potańcówki na cześć przekroczenia iluś tam procent normy dziennego wydobywania, przemieniając się w swoisty śląski piknik z tyrolskim jodlowaniem dla okraszy!), to tylko niezbędna gleba, po której stąpa człowiek, bo myśl jego ulata ku Saturnowi.

Mistrza Teofila i jego wyznawców (wśród których naturalnie znajdzie się Judasz) zaprzęta poza fedrowaniem zagadka bytu. Rano wstają, idą

na kopalnię, pracują, aby utrzymać rodzinę, ale tak naprawdę pochłaniają ich kwestie ontologiczne. Wszyscy są prości, niewykształceni, wiekna Mistrz Teofila bierze się głównie z jednej księgi, z dzieła pt. „Saturn” niejakiego Wolfa, może jeszcze z dwóch, trzech ksiąg, które trzyma w lodówce. Czyta je z nogami uniesionymi, opartymi piętami o ścianę, z głową zwieszoną w dół - księgę trzymając w powietrzu, nad głową; czyta więc „do góry nogami”, jak opowiada narrator filmu. Prostaczkowe Boży, którzy mówią o rzeczach jakby ich przerastających. Ale kogo te rzeczy nie przerastają? Przecież wykształcony filozof równie bezbronny jak oni staje w obliczu Wielkiej Tajemnicy, Nieskończoności. Może jedynie zręczniejszym słowem dać świadectwo swojej beznadziei. Oni są wzruszający, gdy tak samo jak „godają” o byle czym, tak też „łosprowadzają” o esencji i egzystencji. Przypominają filozofujących górali księdza profesora Józefa Tischnera, ale są od nich bardziej „pofyrtani”.

Aby ocalić świat, muszą przygotować do ofiary Przczystego Młodzieńca. Sposób, w jaki to czynią, jest rozbijającym nieporadny. Najpierw przepada zdawałoby się stu procentowy kandydat, wiecznie zamysłony, z wyglądu asceta, który ma jedną tylko słabość: chce robić lewatywę każdej kobiecie, niezależnie od wieku. Na pytanie zasadnicze, czy nigdy nie „dupcył”, odpowiada bez wahania, że tylko raz, ale to była koza. Pozostaje szesnastolatek, na którego ostrzy sobie żabki urodziwa rówieśnica, znają się od urodzenia. Ludzie Mistrza Teofila dosłownie wyrwyją go z objęć dziewczyny, aby po stosownych ablucjach umieścić „Przczystego Młodzieńca” na dachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR; tam bowiem, wedle obliczeń Mistrza Teofila, ma uderzyć promień z Saturna. Historia zniewalająco niedorzeczna. Czujemy, że autorzy filmu zawiedli nas do Krainy Nieprawdopodobieństwa, ale orok tej kolorowej bajdy działa.

Po znakomitym filmie, któremu nie brak znamion wybitności, opublikował Lech J. Majewski powieść pt. „Metafizyka” (Wydawnictwo Literackie 2002), najważniejszą i najdojrzalszą rzecz w swoim dorobku pisarskim.

Najpierw sam tytuł! Nic dziwnego, że już na okładce widnieje słowo POWIEŚĆ, które ma nieco odciążyć tytułową METAFIZYKĘ. (Cud, doprawdy, że wydawca zgodził się na tytuł tak przecież niekomercyjny!). Naturalnie, można zapytać na ile uprawnione są w tym przypadku i tytuł, i określenie przynależności gatunkowej.

Lecz zapytajmy wprawdzie kim jest para kochanków, Bea Cossan i Luis

Malten, protagoniści tej weneckiej love story? W chwili, gdy się poznali, ona miała trzydzieści dwa lata, była Włoszką urodzoną w Londynie. Niezamężna, bez kochanka. Dostała pracę w National Gallery, gdzie oprowadzała wycieczki, a w wolnych chwilach pisała pracę doktorską na temat tryptyku Hieronima Boscha *Ogród Rozkoszy Ziemskich*. On, inżynier okrętowy. Także pisze doktorat na temat „zasady proporcji współrzędnych burty do wyporności kontenerowców nowej generacji”. Syn Walijszycy i Polki. Polski „ślad” jest tu o tyle istotny, że Bea i Luis poznają się na planie spektaklu wg *Odysei*, jaki Eliot Elms inscenizuje na barce pływającej po Tamizie. Luis zaprojektował bezpieczne audytorium otaczające małą scenę z masztem – głównym elementem dekoracji.

Czytelnik zorientowany w wielorakiej twórczości Lecha Majewskiego, zgaduje, że ów Eliot Elms, „reżyser, barczysty, o wiecznie nie uczesanych włosach o dzikim spojrzeniu geniusza Wschodu”, to jest Lech Majewski, nieco żartobliwie z wyczuwalną autoironią wprowadzony na karty powieści. Przy okazji dowiaduje się, że obaj panowie próbowali rozmawiać ze sobą po polsku, ale nie bardzo im to wychodziło, bo Luis Malten wyjechał z matką z Polski, gdy miał cztery lata, Eliot Elms, gdy miał lat dwadzieścia siedem, czyli tyle samo, co Lech Majewski, kiedy wybrał się do Wielkiej Brytanii ze swoim „Rycerzem” na festiwal filmów o średniowieczu. Luis jest nawet trochę zazdrosny o Eliota Elmsa, który łatwo nawiązuje nić porozumienia z Beą, lecz jest to jedynie porozumienie artystów, czy raczej artystycznych dusz. Luis pojawił się w życiu Bei, gdy ona była gotowa do wyjścia naprzeciw wielkiej namiętności.

Narratorem powieści jest Luis Malten, który jest poniekąd nowym wcieleniem bohatera powieści Maxa Frischa „Home Faber”. To również jest „człowiek techniczny”, na pewno nie humanista, który „pisze” swój „dziennik intymny” kamerą cyfrową, podobnie jak bohater Frischa czynił to posługując się małą kamerą filmową z taśmą ośmiomilimetrową. Lecz różni ich stosunek do kamery: Luis Malten nie tylko rejestruje, jego kamera nie jest nieczułym narzędziem, czymś w rodzaju „medium cool”, nie, Luis Malten nie jest bezmyślnym turystą z kamerą w rękę; on pragnie zapisać niepowtarzalność chwili, mijanie czasu, stan serca i materię rzeczy, nie tylko postać swojej ukochanej, ale jej zapach, gest, pojedynczy włos na tle jasnego nieba. Postępuje więc jak artysta, ponieważ dokonuje wyboru, jakby każde ujęcie, każda sekwencja owego prywatnego filmu, który z powodzeniem można

by opatrzyć tytułem „Metafizyka”, były z góry podporządkowane pewnemu zamiarowi estetycznemu, pewnej scalającej wszystkie elementy, nadrzędnej idei.

Umieram, więc jestem – mówi, trawestując Kartezjusza, Bea Cossan. Wie, że pozostało jej kilka miesięcy życia, czuje jak jej relacje ze światem nabierają intensywności. *Żyję dwójnásob* – wszystko jest nowe, dotykalne, nawet coś tak oczywistego jak oddychanie jest zaskakujące: powietrze, które wypełnia płuca ma swoją gęstość i ciężar. Każde wypowiedziane słowo nabiera nieoczekiwanych znaczeń. „Mam czas”, „nie mam czasu” – zwroty całkowicie banalne, w tym paromiesięcznym czasie umierania w Wenecji, domagają się jasnych definicji. *A jak nauka wyjaśnia czas* – pyta Bea swego kochanka, który odpowiada: – *Fizycy mówią, że jeżeli istnieje, jedyną jego miarą jest ruch*. Bea niejednokrotnie zadaje Luisowi to samo pytanie: *A co na to nauki ścisłe?* Ów technokrata, pewnie czujący się właśnie na terytorium nauk ścisłych, odpowiada najlepiej, jak potrafi, z tą cierpliwością, z jaką dorosły odpowiada dziecku zadającemu naiwne fundamentalne pytania. *Jaki jest skład chemiczny martwego ciała?* – pyta Bea. Odpowiada Luis: *Taki sam jak żywego: węgiel, wodór tlen, azot i śladowe ilości tablicy Mendelejewa*. Homo Faber nazwiskiem Luisa Malten jest okrutny w swojej scjentystycznej prawdomówności: *Trzy czwarte ciebie jest wodą, trzema litrami azotu i dziesięcioma kilogramami węgla*. Bea nie może dać temu wiary. – *Tak dokładnie jest. Jeszcze niecałe kilo wapnia na twoje kości, gram cynku dobrego na trawienie, odrobina miedzi która barwi skórę, trochę magnezu, żelaza i krzemu, i oto jesteś ty, Bea Cossan we własnej osobie*. Cała ta uświadomiona fizyka i chemia wcale nie odbiera Luisowi apetytu na miłosne zapasy; kochan-

kowie uprawiają seks nie czekając na nadejście nocy, a już najmniej potrzebne jest im do tego łóżko. Włączona kamera zdaje się sugerować, iż kochankom nieobce są igraszki cokolwiek perwersyjne. A jednak kamera nie jest „podglądaczem”.

Oko obiektywu wykonuje pracę zbliżoną do tej, jaką wykonywało oko Hieronima Boscha, gdy artysta malował *Ogród ziemskich rozkoszy*. Analizy i interpretacji tryptyku Boscha, dokonywane przez Beę, umiejacą patrzeć na dzieło sztuki, zajmują w „Metafizyce” niemało miejsca. W ślad za czytaniem znaków i symboli przez Beę, podąża kamera prowadzona przez Luisa. Jest to więc wędrówka ich oboje przez Raj. Ten namalowany, i ten, w którym poruszają się na co dzień. Rajem jest Wenecja, która, jako że stale umiera, jedyna ze wszystkich miast jest zdolna zrozumieć zjawisko umierania. Jest to Raj, w którym ustawicznie przebywa Śmierć. Bea odkrywa jej obecność w rogu obrazu Boschowskiego Edenu. W tym umierającym mieście nawet byle kafejka ma nazwę Paradiso. „Dante wierzył, że Adam był w raju sześć godzin. Ja dzięki tobie byłem znacznie dłużej. I to za życia...”, pisze Luis Malten, jednocześnie montując „twój, nasz film”, mnożąc (przez kopiowanie) taśmy i rozrzucając je, gdzie się da. „Nasiona leżą wszędzie” – ostatnie zdanie powieści.

Wracam do pytania, czy uprawniony jest tytuł: *Metafizyka*? Z pewnością, ponieważ Luis Malten, który jak Faust, zgłębił wszystkie nauki ścisłe, aby wcale przez to nie mądrzejszy, zderzyć się z tajemnicą miłości i śmierci, zjawiskami niepodległymi nauce, w których odnajduje swoją prawdziwą człowieczą ranę. Lech Majewski opowiada historię o Adamie i Ewie (a więc jest to, naturalnie, powieść), językiem na pozór wolnym od emocji, nawykłym do myślenia wedle praw liczb i proporcji, ale jego bezspornym pisarskim osiągnięciem jest, że pod każdym precyzyjnym, wystudjonowanym zdaniem tli się niewygasły żar prawdziwego ludzkiego dramatu, a więc ból i cierpienie.

Lech J. Majewski skończył pięćdziesiąt lat. W Katowicach, w Hollywood, w Rio de Janerio, w Londynie, w Heibronn, w Wilnie, w Wenecji, wszędzie jest u siebie. Ale najbardziej u siebie jest na katowickiej Koszutce, w domu przy Alei Wojciecha Korfantego, w którym mieszka jego matka, pani Wanda. „Jestem jak Penelopa – mówi – kiedyś czekałam na powrót męża, teraz czekam na telefon od syna. Ale łączy nas jakaś duchowa więź. Budzę się w nocy i czekam na niezapowiedziany telefon. Po dziesięciu minutach – telefon. Dzwoni Lech”.



Moje prywatne
centrum świata



Podczas jednego z koncertów w Berlinie gość honorowy, ówczesny kanclerz, Helmut Kohl powiedział: Oto Polska demonstrowuje nam, jak można pokazać kulturę kraju aspirującego do Unii Europejskiej... I wyścisławszy profesora Hadynę... byłby wpadł do orkiestronu.

Przytup marketingowy

KATARZYNA
SADURA

W czasach kwitnącego socjalizmu władza z lubością powtarzała jedno ze swych sztandarowych haseł, promujących wywodzącą się z folkloru kulturę masową: Wieś tańczy i śpiewa. W ramach szeroko pojętej polityki kulturalnej kraju promowały nas szczególnie dwa zespoły ludowe - „Mazowsze” i „Śląsk”.

„Mazowsze” jest bardziej liryczne - mawiał podówczas założyciel i długoletni szef „Śląska” prof. Stanisław Hadyna - „Śląsk” zaś bardziej dramatyczny, ukrywający wzruszenie pod pewną szorstkością i żywiołością”. Wedle rozdzielnika Pagartu jeżdżono więc po świecie i promowano polską kulturę - tę ludową, bogatą ale prostą, nie wysublimowaną, siernięzną, taką z przytupem. Nie trzeba było się martwić o pieniądze, nie trzeba było zabiegać o sponsorów ani zawracać głowy tak przyziemnymi sprawami jak impresariat, a tym bardziej zdobywanie widza.

Widz był. Cekał z niekłamaną radością i niecierpliwością. Słuchał, oglądał, nucił pod nosem, oklaskiwał. Było dobrze, spokojnie, bezpiecznie. I tylko nikt nie zwracał

uwagi na to, że ów folklor - mimo, iż święcił tryumfy na obu półkulach - powoli stawał się w oczach przeintelektualizowanych rodaków kulturą niższego rzędu, kulturą „z dolnej półki”. Kulturą niedocenioną, traktowaną z przymrużeniem oka. Złośliwi mówili, że nie mamy świata do zaoferowania nic prócz żubrówki i występów „Śląska” oraz „Mazowsza”. A przecież ta nasza „prawdziwa” kultura to był Lutosławski, Penderecki, Kantor, Grotowski, Abakanowicz... Nie mówiąc już o Chopinie.

A tymczasem to Amerykanie - bynajmniej nie Polonusi - zauroczeni występami „Śląska”, pisali: „W Śląsku jest bogactwo fascynujących i nieznanych nam tańców, a oglądanie i smakowanie ich jest najczystsza przyjemnością”...

Owszem, cieszą się z sukcesów, mówiono o misji, o krzewieniu. Mówiono, zresztą nie bez racji, że „Śląsk” to najlepszy ambasador Polski, że niewielu dyplomatów zrobiło dla propagowania polskości tyle, co zespół. I nagle z domowego ciepłka „kolorowy ptak” wypadł na głęboką wodę.

Balcerowicz zmienia „Śląsk”

Najpierw był pomysł, potem dekret ministra kultury i decyzja, że w zespole parkowo-pałacowym w Koszęcinie mieć będzie siedzibę Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca. W tym roku mija pięćdziesiąt lat istnienia „Śląska”. Pierwsi artyści wybrani przez prof. Hadynę spośród 12 tysięcy przybyli do Koszęcina 30 czerwca 1953 roku. Rok później, pierwszy koncert w Warszawie - jak odnotowali kronikarze stał się rewelacją.

Potem były tylko sukcesy. W kraju i za granicą - najpierw w Czechosłowacji i w Związku Radzieckim. Potem niemal na całym świecie. Skrupulatni rachmistrze wyliczyli: kilkadziesiąt tysięcy koncertów, ponad 20 milionów widzów, prawie 1200 artystów. Nagrody, dyplomy, dowody uznania. Zmieniali się sekretarze, gospodarka wirowała, a „Śląsk” dalej tańczył swojskiego trojaka.

- W 1989 roku nagle wszystko się zmieniło - mówi dyrektor Adam Paśtuch. - Niemal z dnia na dzień zaczę-

liśmy funkcjonować w zupełnie innych realiach. Zaczęliśmy poznawać, co to rynek. To wymusiło na nas zmiany, zmobilizowało do walki.

A stawka była ogromna - być albo nie być. Trzeba było nauczyć się negocjować, zawierać korzystne kontrakty, planować trasy koncertowe, rozmawiać z impresariami. Zadbać o wizerunek, reklamę, a wreszcie o samych artystów, którzy przecież w zespole pracują. W poszanowaniu koncepcji artystycznej patrona i założyciela zespołu, postanowiono zachować początkową linię programową, ale nie ograniczać się tylko do folkloru. Zróznicowano formy spektakli i przygotowano nową ofertę programową. Zmieniono nazwę - na Zespół Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny i opracowano 15 różnych spektakli.

- Zespół to sprawnie funkcjonujące przedsiębiorstwo - mówi dyrektor Pastuch. - To nowoczesna instytucja artystyczna. Dajemy rocznie ok. 140 koncertów, od koncertów galowych pieśni i tańców ludowych oraz narodowych przez programy biesiadne, koncerty muzyki klasycznej, koncerty pieśni pasyjnych, widowiska baletowe, a skończywszy na koncertach edukacyjnych adresowanych do młodzieży w ramach programów edukacji regionalnej.

Zespół to chór, balet, orkiestra, obsługa techniczna, siedem ton przepięknych kostiumów, nowoczesny sprzęt. A przede wszystkim profesjonalizm. Bo tego wymaga widz. Wychowankowie zespołu pracują na scenach oper w Wiedniu, Berlinie, w Poznaniu, Łodzi, Gdańsku i w Warszawie.

Przez kilka lat zespół nie koncertował w Niemczech..., żeby nie kusić losu! Po jednej z tras koncertowych część artystów zdecydowała się przyjąć tamtejsze oferty pracy, co z kolei spowodowało „zawirowania” kadrowe w zespole.

Europa, Europa

- My, a Europa?... - śmieje się dyrektor Pastuch. - My mieszkamy w Europie od dawna. Chociażby sam Koszęcin. Przecież tu w krypcie pochowani są ostatni właściciele zamku z rodu zu Hohenloe-Ingelfingen...

Geneza i historia zespołu pałacowego w Koszęcinie nie została dokładnie rozpoznana. Najprawdopodobniej w średniowieczu ziemie te należały do piastowskich książąt opolskich, którzy utracili je na rzecz Georga von Brandenbura. Kolejnymi właścicielami byli: król czeski Ferdynand I i rodzina Kochcickich. Potem baron Mikołaj Filip von Rauthen, goszczący idącego z wojskiem na Wiedeń króla Jana III Sobieskiego, który pozostawił w Koszęcinie swą ukochaną Marysienkę. U schyłku XVII w. majątek wraz z pałacem przejmuje rodzina

Sobków, zaś po 1774 r. hrabina von Dyhern. W roku 1798 koszęciński pałac wraz z majątnością przechodzi na własność korony cesarskiej, zaś w początkach XIX w. nabywa je ks. Ludwik zu Hohenloe-Ingelfingen.

- Jedną z naszych najcenniejszych wartości kulturowych - tłumaczy Jerzy Wójcik, dyrektor artystyczny „Śląska”, jest umiejętność przetwarzania wszystkiego na własny oryginalny sposób. Wpływy kulturowe mieszały się na tych ziemiach, a ich bogactwo jest widoczne niemal na każdym kroku.

- Ale Europa to dla nas także gotowość funkcjonowania na rynku, a przede wszystkim do przyjęcia finansów europejskich - dodaje Adam Pastuch. - Do tej pory był to dla placówek kultury obcy teren. Trzy lata temu podjęliśmy starania o dofinansowanie projektu organizacji Śląskiego Centrum Edukacji Regionalnej, w ramach środków PHARE. Wprawdzie pieniędzy nie udało nam się pozyskać, ale uświadomiono nam dwie rzeczy: po pierwsze, że byliśmy pierwszą w Polsce placówką kulturalną, która takie starania podjęła, a po wtóre, że środki unijne leżą w zasięgu ręki tylko trzeba wiedzieć jak po nie sięgnąć. To było dla nas wielkie doświadczenie. Uzmysłowiliśmy sobie, że musimy się szybko przygotować, by móc korzystać z europejskiej oferty. Pomocą i doświadczeniami dzieli się z nami niemiecki zespół z Bauzen, który lepiej zna realia tamtejszych rynków. Współpracujemy też z zespołami ze Słowacji i nawiązaliśmy współpracę regionalną z Lombardią. Powoli zdobywamy szlify. Uczymy się poważnie traktować naszą sztukę jak towar eksportowy. Pozyskujemy grupy impresariatu, zajmujące się naszą promocją w świecie, marketing nie jest dla nas słowem tabu. Musimy umieć dobrze sprzedać to co mamy. Świadomi wartości jakie prezentujemy, ale też świadomi zapotrzebowania na rynku.

Za co nas kochają

... zastanawia się Wójcik. - Przede wszystkim za przeplatanie się elementów różnych kultur. Historia sprawiła, że przenikały się zwyczaje, elementy strojów, muzyka, tańce. Do tego oczywiście trzeba dodać elementy kultury „pańskiej”, dworskiej, podpatrzone wzorce adaptowane na własny użytek. To wszystko stanowi, że to, co prezentujemy, jest polskie, etniczne i jednocześnie europejskie. Zachód zazdrości nam tego bogactwa, tego właśnie, że zachowaliśmy coś, co u nich zamiera, a przynajmniej jest trudne do odbudowania. Zazdrośczą nam korzeni. Kiedy koncertujemy w Europie, widzowie przychodzą i nie chcą wierzyć, że mamy oryginalne

stroje, często „zabytkowe”, to ich elektryzuje. My mamy coś, czego oni już nie mają. I jak na ironię, my tego nie doceniamy. Traktujemy folklor jako kulturę niższego rzędu, wstydzimy się...

Jeszcze kilka lat temu park, w którym znajduje się siedziba zamku, był niedostępny dla zwiedzających i mieszkańców Koszęcina. Dziś może tu wejść każdy. Powoli remontuje się do tej pory zaniedbane części zespołu pałacowego. W odnowionych pomieszczeniach dawnej kaplicy pałacowej powstała kameralna sala koncertowa.

Kolorowe foldery reklamowe prezentują ofertę zespołu: krótkie opisy, ceny, warunki negocjacji. Przedstawiciele „Śląska” wybierają się na targi; trzeba zaistnieć - mówią - zmienić stereotypy.

Oglądam oficjalne i nieoficjalne strony internetowe zespołu. Przypominam sobie słowa dyrektora Pastucha: to są kroki do Europy... Kulturolle Highlights aus Polen... tutaj możesz zamówić bilety na koncerty w Braunschweigu i w Bonn, 5 listopada... trochę o jubileuszu, trochę wspomnień, stare i nowe fotografie, sylwetki twórców, plany wydawnicze... piąta płyta z dwunastopłytywą, planowaną „złotej kolekcji”, albumy, wydawnictwa okolicznościowe, szczegółowy plan koncertów, recenzje: wdzięk, elegancja i temperament.

„Berlińczycy mieli wiele możliwości oglądania świetnych zespołów, ale występ „Śląska” zapiera dech w piersiach. („Berliner Zeitung”)

„To radosne i efektowne widowisko jakością daleko przewyższa inne ludowe zespoły. W feeri światła i barw „Śląsk” zniewolił brukukską publiczność wraz z obecną na występie królową belgijską Elżbietą, domagającą się kolejnych bisów”. (Le Soir, Belgia)

„Niezwykła dyscyplina i wyjątkowy styl. Nieczęsto zdarza się widzieć zespół o tak wysokich standardach w sali koncertowej - melodie i tańce ludowe stopione w spektakl z ogromnym wyczuciem dramaturgii, sceny, miękkością i naturalnością”. („Aftonbladet”, Szwecja)

Czytam ofertę... „Requiem” Mozarta, „Wróżby”, baśń baletowa, „Kilar” - widowisko monograficzne oparte na muzyce Wojciecha Kilara skomponowanej specjalnie dla zespołu. „Sacrum”, „Wielki Tydzień”, „Bogurodzica”, „Mistrzowie muzyki klasycznej”, jest i „Piękna nasza polska cała”.

Ze zdumieniem stwierdzam, że na 15. pozycji są tylko programy prezentujące pieśni i tańce ludowe, że to już nie tylko ten „Śląsk” ludyczno-siermięzny, pamiętany z dzieciństwa... Że to już nie „wieś tańczy i śpiewa”, ale to tak naprawdę jedna z najlepszych wizytówek kulturalnych Polski. A przede wszystkim Śląska. Z dziada pradziada... europejskiego.

Górnośląskie Centrum Medyczne w Katowicach-Ochojcu:
według „Newsweeka” najlepszy szpital w Polsce.

Szpital nie na peryferiach

WIESŁAW
KOSTERSKI

**Nazwa jest bardzo długa:
Samodzielny Publiczny
Szpital Kliniczny nr 7
Śląskiej Akademii Medycznej
Górnośląskie Centrum Medyczne
w Katowicach-Ochojcu,
treść wyróżnienia krótka:
dyplom dla najlepszego
szpitala w Polsce.
Ranking „Newsweeka”
za 2003 rok. Statuetka
ma kształt wykrzyknika.
Stoi w gabinecie dyrektora
na honorowym miejscu.**

GCM tworzą dwa szpitale: Górnośląski Ośrodek Kardiologii i Specjalistyczny Szpital Wieloprofilowy. Szpital jest częścią starszą, pacjentów zaczął przyjmować w 1976 roku. Był to wówczas szpital górniczy. W 1987 roku otwarto Śląski Ośrodek Kardiologii, który potem zmienił nazwę na Górnośląski Ośrodek Kardiologii.

Szpital należał najpierw do wojewody, potem przeszedł pod zarząd ministra zdrowia. W 1999 roku stał się szpitalem klinicznym Śląskiej Akademii Medycznej, ale organem założycielskim nadal pozostawał minister zdrowia. W październiku zeszłego roku obowiązki organu założycielskiego przejął rektor ŚIAM.

Szpital na swoim

- Jako jeden z nielicznych szpitali w Polsce mamy ten przywilej, że wszystkie ruchomości i nieruchomości zostały nam przekazane na własność i teraz sami zarządzamy całym majątkiem - mówi dyrektor GCM - **Wojciech Olszówka.**

Przejęcie szpitala przez uczelnię pociągnęło za sobą duże zmiany. Zlikwidowano niedochodowe oddziały, których oferta nie miała dużego wzięcia



Statuetka dla najlepszego szpitala w Polsce.

Foto: Józef Wróbel

na Śląsku. W to miejsce powstały kliniki ŚIAM zapewniające szeroki wachlarz usług medycznych w szpitalu wieloprofilowym. Zmiany przyczyniły się również do stworzenia pełnych możliwości dydaktycznych dla studentów ŚIAM.

W wyniku restrukturyzacji powstały nowe kliniki: Chorób Wewnętrznych i Metabolicznych, Chorób Wewnętrznych i Reumatologii, Geriatrii, Psychiatrii i Psychoterapii, Rehabilitacji Leczniczej. Szpital stał się lecznicą świadczącą pełny zakres opieki medycznej, zwłaszcza dla ludzi w podeszłym wieku.

Zmiany przeszła też kardiologia. Klinikę Kardiologii Dziecięcej przeniesiono do nowego obiektu - do Centrum Matki i Dziecka w Katowicach-Ligocie. Jej miejsce zajęła Klinika Elektrokardiologii. Teraz trwa tworzenie i rozbudowa Oddziału Ostrego Zespołów Wieńcowych.

Kardiologia w obecnym kształcie to z pewnością numer jeden GCM-u. Kliniki kardiologii wykonują wszystkie zabiegi kardiologiczne, jakie robi się obecnie w Polsce. Kliniki kardiologii specjalizują się w elektrokardiologii (wszczepianie defibrylatorów serca), leczeniu chorób serca systemem ablacji i elektrofizjologii, hemodynamice i leczeniu chorób związanych z nadciśnieniami.

- Górnośląski Ośrodek Kardiologii potrafi wyleczyć każde zaburzenie serca - ocenia dyr. Olszówka. - Wykonujemy najwięcej operacji kardiologicznych w kraju, bo aż 27 procent. Mamy także największą ilość zabiegów z zakresu kardiologii inwazyjnej - około 7,5 tys. zabiegów koronarografii i 3,5 tys. koronero-plastyki.

Katowicką kardiologię powołano w 1975 roku w szpitalu przy ul. Francuskiej w Katowicach. Powodził ją prof. dr hab. n. med. **Leszek Giec**, kardiolog. Profesor Giec był też dyrektorem Instytutu Kardiologii ŚIAM. Od 1998 roku przebywa na emeryturze, obecnie jest doradcą dyrektora GCM do spraw medycznych.

- Jak powstał szpital w Ochojcu, przeniesiono do niego kardiologię - wspomina profesor Giec - Wtedy był to Centralny Szpital Górniczy. Wówczas też natrafiliśmy na dokumentację, z której wynikało, że generał Ziętek planował budowę śląskiego ośrodka kardiologii pod nazwą „Śląsk”. Była przychylność władz, więc zaraz rozpoczęliśmy budowę. Projekt przewidywał nawet wybudowanie szkoły pielęgniarstwa i osiedla dla personelu medycznego, ale nic z tego nie wyszło. Zostałem powołany na stanowisko dyrektora szpitala w budowie. Inwestycję zrealizowano dość szybko, mimo rocznej przerwy w okresie stanu wojennego. Pierwsze kliniki wprowadziły się do nowych pomieszczeń w 1986 roku.



Foto: Józef Wróbel

Dyr. Wojciech Olszówka: Jako jeden z nielicznych szpitali w Polsce mamy ten przywilej, że wszystkie nieruchomości i ruchomości zostały nam przekazane na własność.

W Ochojcu pracował przez jakiś czas prof. Zbigniew Religa. Odszedł do Zabrze. Z Zabrze przyszli inni m.in. prof. Andrzej Bochenek i prof. Stanisław Woś. Niektórzy lekarze przenieśli się z Ochojca do kilku ośrodków w kraju. Tam stanowią trzon kadry medycznej.

Od czterech lat kardiologia pełni dyżury zawałowe dla połowy obszaru woj. śląskiego - środkowej i wschodniej. Drugą część województwa obejmuje Zabrze. Wszyscy pacjenci ze świeżymi zawałami serca (do 12 godzin od chwili wystąpienia zawału) przywożeni są do Ochojca i Zabrze, bo tylko tutaj mogą oczekiwać szybkiego i dobrego leczenia.

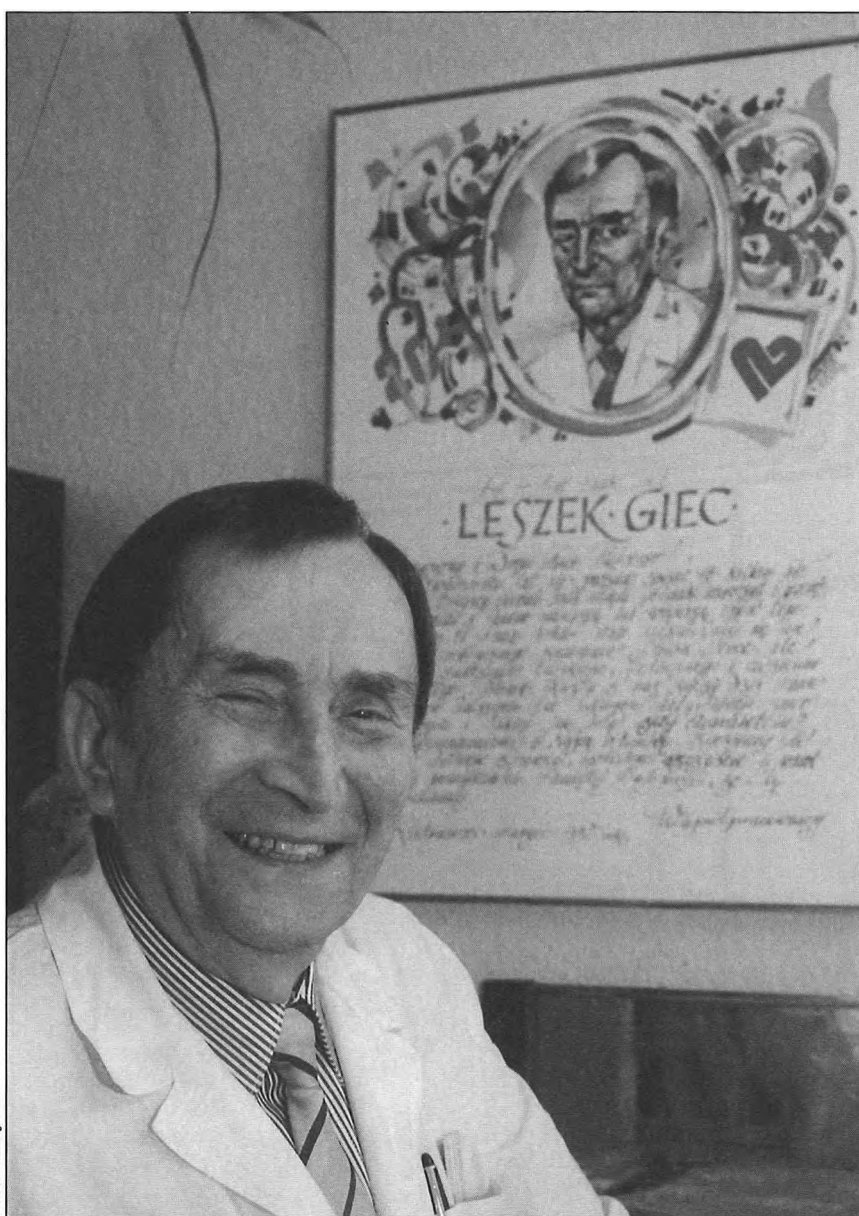
Wraz z dyżurami szpital rozpoczął prowadzenie regularnych szkoleń dla lekarzy pogotowia, by ci mogli jak najlepiej rozpoznawać świeże zawały serca i podejmować decyzje o skierowaniu chorych pod właści-

wy adres. Wysyłanie ich gdzie indziej nie miałoby sensu. W Ochojcu pacjentów można wyleczyć w ciągu dwóch, trzech dni, po tygodniu wielu wychodzi do domu i wraca do normalnego życia.

Od momentu wprowadzenia dyżurów zawałowych - według statystyk wykonanych przez Śląską Kasę Chorych - śmiertelność z powodu zawałów serca spadała ze średniej 22 procent do 15 procent. Teraz wynosi średnio 12 procent. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby takie przypadki były natychmiast zgłaszane do pogotowia.

Wizytówka polskiej medycyny

Dyr. Olszówka zapewnia, że zabiegi wykonywane w GCM są na wysokim europejskim poziomie. Europa już nie tyle, że nie



Prof. dr hab. Leszek Gieć: Jeszcze general Jerzy Ziętek planował budowę wielkiego ośrodka Kardiologii pod nazwą „Śląsk”.

uciekła nam za daleko, ale nawet została zdystansowana przez kardiologię, która wykonuje zabiegi na najwyższym poziomie światowym. Niektóre przy użyciu robota, bez potrzeby otwierania klatki piersiowej. Olbrzymia część lekarzy uczestniczy w międzynarodowych konferencjach, sympozjach i zjazdach. Ochojec może leczyć pacjentów z Europy i całego świata. Oczywiście, za inne pieniądze.

Flagowym okrętem GCM, oprócz kardiologii, jest również Klinika Neurologii, która uczestniczy w całodobowych dyżurach do przyjmowania pacjentów ze świeżymi udarami mózgu, a także Klinika Chirurgii Ogólnej i Naczyniowej, która specjalizuje się m.in. w operacjach trzustki i żołądka. Jako drugi ośrodek w Polsce otrzymała akredytację do wykonywania przeszczepów wątroby. Pierwsze przeszczepy zaplanowano na przełom 2003 i 2004 roku.

- To wszystko złożyło się na wysoką ocenę jurorów w rankingu „Newsweeka” - mówi dyr. Olszówka. - Oceniali nas lekarze, szpitale wzajemnie się oceniali. Zostaliśmy dostrzeżeni przez fachowców z innych ośrodków i to nas najbardziej cieszy.

Pacjenci walą do Ochojca jak w dym. Dla nich najistotniejsze jest to, czy szpital jest osiągalny, jak wygląda, jaki ma personel i najważniejsze - czy ten szpital jest w stanie wyleczyć i skutecznie pomóc. Obecność setek osób każdego dnia w GCM jest odpowiedzią na te pytania. Z kolei dla personelu medycznego dobry szpital to taki, w którym się normalnie pracuje, gdzie nie ma widma zwolnień i dwuczynnych ograniczeń - na przykład - w liczbie zużywanych strzykawek.

GCM ma kontrakty podpisane jeszcze z kasami chorych (śląską, świętokrzyską, podkarpacką, małopolską, opolską i dolnośląską), choć kontraktem tym daleko do doskonałości. Są w miarę przy-

zwoite. Pozwalają wykorzystać możliwości szpitala w 70 procentach.

Od lat Ochojec cieszy się dobrą sławą w całej Polsce. Bywało, że mieszkańcy innych regionów zmieniali zameldowanie na śląskie, żeby tylko dostać się tutaj na operację. Niektóre kasy chorych chętnie przysyłają też „droższych” pacjentów, do których trzeba było dokładać. W ubiegłym roku - na przykład - przywożono nagminnie pacjentów z ostrym zapaleniem trzustki.

Niestety, mieszkańcy Śląska muszą czekać na zabiegi w GCM - m. in. kardiologiczne i naczyniowe. Wciąż są kolejki. I to bardzo długie. Nie chodzi więc o ściąganie pacjentów z zewnątrz za wszelką cenę. Gdyby było więcej pieniędzy szpital w pełni wykorzystałby swoje możliwości - pozostałe wolne 30 procent - i byłoby po problemie.

Zawały to choroba cywilizacyjna. Rocznie dopadają one w całym kraju około 100 tys. ludzi. Ostre zespoły wieńcowych, czyli stanów przedzawałowych jest jednak cztero-, pięciokrotnie więcej. Słowem, około 600 tys. Polaków cierpi rocznie na serce. GCM przyjmuje średnio tysiąc pacjentów ze świeżym zawałem. Dziennie od pięciu, sześciu do nawet około dwudziestu osób. Najwięcej zawałów jest rano, między godziną 5.00 a 10.00, zazwyczaj wczesną wiosną i późną jesienią. Wtedy ruch jest największy.

Dyżury zawałowe wymusiły przebudowę izby przyjęć, która pozwala przyjmować nawet kilka karettek jednocześnie. Pomyślano też o zapleczu dla pacjentów. Teraz przygotowywane są dla wszystkich klinik specjalne sale tzw. intensywnego nadzoru medycznego, gdzie pacjenci z zawałami serca będą pod szczególną opieką lekarską i pielęgniarską, gdzie będą stale monitorowani i obserwowani. To sporo kosztuje. Kiedyś było tylko 10 takich łóżek.

Szpital ma własne lądowisko. Oświetlone, dobrze usytuowane. Śmigłowce lądują czasami kilka razy dziennie. Kupiono odpowiedni sprzęt medyczny (m. in. kardiomonitoring transportowe) i wózki, aby można było pacjentów podpiętych do aparatury monitorującej bezpiecznie i wygodnie przewieźć z lądowiska do szpitala. Dojazd samochodem do Ochojca nadal jest karkołomny. Wąskie, ciasne ulice, korki, spaliny, tłok na parking.

Sponsorzy i... dobre słowo

Część sprzętu kupili sponsorzy - m. in. Huta Szkła „Jarosławiec”, firma Johnson, Farmakol, Południowy Koncern Energetyczny. Lądowisko za darmo wykonało katowickie PRInż. Pomógł też wraz z GBG Bankiem przy przebudowie izby przyjęć. To olbrzymie pieniądze. Teraz PRInż będzie robiło koło budynku

kardiologii potężny plac manewrowy umożliwiający podjazd wozów strażackich, wyposażonych w wysięgniki do prowadzenia ewakuacji z wyższych pięter. Poszczególne kliniki też postarały się o swoich sponsorów. Pomagają fundacje utworzone przy szpitalu.

Pomocy ze strony władz miejskich i wojewódzkich, jeśli nie liczyć dobrego słowa, nie ma żadnej. Mają na głowie własne szpitale i nimi się zajmują. GCM dostaje pieniądze z Ministerstwa Zdrowia.

Szpital przechodzi teraz ostatni szlif. To, czego najbardziej mu potrzeba, to sprzęt najwyższej światowej klasy. Chodzi m. in. o aparaturę do leczenia arytmii serca, na zakupienie której należy wydać około 50 tys. dolarów. Czynione są starania o sprowadzenie najnowszej generacji sprzętu ultrasonograficznego do badania serca. Lada miesiąc takie urządzenie tu będzie - jako pierwsze w kraju. Kosztuje około 1,2 mln zł.

Potrzebny jest również aparat do cewnikowania serca, na co z kolei trzeba wyłożyć około 5 mln zł. Na liście życzeń GCM jest też tomograf spiralny najnowszej generacji z rozbudowaną opcją kardiologiczną. Powinien być w Ochojcu w 2005 roku. GCM to fabryka, małe miasteczko z własną wodą, ciepłem i prądem. Zatrudnienie też jest niebagatelne - 1750 osób, w tym 380 lekarzy i 700 pielęgniarek. Jest sześciu profesorów na kardiologii i ośmiu w szpitalu wieloprofilowym. Utrzymanie całego szpitala kosztuje ponad 100 mln zł rocznie, a potrzeba około 150 do 160 mln zł na bezproblemowe funkcjonowanie i rozwój.

Podwyżek w GCM nie było, ale wynagrodzenie wypłacane jest re-

gularnie. To ważne, bo w służbie zdrowia bieda aż piszczy. Lekarze (bez dyżurów) mają pensje zasadnicze w granicach 1100 do 1200 zł. Profesorowie są na etatach podwójnych: szpitalnych i akademickich. Szpital płaci im 1400 zł, czyli około 350 euro.

Pieniądze to wciąż najważniejszy problem służby zdrowia. Stworzony kolejną reformą narodowy fundusz zajął miejsce kas chorych, ale nic to nie dało. Przeciwnie - idzie na gorsze.

- Wszystko zmierza do tego, żeby szpitalowi dać jak najmniej pieniędzy - dodaje dyr. Olszówka. - Dochodzi do absurdu, bo oczekuje się żeby szpital współfinansował leczenie pacjentów, podczas gdy ustawowy obowiązek leczenia spoczywa na narodowym funduszu.

O szpitalu głośno jest w mediach, kiedy znani ludzie ratują tu zdrowie. Andrzej Wajda przed wyjazdem do Los Angeles na uroczystość wręczenia Oscarów, w Ochojcu został postawiony na nogi. Sławnych nazwisk nie brakuje.

Bywają też przypadki bardzo ciężkie. Trafiał tu kiedyś 38-letni mężczyzna, którego nikt nie chciał operować w żadnym innym ośrodku w Polsce. W Ochojcu w tydzień po operacji już chodził...

Kiedy pytam o najwybitniejszych lekarzy GCM, dyr. Olszówka odpowiada dyplomatycznie, że cały personel zapracował na tytuł najlepszego szpitala w Polsce i statuetkę wykrzyknika.

Podajmy więc wszystkich tych, którzy kierują klinikami i zakładami GCM:

Górnośląski Ośrodek Kardiologii - I Klinika Kardiologii - prof. dr hab. n. med. Maria Trusz-Głuza, II Klinika Kardiologii - prof. dr hab. n. med. Zbi-

gniew Gąsior, III Klinika Kardiologii - prof. zw. dr hab. n. med. Michał Tendera, I Klinika Kardiochirurgii - prof. dr hab. n. med. Andrzej Bochenek, II Klinika Kardiochirurgii - prof. dr hab. n. med. Stanisław Woś, Oddział Intensywnej Terapii Kardiologicznej - dr n. med. Maria Gross, Klinika Elektrokardiologii - prof. dr hab. n. med. Włodzimierz Kargul, Oddział Ostre Zespołów Wieńcowych - dr n. med. Paweł Buszman, Izba Przyjęć GOK - dr hab. n. med. Marek Piekarski, Zakład Kardiologii Inwazyjnej - dr hab. n. med. Janusz Drzewiecki.

Specjalistyczny Szpital Wieloprofilowy - Klinika Chirurgii Ogólnej i Naczyni - prof. zw. dr hab. n. med. Krzysztof Ziaja, Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii - dr n. med. Krystyna Popielska, Klinika Geriatrii - prof. dr hab. n. med. Adam Misiewicz, Klinika Chorób Wewnętrznych i Reumatologii - prof. dr hab. n. med. Eugeniusz Kucharz, Klinika Chorób Wewnętrznych i Metabolicznych - prof. dr hab. n. med. Jan Duława, Klinika Neurologii - prof. dr hab. n. med. Zofia Kazibutowska-Zarańska, Klinika Ortopedii i Traumatologii Narządów Ruchu - prof. dr hab. n. med. Damian Kusz, Oddział Laryngologii - dr n. med. Bogdan Kolebacz, Klinika Psychiatrii i Psychoterapii - prof. dr hab. n. med. Irena Krupka-Matuszczyk, Klinika i Zakład Rehabilitacji Leczniczej - prof. dr hab. n. med. Krystyna Dobosiewicz, Izba Przyjęć SWW - lek. med. Piotr Piotrowski, Zakład Diagnostyki Obrazowej - dr na. med. Jolanta Zuziak-Pruska, Zakład Bakteriologii - mgr Hanna Cebula-Kłamińska, Zakład Patomorfologii - dr n. med. Krzysztof Januszewski.



Górnośląski Ośrodek Kardiologii. Tu wykonuje się 27 procent operacji kardiologicznych w kraju.

Eseje wędrowne

WŁODZIMIERZ
PAŹNIEWSKI

Tom Clancy

Wyobraźnia pisarska nie zna granic, być może dlatego większość tego, co zdarzyło się w realnym świecie, opisano wcześniej w literaturze. Oto przykład bardzo świeżej daty. W roku 1994 prozaik amerykański Tom Clancy opublikował katastroficzną powieść „Dług honorowy”. Głównym wydarzeniem, o jakim opowiada książka, jest atak terrorystyczny pilota-kamikadze, który uderza jumbo-jetem, ze zbiornikami pełnymi paliwa, w gmach Kongresu w Waszyngtonie. W zamachu w ciągu zaledwie paru sekund ginie cała elita polityczna Stanów Zjednoczonych. Dramatyczne wypadki rozgrywają się w powieści tak, jak jedenastego września 2001 roku na Manhattanie w Nowym Jorku. Czy zrodzony wyłącznie w wyobraźni pisarskiej „Dług” stał się swoistą instrukcją dla wykonawców prawdziwego ataku na World Trade Center? A może potraktowano powieść jak gotowy scenariusz? Trudno odpowiedzieć na tak postawione pytania. W każdym razie nie można tego całkowicie wykluczyć. Podobno sam Clancy chwalił się, że nie potrafi napisać złej powieści i chyba można mu wierzyć na słowo. Ale to nie brzmi dobrze. Niestety, sprawa zdaje się nie mieć zakończenia. Jedno nie ulega wątpliwości: w naszych zwirowanych czasach strach jest towarem, który bardzo dobrze się sprzedaje, bo człowiek współczesny uwielbia się bać. Od pewnego czasu mam do opowiedzenia sporo takich historii o naszej współczesności.

Autorzy powieści sensacyjnych, katastroficzných, dramatów szpiegowskich i kryminałów, doskonale pamiętają, że kula wystrzelona z broni palnej pędzi z przeciętną szybkością pięciuset metrów na sekundę, i w oka mgnienia potrafi zamknąć raz na zawsze czyjąś biografię. W tym sensie czują się panami życia i śmierci swoich bohaterów, co należy traktować jako przywłaszczenie sobie części kompetencji samego Pana Boga.

Główną rozterką pisarzy, niezależnie od miejsca i epoki, okazuje się swoboda wypowiedzi. Ona także bywa pod-

ważana, gdyż władza chętnie postrzega kulturę jako jeszcze jeden sposób sprawowania kontroli. Broniąc prawa literatury do ukazywania każdej prawdy, nawet gdyby była drastyczna w swojej wymowie i szczególnie bolesna dla zbiorowości, współczesny pisarz rosyjski zauważył, że trudno mieć pretensje do lustra, gdy odbija to, co istnieje dookoła. Rozbicie zwierciadła, w odruchu oburzenia, nic nie daje. I jeszcze ta ulotność obrazów, wrażeń i przeżyć. Pewien mnich buddyjski powiedział nie bez racji: „Świat jest jak chmura, budzisz się, widzisz ją, a ona znika”. W końcu pisanie okazuje się miłością z długim terminem ważności, lecz tworzenie literatury, zwłaszcza prozy, może być zajęciem niebezpiecznym dla zdrowia, a nawet życia.

Całkiem niedawno „nieznany sprawca” pchnął nożem egipskiego noblistę Mahfuza Nadżiba, tylko z tego powodu, że trzydzieści lat temu sędziwy prozaik napisał i opublikował „błędniczą powieść”, której zamachowiec na pewno nigdy nie przeczytał. Mistycyzm zastąpiła retoryka nienawiści, poezję – język inwektyw. Cud, że ofiara wyszła z tego wszystkiego z życiem. A co powiedzieć o dramatycznym przypadku Salmana Rushdiego; jego „Szatańskie wersety” spowodowały tak wielkie oburzenie islamistów, że zaocznie duchowni muzułmańscy skazali pisarza na śmierć. W ten sposób padł ofiarą fałszywy. Od tej pory musiał ukrywać się całymi miesiącami i latami, w wszelki wypadek wciąż zmieniając miejsca pobytu. Była to typowa ucieczka przed nienawiścią religijnych fundamentalistów. Niestety, tacy samozwańczy strażnicy „jedynych słusznych wartości”, są zwykle najbardziej niebezpieczni, gdyż łatwo nimi manipulować, zaś żadna religia czy ideologia nie może się obyć bez tego rodzaju fanatyków, którzy zgłaszają się na ochotnika, albo są do wynajęcia za niezbyt wygórowaną cenę. Interesuje ich albo początek albo koniec, do tego, co istnieje pomiędzy, nie przykładają zbyt wielkiej uwagi.

Pod koniec pierwszego tysiąclecia pewien poeta arabski ogłosił, że jeśli kiedykolwiek popełni grzech lizusostwa wobec władzy, niech go opuści talent. Jego wyobraźnia tworzyła niezluczone gazy i kasydy i choć był po-

etą dworskim, nigdy nie uciekał się do pochlebstwa, co czasami miano mu za złe. Literatura nie cierpi fałszu, przesady i nadmiernego entuzjazmu. Nadgorliwość zarówno w sztuce, jak i w życiu, bywa kuzynką absurdu. Tę cechę najlepiej demaskują zachowania zwykłych ludzi w sytuacjach dramatycznych. Oto przykład wzięty z polskiej codzienności. Pewna kierowniczka sklepu mięsnego w Warszawie tak bardzo przeżyła się trzynastego grudnia 1981 roku dekretem o stanie wojennym w Polsce, a zwłaszcza szczegółowym paragrafem o zakazie zgromadzeń publicznych, że widząc kolejkę, która wcześniej rano ustawiła się przed sklepem, zaczęła ją rozpędzać, bo w świetle przepisów była całkowicie nielegalna. W tym miejscu i w tamtej sytuacji, pani kierowniczka sklepu mięsnego poczuła się przedłużonym ramieniem władzy.

Adres: Trzeci Rzym

Koncepcja Moskwy jako Trzeciego Rzymu pojawiła się w piętnastym wieku, w czasie rządów Iwana III, za sprawą bogobojnego mnicha Filoteusza ze Pskowa, który uznał, że pierwszy Rzym upadł z powodu herezji, drugi, czyli Konstantynopol, został podbity przez pogan. W tej sytuacji istnieje tylko Moskwa – Trzeci Rzym. A czwartego nigdy nie będzie. Ta myśl, ściśle teologiczna, zrazu powiązana wyłącznie z życiem religijnym, niezwykle szybko i sprawnie została podchwycona przez państwo, które przekształciło się w atrakcyjną ideologię wyjątkowości Rusi i poczucie posłannictwa, jakim została obarczona przez Boga, przeznaczenie i historię, co z czasem stało się doskonałym wsparciem dla rosyjskiej refleksji o wybrańcu losu. Była to doktryna polityczna o tyle wygodna dla despotii moskiewskiej, że z góry rozgrzeszała i usprawiedliwiała tzw. koniecznością dziejową, wszystkie imperialne ambicje Rosji (zarówno białej, jak i potem czerwonej), jej gigantyczne zbrodnie i niegodziwości, zwłaszcza zaś ekspansję terytorialną kosztem swoich sąsiadów. Nie zmieniło się to nawet, gdy bolszewicy, po obaleniu liberalnego rządu Kiereńskiego, w pośpiechu obwołali Boga swoim głównym wrogiem.

Ta wojna podjazdowa ze Stwórcą, w warunkach rosyjskich, posiadała swoją własną dramaturgię i różne natężenie. Taki na przykład Chruszczow, po locie Jurija Gagarina, ogłosił definitywnie, że Boga nie ma, bo gdyby istniał naprawdę, kosmonauta musiałby go dostrzec gdzieś w przestworzach. Podobno, co zdaje się całkiem prawdopodobne znając mentalność genseka, chciał w Biurze Politycznym przeformować stosowną uchwałę w tej sprawie, by raz na zawsze rozwiać wszelkie wątpliwości, jakie mogły nachodzić człowieka sowieckiego, którego oficjalna propa-

ganda dawno zamieniła w monument ze spiżu. Ktoś bardziej rozsądny wybił mu to jednak z głowy. Nie trzeba wróżby ani proroka, żeby trafnie przewidzieć finał. Przecież wszystkie kariery polityczne od początku świata prędkiej czy później kończą się upadkiem. Niedawno w pewnej rosyjskiej publikacji wyczytałem, że po swoim odejściu ze stanowiska sekretarza generalnego partii komunistycznej, pod sam koniec życia, Nikita Siergiejewicz, zupełnie zmienił zdanie, skoro nawrócił się na świętą wiarę i pożegnał świat jako prawosławny chrześcijanin, ostatecznie pogodzony z Bogiem.

Dokładne adresy Trzeciego Rzymu są proste do ustalenia również w czasach współczesnych. Jeden z nich zapisano w specyficznie przeżywaną megalomanią, która stanowi istotną część rosyjskiej mentalności. Sprawia ona, że Rosjanie mają o sobie wiele lepsze zdanie niż cudzoziemcy, nawet gdy ta opinia kłóci się z realnym życiem. Nigdy nie rozstają się z poczuciem misji. Dlatego losy kraju postrzegają się w kategoriach wyjątkowości i przymyka oczy na wszystko, co ją może podważyć. Rosjanin kłamie i sam lubi być oszukiwany, w imię tzw. wyższych celów, które mają usprawiedliwić każdą podłość. Patos i zgrzebne życie codzienne, bogactwo na pokaz i bieda, zbrodnia i współczucie dla ofiar, skłonność do okrucieństwa i łagodność, wszystkie te zjawiska egzystują ze sobą w przedziwnej komitywie. Być może rosyjska buta i rosyjska próżność są tylko maskami, pod którymi tak naprawdę skrywa się niepewność. Ale ta dwoistość wyraża zarazem bolesne poczucie rozdarcia.

Czy zatem Rosja, to w potocznym rozumieniu, szerokie przestrzenie i ciasne umysły? „Potrafię Rosjanina poznać z daleka - ostrzegali w dziewiętnastym wieku Turgieniew - przede wszystkim po nagłych zmianach na jego twarzy: to maluje się na niej pycha i arogancja; to znowu lęk, że może ktoś sobie z niego sztydzi.”

Gdy intelekt ogłasza upadłość

Współczesna Polska coraz bardziej przypomina zapuszczony lokal, po zbankrutowanej Spółce z o.o. Za szybą wystawową ktoś umieścił kawałek tektury, na której niezadarnymi kulfonami skreślono dwa słowa: „Do likwidacji”. Wszyscy mamy poczucie pustki, jak na stypie, po nagłym i nieoczekiwanym wyjściu gospodarza. Polska ludzi zajętych becznością wyraźnie cierpi na przewlekłą psychozę maniako-depresyjną. Tylko patrzeć jak ktoś o zszarpanych nerwach wystąpi z wnioskiem o ostateczne ogłoszenie upadłości polskiego intelektu.

Oto krótka charakterystyka obecnej kryzysu myślenia. Nerwowy i chaotyczny intelekt polski nie umie dłużej skupić się na jednej rzeczy, zjawisku, procesie czy opinii. W rezultacie staje zupełnie bezradny wobec rzeczywistości, której nie potrafi solidnie opisać. Przywołuje to dalsze następstwa. Intelekt tego typu nie radzi sobie z analizą zjawisk. Z reguły są one pospieszne, niepełne, powierzchowne i chaotyczne; nic dziwnego, że prowadzą do równie ułomnych i zniekształconych wniosków. To na ich podstawie rodzą się błędne decyzje. Być może dlatego życie publiczne Polski układa się w ciąg niepowodzeń, klęsk i katastrof.

Ponieważ jego wrodzoną słabością jest analiza i wnioskowanie, intelekt polski, czego się było można po nim spodziewać, nie wyciąga nauki z porażek, co skazuje go na popełnianie stale tych samych błędów. Przynosi to oplakane skutki, szczególnie w polityce i w życiu społecznym. Intelekt tego typu zupełnie nie nadaje się np. do prowadzenia rokowań, gdy w sposób wyrafinowany trzeba bronić własnych interesów i racji. Zupełnie nie wychodzi mu ani formułowanie celów społecznych ani sporządzanie planów, gdyż te zwykle okazują się mało realne. Często odnosi się wrażenie, że zostały wzięte z sufitu.

Nieostre kryteria prawdy i fałszu, znajdujące się w obiegu społecznym, nieźle mu mącą w głowie. Lekceważąc procesy myślowe i ich rzeczowy przebieg, intelekt polski przecenia znaczenie gestów, pięknych słów, kurtuazyjnych form towarzyskich i rytuałów. Bardzo często zdarza się, że przesłaniają mu one istotę rzeczy. Dlatego nawet bystrego Polaka tak łatwo oszukać cudzoziemcom, wywieść w pole, wystawić do wiatru, wpuścić w maliny i zrobić na szaro. Język potoczny posiada wiele określeń tego zjawiska, co nie jest całkowicie przypadkowe.

Poza tym intelekt polski cierpi na brak wytrwałości, by coś zgłębić od początku do końca. Z trudem odróżnia błahostkę od rzeczy ważnych. Chronicznie pomniejsza zagrożenia. Mocno wierzy w potęgę naiwnej szlachetności, i, że choćby z tego powodu, obcy nie pozwolą mu zginąć. W takich okolicznościach zdarzenia stale udzielają mu lekcji rozczarowania i zawodu, z czego jednak niewiele wynika. Dlaczego tak się dzieje? - patrz fragment o chaosie analiz i błędnym wnioskowaniu. Zakreślone koło zamyka się. Negatywne skutki stają się z kolei przyczynami.

Czy nadchodzi pora, aby zdobyć się na odwagę i ogłosić upadłość polskiego intelektu? Od dawna nie płaci on rachunków i nie zaspokaja najpilniejszych roszczeń umysłowych. Co gorsza, zanosi się, że wkrótce samo życie cofnie mu kredyt zaufania. Pora na żmudne działania naprawcze. Zdaje się, że w roli syndyka masy upadłościowej,

jak zwykle, wystąpi towarzysza lub obywatelka historia. To zależy od biegu wydarzeń. Tak czy inaczej, zanosi się na wielką przecenę naszych zadeć i mitów intelektualnych, bo stan obecny jest nie do utrzymania. Bardzo często odnośzę wrażenie, że współczesny Polak czuje się jak jedyna osoba ocalała z katastrofy lotniczej, a Polska, wbrew rodzimym naiwniakom, którzy patrzą a nie widzą, to, niestety, nadal niezbyt dobry adres w tej części Europy.

Zapach ogrodów różanych

Wszystko, co istotne, zostało przez niego opisane i to wiele razy: chłód fontann, śmigające w powietrzu jaskółki, zapach ogrodów różanych, konie unoszące jeźdźców, spotkanie o wschodzie słońca na pustyni i zapowiedź powrotu o zmierzchu. Być może, choć brakuje na to dowodów, jest autorem pięknego życzenia, jakie przetrwało bardzo wiele królestw, które dawno zginęły pod piaskami pustyni: „Niech wasi wrogowie sami zejść wam z drogi”. Ale najbardziej zdumiewa energia pewnych miejsc. Na przykład, gdy przyjeżdżasz do Aleksandrii nikt nie pyta, skąd jesteś. Raczej interesuje ludzi, co potrafisz, zaś układanie pięknych zdań po grecku, niegdyś było cenione w tym mieście, czemu patronowało przekonanie, że jedynie prawda rozkwita, nawet, gdy musi być przekazywana innym pokątnie i w najgłębszej tajemnicy. To filozofowie greccy nauczali Europejczyków, że można kwestionować wszystko i pokazali co się dzieje, gdy dogmat staje się dylematem. Powietrze dusi żar. „Całe życie - napisał mędrzec - szukałem wiedzy, a wiem tylko tyle.”

Każda epoka ma swoje znaki rozpoznawcze. Pirat angielski Sir Francis Drake, ulubieniec królowej Elżbiety I, miał się w swoim burzliwym życiu bardzo wielu zawodów. Był żeglarzem, łowcą przygód, piratem, admirałem, przedsiębiorcą, rozbójnikiem morskim, odkrywcą. Po śmierci, która przyłapała go zniemacka w trakcie rejsu po Morzu Karaibskim, nakazał, aby umieszczono go w ołowianej trumnie i wrzucono do morza, w małej zatoce u wybrzeży Panamy, gdzie z takim powodzeniem rabował przez lata hiszpańskie złoto. Zażył sobie również, by nałożono nań pełny rynsztunek. Czyżby miał nadzieję, że na tamtym świecie także Bóg wykorzysta jego rozliczne umiejętności? Niektóre biografie pozostawiają nam pamiątki w postaci natrętnych pytań i potęgają poczucie niepewności, lecz jedna rozterka nie opuszcza człowieka nawet na chwilę; dlaczego ciąg dalszy bywa przeważnie taki, jak początek?

Inwazja atomów

Moja myśl musi być w jakimś dziwnym miejscu,
z dala od tego głosu, który nie jest moim głosem.
To jest głos, którego nawet wiatr nie rozprzestrzenia;
utracona jest wszelka pamięć, skupiona
w niespokojnym szepcie, w kruchej skardze
wielu, wielu ludzi, którzy już dawno umarli.
Są tylko żywe komórki, myśli rozproszone
przez ostateczną eksplozję światła.
Chwila, która przetrwała stulecia.
Wieki, które są niczym więcej niż ową chwilą.
I tylko to zdolni jesteśmy pamiętać.

Było pewne wrzaskliwe lustro,
samobójcza planeta,
która wybuchła w nas samych,
i zalało nas nagłe szaleństwo
światła, ogień nad ogniami,
zgodny krzyk błyskawicy,
który uniesie do góry
odrażającą głęb ziemi.
Napadła nas czarna vibracja otchłani,
oślepiająca plama kobaltu,
wymazując kolory, rozkładając równiny,
mnąc budynki jak brudne papiery,
wysuszając kwiaty, chmury, oślepiając pióra, morza.
Z metalicznym traskiem wyrównała górskie łańcuchy,
i przeszła przez pory śpiących dzieci.

Przez wszystko przeszło jej niszczycielskie oko,
życie i świat marne w swej istocie,
i woda nie stała się na powrót wodą,
ani powietrze powietrzem.
Wszystko zostało pozbawione duszy i głosu.
Wszystko połamane, zgubione w sobie, sztywne,
zatrzymane na zawsze w migawkowym zdjęciu
spustoszenia i śmierci.
I było przesunięcie czasu i sensu,
rozwścieczona mutacja, iskrzący się trąd,
bezwzględna destrukcja historii człowieka.

Jesteśmy już tylko popiołem pośród cieni,
dymem, który zaledwie połączył przypadek,
śladem człowieka w rozbitych atomach,
czymś, co ślizgając się, nasiąka
ciekłymi substancjami szlamu,
i nigdy już ni słowa, ni przestrogi dla nikogo.

Justo Jorge PADRÓN - urodził się w r. 1943 na Wyspach Kanaryjskich. Wydał 16 zbiorów wierszy i 20 tomów zawierających eseje i przekłady. Publikowane przekłady pochodzą z cyklu „Los círculos del infierno” („Kręgi piekła”, 1972), który dotychczas został przełożony na dwadzieścia języków.

Płacz

Bo nie ma nic oprócz płaczu,
tylko płacz na tej ziemi,
zawrót głowy od bólu, zagubienia, upadku,
i płacz, tłum skazańców,
pustka i płacz, twarze nieustraszonej goryczy,
opuszczone i zagubione, nie znające przyczyny,
i drzenie, które rośnie jak głęboka przepaść,
płacz, płacz, który wypełnia świat, pociągi,
winiarnie, płacz, który wypełnia więzienia,
cmentarze, i płacz, ruiny i płacz,
zawsze płacz, na samotnej plaży,
w mętnej ciszy wieczoru,
za mokrymi szybami, łuszczącymi się ścianami,
w czarnych, samochodach, zawsze płacz, płacz,
monotonny, straszliwy, nieukożony, skryty
płacz, litanie, szpitale,
rozkazy, płacz, buty i karabiny,
płacz, nędza, płacz
wzdłuż trotuarów,
w zamkniętych domach,
płacz pośród paznokci i palców, i włosów,
który zalewa piersi, przecieka przez świat,
zatapiając człowieka, płacz,
nic oprócz płaczu.

Wróg

Huczą czarne bębny.
Zrządziłem egzekucję.
Wartownicy, brytany,
kaci, wszyscy gotowi
strzec, zlikwidować
mojego wroga; tego,
który mnie dręczył latami.
Byłem cierpliwy nad wyraz,
ale w końcu ujrzę z bliska
tę twarz do głębi zniechęconą.

Już umilkły bębny.
Teraz słyszę odgłos
butów strażników
na schodach. Tutaj muszą
przywlec mojego wroga.
Z wilgotnych lochów wznosi się
ciemna psalmodia, pieśń
obrzędowa tortury i krwi.
Przeglądam się nie bez rozkoszy
jak wloką go na plac,
jak ophiwa go tysiąc oczu,
z jaką trwogą dyszy przede mną.

Majestatyczny kapłan usuwa
lustro, w którym widzę
siebie, i oskarża mnie:
„Odcierpisz cały wyrok,
abyś był zdolny tworzyć,
bo ty jesteś swoim wiecznym wrogiem”!

A gdyby Bóg zmęczył się nami

A gdyby Bóg zmęczył się nami,
gdyby nas znienawidził,
zacząłby nas powoli zmieniać,
pokryłby naszą skórę trądem czasu,
sprowadziłby chorobę na naszą wrażliwość,
i pragnienie i udrękę
trwalej pamięci;
i lustro, po naszej stronie,
tysiące luster,
aby dniem i nocą
odbijały nasze nieokiełznane zagubienie.
Poczulibyśmy niewidzialne ciosy padające
ze środka, a także z najdalszej dali.
I zamknięto by nas w zatopionych miejscach,
i zaprzęgnięto by do plugawych prac,
które by nas zredukowały do cienia.
Abyśmy nie mogli kochać
wlałby w nas ambicję,
zazdrość, przemoc, rozwiąźłość, nienawiść...
Ta trucizna przeżarłaby naszą duszę.
I wyrosłyby z niej kikuty i uraza,
i niezliczone występkę.
A kiedy już, krzycząc, wołalibyśmy
o śmierć, ożywiłby w tych najodważniejszych
budzący litość zwyczaj przedłużania
naszego krzyku aż po granice strachu i szaleństwa.
Gdyby ten Bóg zmęczył się nami,
i gdyby ten Bóg, tak sprawiedliwy, nas znienawidził,
stalibyśmy się nędznym,
pomarszczonym gatunkiem, gnuśnym, samobójczym i ślepym,
zdegenerowanym i zbrodniczym, przeklętym
jak ród ludzki.

Ten ciężar o bujnym listowiu

Słyszałem kotłowanie się wiosel w moim ciele,
jakby huśtały słońce wczesnego poranka.
Łoskot narzędzi złotnika w wydrążonym powietrzu.
Ciepły podmuch, dźwiękliwy chrzęst zginania.
Nie czułem własnych ramion. One się przemieniły
w wydłużone członki, które szukały światła.
Potrząsnął mną wiatr, i zacząłem szeleścić
jak drżący ptak, przywiązany do ziemi tak silnie,
że już się nie wywikła, nie zerwie do lotu.
Jakż mogłem mieć postać? Poprzez moją skórę
szedł plugawy pochód, maleńki exodus
krótkich, drobnych nóżek. To była wilgotna
falująca procesja rozedrganych igieł,
jak webrane wody, gdy zabierają ze sobą kamyki i dym.
Z mojej drugiej strony gwałtowne dotknięcie
dzioba, szponów, paznokci. Czułem słońce, wiatr,
niewidzialny bulgot rozrastającej się ziemi,
i chciałem się wyzwolić z owego ciężaru o bujnym listowiu.
Moje ciało lekko dzwoniło falującą muzyką,
tajemniczo, lecz bez gniewu, nieruchome w ziemi,
skazane na istnienie, aby być częścią czasu,
aby czekać, czekać, na grom, na ogień, na topór.

Kobieta z ziemi

Gdzie? Gdzie? ona będzie?

Jej ciało było zapachem,
który odurzał dzień i noc.
Owym dreszczem z wody i jedwabiu,
który wybuchał płomieniem
w żarliwości dotyku.

Jej oczy były światłem i miękkością.
Głosem,
który rozszczepia półmrok otchłani.

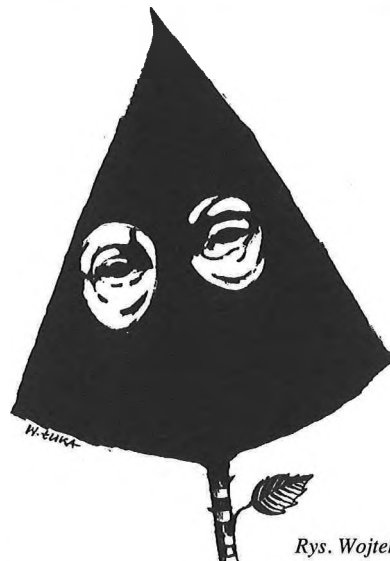
Odpowiedzią
na pragnienie. Rozżarzonymi węglami
na skrzącym się morzu lata.

Jej wargi: obfity płatek
z cienistą mądrością miodu
i wina. Ogród.
jej szyja była z letniego marmuru
i falującego ognia.

Ale jej piersi były esencją tropiku.
Dwa owoce, które rozpałały poranek
zapachem swego otwartego miąższu,
zapachem rozsiewanym aż do słońca.

Kibic wirująca z krzykiem
i wiatrem od wawrzynów.
Wazon na kwiaty.
Ukojenie pomarańczy. Południe.

W zawrotnej lawinie pocałunków
ptak nocy,
mrowisko zachwyty.
Fala i zwycięska piana. Krwawiący
kwarc, chrzęszczący
słonecznik, nieposkromiona błyskawica,
zakątek zdolny przechować wszechświat.



Rys. Wojtek Łuka

JUSTO JORGE PADRÓN

z hiszpańskiego przełożył
FELIKS NETZ

Pierwsza pięćdziesiątka

Tak sobie czasami myślę, czy to aby ma jakiś sens, że mianowicie siadam i zapisuję to, co akurat myślę. Staram się dociec dlaczego tak robię i dochodzę do wniosku, że robię tak, bo nie jestem dość mądry, żeby tego nie robić. Ponad wszelką wątpliwość wiem, że kiedy doświadczę prawdziwej mądrości, nie będzie mi się chciało nie tylko pisać, ale też mówić, bo kiedy doświadcza się prawdziwej mądrości, jest się w tym miejscu, z którego można jedynie w milczeniu pobłażać.

Moje pisanie jest układaniem się z samym sobą i szukaniem odpowiedzi, czy dość jestem i rozpoznaję swoją obecność. Tak niestety jest. A przecież gdybym był mądry, wiedziałbym, że właśnie akurat w ten sposób oddalam się od mądrości. Nie ma czegoś takiego jak bezkarne indywidualne istnienie. Karą jest zawsze niepokój i samotność. Mnie chodzi po głowie, żeby żyć bezkarnie, dlatego staram się zmądrzeć i nie być. Tak bardzo bym tego chciał, ale tymczasem mi nie wychodzi.

II

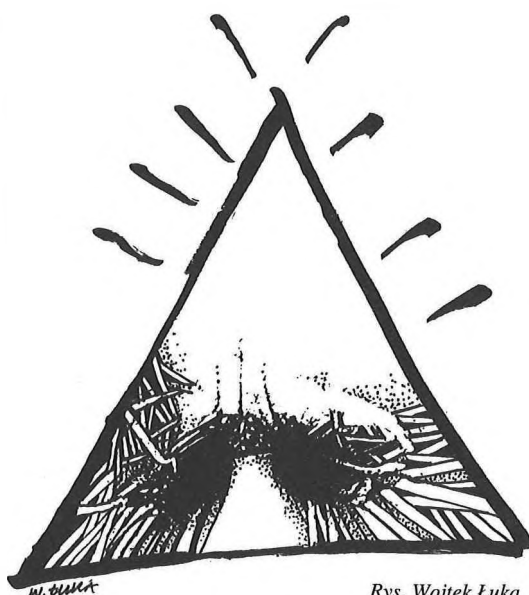
Słońce świeci, mnie się wydaje, że Pan Bóg spuszcza nogę i że można się tej nogi uchwycić i bezpiecznie pojechać. Słońce zawsze było dla mnie prezentem i obietnicą, że nawet jak w słońcu dzieje się coś złego, to w tajemnym rachunku nie jest złe. Słońce jest silnym świadectwem obecności Boga i naturalnie nie ośmielię się dowodzić, że tak jest w istocie, bo zapędziłbym się za daleko, ale intuicja mi podpowiada, że tak jest, na co mogę dać, powiedzmy, słowo honoru.

Pada deszcz i jest obrzydliwie, a ja się zastanawiam, dlaczego czuję się taki... opuszczony. Trochę to trwa i uwiera, a potem się dowiaduję, że to głos mojego indywidualnego ja. I tak już jest od lat. W słońcu czuję się jak małe chronione dziecko; jestem radosny i wiem, że nic mi nie grozi, a kiedy przychodzą ponure dni, wtedy staję się czujny, bo dochodzi do głosu ten ja niezadowolony, a jemu akurat nie ufam.

Dlatego, kiedy czasami myślę o śmierci, o której nigdy nie myślę jako o czymś przerażającym, mam jedno tylko życzenie, żeby pozwoliła mi oglądać się w pełnym słońcu.

III

Na pulpicie mojego komputera codziennie pojawia się Ramana Mahariszi a ja, patrząc mu w oczy mam wrażenie, że pyta, czy aby nie zapomniałem dokąd idę. Mówimy sobie dzień dobry i czuję się zakłopotany. On jest sta-



Rys. Wojtek Łuka

tyczny i wie dokąd powinienem iść, a ja drgam i w tym moim drganiu już sam nie wiem, co wiem. Nie mam do siebie pretensji naturalnie, w końcu większe ode mnie gwiazdy zmagają się dokładnie z tym samym, a jednak patrząc na mojego Duchowego Przewodnika jest mi odrobinę wstyd.

Od dłuższego już czasu pojawia się w moich snach motyw domu. To jest wciąż ten sam dom na różnych etapach wykończenia i w różnej estetyce tego wykończenia. Byłem kiedyś jego właścicielem, ale przez niejasne zaniechanie teraz nie jest mój, chociaż ja mam wszystkie dokumenty stwierdzające prawo własności. Staram się to udowodnić i ten motyw wciąż wraca. W każdym śnie dom jest inny, choć ten sam, a ja w poczuciu winy błąkam się

w nim i nie potrafię wyjaśnić, co się właściwie stało.

Patrzę na Mahariszego i mam wrażenie, że on wie, o co chodzi w tych snach. Ja też chyba wiem i tym bardziej mi wstyd.

IV

Urosł mi brzuchol jak bęben i zaczyna mnie denerwować. Nie tylko dlatego, że ciasne spodnie i trudno oddychać ale też dlatego, że jestem próżny i chcę się podobać. Mówię sobie wówczas, że Budda nie miał takiego problemu i właściwie powinienem się wstydzić, a zaraz potem przychodzi mi do głowy, że Budda wycynowo nie uprawiał sportów i na ciało nie patrzył z tej perspektywy, z której ja mam zwyczaj patrzeć nawet teraz, w drugiej pięćdziesiątce. Usiłuję więc znaleźć tak zwany konsensus i usprawiedliwiam się twierdząc, że zabieg estetyczny polegający na usunięciu odstającego brzucha będzie tożsamy z atakiem na moje słabości.

Kiedy Ghandi znalazł się w Anglii, gdzie miał studiować prawo, stwierdził, że europejski chleb nie jest najlepszym z wynalazków i chleba nie jadł. Ktoś, kto był w Anglii i próbował angielskiego chleba rozumie decyzję Ghandiego. Ja byłem i jadłem. Ale Ghandi nie studiował w Polsce, gdzie chleb jest pierwszorzędnym. Dlatego też, żeby uderzyć we własne słabości i jednocześnie pozbyć się brzucha, postanowiłem iść na całosć i zrezygnować z chleba. To będzie dopiero poświęcenie. Tu się dowiem, ile jestem wart.

V

Bawi mnie kiedy patrzę na moje życie zawodowe. Wciąż mam wrażenie, że tego życia w ogóle nie było, a ja bawię na niekończących się wakacjach. Wychodzi na to, że jestem z tych szczęściarzy, którym oszczędzono walki

o pozycję i lizania, powiedzmy, klamki bez przyjemności. Byłem parę razy pod finansową ścianą ale to nigdy nie były tragedie, a doświadczałem też czasów, w których moja dobra żona otrzymywała ode mnie prezenty. Nie mam majątków i nie jestem biedny, a kiedy myślę o tym, jak to się irracjonalnie plotło w moim życiu zawodowym, jak zamieniały się w proch wszystkie moje logiczne przewidywania odkrywam, że jestem przedmiotem życzliwej manipulacji. Dobre Opiekuńcze Duchy wydają się dokładnie wiedzieć jakim życiem mnie obdarować. Dają mi rozkosz wolności, o której kiedyś nie miałem pojęcia, a którą dziś umiem docenić.

Od kiedy zacząłem myśleć, hołduję tezie, że jednym z celów w życiu każdego człowieka jest nieczynienie zła. Może przeniosłem tę wiedzę z poprzedniego życia i to obecne jest tak zwana dobrą karmą? Bo właściwie czemu nie?

VI

Czasem myślę o moich seksualnych głodach. Wciąż się pojawiają. Pamiętam, że kiedy miałem 20 lat, chciałem mieć 50. Kiedy miałem 20 uważałem, że dzieje mi się krzywda i moja oszalała seksualność jest wrogiem, który odbiera mi spokój. Dziś przyszło 50 i niby mam czego chciałem, a jednak nie do końca. Co prawda nie męczę się tak jak wówczas i bardzo to sobie cenię, jednak są wciąż obecne te niepokojące wizje, o których zmilczę, bo w końcu każdy bez mała dokładnie wie, o czym mowa i jak to wygląda w praktyce.

Co wobec tego my 50-ki mamy robić, kiedy obok przechodzą 20-letnie długie nogi i smakowicie odstające pośladki? I to nie jest błahe pytanie, w końcu widzę, jak boleśnie rozglądają się moi rówieśnicy. Wobec tego odpowiadam, bo dziś już wiem, że to nie my chcemy konsumować, ale nasz głód chce skonsumować nas. Trwa nierówna walka, trudno ją wygrać. Zwykle się jednak przegrywa i efekt jest raczej żalospny.

Ufam, że mam dość szczęścia i zdrowego rozsądku, chociaż na ten ostatni specjalnie bym nie liczył.

VII

Przed laty zwąchałem się z buddystami zen i siedziałem w nimi w aszramie w Przesiece na Dolnym Śląsku. Mili ludzie, mocno sobą przejęci, typy neurotyczne zasłuchane w siebie, głęboko wrażliwi, zupełnie jak ja. Tam otarłem się o Małgorzatę Braunek, próbowałem zażartować, że znam ją z telewizora i zostałem potraktowany kubłem zimnej wody. Byłem dość zmieszany, bo wydawało mi się, że mistrz buddyjski, a za takiego już wówczas uchodziła, widzi rzeczywistości nieco łagodniej.

A teraz, całkiem niedawno, zobaczyłem Małgorzatę Braunek w rozmowie z Wojtkiem Jagielskim w jego programie TV i byłem jeszcze bardziej zmieszany. Zupełnie jakbym siebie oglądał w moim ustawicznym rozdarcu. Szarpała palce skubiąc skórki i była w całej swojej postawie zadziwiająco daleko od ciszy zendo czyli sali medytacyjnej. Pomyślałem wtedy, że widać to wszystko nie takie znów proste i że dla nas, tych bezskutecznie szukających, wciąż przewracających się i wstających jest jednak jakaś szansa i nie należy tracić nadziei.

VIII

Kiedy zastanawiam się, co właściwie sprawia, że ludzie są tacy pokręcani i nieszczęśliwi odpowiadam, że nie powinni byli budować miast. Miasto

w swojej istocie jest demoniczne, jest w nim ta trucizna, która każe człowiekowi podejrzewać, że jest wyjątkowy. Kiedy ktoś zaczyna podejrzewać, że jest istotą wyjątkową i dużo może, wtedy rozpoczyna się proces jego duchowej destrukcji. Miasto temu wybitnie sprzyja dlatego, że miasto historycznie chce być.

Przypominam sobie z wciąż obecnym zdumieniem, że człowiek najpierw jest duchowy a dopiero później materialny. W chwilach, kiedy tego doświadczam, staję się wyjątkowo lekki. Przyroda, wieś, las, łąka i świeże powietrze - one są najpierw duchowe a dopiero potem materialne, za to miasto jest wybitnie materialne, a potem jest nic, a potem ludzie przejęci sobą i tak zapętleni w swojej wyjątkowości i oczarowani własnymi możliwościami, że gdyby nie noce i chwile ciszy, nie byłoby kiedy popłakać i pożalić się, że tak naprawdę to nic nie mogą i są znacznie słabsi od dzieci.

IX

W 20-te urodziny byłem człowiekiem mało szczęśliwym. Nie pamiętam dokładnie tego dnia, ale rok pamiętam. Moja edukacja przebiegała w trybie wybitnie nieregularnym i właśnie w kolejnej szkole, okrężną drogą szedłem do matury. Przeżywałem wówczas jak zwykle wielką miłość, byłbym się chyba nawet ożenił, gdyby nie Dobre Duchy, które podsunęły mi strach. Uciekłem.

W moje 30 urodziny, które już pamiętam, siedziałem na dużym dębowym łóżku i wiedziałem, że w 40 urodziny będę wielkim uznanym pisarzem a wokół mnie kłębić się będzie rozradowany tłum.

40-te urodziny spędziłem jako rzemieślnik, właściciel kaletniczej firmy w domu, który sam wybudowałem w sosnowym lesie w pięknej okolicy. Popijałem dobry trunek i wymyśliłem, że jestem dość wrażliwy by pisać tak, żeby to później sprzedawać w aptece.

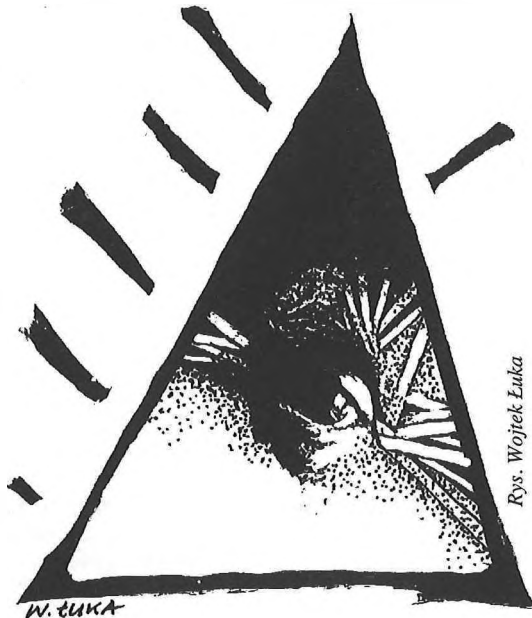
W 50-te urodziny nie byłem już rzemieślnikiem, firma nie istniała. W aptece też nie ma nic z mojego pisania. Nie jestem widać dość dobry albo nie umiem handlować. Teraz się zastanawiam, jak będą wyglądały moje 60-te urodziny i marzy mi się, żeby to był dzień spełnienia, żeby wreszcie przestał chcieć i żebym nie musiał pisać, i żeby mi wreszcie wystarczyło, że mogę widzieć i oddychać. Nie muszę też mówić. To byłyby dobre urodziny.

X

Kiedy zadaję sobie pytanie, jakie było moje dotychczasowe życie, odpowiadam, że było konsekwentnie udane, choć nic mi nie wychodziło. Mówiono mi w dzieciństwie, że zostanę tym albo tamtym i że mam szczęście, bo naturalnie trzeba kimś zostać, a patrząc na mnie należy się spodziewać, że zostanę.

Nie wiem, dlaczego tak się stało, może to wina mojej wrażliwości i zasłuchania w siebie, może lenistwo, a może Dobre Duchy, w każdym razie kończyłem zawsze nie te szkoły, poznawałem nie tych ludzi, w 68-mym nie miałem pojęcia, co się dzieje, za Gierka cieszyłem się, że w sklepach za złotówki jest martini, a w stanie wojennym nikt nawet nie pomyślał, żeby mnie internować. Mówiąc krótko, wbrew przewidywaniom, zostałem nikim, czyli nie zostałem kimś.

A kiedy zadaję sobie pytanie, czego chcę na dalszy ciąg tego życia, uśmiecham się przyjaźnie, bo już wiem o co chodzi i mówię, że chciałbym być jeszcze bardziej nikim. Oglądam TV,



Rys. Wojtek Łuka

W. ŁUKA

otwieram Politykę, widzę prze-
rażonych albo pysznych ludzi,
którzy są kimś i mówię sobie, że
jestem dzieckiem szczęścia.

XI

Widzę dziewczyny stojące
przy drodze i czuję żal. Musi
być im przykro tak samo, jak
tym ludziom, którzy pod super-
marketem proszą o wsparcie.
Czuję się pośrednio winny, nie
wiem dlaczego, ale się czuję
i jadę dalej. A potem sobie
uświadamiam, że one nie po-
trzebują mojego współczucia
tylko moich pieniędzy i jak
zwykle szukam dla nas wszyst-
kich usprawiedliwienia.

Jesteśmy przeładowani żądzą,
a zaraz obok samotnością
i prawdę mówiąc, nie mam poje-
cia, co mogłoby odjąć nam jed-
no i drugie. Lansuję tezę, że naj-
większą radością jest nie chcieć,
a przecież wciąż czegoś chcę. Tu się rwie dusza pchana in-
tuicją, a tam nogi chcą tańczyć kankana. Już sam nie wiem
czy lepszym tu lekarstwem jest siekiera czy pół litra.

W tym duchu uważam więc, że one nie tylko potrzebu-
ją moich pieniędzy, ale też odrobiny uczucia, choćby ele-
mentarnej uprzejmości. Kiedy żona mnie rzuci, pomyślę
o tych dziewczynach jeszcze ciepłej.

XII

Mówią, że wzory na udaną egzystencję są nic warte
i budzą jedynie irytację. Ktoś żyje udanym życiem i wy-
daje mu się, że ma patent, a to przecież nieprawda. Plecie
się czasem tak zawile, że żaden patent nie przystaje, więc
lepiej dać spokój.

Jest tu jakaś prawda, ale ja i tak mam dziwne przeczu-
cie, że wciąż czekamy na łatwy czytelny wzór, bo w koń-
cu każdemu brakuje oparcia. Od czasu do czasu pojawia-
ją się wielkie wzory. Dla naszej strefy klimatycznej poja-
wił się taki dwa tysiące lat temu, ale te wielkie wzory ni-
gdy nie są łatwe.

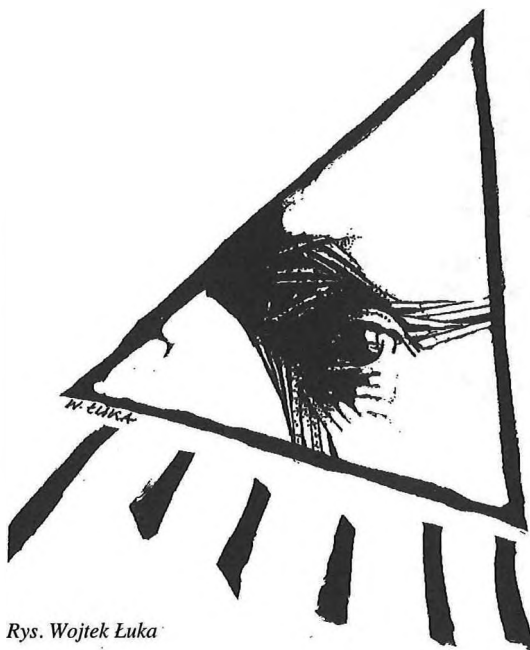
Usłyszałem, że co prawda nie możemy zmienić pogody,
ale na pewno możemy pomalować stodołę i pomyślałem, że
to jedna z tych prawd, które niby znamy, a mimo to wciąż
nas zaskakują. Może wobec tego mała recepta na udane ży-
cie dla jednego będzie źródłem irytacji, a drugiemu otworzy
oczy? Taki na przykład Plotyn uznał, że mycie się jest strą-
tą czasu. A w końcu to był szczęśliwy wielki filozof.

XIII

Mam dyplom z politologii i to jest jeszcze jeden z tych
dyplomów, które trafiły do niewłaściwych rąk. Polityki
nie lubię, uważam ją za działalność niemoralną i tym sa-
mym wysoce podejrzaną, ale ja zawsze byłem nie tam
gdzie trzeba i przez przypadek jestem też politologiem.
Usprawiedliwiam się tym, że mój dyplom widziało zale-
dwie kilka osób.

Polityka jest organizowaniem zbiorowości dla własnych
jednostkowych ambicji, a zatem jest tożsąca z ludobój-
stwem lub samobójstwem, co na jedno wychodzi. Ktoś, kto
idzie do polityki nie ma pojęcia o sobie samym, czyli nie
wie nic na temat człowieka jako takiego. Wiedza o sobie sa-
mym ujawnia bowiem tę prawdowość, że drugich potrze-
bujemy tylko i wyłącznie z egoistycznych pobudek. Dlate-
go ci widzący i wiedzący starają się ludzi nie potrzebować.
A kiedy garną się do nich, robią to tylko po to, by im słu-
żyć. Gdyby politycy o tym wiedzieli, spłonęliby ze wstydu.

I dlatego moja prawdziwa miłość dla Jacka Kuronia jest
faktem potwierdzającym regułę.



Rys. Wojtek Łuka

XIV

Bolesne są nasze zabiegi
o przetrwanie. Myślę o drepczą-
cym szarym Kowalskim i o tym
kolorowym w mercedesie i coś
mi podpowiada, że gdyby Ko-
walski przestał się bać, dowie-
działby się wreszcie, że wcale nie
musi o nic zabiegać. To niepraw-
da, że funkcją udanego życia jest
praca, trzeci dyplom, czwarty ję-
zyk i sprawne lizanie czyjegoś
tyłka. To może przynieść co naj-
wyżej więcej pieniędzy, więcej
pychy, więcej stresu i zimnego
skurczonego ptaszka. Ktoś kto
ma lepszy samochód może co
najwyżej liczyć na lepszego zło-
dzieja. Po co się bać, panie Ko-
walski, skoro i tak w ogólnym ra-
chunku nic od nas nie zależy. Jest
pan absolutnie pewien, że jutro
się obudzi? Ja nie jestem, a bar-
dzo lubię śnić. Mam kolegę któ-
remu pociąg uciął obie nogi tak,

że wyżej już nie można, a on wydaje się być dopiero teraz
szczęśliwy. No więc kiedy pan straci pracę, wywalą pana
z mieszkania i dowie się pan, że ma raka - to wcale nie mu-
si być dla pana złe. Naprawdę. Ja to wiem.

XV

Nasze zabiegi o publiczne istnienie to nieuleczalna
choroba. Wiem, że to się bierze z niewiedzy, ale wiedza
w tym zakresie jest tak cholerycznie trudna, że mimo
wszystko wolimy być i cierpieć niż nie być i napawać się
rozkoszą wolności. Pokłady ludzkiej próżności nie mają
dna. Zastanawiam się, czy to jest tak, że najpierw musi-
my dotknąć, żeby później nie chcieć dotykać, czy też
wbrew logice chcemy dotykać, bo sycimy tym nasze żą-
dze? Boję się, że to drugie.

Nie mam stosownego przykładu z mojego życia, może
to, że kiedy dawno temu pierwszy raz jechałem do Nowe-
go Jorku, wydawało mi się, że wszyscy święci patrzą
w moją stronę, zazdrości mi połowa ludzkości a ja biorę
pierwszą nagrodę. Byłem ważny, lepszy i pyszny. Gdy-
bym wówczas rzeczywiście brał pierwszą nagrodę, boję
się, że pycha odebrałaby mi zdrowie. Szkoda by było.
Drugi raz już trzeźwiejszy jechałem tylko dlatego, że za-
łamiał się mój domowy budżet, a po pysze nie było już
ślądu. Trzeciego razu nie przewiduję.

Generalnie życie jest polem bitwy, każdy walczy z sa-
mym sobą i szukanie na tym polu kolejnego przeciwnika
wydaje się pozbawione sensu. Może wobec tego jest
szansa, że wyzdrowiejemy, chociaż i tak czarno widzę.
Bez „pół litry” nawet Kołodko tego nie rozbierze.

XVI

Są czasem takie momenty, w których wypływam na
szlachetne wody wzniosłego myślenia, czuję się tam jak
u siebie, potem widzę w gazecie gołe piersi i wychodzę
na durnia. Zderzają się dwa różne światy, solidnie błyska
i w tym błysku widzę śmiesznego siebie w potrójnym ak-
słu z głupią miną. Coś krzyczy mi nad głową, że te piersi
mają rację, bo one są, a cała reszta to bzdury i gonitwa za
wiatrem.

Mija chwila, w której dociera do mnie wreszcie fraza
o gonitwie za wiatrem, i ona mnie uspokaja. Przypomi-
nam sobie, że kiedy jest się głodnym, to należy jeść, a nie
pić, odkładałem piwo i sięgam po Éklezjastesa. Karmię się
obficie, dochodzę do stanu, w którym nie mam już preten-
sji do piwa, gołe piersi nie wydają się być dziełem skoń-
czonym a ja znów mam wrażenie, że kroczę z godnością.

XXVIII Opolskie Konfrontacje Teatralne
„Klasyka Polska '2003”

Polskie gęby

Kilka spektakli bardzo dobrych, ani jednego genialnego. Tylko jedna wpadka, też zresztą dyskusyjna. Do tego dwa niepokojące zgrzyty. Tak zapamiętamy tegoroczną edycję opolskiego przeglądu klasyki polskiej.

Zacznijmy od zgrzytów. Znakiem rozpoznawczym tegorocznych OKT miało być odświeżenie repertuaru. Po raz pierwszy opolanie mieli zobaczyć *Kurkę Wodną* Witkacego, za wczasu cieszone się na prapremierę *Królewny Orlicy* Tadeusza Micińskiego i chwalono *Dyzmę* (nie dość, że to klasyka raczej nietypowa, to na dodatek - musical!). Odświeżenie formuły - bo przecież chodziło o to, by „nie grać wciąż tego samego” - udało się połowicznie. Zabrakło bowiem odświeżenia kryteriów oceny. Przełomowy w zamierzeniu *Dyzma* został doceniony przez publiczność, ale zupełnie zignorowany przez jury i raczej złośliwie przyjęty przez obecnych na festiwalu znawców. Kierująca pracami jury Barbara Osterloff powątpiewała, czy ten musical w ogóle powinien się znaleźć w programie OKT (z uwagi na „płaską aktualizację”), a Barbara Fołtyn z „Teatru” wprost sugerowała, że nie ma sensu robienie klasyki z „trzeciorzędnego grosziorstwa teatralnego”.

Repertuar wzbudził też niezdrawe zainteresowanie polityków. Gdy ogłoszono program 28. OKT, senator SLD Stanisław S. Nicieja napisał list otwarty, dopytując się o powody niezaproszenia do Opola najnowszego dzieła Adama Hanuszkiewicza (gdy Nicieja był rektorem Uniwersytetu Opolskiego Mistrz dostał w Opolu doktorat honorowy). Z kolei wicemarszałek województwa opolskiego Ewa Rurynkiewicz (debiutuje w roli urzędnika odpowiedzialnego za kulturę), wyraziła przekonanie - być może pod wpływem listu Nicieja - że repertuar OKT powinien być układany, nie przez radę programową, ale „opolskie elity intelektualne”.

Ten pomysł spotkał się od razu ze złośliwymi komentarzami. Niewykluczone też, że to właśnie on spowodował akredytowanych dziennikarzy do wyrażenia mocno krytycznych ocen na temat jakości lokalnych elit. Bar-

Werdykt jury

Jury w składzie Barbara Osterloff (przewodnicząca), Barbara Sass, Janusz Degler, Paweł Dobrzycki i Bogdan Hussakowski postanowiło nie przyznać Grand Prix.

Jury jednomyślnie przyznało Nagrodę Honorową Jerzemu Jarockiemu za wybitne inscenizacje sztuk Stanisława Ignacego Witkiewicza na scenach polskich od 1964 roku do dzisiaj.

Również jednomyślnie Jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

◆ nagrodę za debiut w wysokości 1.000 zł dla Magdaleny Boczarskiej za rolę Kurki Wodnej, Elżbiety Flake-Krawackiej w spektaklu *Kurka Wodna* Witkacego z Teatru Nowego w Łodzi

◆ wyróżnienie w wysokości 2.000 zł dla Mirosława Połatyńskiego za rolę Majora w spektaklu *Niepoprawni* Juliusza Słowackiego Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu

◆ nagrodę w wysokości 2.500 zł dla Tomasza Karolaka za rolę Drania Ryszarda de Korbowa-Korbowskiego w *Kurce Wodnej*

◆ nagrodę w wysokości 2.500 zł dla Radosława Krzyżowskiego za rolę Czeladnika I w spektaklu *Trzeci Akt* według Szewców Witkacego z Narodowego Starego Teatru w Krakowie

◆ nagrodę w wysokości 3.000 zł dla Doroty Kołak za rolę Elwiry w spektaklu *Mąż i żona* Fredry z Teatru Wybrzeże w Gdańsku

◆ nagrodę w wysokości 3.000 zł dla Arlety Los-Pławszewskiej za rolę Idalii w *Niepoprawnych*

◆ nagrodę w wysokości 4.000 zł dla Krzysztofa Globisza za rolę Sajetana Tempe w spektaklu *Trzeci Akt* według Szewców

◆ nagrodę w wysokości 6.000 zł dla Andrzeja Witkowskiego za scenografię do spektaklu *Królewna Orlica* Tadeusza Micińskiego z Teatru Współczesnego we Wrocławiu

◆ nagrodę w wysokości 8.000 zł dla Bartosza Zaczekiewicza za reżyserię spektaklu *Niepoprawni*

◆ nagrodę w wysokości 8.000 zł dla Łukasza Kosa za reżyserię spektaklu *Kurka wodna*.

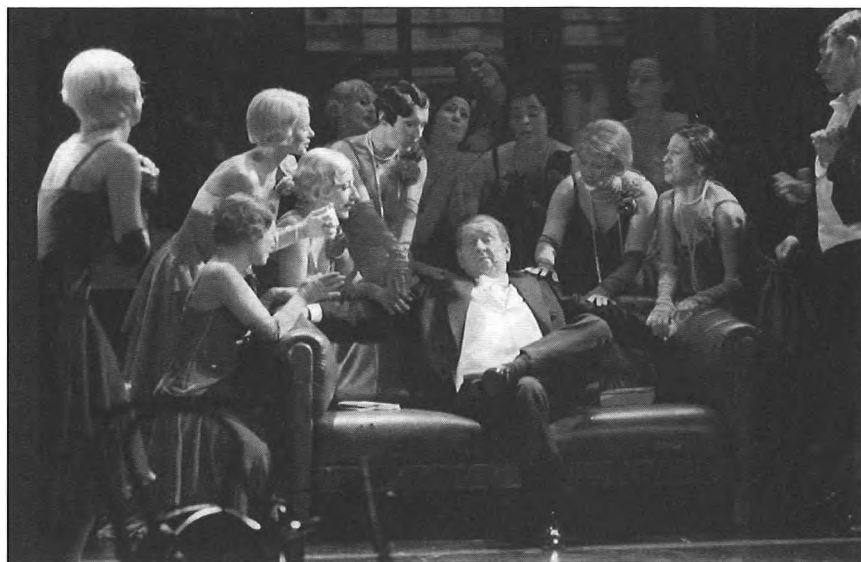
bara Fołtyn, która błyskotliwie prowadziła spotkania z autorami konkursowych spektakli, dopytywała się publicznie, dlaczego nie przychodzą na nie przedstawiciele opolskiego środowiska akademickiego i ich studenci. O tym, że festiwal z roku na rok podupada, mówił też Janusz R. Kowalczyk z „Rzeczpospolitej”. Bo na widowni tłumy opolan, ale o obejrzałych spektaklach nikt dyskutować nie chce. - Brakowało dobrej atmosfery - komentował Kowalczyk. I to był właśnie ten drugi przykry zgrzyt.

Na szczęście nie brakowało dobre go teatru. 28. OKT zgodnie uznane zostały za festiwal bardzo udany, Barbara Osterloff użyła wręcz określenia „modelowy”.

Zaczął się od *Królewny Orlicy* z Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Reżyser Krystyna Meissner sięgnęła po niedokończony dramat Micińskiego, zadając sobie pytanie, czy taka nieprawdopodobna młodopolska ramotka da się jeszcze w ogóle oglądać. Uznała, że można zaryzykować, stawiając na groteskę do kwadratu. Sam tekst Micińskiego, korzystający z konwencji teatru w teatrze, jest już rodzajem groteskowego rozliczenia z naszą narodową mitologią i patriotyczną histerią. Wrocławski spektakl poszedł o krok dalej, dokonując - piętro wyżej - celnego rozliczenia z ową postromantyczną i nieznosnie symboliczną manierą teatralnych rachunków sumienia. Bohaterowie, już wymyśleni jako postacie groteskowe, przypominają tu marionetki w papierowych czapach (inspirowanych, jak cała doskonała scenografia Andrzeja Witkowskiego, malarstwem Witolda Wojtkiewicza), stając się absurdalnie modelowymi polskimi typami. Krzysztof Kuliński jest wzorcowym polskim kapłanem: Robakiem, Rydzykiem, księdzem Markiem.

Demoniczny Mag Twardowski w interpretacji Macieja Tomaszewskiego jest z kolei wystylizowany na Witkacego, co przenosi dyskurs na jeszcze wyższe piętro.

Takich smaczków jest w tym spektaklu mnóstwo, a naprawdę kompetentny widz może je rozpoznawać i analizować w nieskończoność. Pyta-



Chorzowski „Dyzma”, choć przez jurorów zupełnie pominięty, został przez publiczność przyjęty bardzo ciepło.

nie tylko, po co w ogóle to robić? Krystyna Meissner udowodniła bowiem czarno na białym, że młodopolski język jest dziś nie do zniesienia, a narodowa mitologia, o której się nim rozprawia, jest praktycznie nieznana, a więc nieczytelna. Należało się więc cieszyć, że trupa Teatru Współczesnego wyciągnęła tę ramotę nie po to, by ją galwanizować, ale - przebić osinowym kołkiem ironii i pochować.

O ile na *Królewnie Orlicy* na widowini wolnych miejsc nie brakowało, to na *Kurce Wodnej* Witkacego w reżyserii 33-letniego Łukasza Kosa były już tłumy. Spektakl Teatru Nowego z Łodzi podobał się wszystkim, co nie dziwi, bo był i efektowny, i zwyczajnie mądry.

Łódzką *Kurkę*... skojarzono z pamiętnym *Bzikiem tropikalnym* Jarzyny, który wygrał OKT w 1997 roku, kusząc widzów aluzjami do współczesności. Nie brakowało ich u Kosa: mieliśmy ośmiornice z filmowego projektora, modną klubową muzykę, seks oralny za płachtą i świętego Tomasza Karolaka jako wygolonego niczym dresiarz Drania AD 2003. Ale przede wszystkim mieliśmy czytelny reżyserski zamysł. Kosa chwalono za znalezienie własnego klucza do Witkacego. Zasadnie - młody reżyser uszanował Czystą Formę, znalazł sceniczny wyraz dla onirycznego klimatu *Kurki*... (funkcjonalne parawany zaprojektowane przez Monikę Sudoł), ale popchnął spektakl w kierunku psychologicznego realizmu. Edgar Wałpor w interpretacji Oskara Hamerskiego był nie tylko kolejnym cudakiem z Witkacowskiej menażerii, ale normalnym inteligentem rozpaczliwie próbującym nadać swemu życiu jakikolwiek sens. Historiozofia, wszystkie te dramatyczne rewolucje i kontrrewolucje, działy się gdzieś w tle - nietypowego, ale jednak - dramatu rodzinnego. Całkiem słusznie, podobno żyjemy w epoce końca historii i Witkacy jest dla nas ciekawszy

jako psycholog niż politolog (przepraszam za uproszczenie).

Oryginalny i interesujący był też *Mąż i żona* Fredry, gościnnie wyreżyserowany na deskach Teatru Wybrzeże w Gdańsku przez Annę Augustynowicz. Ascetyczne, klarowne i precyzyjne (wystarczyło 75 minut) studium amoralnej niewierności dostało ogromne i zasłużone brawa.

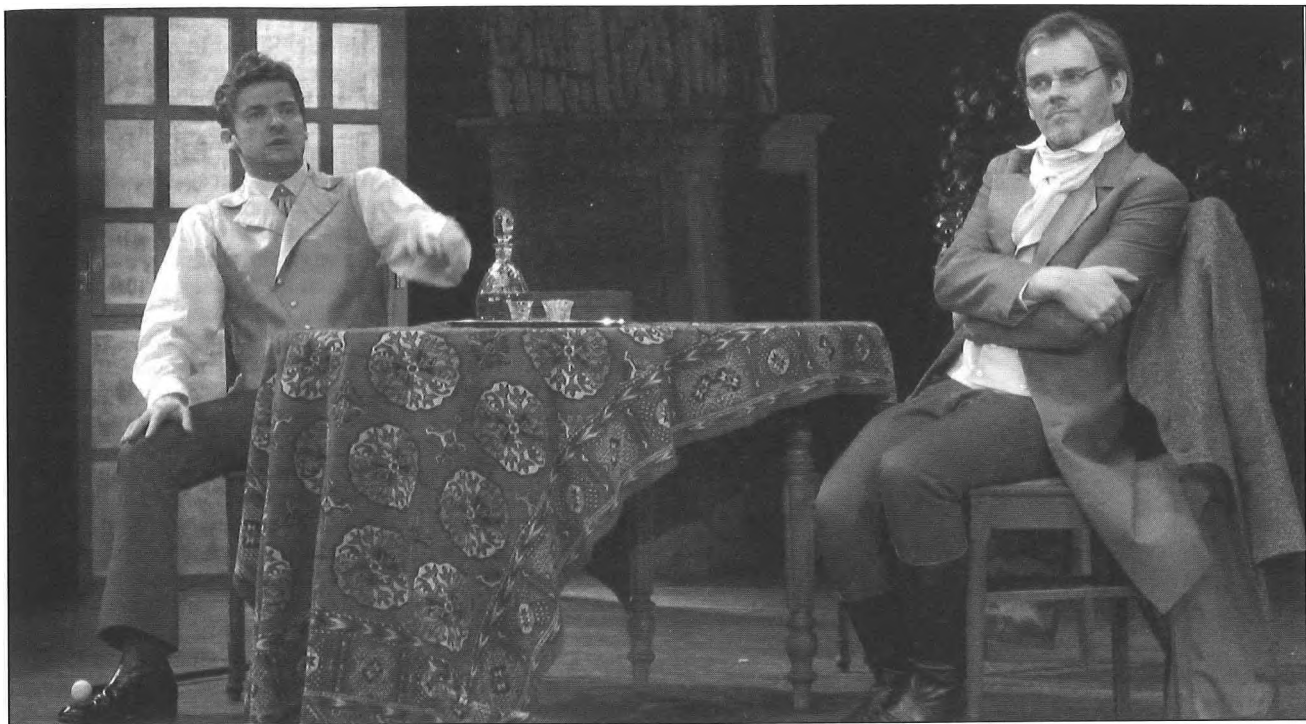
Augustynowicz postawiła na prostotę. Zawierzyła tekstowi i aktorom, zignorowała salonową intrygę, dokładnie przestudiowała za to psychologiczne mechanizmy damsko-męskich rozgrywek. Czoro bohaterów, ubranych we współczesne czarne stroje, walczyło ze sobą na scenie przypominającej zapaśniczy ring. Scenograf Marek Braun uznał, że wystarczy dwa krzesła (wszak najważniejsze sprawy rozgrywają się w cztery oczy) i okienna rama. Podarował jednak aktorom czerwoną piłeczkę, którą ogrywali między sobą na wszystkie możliwe sposoby (może zbyt dosłowna, ale trafiona ilustracja metafory o odbijaniu

piłeczki). Podawanym w manierze potocznej konwersacji rymom hrabiego Fredry towarzyszyły zupełnie współczesne gesty i zachowania, a relacje między bohaterami podszyte były jawnym i ostantacyjnym erotyzmem. Nie było epatowania nieprzyzwoitością czy nagością, ale była fizyczność i bezpruderyjna otwartość, całkiem stosowna w przypadku historii o skomplikowanym seksualnym czworokącie. Podstawowym atutem przedstawienia było jednak znakomite aktorstwo, przede wszystkim pań: Dorota Kolak w przeciwstawionych okularach doskonale oddała samoswiadomość i dojrzałość, ale już podszytą lękiem kobiecość, a Paulina Kinaszewska była modelową i bardzo współczesną nastolatką.

Dyzma w reżyserii Laco Adamika z chorzowskiego Teatru Rozrywki był zdecydowanie najbardziej oczekiwanym spektaklem OKT. Bilety sprzedano na pniu w ciągu dwóch dni, u „konika” pod teatrem trzeba było za nie słono zapłacić. I choć krytycy wybrzydzała a jurorzy musical zignorowali, widzowie się nie zawiedli. *Dyzma* dostał naprawdę gorące brawa, oklaskami nagradzano zresztą każdą udaną scenę, choćby przejmujący miłosny duet Niny i Mańki. Może tekst Dołęgi-Mostowicza był „literackim groszorbstwem”, ale do komentowania politycznej rzeczywistości nadaje się fenomenalnie (nie tylko polskiej zresztą, czego dowiodło *Wystarczy być* Jerzego Kosińskiego). Taka publicystyka, nawet jeśli chwilami płaska, jest po prostu celna. I trudno się dziwić, że opolscy widzowie brawami witali jednoznacznie aluzje do współczesności: pijaczków z Łyskowa w krawatach w patriotyczne paski i świetnie wszystkim znane hasło „Tera, kurwa, my!”. Bardzo podobał się Jacenty Jędrusik jako *Dyzma*, zupełnie inny niż ten w pamiętnej (młodzi by powiedzieli, że kultowej) interpretacji Wilhelmięgo, największe



„Kurkę wodną” w reżyserii Łukasza Kosa obsypano nagrodami.



Nie zawiedli również gospodarze. „Niepoprawnych” (czyli „Fantazego”) Juliusza Słowackiego wyreżyserował Bartosz Zaczekiewicz.

chyba owacje dostała Elżbieta Okupska grająca ulicznego śpiewaka.

Przy okazji oskarowych triumfów *Chicago* pisano, że musical jako gatunek najlepiej się czuje ilustrując upadek obyczajów i wszechobecny cynizm (stąd sukces takiego *Kabaretu*). Do chorzowskiego *Dyzmy* ta opinia pasuje jak ulał, taki właśnie amoralnie cyniczny był ten polski chochoł tanciec do muzyki Korcza i słów Młynarskiego. By to docenić, trzeba by jednak mieć jakiś punkt odniesienia. I tej możliwości skategoryzowania wrażeń chyba jurorom zabrakło. Bo do czego niby mieliby *Dyzmę* porównać? Do *Metra*?

Bardzo dobrze przyjęto też *Niepoprawnych* opolskiego Teatru im. Jana Kochanowskiego, czyli *Fantazego* Słowackiego zagrane pod swoim pierwotnym tytułem. Spektakl Bartosza Zaczekiewicza błyszczał zwłaszcza na tle niesławnej pamięci inscenizacji Jarosława Tochowicza, która wpakowała *Fantazego* w realia hipermarketu.

Tym razem nie było tanich chwytów. Zaczekiewicz to specjalista od komedii i w tym właśnie kierunku - idąc za sugestią Jarosława Marka Rymkiewicza - skierował swoją interpretację dramatu, który wcale nie jest jednoznacznie zabawny. Reżyser celowo wyciszył akcenty tragiczne, zadbał za to o drugie dno. Plakaty reklamujące *Niepoprawnych* głosiły prowokacyjnie, że „Słowacki wielkim poetą był”, sugerując, że będziemy mieli do czynienia z Wieszczem czytany Gombrowiczem. Zaczekiewicz, który bywa też aktorem, pokazał kiedyś w Opolu swój monodram według *Ferdynarda*, w który (w trakcie pamiętnej lekcji polskiego profesora Pimki) wplótł Słowackiego,

recytowanego z równym zaangażowaniem i przekonaniem co tekst Gombrowicza. Trudno o lepszy klucz interpretacyjny do *Niepoprawnych*. Mądrze prowadzeni aktorzy (nagrody!) dołożyli wszelkich starań, by pokazać, w jaki sposób językowe klisze, których używamy, dorabiają nam „gębą”, raczej fałszując niż odsłaniając nasze prawdziwe myśli i intencje. Zaczekiewicz nie zapomniał oczywiście o Wieszczu. Nie tylko Barbara Osterloff zachwycała się jego „robotą nad wierszem”: dbałością o kadencję i średniówkę, troską o zachowanie rytmu.

Jedyną repertuarową wpadką była *Moralność pani Dulskiej* Zapolskiej w reżyserii Andrzeja Bubienia z Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu. Choć w kulaarowych dyskusjach Barbara Fołtyn próbowała koncepcji spektaklu bronić, inscenizacja Bubienia zgodnie uznana za najłabszy punkt OKT. Publiczność głosowała nogami, po przerwie widownia opustoszała. Bubień uwspółcześnił dramat Zapolskiej, przesuwając akcenty w taki sposób, że pani Dulka zeszła na drugi plan, a dramat stał się opowieścią o deprawacji czekającej młode pokolenie w świecie, w którym mieszczańskie pozory zastępują prawdziwe wartości. Prince sączący się z wieży stereo, do tego młode panienki w bojówkach i z gołym brzuszkiem, pokątnie palące trawkę. Wszystko to popchnęło inscenizację w kierunku obyczajowej tenelowej. Niestety, również aktorско.

W szczególny sposób jurorzy potraktowali *Trzeci akt* według *Szewców* Witkacego, który z trupą Starego Teatru w Krakowie wystawił Jerzy Jarocki. Jarocki otrzymał nagrodę

specjalną, swego rodzaju Oscara za dokonania „na niwie witkacologii”. Czyżby była w tym sugestia, że Stary Mistrzowie nie powinni już stać w festiwalowe szranki?

Precedens już był: kilka lat temu Jerzy Grzegorzewski wycofał swoje *Wesele* z konkursu (wtedy złośliwie komentowano, że nie chce przegrać z Jarzyną).

Szewcy ze Starego Teatru z Krakowa mogli się podobać. Jarocki pokazał, że Witkacego da się dziś zagrać w sposób klarowny i przekonujący. Atutem przedstawienia było aktorstwo - trzeba umieć grać i świetnie rozumieć tekst, by wydobyć sens Witkacowskich dialogów. Znakomity był Krzysztof Globisz, ale jego partnerzy także stanęli na wysokości zadania. Spektakl zagrany został od końca, co z góry przekreślało nadzieję na pozytywną transformację społeczną i indywidualną. Zamyśl ten świetnie zilustrował tezę o naprawdę nieuniknionym zbydlęczeniu i niemożliwym do zaspokojenia metafizycznym głodzie.

Bartosz Zaczekiewicz, który jako dyrektor „Kochanowskiego” był też gospodarzem imprezy, sugerował, by spojrzeć na nią w kontekście Rywiny. Coś było na rzeczy - w tym roku nie było dzieł sławiących naszą narodową wielkość, przeważały te poświęcone egzorcyzmowaniu polskich czartów, tych wielkich i małych. Taki festiwal, jakie czasy.

W klasyce powinniśmy się przegladzać jak w lustrze. Tym razem udało się w pełni. Z pokazanych na 28. OKT klasycznych dzieł spoglądały na nas te same nieśmiertelne polskie gęby, które oglądamy na co dzień.

MAREK ŚWIERCZ

Z profesorem Uniwersytetu Śląskiego
dr hab. STEFANEM SZYMUTKĄ
rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA

Foto: Marek Pytasz



Ciotka Cila idzie do Europy

- Na ile uprawnione jest pojęcie „filozofia śląskości” - czy w ogóle istnieje, rozumując w kontekście Twojej, jak dotąd niepowtarzalnej, książki *Nagrobek ciotki Cili*, będącej swego rodzaju wydarzeniem bez precedensu w pisarstwie o Śląsku. Dodam, że na łamach „Śląska” ukazał się pierwodruk obszernej partii tej książki. Czym dla Ciebie jest Śląsk, profesora Uniwersytetu, urodzonego i żyjącego w Mysłowicach, mającego w sobie najprawdziwszą śląską przeszłość i teraźniejszość?

- Nie jestem filozofem. Filozofia uogólnia - zajmuje się bytem jako całością, byt poszczególny jest w niej czymś w rodzaju skandalu. Dlatego pod względem filozoficznym *Nagrobek...* to książka prowokacyjna, gdyż dotyczy tego, co jedyne, jednostkowe, osobnicze. A że byt poszczególny, który jest głównym bohaterem moich esejów, pochodzi akurat ze Śląska, nie powiem, że ma to znaczenie drugorzędne, ale z pewnością wskazuje właściwości fabuły nie należy przeceniać, przewartościowywać. Jeśli w ogóle *Nagrobek...* zawiera jakąś filozofię Śląska, to jest to wizja jednostkowa, poniekąd przypadkowa.

- Już na samym początku *Nagrobka...* napisałeś: „Żal mi jedynie - wiem: bezsensownie, głupio, idiotycznie etc...” - że historyczności Mysłowic nie dane było stać się historycznością uniwersalną w sposób, w jaki Proust ocalił Combray (Illiers), a Joyce - Dublin”.

- W humanistyce, w literaturoznawstwie szczególnie nastała moda na filozofię. Natomiast mnie się wydaje, że więcej inspiracji znaleźć można w literaturze, iż ona lepiej radzi sobie z życiem. Wybrałem więc esej, w którym mogłem dyskutować, spierać się z filozofią, a zarazem próbować literackich możliwości. Stąd te wielkie nazwiska u prowincjonalnego pisarzyni, który chciałby (pomocę sobie fragmentem z Herberta) zaprowadzić Śląsk „nad brzeg oceanu”.

- Przypomnę jeszcze jedno Twoje zdanie z *Nagrobka...*: „Wystarczy urodzić się Ślązakiem, odziedziczyć śląskie geny i zostać wychowanym przez Ślązackę (taką, jak moja babka), by już w dzieciństwie zostać postmodernistą - tak silny jest w śląskości antylogocentryzm...”

- Sformułowaniem, że Śląsk jest przeciw logosowi, wywołałem oburzenie i powątpiewanie, lecz jakże inaczej określić ową śląską nieufność do mgieł metafizyki? Niedawno miałem w ręku książkę, w której młody badacz (polemizując ze mną) dowodził, że w sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Śląsk, tęskni on za logosem, marzy o logosie, potrzebuje logosu. Może tak, może nie, nie będę się kłócić, gdyż nigdy nie twierdziłem, że jest jeden Śląsk, niezmienny w czasie i przestrzeni, stały w swych upodobaniach i wyborach. Irytowało mnie natomiast zawsze unieruchamianie Śląska w jakimś przeszłym czasie, utożsamianie z tym, co minęło. To pozbawianie Śląska dziejowości, odgradzanie go od tego, co może się zdarzyć: robienie ze Śląska skansenu.

- Ale jest jeszcze inny Śląsk: mityczny, jakim go widzi chociażby Henryk Wańk.

- Masz rację, lecz i w refleksji Henryka Wańka Śląsk to przede wszystkim miejsca najbliższe: ulica, przy której się mieszkało, podwórza dzieciństwa, parafialny kościół itd. Każdy z nas ma taką własną mapę pamięci. Mówiłem o tym na sesji w Niemczech, poświęconej problematyce regionu: najbliższe miejsca mogą istnieć gdziekolwiek, nie geografia określa ich znaczenia, lecz myśli, uczucia, doznania ludzi, którzy żyją w danym regionie.

Oczywiście, nie odmawiam Śląskowi specyfiki, swoistości. Lubię zwłaszcza śląskie poczucie humoru, łatwość śmiania się z najpoważniejszych problemów, niepowtarzalny talent do rozbijania grozy istnienia. Wiele cech odróżnia nas od innych Polaków, nie wszystkie są chwalebne. W książce jednak unikałem tych zagadnień, starałem się wymknąć stereotypom mówienia o Śląsku, interesował mnie Ślązak raczej jako jednostka niż członek społeczności, bohater indywidualny, a nie zbiorowy. *Nagrobek...* jest książką o człowieku pojedynczym.

- W pisaniu o Śląsku często dopasowuje się to, co mityczne, do tego, co współczesne. Nie ma teraźniejszości jako takiej.

- To mnie właśnie irytuje i właśnie owo nieuwzględnianie żywych treści nazywam robieniem ze Śląska skansenu. Nie bez winy są Ślązacy warszawscy, którzy widzą Śląsk z oddalenia, ale grzeszą także miejscowi Ślązacy, zamykając oczy na współczesność. „Ja się za przykład nie stawiam”, lecz akcja *Nagrobka...* rozpoczyna się w czasie I wojny światowej, a kończy niemal w roku wydania książki. Na ogół natomiast pisze się o Górnym Śląsku wczesniejszym, co o tyle zrozumiałe, o ile im bliżej dzisiaj, tym trudniej wykazać odrębność rejonu Katowic. Śląsk nie jest wyspą, nie jest nawet półwyspem, żaden region nie obroni się przed globalizacją. Posłużyłem się już kiedyś tym przykładem: śląski Nikiszowiec, na czerwonej, starej, szczernej cegle familoka rażąca niebieską plamą reklamy Philipasa. Niby gdzie Śląsk, gdzie Holandia, a jednak... Taka jest współczesność.

- Podczas wspomnianej przez Ciebie konferencji w Niemczech, poświęconej w jakimś stopniu widzeniu regionów, czy poza Tobą ktoś prezentował podobny punkt widzenia na miejsce swojego urodzenia? Przypomnę, że tekst Twojego tam wystąpienia publikowaliśmy swego czasu na łamach „Śląska”.

- Zaznaczył się przede wszystkim podział ważny nadal na Niemców: ost i west, wiele o nim mówiono. Literatura DDR-owska była pewną enklawą, zamkniętą przestrzenią - pisarze ze wschodnich Niemiec po zjednoczeniu musieli wyrzec się przyzwyczajeni artystów, co prawda, kontrolowanych, ale i dotowanych, oficjalnych. W ogóle odniosłem wrażenie, że temat przejścia od socjalizmu do kapitalizmu jest w literaturze niemieckiej ważniejszy niż w naszej - więcej się pisze o ekonomicznym uwikłaniu artysty, kon-

flikcie racji estetycznych i materialnych, upadku sztuki wysokiej. Mimo to, i Polacy, i Niemcy zgodnie twierdzili, iż region jako miejsce własne to przede wszystkim miejsce poszczególne, miejsce jednostki, gdzie ona pracuje, tworzy, myśli, po prostu: żyje.

- Powiedziałeś: Śląsk nie jest wyspą, jednak często bywa tak odbierany, a co gorsza, tak prezentowany. Czy rzeczywiście dzieją się tu ciągle rzeczy tak nadzwyczajne, tak różne od innych miejsc, że wymaga specjalnego traktowania pod każdym względem.

- Jest taka powieść Parnickiego (*I u możliwych dziwny*), która opowiada o dziejach Zagłoby przed jego pojawieniem się w karczmie Dopuła, czyli przed początkiem Sienkiewiczowskiej *Trylogii* (drugi rozdział *Ogniem i mieczem*). Zagłoba Parnickiego ucieka przed sobą w Zagłobę Sienkiewiczza, żegnając się z Towarzystwem Jezusowym, rzuca wyzwanie: „Spróbujcie wygrać z mitem!” Ze Śląskiem mamy taki sam problem, to mit, z którym nie sposób wygrać. Wskażmy choćby na żywotność stereotypów Śląska, Ślązaczki, Ślązaka. Przestałem już reagować, kiedy wpycha się mnie w ten stereotyp, nie drażni mnie nawet, gdy ktoś posługuje się nim, by mnie zlekceważyć - sformułowania typu „kolega ze Śląska” jako synonim kogoś, kto, jak małpa, chodzi jeszcze na czworakach. Może to niegroźne, może to tylko element folkloru i tyle.

- Skoro więc w jakimś sensie istnieje podobieństwo różnych miejsc, to co będzie wyróżniało Śląsk? Wartości, które niosła w sobie ciotka Cila, są nie tylko jednostkowe, wyłącznie jej przynależne - w książce odnosisz je ogólnych do sformułowań filozoficznych Heideggera, nie przeciwstawiasz ich sobie, a wręcz ukazujesz wyższość tego co plebejskie nad tym, co filozoficzne.

- Nie jestem prorokiem, nie wiem, jaki będzie Śląsk po - jak dziwnie określamy akces do Unii - „wejściu do Europy”. Na główne problemy nie mam i nie mogę (jako tylko humanista) mieć recepty: na brak pracy, kiepską kondycję przemysłu, kłopoty mieszkaniowe, złą sytuację młodych ludzi itd. Może trafnie przewiduje Tadeusz Ślawek, choć teza nie brzmi przekonująco, iż z miejsca pracy rąk przekształci się Śląsk w miejsce pracy umysłów. Sądzę jedynie, iż - prędzej czy później - Śląsk znów będzie wielonarodowy. Jedni (jak w XIX wieku) będą się tu osiedlać, zakładając przedsiębiorstwa; drudzy powrócą tam, gdzie żyli ich przodkowie. Mam na myśli głównie Niemców. Już teraz jesienią na karkonoskich szlakach (przynajmniej) równie często słyszy się *guten tag i dzień dobry*. Na Cimoku i w okolicy, o czym nie piszę w *Nagrobku...*, mieszkali Polacy, Niemcy i Żydzi. I jakoś się wspólnie żyło, jakoś można było wspólnie żyć. Niewykluczone, że akurat owa możliwość wyróżnia Śląsk.

- Czy czegoś się obawiasz?

- Boję się przede wszystkim szantażowania Górnym Śląskiem, wymuszania ulgowej taryfy, kultywowania słabości. Nie przeczę, iż Śląskowi coś się od Polski należy. Ale jeśli nie będziemy opierać przyszłości na własnych siłach, nie pomoże nam najbardziej hojne wsparcie z Unii. Chodzi mi o wszystkie dziedziny życia - o osiągnięcia w produkcji, handlu, nauce, sztuce, organizacji życia społecznego... Chciałbym być dumny ze Śląska.

Powiem coś o swoim podwórku. Brzydzę się, kiedy zaściankowi badacze, którzy bynajmniej do skromnych nie należą, usprawiedliwiają swoje zamknięcie się w regionie lokalnymi zobowiązaniami, wiernością miejscowej tradycji itp. To bezwzględnie alibi słabej myśli, miernej twórczości, ohydne manipulowanie Śląskiem. Albo śląskie może się przydać innemu, drugiemu, znaczy coś poza samym sobą, albo nie jest warte zachowania - nie może być tak, iż coś, co ważne w regionie, traci ważność poza nim; nie może być dwóch skal wartości. Nie można być pierwszorzędym pisarzem śląskim i zarazem trzeciorzędym polskim - bzdura! Złe świadectwo wystawiamy Śląskowi, przedstawiając go jako pacjenta szczególnej troski. Ze Śląskiem nie jest aż tak źle.

- Jak *Nagrobek ciotki Cili* jest traktowany przez innych odbiorców, nieśląskich?

- W zasadzie nie traktowano *Nagrobka...* jako książki o Śląsku - odbierano go jako rzecz o jednostkowym losie, o relacji między językiem i rzeczywistością, o sensie własnego istnienia. Książka stała się bliska ludziom z innych regionów, kiedy znajdowali w niej podobne do własnych doświadczenia, niepokoje. Śląsk nie był, nie mógł być przedmiotem dyskusji. Ja przecież nie piszę o Śląsku mitologicznym, czyli ogólnie znanym.

- Napisałeś swego rodzaju zaprzeczenie tej mitologii, nadając wszystkiemu, co było w Twojej przeszłości i tej przeszłości znanej Ci tylko z rodzinnych albumów i opowieści, wymiar czysto fizyczny, racjonalny.

- Rozumiem fascynację Górnym Śląskiem z okresu powstania, dwudziestolecia międzywojennego. Rzeczywiście mamy się czym pochwalić, zwłaszcza jeśli włączymy tradycję niemiecką. Reszta jest nostalgią, a nostalgia - jak to świetnie ujął mój przyjaciel (z Warszawy) Marek Zaleski - „żywi się pamięcią, z której usunięto ból”. Nostalgia idealizuje, kłopotliwe, bolesne sprawy spycha na dalszy plan. Dobrze, nie zapominajmy o zachowywaniu tradycji (w *Nagrobku...* wzmiankuje o udziale babki Julii w życiu kulturalnym Śląska), ale pamiętajmy też o międzywojennym bezrobociu, biedzie. Chwalmy heroizm powstańców, nie ukrywając jednak dotkliwej i wstydlivej kwestii dezercji z powstańczych szeregów. Nie twórzmy sztucznego obrazu Śląska.

- Śląsk od lat co najmniej kilkunastu szczyty się humanistyką uniwersytecką, nieco odmienną w pewnych aspektach od tej na innych uczelniach w kraju. Zauważa się region, w którym żyją twórcy, naukowcy, badacze literatury, którzy mają inne spojrzenie na to, co na Śląsku powstaje i, co ważne, chcą Śląsk pokazywać innym, niż funkcjonuje w tradycji, w standardach, w mentalności i świadomości ludzi mieszkających poza Śląskiem.

- *Nagrobek ciotki Cili* był w Niemczech, teraz jest w Szwecji, gdzie ukaże się przekład dwóch rozdziałów. Okazuje się, że ciotka Cila w śląskim łoblecyniu, gdyż w nie ubierała się na co dzień i w święta, może przebywać z dala od Śląska. Zgoda, jesteśmy krzywdzeni, nie docenia się nas. Wystarczy (dla przykładu) przyjrzeć się tzw. rankingom uczelni w Polsce - Uniwersytet Śląski zawsze zajmuje w nich niższe miejsce, niż na to zasługuje. Nic nie zwalnia nas jednak z obowiązku bycia najlepszymi - tylko tak możemy sprostać temu wyzwaniu, jakim jest Śląsk. Nie wolno nam uznać narzucanego dyktatu, zgodzić się na prowincjonalność i peryferyjność. Nie jesteśmy gorsi.

- Czy na *Nagrobku...* zakończyłeś swoje rozważania o Śląsku i śląkości? To było jednorazowe wydarzenie?

- Nigdy nie ukrywałem, że ta książka powstała przypadkowo, co nie oznacza, że jest przypadkowa. Coś we mnie było, czekało od dawna... na odpowiedni moment, na odpowiednie słowa. Nie żałuję, lecz ja włożyłem w tę książkę (złośliwi powiadają: książeczkę) mnóstwo pracy, niemal każde zdanie wielokrotnie poprawiałem, chociaż „wyjściowa” wersja tytułowego eseju powstała w ciągu trzech dni - Krzysztof Kłosiński nazwał ten pierwszy esej krzykiem, wybuchem dławionego, pewnie słusznego. Albowiem jest to też książka o rozszczepieniu, o przejściu z jednej kultury do innej, ze śląskiej kultury plebejskiej do kultury (było, nie było) światowej, lecz z pamięcią o tej pierwszej. Musiałem pogodzić w sobie śląskie dziecko z dorosłym, którego więzi ze Śląskiem nie są już tak mocne, jednoznaczne.

Książka jest przypadkowa, jak przypadkowi są jej bohaterowie, jak przypadkowi jesteśmy wszyscy. Oczywiście, co ważne na początku, to najpierw hołd złożony mojej ciotce, mojej babce, dziadkom: tych nazw używam w szerszym znaczeniu, ponieważ na Cimoku (wspominam w książce) mieliśmy wiele babek i dziadków, nie było podziału rodzinnego, babki moich kolegów opiekowały się nami tak samo, jak swoimi wnukami. W tym względzie nic mnie nie odróżnia od Kutza czy Wańka - to wierność miejscu urodzenia, dzieciństwa, młodości; wierność dziedzictwu, pojmovanemu jednak tak, jak je rozumie wielokrotnie przywoływany w *Nagrobku...* Heidegger: dziedzictwo nie jest tylko przejęciem, przeszłością, to również (a może: głównie) zobowiązaniem.

wiązanie wobec przyszłości, posłannictwo. Stąd taka, a nie inna struktura czasowa *Nagrobka*... do czasów najnowszych, do takiego mnie, który już jest profesorem uniwersytetu, inaczej - choć nadal po śląsku - myśli o świecie.

Wróć jeszcze kiedyś, mam nadzieję, do Śląska dzieciństwa i młodości - skłania mnie do tego odbiór książki. W najważniejszych sprawach nie ma różnicy między Ślązakami a innymi. Chcę pokazać, że to jest ten sam człowiek, który kocha, cierpi, wyrządza zło, czyni dobro. Ślązak (dlaczego nie?) mógłby być bohaterem Dostojewskiego. Pojawiają się postaci, które nie występują w *Nagrobku*..., albo pojawiają się tylko w napomknieniach.

- Książka Twoja była nominowana do Nagrody Nike, i chociaż ostatecznie nie przyznano jej tego lauru, to jednak odbył się sporo spotkań, podczas których musiałeś odpowiadać na szereg pytań dotyczących książki, siebie, twojego miejsca na ziemi. O co pytano najczęściej, jaki był odbiór tej książki poza Śląskiem, jaka jest znajomość Śląska?

- Kiedy dowiedziałem się, że *Nagrobek*... został nominowany do Nike, pomyślałem, że to żart. Małe wydawnictwo, żadnego sponsoringu, poparcia... Tę książkę ze Śląska najpierw docenił nie-Śląsk: Poznań, Kraków, Warszawa - gdyby nie późniejsza nagroda śląskiej „Solidarności”, można by pomyśleć, iż Śląsk ją zignorował (moje Mysłowice właściwie jej nie zauważyły). Oczywiście, mowa o instytucjach - nie o ludziach, ci czytali wspaniale, najlepiej. Pod koniec ubiegłego roku *Nagrobek*... został nagrodzony w konkursie wydawców książek (w kategorii eseju). Prowadząca jedno ze spotkań z laureatami, Grażyna Borkowska, zapytała mnie wprost, jak ja to robię, że potrafię połączyć lektury uniwersyteckie z najwykleszszymi przeżyciami. Odpowiedziałem szczerze, chociaż i bezzadanie: ja inaczej nie umiem.

Zarazem pojmuję rozterkę Grażyny, znam genezę dylematu. Literatura nastawiona na literaturę, co w swych zabawach zapomina o poważniejszych zadaniach; literaturoznawstwo, w którym zakazuje się osobistych odczuć, mimo że pozwala się na piękny styl. Wiem, iż ja beczelnie w *Nagrobku*... wykorzystuję „elitarnie” książki w analizie najtrudniejszych kłopotów, ale wiedza musi przecież czemuś służyć, nie może zamykać się w samej sobie, w moich esejach występuje przeciwko wyobcowaniu wiedzy.

Książki raczej, co już zaznaczałem, nie czytano jako książki o Śląsku, mimo iż nie ignorowano inności przestrzeni akcji. Zabawne, że dość często źle wymawiano tytuł książki: „Nagrobek ciotki Czili”, jakby moja ciotka była przyprawą, śląskie zdrobnienie imienia (nic dziwnego) brzmi egzotycznie. Odbierano, powtarzam, moje eseje jako traktat o człowieku pojedynczym, który nie umie poradzić sobie ze swoją rzeczywistością. Nikt - poza pewnym zawistnym, żalonym grafomanem z (uwaga!) Katowic - nie wpadł na pomysł, że wykorzystuję Śląsk, by zrobić karierę literacką.

Dostrzegano natomiast, że staram się odnaleźć w śląskości to, co może być atrakcyjne dla innych kultur. Zauważono, ku mej radości, iż wygłosiłem pochwałę dobrego człowieka. Nikim się teraz bardziej nie gardzi, z nikogo bardziej nie szydzi, nie postępuje - dobry człowiek, który nie tylko nie szuka korzyści, lecz traci, pomagając, troszcząc się, wyrzekając się samego siebie. Egoiści, broniąc swojej postawy, nazywają dobrego człowieka masochistą; dobrzy ludzie - coraz ich mniej.

Na spotkaniu w Warszawie Michał Komar przebił mnie samego. Ja obrazoburczo zrównałem ciotkę Cیلę z Heideggerem, Komar uznał, że to za mało; że zrównanie obraża ciotkę Cیلę - według Komara ciotka Cila jest postacią bardziej wartościową niż egocentryczny, zapatrzonny we własną myśl filozof. Cieszy mnie jego sprzeciw nie jedynie dlatego, że wskazuje, iż udało mi się, co nie jest takie proste, z bytu jednostkowego, autentycznej postaci, osoby uczynić przykład, wzór. Cokolwiek by uczonemu nie powiedzieć o mojej książce, jest przecież - jak wskazuje jednoznacznie tytuł - poświęcona mojej ciotce, mojej ciotecznej babce, Cecylii Lelonek.

- Będzie więc nowa *Ciotka Cila*, z nowymi wątkami.

- To jeszcze potrwa kilka lat, wiele jeszcze muszę prze-myśleć, znaleźć. W dodatku ja nie jestem pisarzem: jestem pracownikiem Uniwersytetu, autorem przede wszystkim pism uniwersyteckich: recenzji, opinii itd. Powinienem pisać głównie tzw. - choć w humanistyce nikt już właściwie nie wie, co to takiego - artykuły i książki naukowe. Ćwiczenia, wykłady seminaria. Upragniony czas: czas dla siebie.

- Można zatem stworzyć swego rodzaju filozofię tego miejsca, Śląska?

- Trzeba by wrócić do tematu stereotypów, które nie muszą zawierać nieprawdy. Np. i według Kutza, i według Wańka godną podziwu jest Ślązaczka, ona, a nie on. Ślązak to „slimok”, nieporadny i „rozlaży” - to Ślązaczka jest pracowita, zapobiegliwa, uparta i skuteczna. I u mnie - zwróć uwagę! - też bohaterką jest kobieta, ciotka Cila. Różni mnie więc nie stereotyp, ale intencja; ja chciałem wyprowadzić Śląsk na światowe wody. Wzorowałem się więc nie na Morcinku, lecz na Joysie - w ogóle: na wielkiej literaturze. Tak było z *Pożegnaniem* (ostatni rozdział książki), które zaskakiwało tragizmem. Miałem satysfakcję, kiedy jeden z moich przyjaciół zauważył związek między *Godzinami* a *Nagrobkiem*... Jak mogłoby go nie być? Strukturę książki - ową nagłą zmianę tonu, załamanie akcji - wziąłem z *W stronę latarni morskiej* Wirginii Woolf; w tej powieści (naśladując ten chwyt w moich esejach) gwałtownego zwrotu fabuły nic nie zapowiada. Czerpałem garściami, jak zresztą wszyscy piszący, z dokonania literatury powszechnej. Stąd - ze Śląska - był temat, przeżycie.

- Uniwersytet Śląski, Wydział Filologii Polskiej, był swego czasu organizatorem tzw. sesji śląskoznawczych. Było to absolutne novum - takiego Śląska jeszcze nikt nie pokazywał, tak o Śląsku się nie mówiło, to zupełnie inne kategorie poznania.

- Z początku sesje te miały charakter improwizacji, skrzyknięcia się, takiego naukowego undergroundu. Zaskakiwały także samych uczestników. Ujawnił, objawił się Śląsk nie taki, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni.

- Zatem nagle pojawił się inny Śląsk, zresztą taki tytuł miała bodaj pierwsza sesja.

- Tytuł był bardziej prowokacyjny: Śląsk inaczej. Mieliśmy dość Śląska, zniechęconego w schematach, zakurzonego, zmienionego w martwy przedmiot nie kończących się badań nad tymi samymi tematami, Śląska bezpiecznego i mdłego. Nasz Śląsk był niemal szaleńczo żywy, bez podziału na problemy śląskie i osobiste, regionalne i uniwersalne, nowe i stare - Śląsk przeżywany i zarazem czytany, odczytywany przez tych, którzy nie wahali się zestawiać spraw śląskich z najważniejszymi sprawami ludzkości. Niby lokalna problematyka, ale w komentarzach cytaty z najwybitniejszych dzieł naukowych, filozoficznych, literackich. Żadnej alienacji wiedzy, uniwersyteckiej rutyny, skrępowania, iż oto - nawiązując do starożytnej maksymy - rzeczy małe porównuje się z wielkimi. Niestety później stare wchłonęło nowe, zniżyło. Prze-grałszy, albo prędzej: daliśmy za wygraną.

- Do głosu doszedł chyba ten tradycyjny regionalizm.

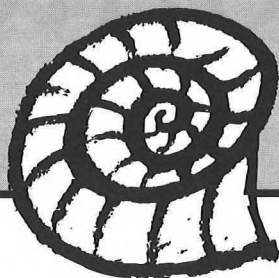
- Słabością myślenie regionalistyczne jest wstyd. Pochodzę stąd, zajmuję się tym miejscem, głoszę jego ważność, lecz tak naprawdę wstydę się przed innymi regionami, zwłaszcza przed centrum, przed Warszawą i Krakowem. Takie myślenie było obce naszym undergroundowym sesjom, już choćby dlatego, że wśród uczestników nie było podziału na Hanysów i Goroli - liczyła się wyłącznie fascynacja Śląskiem. Myśmy nie wstydzieli się Śląska, myśmy się nim chępli i to tak skutecznie, że nasze teksty drukował krakowski „NaGłos”, warszawska „Res Publica Nowa”, omawiała centralna „Gazeta Wyborcza”. Moczą, w interpretacji Aleksandra Nawareckiego, była nie tylko, nie przestając nim być, śląskim daniem wigilijnym - to była potrawa mistyczna, tak wiele różnych wątków kulturowych, tradycji z różnych czasów i miejsc, symboli, treści odnalazł w „głupiej” mocze Olek. Żyliśmy śląską problematyką.

Naumęczonym i zdegradowanym Górnym Śląsku istnieją oazy zieleni i piękna. Miłośnicy przyrody odwiedzają kwitnące kolekcje różaneczników i azali m.in. w ogrodzie botanicznym w Nowym Dworze pod Opawą czy w rezerwacie leśnym w okolicach Lublińca. Mało kto wie, że oazami zieleni są też południowe dzielnice Katowic, a szczególnie dawne osiedle urzędnicze w Ligocie odzwierciedlające swoją topografią dawną geografę regionów Polski. Tam przy ulicach o nazwach, nadanych jeszcze przed II wojną światową, takich jak Wileńska, Huculska, Pomorska, Kaszubska - rosną posadzone za Starej Polski ciekawe gatunki drzew. Od 1955 roku w końcu maja ligocki Dom Kultury organizuje coroczną imprezę plenerową pod nazwą Święto Kwitnących Głógów. W trakcie tego święta zieleni odbywa się parada wspaniałych kopalnianych orkiestr dętych tak typowych dla folkloru górnośląskiego. Najsilniejszym akcentem parad kwitnących głógów są wspaniałe mażoretki, czyli maszerujące młode dziewczyny nawiązujące do tradycji napoleońskich (a nie amerykańskich jak większość z nas sądzi). Prezentowane są także teatry uliczne, a na estradzie przy MDK odbywają się występy znanych zespołów artystycznych. Kwitnące i pachnące głogi - rosnące przy Mazowieckiej i Pomorskiej, a także jarzęby i akacje posadzone na sąsiednich ulicach i alejach są wspaniałymi akcentami tego święta dzielnicy Katowic Ligoty. Kwitnące głogi pokryte są kępkami kwiatów przypominających miniaturowe różyczki. Białe kwiaty głógów wydzielają dość ostry, choć niezbyt przyjemny zapach, który zwabia wiele różnych owadów i pozostaje długo w naszej pamięci. W sierpniu małe ciemnoczerwone owoce dojrzewają i pozostają na gałązkach aż do mrozów. Uwielbiają je gnieźdzące się opodal kosi i inne liczne ptaki śpiewające. Niektóre gospodynie domowe robią z nich marmolady, dżemy i syropy, a także wino. Owoce głogu stanowią również surowiec zielarski, stosowany przy chorobach serca, miażdżycy, goścu, nadciśnieniu i alergiach. Dlatego też na jesieni po pierwszych przymrozkach odbywają się w Ligocie żniwa głógów i jarzębów szwedzkich służących do produkcji sorbowitów.

Kwitnącym w Ligocie głogom towarzyszy woń kwitnących azali i rododendronów w przydomowych ogródkach. Rododendrony i azalie to bliscy wrzósów, wrzósów i borówek czy też rzadszych roślin z rodzaju *Gaultheria*, *Kalmia* czy *Andromeda*. Coraz częściej w ogrodach miast aglomeracji śląskiej, obserwujemy wspaniałe ciepłe kolory kwiatów azali i rododendronów. Pikanterii zapachowej dodają kwitnące bzy, magnolie, akacje i drzewa owocowe. Różne odcienie koloru żółtego, pomarańczowego i czerwonego to najczęściej azalie, podczas gdy rododendrony mają odcienie różu, fioleto i bieli. Intensywne

EKOLOGIA

Kolumna dofinansowana
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Święto kwitnących głógów i azalii

bodźce wzrokowe uzupełniane są silnymi bodźcami zapachowymi. Kwiaty rododendronów, o różnorodnych kształtach i barwach, wyrastają po kilka lub kilkanaście na wierzchołkach pędów. Zawierają dużo nektaru, pyłku i aromatów, dlatego przywabiają mnóstwo owadów. Wśród azali i różaneczników są zarówno „mamuty” osiągające 200 cm wysokości, jak i „liliputy” o poduszkowatym pokroju. Ozdobą ich są nie tylko kwiaty, lecz także liście - u różaneczników duże, ciemnozielone, u azalii zaś przebarwiające się jesienią na karminowo i pomarańczowo.

Uprawę rododendronów w ogrodach zapoczątkowali Anglicy już w XVII w. Do Azji ku podnóżom Himalajów wyruszały liczne ekspedycje w poszukiwaniu nowych gatunków. Rodzaj rododendron sprawia wyjątkowo dużo kłopotów botanikom, którzy już od trzech stuleci próbują się uporać z pogrupowaniem poszczególnych gatunków różaneczników (zwanych też rododendronami), często trudnych do rozróżnienia. Hodowcy ciągle bowiem otrzymują nowe odmiany tych krzewów. Umownie mówimy o azaliach jako o takich rododendronach, które zrzucają liście na zimę. Czyli potocznie azalie to różaneczniki o liściach opadających na zimę. Odmiany azalii zrzucających liście lepiej dają sobie radę w polskich warunkach klimatycznych. Dzięki temu, są wytrzymalsze na mróz w porównaniu z różanecznikami zimozielonymi.

Azale i rododendrony są jednymi z najchętniej sadzonych w naszych ogrodach i niewymagającymi. O popularności tych roślin świadczy także liczba odmian, która sięga obecnie tysięcy. Kwiaty zebrane w bukiety mają

kształt lejkowaty do dzwonkowatego. Kolor kwiatów jest bardzo zróżnicowany, od białego do kremowego, od pomarańczowego przez ogniste czerwone do głębokiej purpury, a także różne odcienie fioleto i żółci. Dobrze rosną i obficie kwitną na stanowiskach lekko zacienionych, np. pod drzewami. Poszczególne gatunki i odmiany azalii różnią się między sobą siłą wzrostu krzewów, barwą kwiatów, ich kształtem, zapachem, budową, a także okresem kwitnienia. Nieco więcej słońca wymagają azalie zimozielone odmian japońskich. Azalie japońskie w znaczeniu potocznym nie są odrębnym gatunkiem lecz grupą odmian powstałych w wyniku krzyżowania wielu innych gatunków. Azalia japońska pochodzi ze środkowych Chin i Japonii. W Europie znana od połowy XIX w. Krzew ten dorasta do wysokości około 2 m, jest szeroki i rozgałęziony. Liście zielone, z wierzchu lekko owłosione, spodem sinoniebieskie, nagie. Kwiaty łososioworóżowe lub pomarańczowe. Prace hodowlane nad nimi prowadzono głównie w Czechach w latach trzydziestych, gdzie uzyskano obficie kwitnące odmiany w kolorach pastelowych. Azalia japońska to niski krzew o błyszczących liściach, zimozielonych całkowicie lub częściowo. Kwitnie bardzo obficie w maju. Występuje duża różnorodność odmian w kolorach od białego do mocnego różu i fioleto. Azalia japońska wymaga stanowisk słonecznych do półcienistych oraz gleb kwaśnych, dostatecznie wilgotnych, próchnicznych. Właściwa azalia japońska jest jednak dość wysokim krzewem o liściach sezonowych i kwiatach w ciepłych odcieniach pomarańczowo - czerwonych, w Polsce spotykana rzadko lub wcale. Azalia żółta, zwana pontyjską to jedyny gatunek z rodzaju *Rhododendron* dziko rosnący w Polsce. Występuje tylko w rezerwacie przyrody pod Leżajskiem. Roślina ta jest objęta całkowitą ochroną i nie wolno jej wykopywać ze stanowisk naturalnych, można natomiast kupić jej sadzonki. Azalia żółta osiąga wysokość od 1 do 2,5 m. Obficie kwitnie w maju, zanim wypuści liście, a jej kwiaty intensywnie pachną. Warto wiedzieć, że ten gatunek jest trujący.

Ostatnio obserwuję, że w ekologicznej Ligocie nie dosadza się już głógów w miejsce zniszczonych. Gdyby ogłoszono konkurs na drzewo - herb dzielnicy Katowic - głosowałbym za głogiem dla dzielnicy Ligota. Aby za 50 lat nadal jeszcze kwitły głogi w południowych dzielnicach Katowic musimy je dosadzać. Zamiast brzydkich topoli czy klonów sadźmy w Ligocie głogi - drzewa posiadające swoje lokalne święto.

JAN RZYMELKA

PS. Poprzednie felietony ekologiczne
przeczytać można w internecie na stronie
<http://rzymelka.sejm.pl>

Europoliteja

ANDRZEJ
JARCZEWSKI

W każdym projektowaniu (technicznym, artystycznym, politycznym) rozróżnia się dwa skrajne podejścia. Pierwsze polega na naprawianiu, czy też reformowaniu istniejącego stanu rzeczy poprzez wykorzystanie zastanych lub nowatorskich metod. Drugie – to określenie stanu docelowego i poszukiwanie wiodących tam dróg: istniejących lub wymagających dopiero wytyczenia. Pierwsze podejście jest charakterystyczne dla wszelkich prac remontowych, drugie – dla inwestycyjnych.

Mieliśmy w Polsce wielu reformatów, którzy remontowali kraj z większym lub mniejszym powodzeniem, natomiast wielkich inwestorów – chyba tylko dwóch: Mieszka I i Józefa Piłsudskiego. To właśnie Piłsudski określił cel – niepodległość, uwierzył w jego realność i znajdował – nieraz bardzo kręte – drogi do tego celu prowadzące. Zainwestował życie swoje, ale też życie kwiatu ówczesnej młodzieży polskiej. I wygrał.

Projekt Europa

Obecnie największym projektem, stworzonym dla naszej części świata, jest konstytucja zjednoczonej Europy. Znamy już propozycję traktatu konstytucyjnego, przedstawioną przez Prezydium Konwentu Unii Europejskiej. Ma ona charakter reformatorski. Zakłada, że obowiązujące obecnie ustanowienia zostaną albo włączone w całości do eurokonstytucji (Karta Praw Podstawowych), albo zmienione, względnie odrzucone. Nigdzie jednak nie przytacza się związanej definicji przyszłej Unii. Mamy tylko zasady poruszania się po drodze wiodącej ku niedokładnie określonej przyszłości. Dlatego też proponuję wykorzystanie metody Piłsudskiego: zdefiniować cel i dopiero stosownie do celu wybierać drogi i środki wspierające, pilnując – rzecz jasna – by środki nie przeczyły celowi. Oto proponowana definicja.

Unia Europejska jest demokratyczną organizacją polityczną, która na dokładnie wyznaczonym obszarze zapewnia wszystkim swoim obywatelom i gościom ochronę przed niekonięcną śmiercią i niekonięcnym cierpieniem.

Definicja jest krótka, ale wymaga kilku dopowiedzeń. Demokratyczna organizacja polityczna – to system, w którym obywatele powierzają wybrany przez siebie przedstawicielom odpowiedzialność za wskazane obszary życia publicznego i upoważniają ich do wydawania zgodnych z prawem decyzji, właściwych dla danego zakresu odpowiedzialności. A każda odpowiedzialność jest dokładnie określona co do osób, które obejmuje, co do obszaru, na którym obowiązuje, i co do właściwości tematycznej. W drodze wyborów pośrednich lub bezpośrednich – demokratyczna organizacja polityczna wyłania pierwszego Urzędnika, którego zadaniem jest czuwanie nad prawidłowym działaniem pozostałych urzędników i ich struktur, a także reprezentowanie organizacji na zewnątrz.

Projektanci eurokonstytucji przyjęli zasadę, że przyszła – tak, czy inaczej nazwana – Unia Europejska, jako osoba prawna, otrzyma dokładny katalog zagadnień, za które będzie odpowiedzialna i w zakresie których będzie władna podejmować decyzje. W pierwszej kolejności zalicza się tu politykę gospodarczą, zagraniczną i obronną. Na przeciwnym biegunie jest edukacja i kultura, czyli dziedziny, w których pełnię kompetencji pozostawia się państwu. Również wszystkie dziedziny nie przypisane Unii pozostaną w gestii państw. Nie ma więc sporu do co konieczności dokładnego określenia listy pozytywnej, czyli koszyka kompetencji przekazanych Unii. Natomiast nie określono dotąd, kto i w jakim zakresie będzie odpowiadał za zapewnienie ochrony przed niekonięcnym cierpieniem i śmiercią, a przecież to są główne aspekty godności człowieka, która – zgodnie z deklaracjami – jest przyrodzona i *niezbylwalna*, jak głosi m.in. art. 30 Konstytucji RP.

Osoba, rodzina, politeja

Podstawowym zadaniem, stojącym przed każdym, kto przyjął odpowiedzialność za innych, jest sprawienie, by wobec dokładnie wszystkich osób, obejmowanych odpowiedzialnością, respektowane były dwa podsta-

wowe prawa biernie: do życia i do minimalizacji cierpienia (z wyjątkami, określonymi przez prawo, które wywołuje cierpienie i minimalizuje ich łączną społeczną dolegliwość).

Organizacją pierwszej instancji, chroniącą swoich członków przed cierpieniem i nagłą śmiercią jest rodzina, organizacją drugiej instancji – podstawowe państwo funkcjonalne, **politeja**. Terminem tym oznaczam taką organizację życia społecznego, która wobec dokładnie określonej zbiorowości i na dokładnie zazwyczaj określonym terytorium realizuje dwie podstawowe funkcje: ochronę przed śmiercią i ochronę przed cierpieniem (również zadawanym przez innych członków tej zbiorowości).

Historia dostarcza nam wielu przykładów dużych i małych podstawowych państw funkcjonalnych. Dobrym przykładem współczesnym może być polski samorząd powiatowy. Na terenie powiatu funkcjonują pracodawcy i zorganizowana jest policja, straż pożarna, pomoc społeczna, pogotowia, szpitale i urząd pracy, czyli podstawowe formy ochrony przed nagłą śmiercią i cierpieniem. Kilkaset powiatów tworzy państwo, którego zadaniem jest m.in. zapewnienie powiatowi bezpieczeństwa zewnętrznego i dostarczenie mu środków na utrzymanie wymienionych służb poprzez prowadzenie jednolitej polityki podatkowej.

Tak więc politeja jest organizacją, zapewniającą w drugiej instancji (tzn. wielu rodzinom) ochronę przed nagłą śmiercią osób i ich niekonięcnym cierpieniem. Państwem tradycyjnym jest organizacja utrzymująca siły zbrojne (w obronie przeciwko innym państwom) oraz prowadząca na swoim terytorium politykę fiskalną. Najwyższą instancją będzie organizacja, która może w przyszłości zapewnić każdemu człowiekowi bezpieczeństwo poprzez tworzenie i egzekwowanie prawa ogólnoludzkiego. Takie prawo ogólnoludzkie nie będzie uogólnieniem prawa międzynarodowego, ale transgranicznym prawem każdego człowieka do unikania cierpienia i śmierci, na którego to prawa strażą stać będzie organizacja, obejmująca wszystkich ludzi w Europie, a w dalszej przyszłości: na Ziemi.

Uważam, że państwo tradycyjne jest formacją przejściową, która nie wszę-

dzie (i w historii nie zawsze) występuje, tak jak przejściowe są idee nacjonalistyczne i rasistowskie. Nie lekceważę przez to patriotyzmu, związanego na ogół z państwem narodowym lub z tworem pośrednim, np. regionem. Utożsamianie się osoby z każdą większą wspólnotą kulturową i religijną ma niezaprzeczalną, ogromną wartość, ale na zaspokojenie dwóch pierwszych potrzeb – wpływ największy mają: rodzina, politeja i przyszłościowa, dobrze zorganizowana wspólnota europejska lub światowa.

Norma, moralność, wartość

Każdemu człowiekowi właściwy jest pewien obszar i pewna zbiorowość, w której może efektywnie działać na rzecz obrony przed śmiercią i cierpieniem; obrony własnej i innych osób. Teren potencjalnie efektywnego działania jest terenem działania moralnie obowiązującego. Nie należy działać tam, gdzie nasza działalność jest nieskuteczna np. z braku sił, środków czy umiejętności. Jak w każdej dziedzinie – i tu są olbrzymie tereny pograniczne, gdzie przed podjęciem próby nie da się określić skuteczności. Ale na pewno są też miejsca, co do których nie możemy mieć wątpliwości. Zwyczaj człowiek ma więc największe obowiązki wobec siebie oraz własnej rodziny i żadnych wobec całej ludzkości. Żadnych – z wyjątkiem myślenia i takiego działania lokalnego, które nie stoi w sprzeczności z zasadą niezadawania śmierci i nieuzasadnionego cierpienia komukolwiek na Ziemi.

Normą jest działanie na rzecz dobra własnego. Ze względu jednak na niejednoznaczność pojęcia „dobra” – nie zajmuję się teraz tymi, zwłaszcza pozytywnymi, składnikami dobra, które dla różnych osób mogą być różne. Eliminując kolejne te składniki dobra, które nie są absolutnie powszechne, ograniczam definicję dobra do dwóch składników, z których już żaden nie może być zredukowany: **po pierwsze – nie umrzeć, po drugie – nie cierpieć**; kwestie (nierzadkie), gdy tak rozumiane dobro jednej osoby koliduje z dobrem innej osoby, wymagają odrębnego namysłu. Na razie rozpatruję takie działanie dla własnego dobra, które nie jest sprzeczne z dobrem innych osób. I stwierdzam, że działanie tego rodzaju jest obowiązkiem każdego człowieka. Tak rodzi się pojęcie społecznej normy i moralności. Po odrzuceniu wszelkich innych przesłanek – za społecznie moralne uznajmy takie działanie, które nie koliduje z prawem innych do życia i niecierpienia.

Ale moralne, to jeszcze nie znaczy – wartościowe. Działanie naprawdę wartościowe wymaga jednak, byśmy coś pozytywnego dodali do minimum, wy-

znaczonego pojęciem moralności. Działanie wartościowe powinno – oprócz dobra własnego – mieć jeszcze aspekt szerszy: dobro rodziny, najbliższej społeczności i, na ile to możliwe, całej ludzkości. Pozostając w przestrzeni definicyjnej tej rozprawy stwierdzam, że społecznie wartościowe jest to, co innym osobom (nam również) pomaga unikać śmierci i cierpienia.

Tak więc normalne jest to, co czyni jednostka, by żyć i nie cierpieć; moralne jest postępowanie, które nie godzi w prawo innych do życia i niecierpienia, a wartościowe – to, co obiektywnie przyczynia się do wzmocnienia szans innych osób na życie i niecierpienie.

Historia świata nie zna skuteczniejszego systemu motywowania i przygotowania do działań wartościowych niż wychowanie religijne. Elementy takiego systemu znajdujemy nawet w religiach dla katolika egzotycznych. Dla tego też dodatkowym wektorem niniejszej rozprawy jest najdalej rozszerzony ekumenizm: na szacunek zasługują wszystkie religie, które za niesprzeczne ze swoim nauczaniem uznają dwie uprawnione potrzeby człowieka: **nie umrzeć i nie cierpieć**. Wykluczam tu takie systemy parareligijne jak nazizm, komunizm czy satanizm, które korzyści jednych budowały na śmierci i cierpieniu innych. Niewiele też cenię systemy, które ograniczają się do apoteozy funkcji moralnych z lekceważeniem wartościowych.

Demokracja, odpowiedzialność, twórczość

Jeśli nawet pierwotna politeja była tylko przed-Arystotelesową konstrukcją myślową, to jej forma „zdegenerowana”, czyli demokracja, okazała się niezwykle przydatna zwłaszcza w XX wieku w kręgu kultury europejskiej. W polityce XXI wieku naprawdę funkcjonuje wyłącznie demokracja arytmetyczna, która w praktyce polega na podejmowaniu decyzji nie siłą argumentów ani argumentem siły, lecz tylko tak czy inaczej definiowaną: arytmetyczną większością głosów.

Sprzeciwiam się sztucznemu dopisywaniu do demokracji arytmetycznej jakichkolwiek dodatkowych walorów. Tam ich nie ma. W szczególności – demokracja arytmetyczna sama przez się nie eliminuje cierpienia, ani nie chroni przed utratą życia. Jeżeli w społeczności, podejmującej decyzje demokratyczną większością głosów, przeważają ludzie chroniący wartości (tzn. uogólnione życie i niecierpienie), to wysoce prawdopodobne jest, że będą realizowane działania moralne i wartościowe. Ale demokracja arytmetyczna może dobrze działać również w środowiskach przestępczych. Wówczas

większością głosów decydowany będzie na przykład sposób popełnienia wielkiej zbrodni. I takie zjawiska historia wielokrotnie odnotowała.

Demokracja arytmetyczna służy m.in. do tego, by wyłonić osoby odpowiedzialne za różne sfery społecznego życia. Każdy, kto świadomie kandydował na stanowisko wybieralne i w wyniku wyborów został upoważniony do podejmowania właściwych dla tego stanowiska decyzji, staje się odpowiedzialny za to, by w rezultacie jego działania – ograniczana była sfera cierpienia i zagrożenia życia. Powinien być w tym twórczy. Bo **twórczość jest nie tylko wyładowaniem energii wewnętrznej artysty, ale też każdym działaniem, które w nowy sposób pomaga ludziom cieszyć się życiem.**

Myślenie zadaniami

Regulowanie życia większych społeczności od najdawniejszych czasów polegało na ogólnym stanowieniu i egzekwowaniu prawa, gdyż prawa zwyczajowe dobrze funkcjonowały tylko w okresach stabilności i nigdy nie były zdolne dostosować się do szybko zachodzących przemian. Ktoś zdobywał władzę (dziedziczeniem, siłą, przekupstwem, demokracją) i nadawał podporządkowanej sobie społeczności prawa, dotyczące różnych dziedzin życia. Jeszcze w XX wieku (Stalin) i nawet w XXI wieku (mufta Omar) ten, kto zdobył władzę nad ludźmi na pewnym terytorium, ustanawiał nie tylko prawodawstwo podatkowe, cywilne i wojskowe, ale usiłował regulować wszystko: religię, stroje, literaturę, prawo ludzi do życia i prawo zabytków do istnienia. To wertykalne pojmowanie władzy – w społeczeństwie informacyjnym traci rację istnienia. Powstaną więzi horyzontalne, liczniejsze i niebawem ważniejsze od struktur staroświecko pojmowanej władzy. Wprawdzie nigdy nie będzie w pełni tak, że każdy każdemu będzie mógł świadczyć jakieś usługi, ale właśnie w tym kierunku zmierzamy. A w społeczeństwie informacyjnym główne **źródło bogactwa ludzi to nie wydobywanie i przetwarzanie bogactw ziemi, lecz przetwarzanie największego bogactwa, jakie wytworzył człowiek – informacji.**

Coraz mniej ważne są odpowiedzi na pytania: komu podlegam, kim rządę. Coraz ważniejsze: jakie zadania mam do wykonania, z kim współpracuję. To są przemiany charakterystyczne dla przejścia od świata zdominowanego przez władzę wertykalną do świata usług horyzontalnych, gdzie coraz więcej ludzi nie będzie miało żadnego szefa nad sobą i żadnego podkomendnego. Takie nowe zjawiska, jak telepraca czy teleopieka, uniezależnią wielu ludzi od porządku tradycyjnej władzy na rzecz usług poziomych.

Eurokonstytucja

Każdy twór wieloskładnikowy zmienia swoje właściwości pod wpływem wewnętrznego dynamizmu i oddziaływania czynników zewnętrznych. Dotyczy to również Unii Europejskiej, co do której oczekujemy, że będzie pomagać – najpierw Europejczykom, a potem i mieszkańcom innych kontynentów – unikać śmierci i minimalizować cierpienie. By tego oczekiwanie nie zawieść, powinniśmy (abstrahując od traktatu nicejskiego i innych tymczasowych regulacji) skonstruować optymalny model funkcjonowania Unii, a następnie tak przekształcać struktury, instytucje i prawo unijne, by właściwe funkcje były realizowane. W dobie wolnego przepływu idei nie ma znaczenia, w którym kraju prowadzone są prace nad modelem, może nawet łatwiej jest robić to z zewnątrz.

Swego czasu na zajęciach z metodologii projektowania pytałem najpierw studentów, z jakich części ma być zbudowany zegarek, samochód, czy jakikolwiek inny złożony przedmiot, spełniający wymagane funkcje (np. odmierzenie czasu z dokładnością ± 5 sekund na dobę przez pięć lat). W zależności od wskazanego przedmiotu padały różne odpowiedzi, np. że zegarek powinien być złożony z części jak najlepszych, nierdzewnych, niemagnesujących się, części ruchome powinny być ułożyskowane na „kamieniach”, a koperta powinna być złota lub pozłacana. Metodą sokratejską wyciągałem wtedy odpowiedź właściwą: jeżeli funkcja celu jest spełniona, a takie przyjmujemy założenie – części powinny być najtańsze! A to na ogół znaczy – najłatwiej dostępne lub... najgorsze. (Precyzyjniej: części powinny być takie, by społeczny koszt całkowity produktu był najniższy, tzn. minimalizowana ma być suma kosztów surowców, technologii, dystrybucji, eksploatacji i recyklingu lub utylizacji.) Cała sztuka polega na projektowaniu najlepszych konstrukcji z najtańszych elementów.

Przyszły ustrój Europy ma umożliwić i gwarantować wypełnianie dwóch funkcji: ochrony życia wszystkich obywateli i ochrony każdego obywatela przed niekoniecznym cierpieniem. Nie stawiamy tu żadnych wymagań co do cech osób, rodzin i innych części składowych Europy, rozumianej jako kontynent nie tylko geograficzny, ale i obywatelski. Konstytucja europejska ma dobrze działać w takim społeczeństwie, jakie Europę zamieszkuje. Odrzucam kategorycznie domniemanie, że lepiej będzie się nam żyć, jeżeli ludzie będą lepsi, mądrzejsi, bardziej wolni lub tolerancyjni... Żadnego *jeżeli*! Konstrukcja musi wypełniać funkcje celu bez względu na jakość części składowych. Jest to możliwe, jeżeli dysponujemy dostatecznie wielką liczbą rozmaitych elementów i podzespo-

łów. Istnieje bowiem ogromna liczba złych i dobrych konstrukcji, jakie możemy z tych składników zbudować. Budujemy najlepsze!

Boją się Unii ci, którzy nadmiernie przyzwyczaili się do staroświeckiego, wertykalnego modelu władzy i nie wyobrażają sobie innych rozwiązań. Myślą, że skoro w każdym kraju demokratycznym jest jakiś rząd i parlament, to w Unii zapewne powstanie jakiś superz rząd i superparlament. Państwa członkowskie zapewne utracą swą suwerenność, o wszystkim decydować będzie jakaś niekontrolowalna Bruksela, a państwa mniejsze i biedniejsze zostaną zdominowane przez interesy państw najsilniejszych.

Taki kierunek rozwoju nie jest kluczowy, obserwowaliśmy bowiem w historii degenerację wystarczającą wielu szlachetnych przedsięwzięć, by nie mieć złudzeń, że cokolwiek samo z siebie może trwale dawać dobre owoce. Ale nie oznacza to, że niemożliwy jest rozwój Unii w kierunku ochrony ludzi przed śmiercią i cierpieniem. Przeciwnie. Istnieje wiele przesłanek, by sądzić, że właściwy kierunek tworzenia eurokonstytucji jest nieunikniony.

Europoliteja

Przyjeliśmy, że polski powiat samorządowy jest wzorcem politei. Z unijnego punktu widzenia politeja powinien być region. Tu nie ma sprzeczności. By polski region stał się europoliteją, wystarczy wzmocnić władze samorządowego województwa poprzez przekazanie im pewnych uprawnień rządowych (np. odstąpienie od centralizacji ochrony zdrowia, przejęcie pewnych funkcji wojewody), poprzez ograniczenie niektórych prerogatyw powiatu (polityka społeczna, urzędy zatrudnienia, szpitale) i poprzez odpowiednie dostosowanie okręgów dwuinstancyjnego sądownictwa.

Różnica między euroregionem, a europoliteją polega na innych zadaniach i odpowiedzialnościach. Podział kontynentu na euroregiony nie jest zupełny. Euroregiony obejmują części różnych jednostek administracyjnych różnych państw. Umowne władze euroregionu uzgadniają sprawy, dotyczące rozwoju regionalnego, z rzeczywistymi władzami składowych jednostek. Tymczasem europoliteja ma być zwarłą jednostką administracyjną, w której demokratycznie wybiera się osoby do władz i instytucji, zapewniających podstawową ochronę przed cierpieniem i utratą życia obywateli.

Pożądaný rozwój Unii polega więc na dokonaniu podziału zupełnego unijnej części Europy na europoliteje i przekazaniu im wszystkich zadań, które mogą być w takiej samorządowej wspólnotcie realizowane: policja, inspekcje i straże, ochrona zdrowia, polityka społeczna, prawo i podatki lokalne, gospodarka

komunalna, oświata, kultura, lokalne drogi itd. Władze tradycyjnie pojmowanych państw będą nieliczne, bo też niewiele będą miały do roboty. Granice między tymi państwami będą widoczne tylko na mapie, natomiast ważności nabiorą granice między politejami, gdyż zaznaczać będą one obszary, za które odpowiedzialność ponosić będą różni wykonawcy konkretnych zadań, związanych z ochroną życia i zmniejszaniem cierpienia.

„Koniec” wolności

Rozwój Unii Europejskiej na początku XXI wieku nadal przebiega jednokierunkowo. Niebawem przyłączą się kolejne państwa, które muszą przyjąć unijne regulacje. I tak będzie się działo aż do momentu osiągnięcia masy krytycznej, po przekroczeniu której mogą z niezwykłą siłą zadziałać czynniki dezintegrujące. Historia dostarcza wielu przykładów rozrostu struktur politycznych, zakończonych gwałtownym załamaniem. Ale znamy też przykłady rozwiązań o zadziwiającej trwałości. Taka powinna być również Wspólna Europa.

Moim zdaniem – potencjał twórczy takich pojęć liberalnych, jak wolność i tolerancja (po zbliżeniu się w Europie do górnych granic ich skali) wyczerpał się tak samo, jak obserwowaliśmy to wcześniej w przypadku pojęć klasowych i nacjonalistycznych. Tymi kategoriami już nie da się wyjaśniać ani rekonstruować świata.

Nową wizję Europy postrzegam w kategoriach **godności, moralności, wartości, twórczości i odpowiedzialności**. Społeczeństwo informacyjne XXI wieku odrzuci staroświecki model władzy wertykalnej; wymagać będzie konstytucji europejskiej, zapewniającej każdemu prawo do życia i minimalizacji cierpienia. Taki kierunek konstytucji europejskiej zapowiada karta Praw Podstawowych świetnie streszczona w artykule 30 Konstytucji Rzeczypospolitej: (...) *godność człowieka jest nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych*.

Pytanie: „wejść, czy nie wejść do Unii?” jest w Polsce dobrze postawione tylko na poziomie popularyzacji. W wolnej od uprzedzeń dyskusji – problem ten został już jednoznacznie rozstrzygnięty, przez co otworzyło się pole poważniejszych zagadnień, które tu częściowo podejmujemy. Referendum udowodniło, że wejść chcemy – to normalne, bo to dla naszego dobra. Chcemy też, by nasze wejście nie przyniosło szkody innym – to moralne. Ale możemy również wnieść twórczy wkład konstytucyjny i współodpowiedzialność za przyszłe losy zjednoczonej Europy. Dopiero to będzie wartościowe.



Zdjęcie: SIGNUM

David Lane z gliwickiego Opla: Polacy mają bardzo dobre wykształcenie ogólne.

Hutnik Baildon, górnik Reden, rodzina magnatów niemieckich Donnersmarcków i włoskich Ballestremów - wszyscy przybywali na Śląsk z jasnym planem: sięgnąć do pokładów bogactwa, z których słynęła ta ziemia. Nie inaczej jest i dziś. Przybywający do nas cudzoziemcy także sięgają do pokładów bogactwa, z jakich słynie Śląsk - ale już nie do węgla i żelaza, ale ludzkiej rzetelności i pracowitości. Zostawiają nam w spadku hałdy wiedzy - także o nas samych.

Od Baildona do Palmena

ERYK
SZOZDA

Nie brakowało u nas Szkotów, Włochów, Niemców, którzy przywozili na Śląsk własne pomysły na życie i zabicie majątku. John Baildon, szkocki hutnik i przemysłowiec, trafił do nas pod koniec XVIII wieku. Rozbudował hutę w Gliwicach z pierwszym na kontynencie europejskim wielkim piecem na koks zamiast węgla drzewnego. To jemu zawdzięczamy Hutę Królewską („Kościeszko”) w Chorzowie, walcownię blachy w Blachowni, hutę „Baildon”. To on zaprojektował 45-kilometrowy Kanał Kłodnicki. Nie bawił się w politykę wychodząc ze słusznego założenia, że to

na Śląsku niektórym szkodzi.

Miał przykład swego promotora, hrabiego Fryderyka Wilhelma von Redena.

Dziś, po 150 latach od jego przybycia na Śląsk, wzbudza ostre spory i protesty. Reden symbolizuje bo-

wiem nie tylko potęgę śląskiego przemysłu - do czego walczył się przyczynił, ale i pychę i potęgę Prus, którym wiernie służył jako urzędnik króla Fryderyka Wilhelma II. Zresztą był niedoceniony przez władzę, który uczyniwszy go ministrem ds. Śląska, po roku pozbawił funkcji za knowania z Francuzami. Po wiekach warto jednak pamiętać, że ten dyrektor Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu tytuł hrabiego otrzymał nie za swój wkład w wymazywanie Polski z mapy Europy, ale za wybudowanie kilkudziesięciu kopalń węgla, srebra, cynku i ołowiu - pracowała w nich pierwsza w Europie maszyna parowa służąca ich odwadnianiu - a także za postawienie hut żelaza i stali. To jemu zawdzięczamy, że ze wsi wokół zakładów przemysłowych urodziły się Gliwice, Zabrze, Chorzów i Katowice. I to on namówił Szkota Baildona do przyjazdu na Śląsk.

Zupełnie odmienny plan życiowy miała rodzina niemieckich magnatów i przemysłowców Henckel von Donnersmarck. Na Śląsku znalazła się przypadkiem. Protoplasta rodu, Łazarz (1551-1624), bankier cesarski, za pożyczki udzielane Habsburgom otrzymał w 1603 r. zastaw w postaci dawnego księstwa bytomskiego. I tak to się zaczęło - pod ręką Donnersmarcków powstawały lub rozwijały się kopalnie w Świętochłowicach, Chropaczowie i Chwałowicach, huty w Siemianowicach, Królewskiej Hucie czy w Bytomiu. Wykuwano w nich dobrobyt nie tylko bytomsko-siemianowickiej i świerklaniecko-tarnogórskiej linii rodu, ale i Śląska. W 1850 r. przedsiębiorstwa Donnersmarcków bytomsko-siemianowickich dostarczały 23 proc. surówki i 15 proc. żelaza sztabowego wytwarzanego na całym Górnym Śląsku.

Nie uciekali od polityki, ale nie uprawiali jej kosztem żyjącej wraz z nimi na Śląsku ludności. Żyjący na przełomie XIX i XX w. Gwidon von Donnersmarck początkowo robił karierę w pruskich służbach dyplomatycznych, ale został posłem Śląskiego Sejmu prowincjonalnego.

Trudno nie przypomnieć również pochodzącego z Włoch hrabiego Jana Babbysty Ballestremo di Castellengo, którego syn przejął pod koniec XVIII w. majorat rudzko-pławniowski. Pozostał on w posiadaniu rodu do 1945 r. Ballestremowie posiadali liczne kopalnie węgla, a w 1871 r. powołali koncern „Oberberdardf”, zajmujący się produkcją hutniczą i górniczą. I ich wciągał wir polityki - właściciel Biskupic hr. Franciszek von Ballestem był przewodniczącym parlamentu Cesarstwa Niemieckiego.

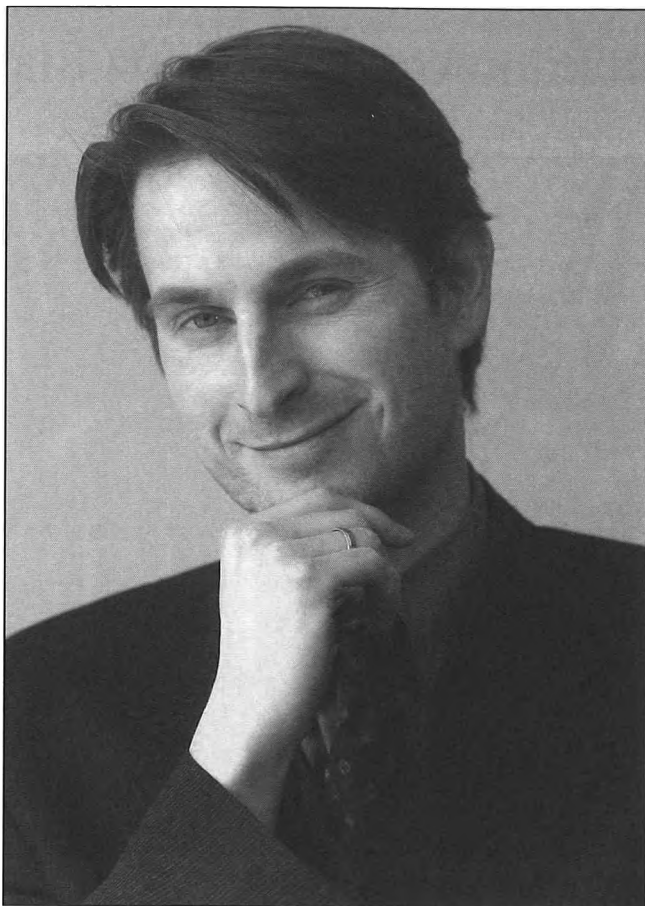
Współcześnie żyjący na Śląsku **David Lane**, dyrektor ds. produkcji w zakładzie Opel Polska, jest niewątpliwie spadkobiercą duchowym tych, którzy już przed wiekami uczyli nas nowych technologii. Dlaczego właśnie tutaj: w Polsce i na Śląsku, ten Anglik postanowił

realizować swe marzenia i wyzwania zawodowe?

- *Polacy posiadają bardzo wysokie wykształcenie ogólne i niezależnie skąd się to wywodzi, nawet jeżeli jest to spadek po czasach komunizmu, powinni dbać, by tego nie stracić*, zauważa dyr. Lane. - *Ponadto posiadają bardzo wysokie zdolności manualne. Widzę to każdego dnia w pracy w gliwickim Oplu i zawsze jestem pod wrażeniem, kiedy oglądam wysoką jakość pracy wykonanej przez zatrudnionych.*

Lane jest żonaty, ma dwójkę dzieci. Trzyletnia córka Davida uczęszcza do polskiego przedszkola. Jak zapewnia jej ojciec - mówi ona po polsku najlepiej z całej rodziny. Pokonała w tej dziedzinie 9-letniego brata, który chodzi do brytyjskiej szkoły. Jak państwu Lane żyje się od 2,5 roku w Polsce? Zapewniają, że bardzo dobrze - tyle że mieszkają w Krakowie. Nie ukrywają oni bowiem, że pracować tu można, ale żyć jest trudno.

- *Żona lubi biegać, każdego dnia, niezależnie od pogody, można ją zobaczyć biegającą po Błoniach z naszym polskim psem. Ja gram w piłkę nożną w drużynie „Kraków Anglia”,*



Luk Palmen z Urzędu Marszałkowskiego: Jestem otwarty, żeby zostać w Polsce.

jest to zespół złożony z cudzoziemców, głównie Anglików, ale także Amerykanów i Polaków - opowiada David Lane.

Zapewnia, że wszyscy lubią polską kuchnię, w szczególności gołąbki oraz pierogi ruskie. Często kupują je w sklepie, żeby potem przyrządzić w domu na kolację. Według Lane także polska wódka Chopin zasługuje na szczególne uznanie.

Jednak Irlandczyk **Ollie Morgan** - pieśniarz wprowadzający nas w nowe klimaty, nie miałby czego u nas szukać, gdybyśmy chcieli pić tylko polską wódkę. Wedle niego drzemią w nas niezliczone pokłady fantazji i gotowi jesteśmy na każdą nowość. Dlatego założył w Katowicach przy ul. Sienkiewicza Morgan's Irish Pub, do którego wabi nie tylko piwem Guinness, ale i irlandzką muzyką w jej także polskiej odmianie, celtyckimi obyczajami i rodzącą się wspólnotą obu narodów, której emancjacja niewątpliwie są kolejno zakładane przyczółki Towarzystwa Polsko-Irlandzkiego. Jego śląski oddział zadomowił się w pubie Olliego i to dzięki niemu w Katowicach można poznać „Szmaragdową Wyspę” - bez konieczności podróżowania.

W tajniki obyczaju i języka anglosasów wprowadza nas również **Bill Hiseler**. Ma 32 lata, uczy języka angielskiego w Bytomiu. Z jego rodzinnego North York - obecnie część

Toronto - przywiodła go na Śląsk wirtualna droga. Absolwent geografii na Uniwersytecie McMaster, a potem australijskim Uniwersytecie Charlesa Sturta, ukończył także International Training Centre TESOL - kurs uprawniający do nauczania języka angielskiego za granicą, po którym rozpoczął poszukiwanie pracy poprzez Internet.

W ostatnich latach wiele się w Kanadzie zmieniło, ale w owym czasie nauczyciel mógł tylko marzyć o znalezieniu pracy w zawodzie. Większość z nich wyjechała z Kanady lub zwyczajnie się przekwalifikowała. Bill poszukiwał swej szansy w inny sposób - przez Internet. Sieć postawiła go w 1998 r. przed ostatecznym wyborem, ale i dylematem.

- *Meksyk, Węgry czy Polska? American Academy of English skierowała mnie ostatecznie do Bytomia* - mówi Bill. - *To miasto z charakterem naprawdę mi się spodobało. Przede wszystkim ze względu na ludzi. Są wspólni, rozumieją, że język polski może być dla cudzoziemca skomplikowany.*

Cały czas jednak się go uczy. Zwłaszcza że w Polsce poznał swoją dziewczynę i jak sam mówi,

zapłacił już u nas korzenie.

- *Naprawdę ciężko byłoby mi wyjechać* - wzdycha. Dodaje: - *Twój kraj jest tam, gdzie jest ci dobrze.*

Na razie wiąże go kontrakt z bytomskim pracodawcą, a także samo miasto tętniące według niego życiem, w którym dzieje się naprawdę wiele rzeczy. Może trzyma go u nas także kuchnia? Czerpie z niej nie tylko smak, ale i wiedzę o swych przodkach.

- *Moi pradziadkowie pochodzili z pogranicza Polski i Ukrainy. Wychowałem się na pierogach, gołąbkach, kiszzonej kapuście. Tradycyjne potrawy przetrwały w naszej rodzinie przez kilka pokoleń. W Polsce nauczyłem się gotować bigos. Przepis na tę potrawę zatoczył koło w historii naszej rodziny, wysłałem go do Kanady mamie* - opowiada Bill Hiseler.

Kto nauczył nas tolerancji dla innej kultury, religii, a nawet kuchni? Być może Polak z... Jemenu. **Mustafa Al-Abssi** ma 38 lat, mieszka w Orzeszu z żoną Bogumiłą i dwiema córkami - 17-letnią Salwą i 11-letnią Sarą. Polska jako druga ojczyzna objawiła mu się dość nieoczekiwanie - chciał stu-

Zdjęcie: Rafał Kciukiewicz

diować medycynę, ale w Jemenie nie było akademii medycznej. Mustafa jako zdolny młodzieniec mógł szukać szkoły za granicą i tak trafił na Śląsk - do Zabrza.

- *Pracuję jako chirurg w szpitalu i pogotowiu w Żorach* - mówi Mustafa Al-Abssi.

Spore poczucie humoru i wrodzony optymizm pomogły mu przy rozstaniu z polską wybranką swego serca. Po ukończeniu studiów musiał wracać na trzy lata do Jemenu, ale w 1996 r. wrócił, a w 2001 r. otrzymał polskie obywatelstwo. W rozmowie z nim trudno ominąć ważny temat - jakże wielkiej odmienności obu jego ojczyzn. Mustafa jednak nie widzi problemu. Klimat i kuchnia mu odpowiadają, pracy ma w bród, a ciekawskimi spojrzeniami się nie przejmując. Każdemu chętnie tłumaczy, że choć jego kraj od VII wieku jest islamski, a wszyscy jego obywatele to muzułmanie - szanują się przedstawiciele wszystkich jego odłamów: sunnici i szyci. Kobiety mają takie same prawa: uczą się, pracują, ubierają się po arabsku lub europejsku, zasiadają w rządzie. Recepta na harmonijne współistnienie jest prosta:

- *W Jemenie nie miesza się religii z polityką. Dzięki temu panuje tolerancja* - tłumaczy.

Tolerancji dla innych Polacy mogą nauczyć się od **Victorii Day Fox**, Brytyjki ze Stroud - małego miasta w południowo-zachodniej Anglii.

- *Gdy miałam 17 lat, wyjechałam do Londynu. Studiowałam taniec, sztukę, teatr i fotografię na Cirencester College. Potem przez trzy lata uczyłam się tylko tańca w szkole Laban Centre. Rozpoczęłam pracę dla firmy Cando Co. W 2000 roku po raz pierwszy przyjechałam na Konferencję Tańca Współczesnego do Bytomia* - opowiada Victoria.

Swoim kunsztem i widocznym dla wszystkich umiłowaniem ciężkiej pracy, by lekko frunąć przez scenę sprawiła, że Jacek Łumiński ze Śląskiego Teatru Tańca zaprosił ją do Bytomia.

Na co dzień żyje tańcem, a zwłaszcza jego specyficzną odmianą. Jeśli widziałeś kiedykolwiek niepełnosprawnego na wózku inwalidzkim, z promieniającą szczęściem twarzą, oddanego rytmowi muzyki spajającej go ze zdrową częścią świata - być może sprawiła to właśnie Victoria ze swoim tańcem integracyjnym.

Na razie nie snuje ona planów na przyszłość. Od niedawna mieszka w Piekarach Śląskich, ma wielu przyjaciół. Ofiarowała im swą radość z muzyki, obcowania ze sztuką i drugim człowiekiem. Victoria marzy, by pracować u nas na stałe. W końcu już niebawem tu będzie wspólna Europa.

Obywatelem Europy jest niewątpliwie **Giorgio Rayzacher** o polsko-niemiecko-włoskich korzeniach. Ojca Polaka - choć jego rodzina ma nie-

mieckie korzenie - wir historii umieścił w alianckim obozie jenieckim. Już po wojnie pokochał piękną Włoszkę. Na świat przyszedł Giorgio. Przez lata mieszkał w Rzymie, później trafił do Francji - stąd również jego francuskie obywatelstwo. Mieszka w okolicach Oświęcimia wraz ze swoją polską żoną. Z wykształcenia pedagog, po studiach marketingu i reklamy, ma bogaty życiorys. Można rzec - artystyczny. Píše trillery i scenariusze filmów telewizyjnych, robił reklamówki znane ze srebrnego ekranu. Pracował dla Rai Uno, Rai Due, Canal+. Uczy też na co dzień włoskiego w bielskim Centro Italiano di Cultura.

- *Trudno mnie spotkać, bo wciąż jestem zajęty. Wczoraj miałem na przykład konsultację w jednej ze śląskich firm* - mówi Giorgio Rayzacher.

Prowadzi konwersacje z włoskiego i francuskiego, wyklada w zagranicznych przedsiębiorstwach ulokowanych w województwie śląskim. Posługuje się włoskim, francuskim i - jak mówi - trudnym, ale pięknym językiem polskim. Jak znalazł się w Polsce? Zrobił to dla swojej żony - by była blisko swej rodziny. Gdy już na dobre osiedlił się w naszym kraju stwierdził, że jest zupełnie inny od znanych mu wcześniej. Nie chodzi tylko o fatalne drogi ani o najpiękniejsze w świecie kobiety.

- *Ludzie w Polsce mają inną mentalność. My, Włosi, jesteśmy bardzo bezpośredni, szybko nawiązujemy kontakt z drugim człowiekiem, optymistycznie podchodzimy do życia. Natomiast Polacy są zamknięci, rzadko się śmieją, na początku trudno do nich dotrzeć. Włosi zadają mnóstwo pytań, Polacy tego nie robią. Być może chcą być bardziej dyskretni...?* - zastanawia się Rayzacher.

Jak zauważa także dyr. Lane z gliwickiego Opla, w porównaniu z Anglią jest u nas trudno nawiązać kontakt wzrokowy lub złowić uśmiech osoby, której się nie zna - w autobusie, pociągu czy nawet w pubie.

- *Polacy prawdopodobnie mają najbardziej na świecie rozwinięte umiejętności plotkowania* - śmieje się David Lane. Na marginecie naszej rozmowy pyta, czy to jest nasz narodowy sport?

Śląsk już od 1995 r. poznaje absolution ekonomii i zarządzania gospodarką na Uniwersytecie w Limburgii oraz polityki międzynarodowej w Antwerpii, **Luk Palmen**, młody Belg pracujący w Wydziale Funduszy Europejskich Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach - trafił do nas na dobre w 2000 roku, poszukując nowych zawodowych wyzwań.

- *Najciekawsze były dla mnie lata 1997-99, kiedy pracowałem we Flandrii zajmując się rozwojem regionalnym, metodologią zarządzania centrum miast i centrum handlowym. Kiedy skonstatowałem, że to, co*

stworzyłem, jest już stabilne, zdecydowałem się na wyjazd do Polski i na Śląsk - opowiada Luk.

Mieszka wraz z rodziną w cichej miejscowości tuż nad naszą południową granicą i codziennie dojeżdża do Katowic. Na razie wie, że będzie u nas mieszkał do czerwca 2004 r. Co potem?

- *Zobaczmy. Jestem otwarty na pozostanie w Polsce, jeśli nadal będę miał możliwość rozwijania czegoś w waszym kraju* - mówi Palmen. *Sądzi, że znajdzie się u nas sporo do zrobienia jeszcze przez co najmniej najbliższych pięć lat.*

Widzi w nas wiele pozytywnych cech - choćby silne poczucie własnej wartości, niezgodę na rzeczywistość, pozytywną energię (jednak zderzającą się z naszym pesymistycznym nastawieniem do życia), aktywność techniczną i otwartość na wyzwania hi-tech, pomysłowość, którą jednak trzeba wspierać. Widzi też mnóstwo podobieństw Śląska do swojej rodzinnej Limburgii we Flandrii, gdzie również górnictwo i hutnictwo odcisnęły mocne piętno.

- *Kopalnia łączy ludzi. Praca pod ziemią rodzi poczucie wspólnoty i więzi, którą potem przenosi się na powierzchnię* - mówi Palmen. - *Tę kulturę wspólnoty można zauważyć i w Limburgii, i na Śląsku.*

Pelen optymizmu myśli o nas samych i naszym miejscu w Unii Europejskiej. Mówi o doświadczeniach Belgii, której kopalnie dały pracę przedstawicielom 72 narodowości. Nie było swarów i nieporozumień.

- *Pod ziemią wszyscy są czarni* - mówi Luk. - *Kiedy jednak zaczęto zamieniać kopalnie, pokazały się „kolory”. Każdy naród miał bowiem inną kulturę i inne potrzeby. To było bardzo interesujące zjawisko, wnoszące bardzo wiele do bogactwa Belgii.*

Zauważa, że dziś Polacy zastanawiają się: „Jak to będzie z naszą kulturą po wejściu do TEJ Unii Europejskiej?” Odpowiada: - *nie ma TEJ Unii Europejskiej. Unia ma strukturę, ale żyją w niej różne narody i ludzie okazujący największe przywiązanie do swego regionu, jak choćby Flandria, Walonia, Bretonia, Katalonia.* Dłatego Luk mówi z całym przekonaniem do mieszkańców Śląska:

- *Dla rozwoju kultury narodu nie ma lepszych warunków, jak w konfrontacji z innymi kulturami. Jak bowiem mawiał mój rodak, Hendryk Van Consience, „Aby być Europejczykiem, trzeba najpierw czuć się Flamandem”.*

Czyli - trzeba wiedzieć, kim się jest. Na to trzeba ciężko zapracować. Jak jednak stwierdził już Baildon, Reden, Donnersmarckowie czy Ballestremonie - na Śląsku żyje pracowity i rzetelny naród. Poradzi sobie z każdym wyzwaniem.

„Silesia” rok zerowy i lata następne

FELIKS
NETZ



O „Silesii” opowiadali (na zdjęciu od prawej): Feliks Netz, Kazimierz Kutz i Jan F. Lewandowski.

Pprzed 30-tu laty powstał Zespół Filmowy „Silesia”, jedyny działający przez ponad dekadę człon centralnej firmy PRF Zespoły Filmowe. Władzę przejęła ekipa Edwarda Gierka, wprowadzano pewne korekty do rozmaitych istniejących już struktur. Korekty - to właściwie słowo, bo trudno mówić o zasadniczych zmianach. Z zespołów funkcjonujących do tej pory zostały się dwa: „Kadr” Jerzego Kawalerowicza i „Tor” Stanisława Rózewicza. Powstały nowe: „X” Andrzeja Wajdy, „Iluzjon” Czesława Petelskiego, „Panorama” Jerzego Passendorfera i usytuowany w Katowicach zespół „Silesia” Kazimierza Kutza. Z tą zmianą wiązano pewne nadzieje na poluzowanie śruby i choć owe nadzieje nie były specjalnie rozbuchane, po cichu liczone na pewną liberalizację. Zlikwidowano niesławnej pamięci Komisję Scenariuszową, lecz, jak się miało okazać, niewygodne dla władzy filmy nie zatrzymane na etapie scenariusza, szły na półki już jako gotowe filmy.

Doskonale pamiętam ten telefon: był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia roku 1971; dzwonił Kazimierz

Kutz i mówi: „Panie Felku, nie wiem, czy ta wiadomość pana ucieszy - jest pan kierownikiem literackim Zespołu Filmowego, którego ja jestem kierownikiem artystycznym”. Była to zaskakująca wiadomość!

Dlaczego wybór padł na mnie? Byłem tzw. obiecującym młodym pisarzem, po wydanej pierwszej powieści i tomiku wierszy wyróżnionym Nagrodą Peleryny za najlepszy debiut poetycki roku 1968, o czym Kazimierz Kutz mógł wiedzieć, choć niekoniecznie. Pracowałem w Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach, zrobiłem z Kutzem dwie, może trzy audycje. Większy szkic o twórczości autora „Soli ziemi czarnej” zamówił u mnie Interpress, realizując zamówienie prasy francuskiej. Na antenie radiowej wygłaszałem cotygodniowe felietony filmowe, pisałem o filmie w dwutygodniku „Poglądy”.

W tej właśnie redakcji poznaliśmy się. Kutz chętnie wybrał się ze mną w zaimprovizowaną podróż po świecie polskiego filmu. Naturalnie, więcej słuchałem, niż mówiłem. Może głównie te dwie godziny sprawiły, że wybrał mnie na kierownika literackie-

go swojego wymarzonego Zespołu Filmowego, dla którego jeszcze nie miał nazwy? Ważna jest ta nasza odrębność, a nawet pewna izolacja w pełnej wrzawy, mocno już podpitej redakcji „Poglądów” (mogła to być uroczystość - jak zawsze w „Poglądach” bardzo biesiadna! - wręczania Plakiety Poglądów jakiejś zacnej postaci). To, co nas pasjonowało, nie byłoby specjalnie zajmujące dla innych osób. Z pisarzy lubił chodzić do kina Aleksander Baumgarten, gust miał dobry, cenił filmy Antonioniego. Kino kochał Wojciech Kilar. Było raczej obojętne Wilhelmowi Szewczykowi. Pewien kontakt z filmem miał Albin Siekierski, na kanwie jego sztuki powstał film „Czerwone berety”. Poza tym film nikogo tu nie interesował. To jest bardzo istotna okoliczność, ponieważ pomysł zlokalizowania Zespołu Filmowego właśnie w Katowicach, niechętnie zaakceptowany w centrali, czyli w Warszawie, u nas, w Katowicach, wydawał się czymś doprawdy z zupełnie innej planety.

Miejscowi literaci rychło zorientowali się, że Zespół Filmowy „Silesia” nie znajduje w ich dziełach materiału na filmy. A przecież mogło być takie oczekiwanie, że oto nareszcie zaczęły tu powstawać filmy o górnikach, hutnikach i zawodach pokrewnych. Rozumowano bezwzględnie logicznie: jeśli te filmy nie miałyby być właśnie o tym, to po co taki Zespół na Śląsku? Istniało na przykład wydawnictwo „Śląsk”, które w pierwszym rzędzie wydawało książki o tematyce górniczej i hutniczej. Z nielicznymi wyjątkami.

Kazimierz Kutz miał za sobą świeżo dwa wielkie, rzeczywiście śląskie filmy: „Sól ziemi czarnej” i „Perłę w koronie”, więc na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało: tą drogą pójdzie Zespół Filmowy „Silesia”. Rzecz w tym, że tą drogą pójść nie mógł; nie to, że nie chcieliśmy, ale każda propozycja tematycznie czy problemowo usytuowana na Śląsku, była znacznie poniżej śląskich filmów Kazimierza Kutza. Kierownik literacki zakupił wszakże kilka powieści miejscowych autorów; była wśród nich jedna powieść dużej klasy - „Krzak gorejący” Jana Pierzchały (zainteresował się nią Wojciech Has, powiedział mi, iż „jest to powieść wysmienita”, lecz najwidoczniej nie rozpałła na tyle jego wyobraźni, by zechciał ją zekranizować). Druga książka, wybijająca się ponad śląską produkcję, była bardzo hrabalska z ducha, epicka proza Leona Bielasa pt. „Sławna jak Sarajewo”. Filmy, jakie z czasem powstały na motywach tych powieści, nie dorównywały wszakże literackim pierwowzorom. Zdecydowanie lepiej wypadła ekranizacja powieści Wilhelma Szewczyka „Ptaki ptakom” (reż. Paweł Komorowski). Śląscy literaci chcieli, aby sam Kutz reżyserował ich pomysły, tym-

czasem on patrzył na Śląsk ostrzej, przenikliwiej, nie licząc się z zakazami, kwestiami nietykalnymi, miał zupełnie inny temperament: tutaj literatura wzorem Morcinka (ten wzór zwulgaryzowana w okresie socrealizmu) chciała być krzepiąca (czyż jednak laskier krzepi?) i szlachetna (szlachetność myląc z pocziwością). Właściwie żaden istotny śląski temat nie został zaatakowany z pasją, a takich rejonach sztuki, w jakich sytuowały się oba śląskie filmy Kutza, nie było nawet co mówić. Środowisko literackie, zawiedzione w swoich cichych marzeniach, szybko wystudziło swój początkowy zapal, a nie znalazłszy wyraźnego umocowania w regionalnej problematyce, zawisło w próżni. I znów, po paru dobrych latach, trzeba było filmu Kazimierza Kutza, by to, co tutejsze, regionalne, śląskie, zabrzmiało silnie w całej Polsce. Myślę o „Paciorkach jednego różańca”. Ten film jednak powstał już nie w „Silesii”, lecz w Zespole Filmowym „Kadr”, w którym Kutz debiutował „Krzyżem Walecznych”.

Z niemalym zaskoczeniem przyjmowano pierwsze filmy „Silesii”, a więc „Na wylot” Grzegorza Królikiewicza i „Sanatorium pod Klepsydrą” Wojciecha Hasy. Drażniła nawet czołówka „Silesii”, dzieło reżysera i artysty-malacza Antoniego Halora, Ślązaka z urodzenia, członka Zespołu, z motywem szybu górniczego, poprzedzająca dwa wspomniane filmy nie mające nic wspólnego nawet ze śląskim krajobrazem... Podobnie było z telewizyjnymi debiutami: „Brzydkim kaczątkiem” Tomasza Zygałdy, „W domu” Andrzeja Barańskiego i „Historią pewnej miłości” Wojciecha Wiszniewskiego (film poszedł na półkę, pokazano go dopiero w roku 1981, roku „Solidarności”). Niezadowoleniu centrali towarzyszyło narastające uczucie wyraźnego zawodu miejscowych władz partyjnych. One przecież liczyły na coś hurraoptymistycznego, a tu jakieś ponure dziwactwa! Nagroda Specjalna canneńskiego jury dla „Sanatorium pod Klepsydrą” została pomniejszona w telewizyjnym Pegazie, że to raczej wyróżnienie za całokształt (tak to ujął red. Jacek Foksiewicz), niż za ten konkretny film. „Na wylot” Grzegorza Królikiewicza miał dwie kolaudacje i doprowadził do szewskiej pasji ówczesnego szefa kinematografii, zaś minister kultury wezwał kierownictwo Zespołu, by mu wyjaśniło, o czym właściwie jest film „Sanatorium pod Klepsydrą”. Wojciech Wiszniewski, zrobił doskonały dokument dla TV pt. „Opowieść o człowieku, który wykonał 550% normy”, rzecz była i o Śląsku i o górnictwie, tak przy tym głęboko sięgając w świadomość robotnika, że ta pierwsza profesjonalna praca Wiszniewskiego rozjuszyła „krytyków i recenzentów” wytypowanych na kolaudację (brałem w niej udział) przez odpowiedni wydział KW PZPR w Katowicach. Film zgilotynowano.

Kazimierz Kutz wspominając tamten „rok zerowy” Zespołu Filmowego „Silesia”, powiedział, iż jemu szło o coś więcej, niż tylko o produkcję filmów. Zamierzał stworzyć w Katowicach wytwórnię filmową, co nie było mrzonką!, postawił na młodych, wierząc, że wielu z nich zechce tutaj żyć i pracować. Wierzył, że wytwórnia przyciągnie scenografów, aktorów, że powstanie w Katowicach zupełnie nowe, prężne środowisko filmowe, teatralne, aktorskie. Ówczesny kierownik produkcji „Silesii”, Tadeusz Baljon, upatrzył nawet miejsce, gdzie powinna stanąć wytwórnia, niedaleko ośrodka telewizyjnego; dwa, lub trzy razy weszliśmy na tę - wówczas łękę - i snuliśmy przez kwadrans piękne wizje. Poza tym była wówczas do przejęcia i zagospodarowania Hala Parkowa, świetnie nadająca się na atelier filmowe. Doskonale pamiętam naradę kierowników Zespołów w Warszawie, na której Kazimierz Kutz przedstawił projekt wykorzystania owej hali. Sprawę zbyt milczeniem. Z perspektywy ulicy Puławskiej, gdzie mieściła się dyrekcja PRF Zespołu Filmowego, już samo usytuowanie jednego jej członu poza stolicą było, oględnie mówiąc, wybrykiem, na który wszakże się zgodzono, sądząc najzupełniej mylnie, że twórca śląskich filmów ma silne poparcie I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, który dynamicznie rozpoczął swoje rządy, a cóż dopiero wytwórnia, hala, studio! Ale i w Katowicach okazało się niebawem, że nikomu tu wytwórnia pod wodzą Kazimierza Kutza nie jest potrzebna, a nawet wprost przeciwnie!

Z punktu widzenia partyjnych władz wojewódzkich szef artystyczny „Silesii”, będąc człowiekiem stąd, mając w dorobku dwa wielkie dzieła o Śląsku, w sposób rażący był jak najbardziej niewłaściwym człowiekiem na stanowisku kierownika artystycznego Zespołu Filmowego „Silesia”, usytuowanego w Katowicach, gdzie władzę sprawował osobnik wyjątkowo prymitywny, Zdzisław Grudzień, otoczony ludźmi równymi sobie, z nielicznymi wyjątkami. Kutz nie był członkiem PZPR. Mógł nim nie być jako reżyser (jego, z punktu widzenia partii, niewygoda i strata), ale nie jako szef zespołu filmowego. I to tutaj, na Śląsku!

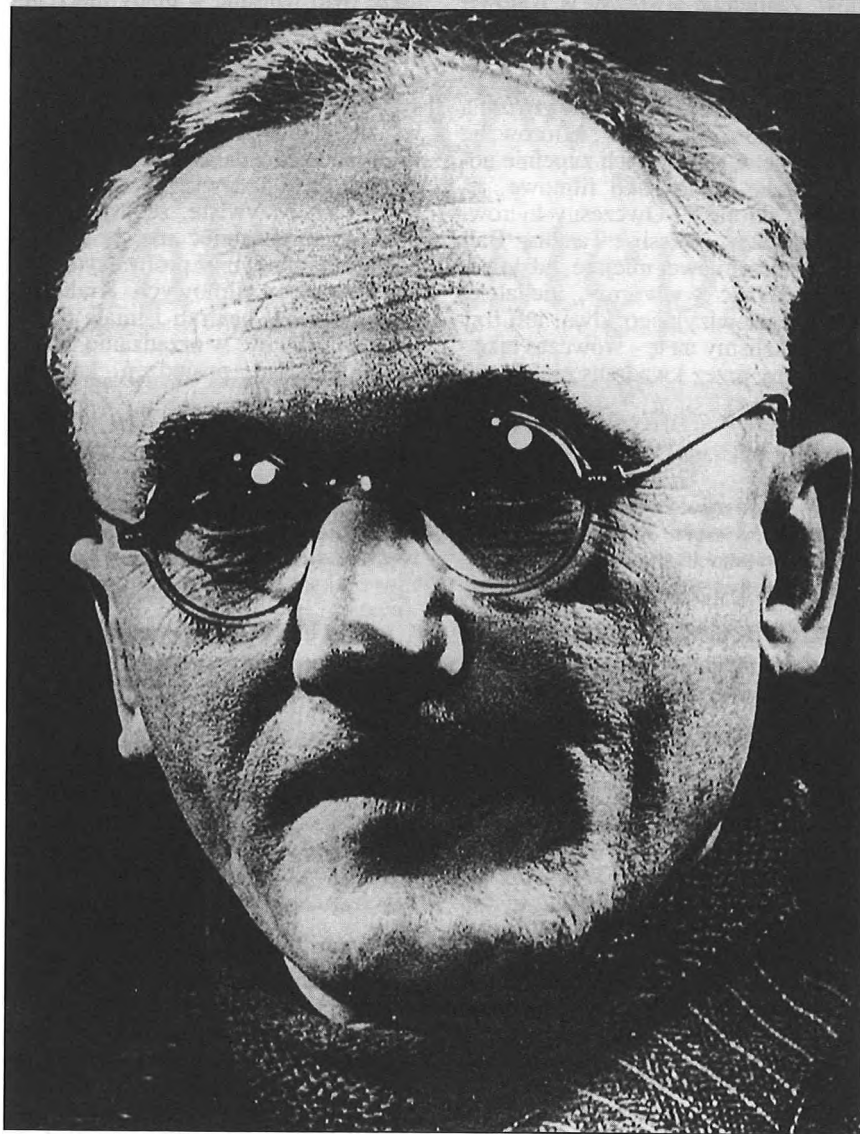
Kutz ma naturę społecznika, działacza, to urodzony animator, gotów stale coś stwarzać, kreować, puszczać w ruch. Miał wiele zapалу, rozsadała go energia. (Nagła choroba kręgosłupa na pewien czas wybiła go z rytmu. Po długim leczeniu szpitalnym i długiej rekonwalescencji, nie odzyskał już dawnej dynamiki). Chcieliśmy, by „Silesia” stała się czymś w rodzaju klubu, miejscem spotkań pisarzy i muzyków, reżyserów i dziennikarzy, plastyków i aktorów. Nie brakowało na Śląsku ludzi utalentowanych, ale brakowało tu czegoś, czy kogoś, kto by to

wszystko sobą, w sobie, wokół siebie skupił, zogniskował i przetworzył na żywy ferment umysłowy. Paru reżyserów chciało osiedlić się na Śląsku. To także było wpisane w plany-marzenia kierownictwa Zespołu Filmowego „Silesia”.

A jednak, pomijając wszystkie kwasy i niechęci władz lokalnych, rychło wyszło na jaw, że usytuowanie Zespołu Filmowego z dala od Warszawy, od centrali, było nadzwyczaj nieżyciowe. I stało się oczywiste, że nic takiego poza centralą istnieć nie może. Potwierdziły to również próby usytuowania zespołów filmowych Krakowie i Gdańsku. W centrali istniała nierozumna gorliwość w urządzaniu niezliczonych narad, posiedzeń, komisji, najrozmaitszych spotkań i nasiadówek, najchętniej dzień po dniu, przez okrągły rok. Dla mieszkających w Warszawie było to, choć z trudem, do zniesienia. My z Kazimierzem Kutzem i Tadeuszem Baljonem niemal nie wychodziliśmy z pociągów, samolotów i taksówek, kursując między Katowicami a Warszawą, Katowicami a Łodzią, albo Warszawą a Łodzią, z pominięciem Katowic.

A jednak, coś zaczęło się dziać! Dotyczyło to bardziej osoby samego Kazimierza Kutza niż Zespołu Filmowego „Silesia”. To właśnie wokół Kutza zaczęli skupiać się dziennikarze, poeci, muzycy, inżynierowie, prawnicy i ekonomiści, słowem katowicka inteligencja w osobach swoich najlepszych przedstawicieli. Nie powstał klub w siedzibie Zespołu, ale czymś takim stało się mieszkanie Kazimierza Kutza w pięknym, niegdyś najwyższym w Katowicach, domu przy ulicy Żwirki-Wigury. Mieszkanie było ogromne. Stanisław Jędryka zauważył, że ma tylko jedną wadę: tę, iż nie jest w Warszawie! W mieszkaniu Kutza mówiło się pełnym głosem. Było to mieszkanie człowieka wolnego. Gdyby nie Zespół Filmowy „Silesia” nie byłoby tego miejsca, w którym coraz śmielej słychać było „głos wolny wolność ubezpieczający”. Tak, najważniejsze jest to, iż „Silesia” dała nam Kutza, który wywarł na każdego z nas olbrzymi wpływ. Dla mnie osobiście to nawet jest ważniejsze od najlepszych filmów, jakie powstały w Zespole Filmowym „Silesia”.

P.S. Zdumiała mnie i mile zaskoczyła młoda publiczność, która wypełniła niewielką, lecz gościnną salę projekcyjną Instytucji Filmowej „Silesia-Film”. Pomyślałem, że nasza: Kutza, Baljona i moja „Silesia” (w drugiej połowie dekady jej istnienia także Ernesta Brylla) stanowi jednak pewną wartość. Coś z jej produkcji weszło do historii polskiej sztuki filmowej. Parę osób odniosło zawodowy sukces, kilka przepadło. Normalne. Tak w bywa w sztuce.



Portret Augusta Scholtisa ze zbiorów Berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Ślązak i Europejczyk

GRAŻYNA BARBARA
SZEWCZYK

Nazwisko niemieckiego pisarza i publicysty Augusta Scholtisa (1901-1969) pojawia się wprawdzie od czasu do czasu na łamach czasopism niemieckich, polskiemu czytelnikowi i miłośnikowi literatury niemieckiej jest ono jednak nieznane. Pojedyncze przyczynki i eseje o jego życiu i twórczości, jakie ukazały się na łamach polskich pism kulturalnych („Poglądy”, „Życie Literackie”) i periodyków germanistycznych, nie utrwaliły portretu autora w świadomości odbiorcy.

Przyczyną nieznaności jego zróżnicowanego pod względem form gatunkowych pisarstwa - Scholtis pisał powieści, opowiadania, dramaty, literackie felietony i szkice z podróży - był nie tylko brak przekładów książek na język polski. Pisarz urodził się w małej wiosce Bolatice, położonej w południowym zakątku ziemi raciborskiej, która po pierwszej wojnie światowej znalazła się w granicach nowo utworzonego państwa czechosłowackiego i nazywana była przez polityków i geografów „kraikiem hulczyńskim”.

Rodowód

Niemiecko-polsko-morawski rodowód A. Scholtisa, do którego chętnie i często powracał we wspomnieniach, naigrywając się z wpajanych mu w młodości symboli narodowych, politycznych frazesów i ideologii, nie podobał się ani polskim ani czeskim i niemieckim nacjonalistom. Ironiczny stosunek pisarza do kwestii pochodzenia narodowego („*Jestem urodzonym i wyuczonym Prusakiem*”), miejsca urodzenia („*Było to w martwym śląskim zaułku, przy najbardziej na południe wysuniętej granicy Prus z Austrią (...). W regionach tych Środkowa Europa wydaje się być ciągle średniowieczem*”), wad charakteru własnej rodziny („*W mojej drodze życiowej spotkałem się z niewyobrażalnym dzisiaj pijaństwem pokolenia moich ojców, któremu towarzyszyła typowo wiejska pobożność*”), a z drugiej strony fascynacja wielokulturowością i bogactwem językowym pogranicznego regionu, wywoływała konsternację i oburzenie w kręgach tych wszystkich, którzy po 1945 r. utracone ziemie wschodnie włączyli do agresywnych programów politycznych.

Pisząc o śląsko-morawskim pograniczu, autor burzył utrwalone w świadomości Niemców stereotypy i głosił sądy niepopularne, niekiedy wręcz kontrowersyjne. Wielokrotnie np. wskazywał na wydarzenia historyczne, pierwszą i drugą wojnę światową, upadek Prus i monarchii austro-węgierskiej, powstania na Górnym Śląsku i jego polityczny podział, uważając, iż przyczyniły się one do rozbicia kulturowej wspólnoty, pozbawiając ludzi ich etnicznej tożsamości, i zmuszając ich do opuszczenia ojczyzny. „*Tutejsza ludność, rozrywana była z pokolenia na pokolenie przez pruskie i polskie granice państwowe, pozbawiana na zmianę przez obie strony wolnej woli, zniewalana, wypędzana, ograbiana lub po prostu mordowana na poboczu drogi*” (H., s. 10).*)

Także współcześni niemieccy krytycy twórczości Scholtisa nie byli zgodni w ocenie. Przedstawiano go zarówno jako realistę i jako mistyka, jako gawędziarza, niespokojnego ducha, artystę często niewygodnego, jako oryginała i dziwaka. Chyba jedynie Arno Lubos, autor trzytomowej historii literatury Śląska („Geschichte der Literatur Schlesiens”), który znał osobiście Scholtisa

i prowadził z nim wiele ciekawych rozmów, potrafił wnikać w tkankę ideową jego utworów i wyłuskać z niej ważne przesłania. Bezkompromisowa postawa Scholtisa, stawianie niewygodnych pytań i sumienność, z jaką ukazywał związki i spłoty kultury słowiańskiej i niemieckiej na pograniczu górnośląskim, była, jego zdaniem, czymś niezwykłym i niepowtarzalnym. Podziwiając dzisiaj docieklivość i namietność, z jaką pisarz drażył tematykę górnośląską, nie można mimo to zapominać, iż miała ona swoje korzenie w doświadczeniach jego młodości, w jego zamiłowaniu do historii i w utopijnych wyobrażeniach o polityczno-kulturowej roli Środkowej Europy.

Śląskie wątki

Lektura powieści i opowiadań Scholtisa (np. „Ostwind” / „Wiatr ze wschodu” / „Baba und ihre Kinder” / „Baba i jej dzieci” / „Katze im schlesischen Schrank” / „Kot w śląskiej szafie”) pozwala poznać najnowszą historię Górnego Śląska „oczami duszy „autora, na co zwracali uwagę następcy i kontynuatorzy piśarstwa Scholtisa, Hans Lipinsky-Gotterdors i Horst Bienek. Scholtis przedstawia najważniejsze fakty w sposób realistyczny, zgodnie z historyczną prawdą. Jednak przedmiotem szczególnej obserwacji nie są wydarzenia polityczne, lecz sceny z życia prostych ludzi, ich warunki bytowe, oraz relacje pomiędzy posiadaczami ziemskimi i bezrolnymi chłopami. Winiąc właścicieli wielkich majątków za działania prowadzące do pogłębiania różnic klasowych, za ciemnotę i nędzę na wsiach, dostrzega przede wszystkim w problemie społecznym źródło konfliktów narodowościowych. Kwestia społeczna, uważa, do której Niemcy politycy nigdy nie przywiązywali wagi, a dzięki której polscy agitatorzy zdobywali sobie poparcie biednych zagrodników i małorolnych chłopów, zdecydowała o utracie głosów w dniu plebiscytu i o podziale prowincji w 1922 roku:

„Berlin zupełnie zapomniał o powołaniu sprawy narodowej ze społeczną przez polskich agitatorów. Berlin zupełnie zapomniał, kim byli tamtejsi ludzie. Z pomocą kilkuset wschodniofryzjskich krów i kilku beczek pełnych zupy grochowej można było więcej osiągnąć aniżeli przy pomocy najnowszej techniki dwudziestego wieku.

Zamiast uchwalenia jakiegos wyjątkowego górnośląskiego prawa i zmniejszenia - jak nakazywała polityczna mądrość - niezmierzonych majątków ziemskich (...) rzucano hasłami jak butelkami z wodą sodową. Opowiadano chłopu o wspaniałościach niemieckiej kultury. O kłozetach na spluczkę, których w Polsce nie posiadał nawet minister, a w Niemczech używał ich każdy prze-

ciętny człowiek. W tym miejscu chłop musiał się zaśmiać. Ponieważ srał za swoją stodołą i wcale nie tęsknił do kłozetu na spluczkę. Chciał mieć pole” (O., s.204).

Wracając we wspomnieniach „Ein Herr aus Bolatic”, 1959 / „Pan z Bolatic” / do tego problemu, pisarz z goryczą opisywał panujące w rodzinnych stronach stosunki feudalne, nadużywanie władzy przez zarządców i upokarzanie robotników rolnych, zwłaszcza tych, którzy nie znali języka niemieckiego. Fascynowało go natomiast zjawisko cywilizacyjnego postępu, industrializacja krajobrazu, zmiany warunków życia mieszkańców wsi na lepsze. Dał temu wyraz w powieściach „Baba und ihre Kinder”, 1934 i „Das Eisenwerk”, 1939 („Huta żelaza”), podkreślając równocześnie znaczenie wartości tradycyjnych, np. gwary, miejscowych obyczajów, pożyźności i religijności Górnoszlązaków:

„Z dziadkiem Tomaschkiem przekraczałem granicę, biorąc udział w niezliczonych procesjach z powiewającymi kościelnymi chorągiewkami, przy ogłuszającej muzyce dętej, którą wygrywał także mój ojciec na trąbce. W miesiącu sierpniu pielgrzymowaliśmy do Hrabina do cudownego obrazu Matki Boskiej i ze wszystkich stron nadchodziły procesje z niezwykle hałaśliwą muzyką. Przybywały z Polski, Moraw, Prus, z głębi Niemiec i z niemieckich terenów u źródeł Odry, wierząc w jedną łączącą ich wszystkich chrześcijańską kulturę kościelną” (H., s.33).

Ale nie tylko kwestie narodowe, społeczne i religijne były przedmiotem opisu i opartej na własnych doświadczeniach refleksji nad przemianami czasu i przestrzeni Górnego Śląska. W utworach z motywami śląskimi pisarz kreślił oryginalne wizerunki śląskich kobiet oraz górnośląskich dziwaków i odmienców, stworzył też postać zbieracza szmat i błazna Kaschpara Theophila Kaczmarka, który jest głównym bohaterem i komentatorem wydarzeń w powieści „Ostwind”. Przyjmując rolę błazna, szelmy i prześmiewcy, prowokującego swoim zachowaniem rozmowców, Kaczma-

rek reprezentuje typowego człowieka pogranicza, uwikłanego wbrew swojej woli w narodowościową walkę, zmieniającego zasady i poglądy w zależności od sytuacji - raz solidaryzuje się z Niemcami i akcentuje swoje pruskie pochodzenie, innym razem czuje się Polakiem - obserwującym z ironią i dystansem toczące się wypadki. Jego ustami Scholtis skrytykował nie tylko ówczesne stosunki społeczne panujące na wsi; oburzały go przede wszystkim demagogiczne zachowania przywódców ruchów narodowościowych, polityków i agitatorów.

Z analizą charakteru i cech tożsamościowych Górnoszlązaka podjętą przez pisarza można się dzisiaj zgodzić, odnosi się ona bowiem do ludzi żyjących w określonym czasie na pograniczu, o których ks. dr E. Szramek napisał, iż są ludźmi „o chwiejnej równowadze narodowej, wiecznie niezdecydowani, istne trzciny, które pod powiewem lada wietrzyka przechylają się to w tę, to w ową stronę” (E. Szramek: „Śląsk jako problem socjologiczny”, 1934, s. 20). Autor powieści „Ostwind” zwrócił uwagę na zjawisko wewnętrznego rozdarcia dwujęzycznych, poddanych przez kilka wieków pruskiej katalizie mieszkańców prowincji, uważając, iż było ono źródłem górnośląskiej katastrofy. Jako jeden z nielicznych pisarzy niemieckich swojej epoki przedstawiał i interpretował fakty historyczne z uwzględnieniem specyfiki górnośląskiej przestrzeni kulturowej i dziejowej. Ukazywał wydarzenia zawsze w ruchu, uważając, iż każde pokolenie doświadczało w inny sposób historii i każdy naród miał o niej inne wyobrażenie. Z perspektywy dzisiejszego czasu nie można jednak nie zauważyć, iż Scholtis w ocenie najważniejszych zdarzeń w historii Górnego Śląska nie zawsze był konsekwentny. Z jednej strony bronił pruskiego systemu z jego od dawna ustalonymi wartościami, z drugiej oskarżał instrumenty władzy ograniczające ludzką wolność. Potępiał wojny, powstania, ideologiczne walki, ale nie tylko z powodów ludzkich. Najbardziej niepokoił go podział Górnego Śląska w 1922 r., prowadził on bowiem, jego zdaniem, do zakłócenia społecznej, gospodarczej i narodowej równowagi w Środkowej Europie, której główną podporą były Niemcy.

Dedykacja autora w wydaniu „Pana z Bolatic”, z 1959 r.

Für meinen polnischen
Gedankensatz aus Oberschlesien,
Wilhelm Szewczyk, mit
herzlichem Dank für das
hochwertige Geschenk der
Carl Hauptmann-Briefe.
Berlin 29/XI.63.
August Scholtis.

Podróż do Polski.

W listopadzie 1961 r., w okresie bardzo trudnym dla polsko-niemieckich kontaktów politycznych - budowa berlińskiego muru przyczyniła się do usztywnienia stosunków dyplomatycznych między państwami Wschodu i Zachodu - Scholtis decyduje się odbyć podróż do Polski. Staje się to możliwe dzięki pomocy Polskiej Misji Wojskowej pełniącej funkcję konsulatu w Berlinie Zachodnim, a także dzięki wsparciu finansowemu zachodniemieckich mediów,

Berlin, den 2. Februar 1963

Herrn Wilhelm Szewczyk

Katowice

Redaktion "Tribuna Robotnicza"

Sehr geehrter Herr Szewczyk!

Der Biederstein Verlag in München hat sich erboten, einige Exemplare meines polnischen Reiseberichts an polnische Persönlichkeiten zu verschicken und es wäre möglich, daß die Sendung Sie inzwischen erreicht hat. Aus Gründen der Kalkulation ist mein Manuskript halbiert worden und auch verschiedene Formulierungen müßte ich umändern, aber das Echo ist bisher durchweg sehr sympathisch und in den kommenden zehn Wochen bin ich in verschiedene westdeutsche Städte zu zehn Vorträgen über Polen eingeladen, so auch zu einer Diskussion mit vierhundert Studenten.

Es ist schon so, daß unter der deutschen Bevölkerung eine enorme Verständigungsbereitschaft gegenüber Polen existiert, jedenfalls habe ich noch keine negative Bemerkung über mein Buch vernommen, ganz im Gegenteil bekomme ich eine große Anzahl zustimmender Briefe von wichtigen westdeutschen Persönlichkeiten.

In den nächsten Tagen veranlaßt die Akademie der Künste eine allgemeine Pressenotiz über Ihr schönes Geschenk der Totenmaske und Briefmappe Carl Hauptmanns.

Schon vor Monaten hatte ich gelegentlich eines Empfanges in der polnischen Militärmission den Versuch unternommen, Ihnen ein Buchpaket, insbesondere mit Publikationen der Darmstädter Akademie zu schicken, aber man zeigte sich ratlos und ich erreichte nichts. Nun aber höre ich von Dr. Kuder aus der Akademie der Künste, daß er auf dem Wege des Bücher-austausches eine praktische Möglichkeit sieht. Auch ist inzwischen eine Publikation Ihres Romans skut, ich werde Ihnen bald Näheres mitteilen können. Mich erreichte ein Exemplar der Zeitschrift "poglady" und ich werde Ihnen bald einen Originalbeitrag vorlegen, so auch einen Abschnitt aus "Paiva".

Bisher war ich mit anderen Dingen stark beschäftigt und konnte nicht mehrere Sachen auf einmal erledigen.

Herzlichen Gruß, auch Ihrer verehrten Gattin,

Ihr stets sehr ergebener

August Scholtis

List Scholtisa do Wilhelma Szewczyka, z 1963 roku. Ta korespondencja, prowadzona w okresie zamrożenia kontaktów kulturalnych między Polską i RFN, była dowodem konsekwencji i odwagi pisarza.

dzienników „Tagesspiegel” i „Nürnberger Nachrichten” i radia „Westdeutscher Rundfunk”. We wstępie do opublikowanej w 1962 r. w wydawnictwie monachijskim Biederstein książki „Reise nach Polen. Ein Bericht” / „Podróż do Polski. Relacja” / napisze: „Poszukiwanie kompromisów między Niemcami i Polakami jest daremnym trudem (...). Jednak moja relacja będzie starała się oddać Niemcom i Polakom w równym stopniu sprawiedliwość. Będę musiał się wystrzegać spekulatywnych, uproszczonych uogólnień. Zwięźle, genialnie sformułowane aluzje i tak tracą na moralnej sile argumentowania w skomplikowanym, przesyconym krwią, tysiącletnim sporze obu doświadczonych cierpieniem narodów. Powieściopisarzom jest pod tym względem łatwiej; nie muszą poddawać się dyktatowi historii, wybacza się im także hipotezy. Ale nie wolno mi ani moim przeciwnikom ułatwiać zadania. Nie pozwolę się wodzić na pasku przez ich przestarzałą melancholię i przypominam zdanie, które niemal jak leitmotiv pojawia się w moich wspomnieniach: »nigdy jeszcze w historii świata nie zdobyto ani nie odzyskano prowincji na podstawie jakiegoś układu«” (P., s. 7).

Podkreślając niezależność wobec politycznie nośnych hasel głoszonych przez Związki Wypędzonych w Niemczech, Scholtis koncentruje uwagę na teraźniejszym dniu Polaków. Podróżuje przez Polskę pociągiem, co pozwala mu postrzegać szczegóły krajobrazu, dokonywać porównań z przeszłością, prowadzić dokładne notatki. Odwiedza najpierw kilka polskich miast na północy kraju, Warszawę, Olsztyn, Gdańsk, Grunwald, Marlboro, miejscowości na Mazurach, by potem kontynuować podróż na południe, do Częstochowy, Krakowa, na Góry Śląsk, Oświęcimia, Zakopanego i zakończyć ją krótkimi przystankami w Opolu, we Wrocławiu i w Poznaniu. Opisy miast i spotkań ludzi przeplatają się z wplecionymi w narrację wspomnieniami z lat młodości, z cytatami z dokumentów i powieści historycznych, potwierdzających zmienne dzieje polsko-niemieckiego sąsiedztwa, z osobistymi refleksjami i komentarzami autora. Podróżujący nie poddaje się resentementom, stara się być w opisach obiektywny i rzeczowy. Przedmiotem obserwacji jest z jednej strony pulsujące nowym rytmem życie miast polskich, ich odbudowa ze zniszczeń wojennych, ich rozwój, z drugiej ich atmosfera kulturalna, która zdumiewa go i skłania do rozmyślań o niezwykłym potencjale intelektualnym Polaków.

„W Polsce - zauważa - czyta się powieści i wystawia sztuki Dürrenmatta, Frischa, Bölla, Nossaka, Waltera Jen-

sa, Güntera Grassa, Siegfrieda Lenza, - by wymienić tylko kilku niemieckojęzycznych pisarzy, których książki są tłumaczone. Ale widzi się także przekłady z literatury innych zachodnioeuropejskich krajów. Zainteresowanie literaturą w Polsce jest nie do porównania większe aniżeli w Niemczech Zachodnich. Polacy starają się, o czym sami mówią, »poszerzyć pojęcie realizmu socjalistycznego tak, aby zwiększyć możliwości na nowoczesne eksperymenty«. (...) Z bram uniwersytetu wychodzi tłumnie studiująca młodzież, a kiedy spogląda się dalej w stronę Krakowskiego Przedmieścia, przypomina się berlińska aleja »Unter den Linden« i monachijska ulica Ludwigstraße (...).

Strona zachodnoniemiecka będzie musiała powoli przyzwyczaić się do tego, żeby nie patrzeć na Polaków przez królewsko pruskie okulary (...). Nie tak dawno temu uważano Polaków za urodzonych fantastów, niezdolnych do rządzenia państwem, upojonych romantyzmem, marzycielach w stylu wschodnim. Ile tych słabości moglibyśmy odkryć u siebie, uczciwie się sobie przyglądając?” (P., 83, 87).

Podróżując po Polsce, Scholtis, zawiera w relacji nowe doświadczenie czasu i przestrzeni, ukierunkowane na ruch, zmiany i przyszłość. Nie ma w niej miej-

scą na idyllizowanie czy mitologizowanie przeżywanego krajobrazu. Nie waha się przypomnieć tragicznych wydarzeń historii, wojen, utraty prowincji, wypędzenia i wykorzenienia ludności z ich rodzinnej ziemi, faktów, które antagonizowały Polaków i Niemców, uniemożliwiając im porozumienie. Wspomnienie przeszłości najbardziej odżywa w czasie pobytu w przemysłowej części Górnośląska, gdzie Scholtis zamieszkał na krótko po przejeździe „kraiku hulczyńskiego” przez Czechosłowację. W Katowicach, zauważa, dokonują się dynamiczne przeobrażenia infrastruktury, mimo to wygląd miasta z jego ulicami, kamienicami i widocznymi w okolicy szybami kopalni, przypomina wciąż czasy niemieckie:

„Katowice są dla mnie symbolem górnośląskiego kompleksu z ciężkim przemysłem, który bezspornie, dzięki twórczemu napędowi niemieckich inżynierów stał się kuźnią tytanów; w Europie odnaleźć można chyba tylko jeden jej odpowiednik nad Renem i Ruhrą (P., s. 157) (...).

Na byłej ulicy Grundmanna tłoczą się ludzie, kilkaset kroków dalej kawiarnia „Otto”, teraz nazwana „Kryształową”, w czasach niemieckich ulubione miejsce spotkań mówiącego po niemiecku mieszczaństwa. W porównaniu z przeszłością niewiele zmienił się jej wystrój, a także ludzie, którzy tu wciąż jadają ciastka, należą chyba, mimo że odzwyczajeni od języka niemieckiego, do tej samej grupy społecznej” (P., s. 159).

W Katowicach Scholtis spotyka się po raz pierwszy z pisarzem i publicystą Wilhelmem Szewczykiem, którego zna do tychczas z opowieści A. Lubosa, oraz z lektury książki „Skarb Donnersmarcków” (przez przypadek, wyznaje, trafiła ona do jego prywatnej biblioteki). Razem z Szewczykiem i z naczelnym redaktorem „Trybuny Robotniczej” Włodzimierzem Janiurkiem, odbywa wycieczkę do Świerklańca i Nakła (dzieje rodziny Donnersmarcków fascynowały wyobraźnię Scholtisa do tego stopnia, że zaczął pracować nad powieścią „Paiva”, której nigdy nie ukończył), Tarnowskich Gór, Raciborza i do Łubowic. Przybycie do miejsca urodzin wybitnego niemieckiego romantyka Josepha von Eichendorffa, dokąd często „pielgrzymował” z klasą szkolną, posiada dla niego ogromne znaczenie; postać poety i jego pieśni, które dla młodego Scholtisa były przekazem najcenniejszych wartości górnosławskiej kultury duchowej, odnaleźć można często na kartach jego opowiadań, wspomnień i powieści. Dlatego zniszczony zamek w Łubowicach, wywrócony obelisk na grobie rodziców poety i zamalowany farbą olejną wryty na nim napis robi na nim przynębiające wrażenie i budzi re-

fleksję nad przerażającymi skutkami ludzkiej nienawiści wywołanej nacjonalizmami i wojnami między narodami. Ponieważ jednak podróżujący próbuje krytycznie i z dystansu oceniać swoje spotkania historią Polski i Śląska, kończy fragment relacji cytatem z wiersza Eichendorffa, gdzie pogodna ironia przewycięża smutek:

*Niechaj ten, komu historia życie
zamąci
I rozerwie prawe niemieckie serce,
powie sobie, jak książkę Hamlet
w udęcie:
Biada! Przyszedłem na świat po to,
by go tak urządzić! (P., s. 172)*

Scholtis i Wilhelm Szewczyk

Spotkanie Scholtisa z Szewczykiem stało się początkiem ich przyjaźni, która znalazła wyraz w kilkunastu listach, a także w felietonach Szewczyka dedykowanych twórczości autora „Wiatru ze wschodu”.

Zaraz po powrocie z podróży Scholtis porządkuje swoje przemyślenia o Polsce, komentuje je i krótko podsumowuje w liście. Informuje też polskiego kolegę o pracy nad przygotowywaną do druku książką i nad powieścią o Donnersmarckach, obiecuje poza tym przesłać kilka niemieckich nowości wydawniczych (m.in. wspomnienia pisarza i wydawcy urodzonego w Bytomiu, laureata Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich, Maxa Taa, historii Golo Manna, powieść Hansa Niekrawietza) i czasopism:

*Szanowny, Drogi Panie,
(...) „Fragmenty mojego maszynopisu „Paiva” prześlę Panu po Świętach Bożego Narodzenia, muszę całość jeszcze trochę przyprowadzić.*

W zamian za to chciałbym Pana prosić o przestanie mi przy okazji nie tłumaczonych jeszcze na język niemiecki powieści polskich klasyków, przede wszystkim Sienkiewicza. „Konrada Wallenroda” znam tylko w niemieckim tłumaczeniu, ale powinienem go przeczytać po polsku (...).

Opole wydało mi się bardziej powabne niż kiedyś, to była niespodzianka, podobna do tej, jaką przeżyłem w Gliwicach i w Raciborzu. Przede wszystkim zdumiała mnie apetyczność i piękno dworców, Polacy ujawniają w projektowaniu wnętr architektonicznych zadziwiającą abstrakcyjną śmiałość, we Wrocławiu utrafił w samą dziesiątkę, dworzec jest wyrafinowanym barem, zrewidowałem moje ostatnie uprzedzenia, kiedy zobaczyłem ulicę Ogrodową, Świdnicką, wreszcie hotel Monopol i jego niezwykle nowoczesną kawiarnię. Zupełnie zapomniałem, że Wrocław jest zamieszkały przez Lwówiaków, którzy przynieśli ze sobą do Wrocławia swoisty austriacki urok. Będzie mi tutaj trochę trudno, wszystko to zachwalać, ponieważ wypędzeni Ślązacy będą mnie atakować. Chciałbym jednak zarezerwować sobie na osobną podróż cały śląski region, ponieważ (...) nie zrealizowałem wszystkich punktów programu odnośnie Śląska. W Po-

znaniu dokonałem zaskakującego odkrycia fantastycznego klubu czytelniczego, Poznań jest w istocie rzeczy polskim oknem wystawowym najwyższej rangi” (List do Wilhelma Szewczyka z dnia 19.12.1961 r.).

W kolejnych listach Scholtis informuje polskiego przyjaciela o postępującej pracy nad książką o Polsce, o druku jej fragmentów w holenderskim i niemieckim czasopiśmie, a także o pogrozkach które otrzymuje od anonimowych osób w związku z przyjaznymi i entuzjastycznymi wypowiedziami o naszym kraju. Wielokrotnie dziękuje też za dary, które otrzymał od Wilhelma Szewczyka, oryginał pośmiertnej maski Carla Hauptmanna oraz teczkę z listami i dokumentami pisarza, uratowane ze spalonego domu Hauptmannów w Szklarskiej Porębie w 1946 r.

W lutym 1963 r. po ukazaniu się książki, pisze:

„Z powodów finansowych zmniejszono objętość mojego maszynopisu o połowę, musiałem także zmienić różne sformułowania, ale reakcje na książkę są sympatyczne, a w nadchodzących tygodniach zostałem zaproszony do wygłoszenia w różnych zachodnioniemieckich miastach dziesięciu wykładów o Polsce, także do udziału w dyskusji ze studentami. Jest faktem, że ludność niemiecka wyraża ogromną gotowość do porozumienia z Polską, w każdym razie nie odnotowałem żadnej negatywnej uwagi o mojej książce, przeciwnie, otrzymuję dużą ilość aprobujących listów od ważnych zachodnioniemieckich osobistości.

W najbliższych dniach Akademii Sztuk zamierzam dać do prasy notatkę o Pana pięknym darze, masce pośmiertnej i teście z listami Carla Hauptmanna. (...).

Dotarł do mnie egzemplarz czasopisma „Poglądy”, wkrótce prześlę Panu mój artykuł i fragment powieści „Paiva”.

Dotychczas byłem bardzo zajęty innymi sprawami i nie mogłem naraz załatwić kilku rzeczy.

Z serdecznym pozdrowieniem, także dla Szanownej Małżonki

*Szczerze oddany
August Scholtis*

Listy Augusta Scholtisa do Wilhelma Szewczyka, adresowane w okresie zamrożenia kontaktów politycznych i wymiany kulturalnej między RFN i Polską, świadczą o jego prawdziwym i bezkompromisowym zaangażowaniu współczesnością i przemianami w naszym kraju, o konsekwencji i odwadze, z jaką niemiecki pisarz występuje przeciwko mentalnym uprzedzeniom i stereotypom o Polakach, a także o chęci kontynuowania wymiany poglądów ze swoim polskim kolegą na temat stosunków polsko-niemieckich, literatury i spraw śląskich. W listach podobnie jak w książce o Polsce Scholtis wypowiada często życzenie zbliżenia i porozumienia między oba narodami:

„Najwyższy czas, aby Niemcy i Polacy spojrzeli sobie prosto w oczy i wyciągnęli do siebie ręce na początek drugiego tysiąclecia nieodzownego dobre-

go sąsiedztwa” (P., s. 205). Apel ten łączy się z jego refleksją o losach państw należących do Europy Środkowej. Dyktansując się początkowo od koncepcji politycznej Friedricha Naumanna, pragnącego zjednoczyć narody Środkowej Europy pod przywództwem silnych Niemiec, Scholtis, przekazuje w swoich powieściach i w opowiadaniach różną wizję żyjących w pokoju i w tolerancji narodów. Początkowo, zwłaszcza w utworze „Baba und ihre Kinder” fascynuje go idea wielokulturowości i otwartości społeczeństw żyjących na pograniczu polsko-niemiecko-morawskim. Bliskość i symbioza kultur słowiańskiej i germańskiej w przeszłości, uważa, pozwala zachować i pielęgnować jej najcenniejsze i najbardziej humanistyczne wartości w przyszłości. Warunkiem jednak zrealizowania idei o dialogu języków i kultur, jest porzucenie myśli o zemście i przeciwstawienie się wszelkim nacjonalizmom.

„Środkowa Europa będzie wolna od małych bohaterów, okładających się pięścią innych, ludzie podadzą sobie ręce ponad Odrą, Wisłą, Dunajem. W szkole będzie wisił tylko jeden obraz, obraz wszeogarniającego człowieka i nie będzie krakał na wieży żaden nocny ptak” (B., s. 222). Podczas drugiej wojny światowej Scholtis przez krótki czas ulega „magii ideologii narodowego socjalizmu” i pisze z nadzieją o wielkich Niemcach, opartych na nowym porządku politycznym. Do postawy tej nigdy już nie powraca po 1945 r. We wspomnieniach „Ein Herr aus Bolatitz”, napisanych po podróży do Czechosłowacji, powraca wielokrotnie do opisu Pragi - po raz pierwszy zwiedzał ją, mając 19 lat - miasta, które z uwagi, jak pisze, na swoją niezwykłą atmosferę, wywołaną obecnością wielu kultur i języków oraz działalnością twórczą wybitnych artystów (np. F. Kafka, Karel Čapek, J. Hasek, R. M. Rilke) jest dla niego ucieleśnieniem „środkowoeuropejskiego ducha”. Spotkanie z Pragą po wielu latach, podobnie jak spotkanie z Polską, utwierdza go w przekonaniu, że dialog między Słowianami i Niemcami i idea zjednoczonej Europy Środkowej, do której zalicza Niemcy jest gwarancją nie tylko pokoju ale i postępu cywilizacyjnego narodów.

Współczesnego czytelnika książek Scholtisa zdumiewa aktualność i szczerość jego sądów. Będąc Ślązakiem z urodzenia, Berlińczykiem z wyboru - od 1928 mieszkał w stolicy Niemiec - i Europejczykiem z przekonania Scholtis należy bez wątpienia do tych niemieckich autorów, do którego przesłań poetyckich warto powracać, dyskutując o kształcie przyszłej zjednoczonej Europy i roli, jaką może w niej pełnić region Górnego Śląska.

*) Użyte w tekście artykuły skróty odnoszą się do tytułów książek Scholtisa:
B - Baba und ihre Kinder
H - Ein Herr aus Bolatitz. Lebenserinnerungen
O - „Ostwind. Roman einer oberschlesischen Katastrophe
P - Reise nach Polen. Ein Bericht.

Potraktujcie te historie jako pocztówkę z drugiego końca Europy. Od rodziny, od znajomych; od wszystkich, którzy muszą odnaleźć źródło godnego życia poza Polską.

Złote tulipany

RYSZARD
RYCHLICKI

Jeśli zapisałeś się na listę chętnych do pracy w Holandii - musisz być przygotowany na wszystko. Załatw wcześniej, co masz do załatwienia, żonie kilka razy wytłumacz, że to tylko dla jej dobra, co ważniejsze, że ty tu niedługo wrócisz... W każdym razie opłaci się jej zaczekać.

Rozkaz wyjazdu przychodzi z dnia na dzień. Trzeba wtedy zebrać manatki i zapakować się razem z nimi do autobusu. Poza tym, że ciasno - nie jest źle: piwko po paskarskich cenach i film, który widziałeś już kilka razy. Starzy wyjadacze mają jednak swoje metody na kilkunastogodzinną podróż - piwko i lulu.

Droga do granicy miją szybko. Po tem chwila oczekiwania na celnika (na granicy chwile bywają dłuższe niż zwykle), i zaczyna się cyrk dwupasportowy. Dla niewtajemniczonych króciutki wykład: prawo do legalnej pracy w Unii Europejskiej mają osoby posiadające paszport któregoś z krajów unijnych. Jeśli jednak są zameldowane w Polsce - celnikowi w polskim mundurze muszą pokazać polski dokument. Druga pułapka jest bardziej zdradliwa. Jeśli w ręce niemieckiego urzędnika trafi z kolei polski paszport - ma on prawo wystawić nie najszcześliwшему w tej chwili posiadaczowi podwójnego obywatelstwa mandat w wysokości 25 euro.

Mój sąsiad, doświadczony granicznymi przygodami w wielu poprzednich podróżach, objaśnił mi to wszystko. Dodał, że spać teraz nie warto, bo na pewno znajdzie się ktoś nie obznajomiony z procedurami i dostarczy nieco rozrywki w tej monotonnej podróży.

Miał rację. Wkrótce gdzieś z tyłu podniosły się krzyki. Hałasował starszy, nieco ogorzały mężczyzna, który nie rozumiał, do czego taki udatny Niemiec, jak on, przez przypadek

tylko mieszkający w Polsce, ma niby potrzebować polskie dokumenty. Na razie kłócił się z pilotką, ale należało się spodziewać wkroczenia lada moment również celnika. Poza nałogowymi palaczami, którzy jeszcze nie wrócili do autobusu, wszyscy obserwowali tę wymianę zdań w milczeniu. Być może mężczyzna odczytał to jako poparcie, bo jego opinie na temat linii autobusowej, w której spotykają go takie nieprzyjemności, stały się zdecydowanie ostrzejsze.

Pilotka poddała się w końcu i wyszła z autobusu. Mężczyzna z triumfem potoczył wzrokiem po reszcie pasażerów, ale nikt mu nie pogratulował. Mój sąsiad nawet zachichotał z uciechy. Pieniaczowi też zresztą zrzędała mina, kiedy służba graniczna usunęła go z autobusu. Na parkingu czekały już na niego bagaże. Sąsiad skwitował to stwierdzeniem, że takiego cyrku dawno już nie było. I zasnął.

W Opolskiem każdy ma znajomego, który był, albo przynajmniej ma żonę w Holandii. Nietrudno więc o informacje. Z opowieści straszą nieogrzewane przyczepy kempingowe, po których hula wiatr i woda przecieka przez dach a ich właściciel nie zna słowa po polsku. Najbliższy sklep jest 5 km od domu (domu?!) i jeśli nie zdobędziesz jakiegoś zarzdzewiałego roweru - o co, na szczęście, w Holandii nietrudno - czekają cię nieprzyjemne spaceru w wiecznie padającym tu deszczu. Na drugim biegunie znajdują się apartamenty niemal - z sauną, jakuzi, basenami krytymi i czym tylko Holen-

drzy mogą sobie uprzyjemnić weekendowy wyjazd do parku rekreacyjnego. Trudno więc się dziwić, że nowe nabytki holenderskich biur pracy czują się nieco niepewnie.

Pierwszych holenderskich wrażeń natury, powiedzmy ogólnej, nie było wiele, bo autobus wysadził nas zaraz za granicą. W dodatku nie w mieście, tylko w dzielnicy industrialnej, wśród szeregów hal magazynowych. Wśród przybyłych wymieniono tyśiąc pytań, albo i dwa, pomiędzy tymi, którzy coś wiedzieli, a tymi, którzy nie wiedzieli nic. W końcu jednak informacje dotarły do wszystkich i hałas nieco przycichł. Załatwiono jeszcze tuzin spraw, bo legalna praca, jak wszędzie, wiąże się z masą biurokracji i wreszcie zawieziono wszystkich do bungaloków, jak się tutaj swojsko określa domki rekreacyjne. Teraz pierwsze wrażenia zostały uzupełnione doświadczeniem pracujących już od paru miesięcy sąsiadów z pokoju po prawej, oraz z parteru; nasza pogawędka miała się więc czym wykarmić.

Plaster miodu

Najważniejszym oświeceniem było odkrycie powstałej tutaj, w pewnej mierze samorodnie, struktury, z wyglądu przypominającej połówkę plastra miodu. Tak, wyobraźcie sobie ten zbliżony do trójkąta kształt, postawiony pionowo (och, nie pytajcie jakim cudem to stoi - po prostu stoi i już) z szeregami otworów, w które wpadają nowi przybysze. Po chwilowym zgłębku typu - to miejsce jest już zajęte idiotą!, albo - gdzie się pchasz, to dla ciebie za wysoko!; wyłania się wyraźny obraz zorganizowanej społeczności.

Na dole, gdzie komórek jest najwięcej lokują się pracownicy o niewielkim stażu w Holandii. Oni jeszcze sami nie wiedzą, na co ich stać i jaka praca może im się tutaj przytrafić. Dopóki nie dadzą się poznać ze swoimi umiejętnościami lub ich brakiem, będą traktowani bezosobowo, jako liczba osób, które trzeba wysłać w poniedziałek do jakiejś firmy. Część z nich zostanie tutaj na dłużej, miotając się od firmy do firmy i nie mogąc sobie w żadnej z nich znaleźć miejsca. I oczywiście ta grupa, ma najmniej do powiedzenia oraz najmniejsze szanse przy egzekwowaniu swoich roszczeń. Takie bezosobowe traktowanie, jest dla jednych uciążliwe - bo jakimś trafem zawsze wysyłani są do najgorszej pracy; dla innych dobre - nie wychylają się z grupy, odbębiają niezauważeni dwa miesiące roboty i wracają do domu. Nikt o nich nie pamięta, nikt o nich nie opowiada anegdotek z ich pobytu w Holandii. Czasami może to się przydać...

Wyższe piętra zajmują ci, którzy związali się z Holandią na dłużej. Oni z reguły mają setki wydeptanych ścieżek. W pracy traktowani są niemal jak stali współpracownicy - mają może więcej urlopu niż osoby na bezterminowych kontraktach - ale zawsze wracają w to samo miejsce. Sytuacja jest idealna dla obu stron: pracodawca nie musi co tydzień tłumaczyć co się robi z sadzonkami, lub jak odczytać kody paskowe; a pracownik wie z góry, jaka robota czeka go po powrocie do Holandii.

Zdarzają się oczywiście katastrofy - bo najwyraźniej życie nie cierpi monotonii - i firmy niekiedy redukują zatrudnienie. Pracownicy tymczasowi wylatują pierwsi, bo firmy nie mają wobec nich żadnych zobowiązań. Taki nieszczęśnik błąka się potem przez moment od pracy do pracy - które przez porównanie wydają się kompletnie beznadziejne, i albo bierze w końcu urlop (mniejszość), albo w końcu znajduje coś dla siebie. Ułatwieniem w tych poszukiwaniach jest oczywiście to, że zarówno dla administracji, jak i dla dyrekcji firmy pośredniczącej, oni nie są anonimowi. Jeśli Ginter Morohsek jest niezadowolony z pracy w rzeźni, bo nie lubi zapachu mięsa - to dla planisty organizującego pracę jest to konkretny, wąsaty, krępy i niski facet, którego przy pierwszej nadarzającej się okazji trzeba przenieść gdzie indziej. Bo Ginter spędza w Holandii 9 miesięcy w roku, zna niemiecki i rzadko ma kaca w poniedziałek. I wiadomo, że podbije normę w każdej fabryce zatrudniającej do tej pory inne narodowości.

Również poza pracą starzy wyjadacze radzą sobie lepiej niż sąsiedzi z dołu. Tak zwani opiekunowie lub managerowie parku, mają często niepisany układ z nimi, ponieważ znają geografię ośrodka rekreacyjnego oraz biurokratyczne zwyczaje, są niezwykle pomocni w ich pracy. W zamian rewanżują się załatwieniem spraw ułatwiających życie jak wypożyczenie samochodu na weekend, lepsze miejsce w bungaloku czy intensywniejsze przepychanie pewnych spraw w administracji firmy. No i powszechnie wiadomo, że niepisane układy mają bardzo dobrą tradycję w Polsce, sięgającą czasów „spod lady”; specjalne traktowanie jest więc również formą nobilitacji w tej mikrospołeczności.

Wszystko jest w porządku, jeśli w grupce osób jeżdzą-

cych do pracy, znajdzie się kierowca. Jednak problem polega na tym, że znalezienie takiego wśród polskich pracowników, jest często niemożliwe. Holendrzy łapią się za głowę słysząc o czymś takim, ale to tylko dlatego, że nie dane im było zakosztować życia w kraju pozorów, jakim Polska była w czasie, gdy większość owych pracowników zdawała egzaminy na prawo jazdy. Wtedy kierowanie traktorem było uznawane najwyraźniej za wystarczające kryterium umiejętności prowadzenia pojazdu mechanicznego, a ponieważ małe wyrządzały szkody przemieszczając się z pola do zagrody - to i umiejętności nie musiały być za wielkie.

Więc Holendrzy pomimo łapania się za głowę, nadal nie są w stanie zrozumieć, czemu posiadacz prawa jazdy, za żadne skarby nie wsiądzie za kółko, żeby po bezpiecznych i świetnie oznakowanych, holenderskich drogach, dojechać do pracy. Niewiele jednak mogą na to poradzić, poza zatrudnieniem osób, które zajmować się będą tylko i wyłącznie dowożeniem ludzi do pracy. I tak powstała kolejna grupa mieszkańców „plastra”, niezbyt liczna, ale zajmująca niewątpliwie bardziej eksponowane miejsca.

Pierwszą rzeczą, wyróżniającą kierowców, jest łatwiejszy dostęp do

informacji. Ich oficjalnym źródłem jest oczywiście biuro, które w celach organizacyjnych musi przekazać kierowcy nazwiska, godziny pracy oraz ewentualne zmiany. Drugim miejscem, skąd informacje można czerpać pełnymi garściami bez obawy, że kiedykolwiek się wyczerpią, jest bus, którym dowożeni są pracownicy.

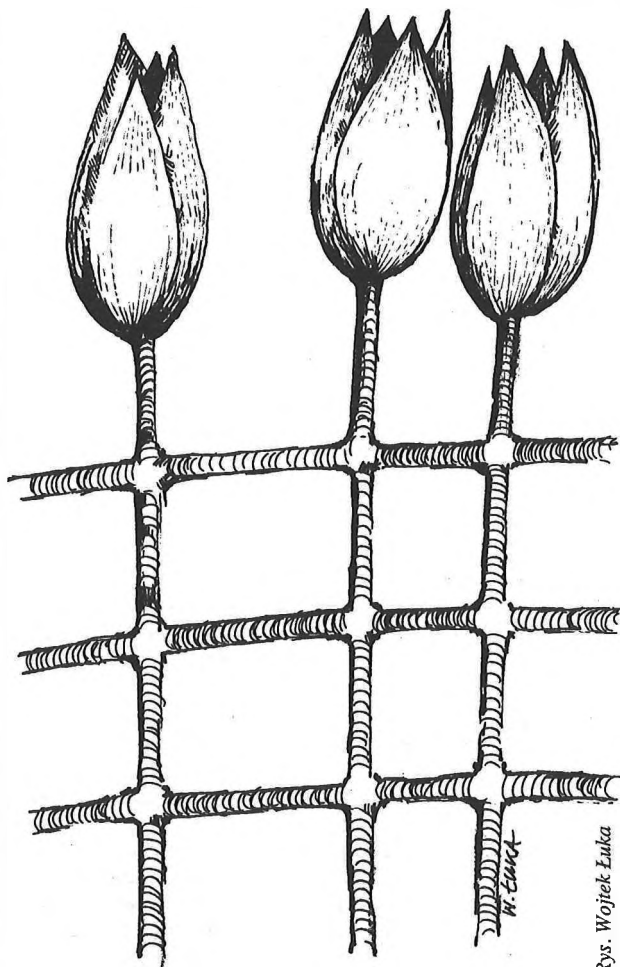
Ponad kierowcami, są naturalnie ci, którzy zlecają im pracę. Planiści i account managerowie - czyli osoby kontaktujące się bezpośrednio z firmami zatrudniającymi ludzi oraz układające plan dojazdów, załatwiające zastępstwa i jeszcze tuzin innych rzeczy. To już jest elita, zamieszkująca w lepszych bungalowach i zasiedlająca biurka w kwatery głównej firmy. Informacje, które do nich docierają, to już nie plotki, lub przefiltrowane oświadczenia - to soczysta i brutalna prawda o tarciach na rynku doradztwa personalnego. Ze względu na bezpośrednie kontakty z dyrekcją (dla której miejsca w plasterze miodu nie ma - bo są to zwykle tubylcy, zakorzenieni tutaj z dziada pradziada i traktujący wszystko jako zwykłą pracę) mają też najlepsze możliwości załatwienia pewnych spraw.

Ktoś mógłby im pozazdrościć, ale coś wam powiem - nie zamieniłbym się z nimi. Wyobraźcie sobie: przy-

chodzi pracownik firmy metalurgicznej, który nie daje sobie rady w tej robocie, jest za stary na dźwiganie ciężkich metalowych prętów i prosi was o zmianę na coś lżejszego. Dzwonicie więc w wolnej chwili do tej firmy, że jest tak a tak i że podeśleć kogoś innego na to miejsce. Niestety, pojawia się problem - firma nie chce o tym słyszeć. A że wy nie mieliście do tej pory czasu dowiedzieć się na czym polegają negocjacje, bo trzeba było jak najszybciej zarobić nieco grosza, dajecie sobie spokój z dyskusją i pozostaje wam tylko zakomunikować nieszczęśnikowi, że końca jego nieszczęść zupełnie nie widać. Efekt: macie jednego wroga więcej w życiu. Powtarzam więc - zdecydowanie wolę mój fotel w hataśliwym busie, niż obrotowe krzesło i klawiaturę biurowego komputera.

Wyspa

Ponieważ dotarliśmy na samą górę plastra - pora rzucić okiem na widoki. Tu muszę was znów zagonić do



Rys. Wojtek Łuka

pracy, bo potrzebna mi będzie wasza wyobraźnia. Zgoda? No to na początek wyobraźcie sobie równinę rozciągającą się w każdą stronę po horyzont, potem możecie dołożyć szeroko rozlaną rzekę w pobliżu, jakąś wioskę na horyzoncie i wreszcie kępę drzew, wśród których rozsiadły się piętrowe bungalowy. Jeśli teraz wyobrażacie sobie siebie samych patrzących przez okno jednego z domków na targane wiatrem i ulewą gałęzie owych drzew - to łatwo możecie dojść do wniosku, że wszędzie jest stąd cholernie daleko.

Dookoła kępy drzew łatwo wyznaczyć granicę pomiędzy tym, co bliskie i znajome, a rozmytym we mgle i niepewnym. Słowo „granica” nie jest tu przesadne, chodzi także o oddzielenie dwóch kultur i dwóch języków. Przecież zaraz po jej przekroczeniu czaić się na ciebie będą uśmiechnięte kasjerki z tymi ich koszmarnie zgrzytającymi słowami. Pojawiać się będą niezrozumiałe napisy i nic nie mówiące kierunki na drogach. Setki dorosłych ludzi na rowerach bez względu na pogodę... i wszystkie te rzeczy, które szokują świeżo przybyłych obcokrajowców.

A obcokrajowców na wyspie nie brakuje. Oto jeden z nich, niski, chudy, młody chłopak śpieszący się na parking. Jest czwarta trzydzieści rano. O szóstej zaczynają pracę, a czeka ich jeszcze długa droga z ośrodka do fabryki - prawie 100 km. Nikt jednak nie narzeka - mają pewną, stałą pracę, po 10 godzin dziennie, więc pieniądze na koncie rosną bardzo szybko. Dla niektórych oznacza to triumfalny powrót do Polski, dla innych dobrą zabawę wieczorem. Paweł należy do tych drugich. Teraz wprowadzić nie może już zanadto szastać pieniędzmi, bo sąd holenderski obłożył go sporą grzywną za wyczyny podczas którejś sobotniej balangi. On jednak nie dramatyzuje. W końcu przecież nie siedzi w więzieniu!

Bywało zresztą gorzej. Kiedy poprzednim razem zawitał do Holandii, mieszkał na przedmieściach Amsterdamu. Nie wszystkie firmy wykupują dla Polaków miejsca w parkach rekreacyjnych. Zdarza się często, że wynajmują mieszkania w blokach przeznaczonych do rozbioru, z których Holendrzy już się wyprowadzili. W rejonach mocno zurbanizowanych takich jak Rotterdam, Haga czy Amsterdam jest to rozwiązanie pozwalające oszczędzić sporo czasu na dojazd do pracy. Bliskość dużych miast sprzyja też intensywnej rozrywce. Wśród uczestników imprezki rozkręcającej się powoli w sobotę wieczorem, często znajdzie się ktoś, kto powie „To co - jademy na Rote Strasse?”. I z reguły uzyska stuprocentową aprobatę.

Szybko więc pojawiają się pod blokami taksówki i przewożą całe towarzystwo do centrum Amsterdamu. A tam, niestety, tygodniowa pensja często okazuje się znikomą w porównaniu do ilości rozrywek zapewniających przez miasto. W niedzielę są nieco skruszeni widokiem pustek w portfelu, ale w większości są to ludzie, którzy niedawno ukończyli szkołę i nie trapią ich zbyt mocno tak zwane problemy życiowe. Mają jeszcze czas na odbicie się od dna, a za to, jakie opowieści będą mogli snuć po powrocie do Polski!

Oprócz przyjemności, takie miejsca dostarczają również zagrożeń. Paweł jest tego świetnym przykładem, więc pozwolicie, że wrócę do tej barwnej postaci. Któraś z rzędu sobota wydała mu się zbyt monotonna, postanowił więc odwiedzić miejscowych dealerów. Daleko nie miał, kilka kroków od jego mieszkania rozłożył się kramik z wszelkiego rodzaju prochami i marihuaną. Boże dopomóż - może przypomnę sobie co wybrał z tej bogatej oferty, tak, amfetaminę i wesołe tabletki znacznie mocniejsze od ekstazy. Ponieważ już wcześniej wypalił sporego jointa, sam nie pamiętał co i w jakich ilościach dostał od handlarza. Ponoć była to oferta promocyjna, w której co najmniej połowa rzeczy była za darmo. Przyniósł więc woreczki z tymi wynalazkami do domu i rozpoczął eksperymenty. Wszystko było pod kontrolą, nawet nie zapomniał w poniedziałek pójść do pracy, ale w następny weekend nagle wybuchła bomba. I to prawie dosłownie. Biznesmeni z ulicy poculi się oszukani, bo Paweł nie zapłacił za narkotyki. A przynajmniej nie zapłacił wszystkiego. Tak więc kolejna promocja okazała się niczym więcej, jak tylko chwytem reklamowym. Jednak konsekwencje były poważniejsze niż w innych sieciach handlowych. Ni mniej, ni więcej tylko wypalenie mieszkania do gołego tynku groziło naiwnemu, jeśli nie zwróci pieniędzy. No to zwrócił. Co najsmieszniejsze, zwrócił kilka razy, bo każdego kolejnego dnia pojawiał się inny przedstawiciel „firmy” i przynosił inne wyliczenie zadłużenia. Dziwnym trafem - zawsze większe od poprzedniego. Dopiero paniczna ucieczka Pawła do Polski zatrzymała tę lawinę. Poza tym sprzedawca był oczywiście sympatyczny i zawsze skory do pomocy.

Holandia ma złą sławę kraju, w którym nie można kupić alkoholu o dowolnej porze. Sklepów całodobowych jest bardzo mało, a ostatnia deska ratunku, czyli stacja benzynowa, alkoholu nie prowadzi. Wynika z tego, że jeśli skończą ci się zapasy zgromadzone przezornie w weekend, to możliwości ich uzupełnienia kiep-

sko się prezentują. Zanim wrócisz z pracy, wszystko będzie już zamknięte. No chyba, że w parku ktoś wpadł na pomysł zapełnienia tej ewidentnej luki rynkowej. W tym przypadku był to ktoś, kogo jadąc popracować do Holandii zawsze spotkacie na swojej drodze - manager parku, polskojęzyczny opiekun, różnie go zwą w różnych firmach. Jego zadaniem jest pośredniczenie między pracownikami a zatrudniającą ich firmą, załatwianie formalności w urzędach, pomoc w kontaktach z niemówiącymi po polsku Holendrami. Kiedy już wszyscy mieszkańcy znajdą się w pracy, opiekun ma nieco czasu dla siebie. Może wtedy spokojnie pomyśleć nad rozszerzeniem zakresu działania. Na przykład o handel artykułami pierwszej potrzeby.

Widzieliście zapewne na ulicach zaśnieżone reklamy piwa (ustawa, która ma nas wychować w trzeźwości). Przytomni producenci wydrukowali na pokrowcach napis: „Tu kupisz to, o czym muślisz”. I każdy wie o co chodzi. Takie same napisy powinny się znaleźć na bungaloku opiekuna, o którym opowiadam. Bo faktycznie, kiedy pomyślałeś wieczorem, że w gardle ci zasycha od całego dnia roboty, od razu sobie przypominasz, że w domku 150 znajdziesz na to lekarstwo. Gdyby jeszcze potrzebne ci były papierosy, albo karta telefoniczna żeby pogadać z rodziną, również mogłeś liczyć na swojego opiekuna.

Manager, oprócz finansowego, miał jeszcze jeden zysk. Ponieważ znał wszystkich, których normy spożycia alkoholu nieco przekraczały średnią i wiedział również kiedy zaczyna się imprezka, mógł bez trudu wyliczyć kto następnego dnia będzie miał „chorobowe”. Musicie przyznać, że to znacznie wzmacniało jego kontrolę nad podopiecznymi. Jeśli więc zechcecie posłuchać mojej rady - lepiej kupić za dużo piwa w zwykłym sklepie, niż narażać się na wyrzuty sumienia zgłaszając opiekunowi wczesnym rankiem, że chyba macie gripe.

Otwarte morze

Któregoś dnia znalazłem się na plaży u wyjścia kanału portowego Rotterdamu. Uczucie małości w porównaniu ze stalowym Morzem Północnym, pustki i braku oparcia dla stóp, jeśli zrobisz choć jeden krok więcej. Stoisz na ostatnim cyplu Europy, na końcu Europy i jeśli lubisz wyzwania, zastanawiasz się jak jest na drugim brzegu; jeśli boisz się nieznanego rozważasz, jak głębokie i jak zimne są się wody. Ten obraz przypomina mi się zawsze, kiedy obserwuję wyprawy mieszkańców par-

ku rekreacyjnego poza zamieszkaną przez Polaków strefę.

Obok siedzi niski i niespecjalnie chudy, były górnik z Górnego Śląska. Niewielki wzrost nadrabia wielkim zasobem historyjek, którymi sypie przez całą drogę do pracy. Jeśli chodzi o komentarze do aktualnej polityki rządu polskiego, lub ogólne porady życiowe, zawsze można na niego liczyć.

Z zachwytem opowiada o swojej pracy w stolarni. Trochę zna niemiecki, więc jakoś dogaduje się z tułtejszymi robotnikami. Ba, twierdzi nawet, że dużo łatwiej porozumieć się z nimi, niż z kolegami z bungaloka. Mnie może to powiedzieć, bo ja mam inną pracę, ale stolarnia jest rewelacyjna. Spokojna praca, dużo godzin, czasami nawet sobota robocza wpadnie. Oczywiście nikomu ani słowa. Każdy chciałby mieć taką robotę. A dużo nie trzeba, zaraz doniosą, że raz czy drugi sobie popił, i któryś z „kolegów” wskoczy na jego miejsce.

Ale Holendrzy *gupie nie som*. Nie śpieszą się sami i nie poganiają innych przy robocie. Jest czas i na papierosa i na kawę z kanapką. Nawet jak człowiek schrzani jakąś deskę to pośmieją się i dadzą następną. Tacy są. I patrz pan, jakie domy stawiają po wioskach. Małe. U nas jak dwóch pięter nie postawi to kiepski gospodarz. I pewnie pije, że go nie stać na większy. I tynku nie ma, sama cegła. Zobaczysz pan - jak wrócę do siebie to cały tynk z kuchni wypierdolę i będzie koniec z malowaniem i tym całym sranieniem.

Niestety nie wiem, czy zrobił to, co obiecał, bo więcej go już nie spotkałem. Ale wyglądało na to, że był gotowy przenieść co lepsze holenderskie wzory na śląskie podwórko.

Wyprawy w nieznane odbywają się też w miejscach niezwiązanych bezpośrednio z pracą. W krajach od wielu lat z informatyzowanych, bardziej przyjęte jest niż w Polsce posługiwanie się na przykład kontem bankowym. Mówię bardziej, bo trudno tę różnicę nazwać przepaścią - ot, po prostu niewielki różnic w naszej mentalności. Żeby więc dokładniej wpisać się w obcy krajobraz - należy takie konto założyć. Wiąże się to oczywiście z wyjazdem do banku i co gorsza, z rozmową z urzędnikiem. Nie to oczywiście, żeby urzędnik był niemiły. Po prostu rozmowa niezbyt się klei ze względu na kłopoty komunikacyjne. Nie wymieniamy więc uwag o pogodzie lub sytuacji politycznej w Europie, pracownik banku wyklada po prostu na stół formularze, i pokazuje, które pola mamy wypełnić. Bierzemy się do roboty, ale tu okazuje się, że ktoś nie wziął okularów. Nie wiedział, że coś

trzeba podpisywać. Albo myślał, że urzędnik podpisze się za niego. No dobrze, w końcu trzeba sobie jakoś poradzić - inna osoba wypełnia cały formularz, on tylko podpisuje gdzie trzeba. Gdyby agenci ubezpieczeniowi mieli tylko takich klientów, błogosławiliby zapewne niebiosą za swój lekki kawałek chleba.

Oddajemy w końcu formularze urzędnikowi, ten po kolei wprowadza dane do komputera. Patrzymy na jego monotonne ruchy, aż w końcu pracownik zamiera i zaczyna patrzeć z kolei na nas, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając. W końcu bierze jeden z formularzy i pokazuje, o co mu chodzi. Ktoś wpisał w polach z adresem tylko nazwę ulicy i numer domu. No, to przecież oczywiste - świat jest przecież tak mały...

Uff - oddychamy z ulgą ładując się do busa i obierając kurs z powrotem do bungaloków. Za parę dni znów trzeba będzie się tutaj zjawić po odbiór karty bankomatowej, ale najgorsze już za nami. Można spokojnie pomyśleć, co począć z resztą tak intensywnie rozpoczętej soboty.

W kolejną sobotę scenariusz powtarza się. Znowu jesteśmy w busie i jedziemy do banku. Widzę, że temu, który miał problemy ze wzrokiem, wystaje z kieszonki w koszuli futerał na okulary. Wygląda więc na to, że tym razem nic nas nie zaskoczy. I faktycznie - wydawanie kart i pinów idzie zaskakująco szybko. Ci, co już mieli styczność z kartami do bankomatu tłumaczą pozostałym, co to jest numer pin i dlaczego nie wolno go zapomnieć. Najbardziej konsekwentnie zwałczył ten problem nasz okularnik - zapisał swój pin bezpośrednio na plastikowej karcie płatniczej. Urzędnik, który to widział, wziął głęboki oddech, ale po zastanowieniu nic nie powiedział.

Ukonorowaniem tych wszystkich formalności było wybranie kasy z bankomatu i natychmiastowe jej wydanie w pobliskim centrum handlowym. Okularnikowi chyba ktoś powiedział, co się dzieje ze zgubioną kartą, na której widnieje pin, ponieważ wybrał z konta wszystko - do zera.

Są jednak rzeczy ważniejsze od pieniędzy. Kiedy złapią korzonki, ząb zemści się za brak właściwego podejścia do pasty i szczoteczki albo pojawi się popularna wszędzie grypa - trzeba rzucić robotę i nie zwalając na uciekające ojro, odwiedzić lekarza. Holenderscy lekarze nie są jednak zbyt skorzy do zawiązywania nowych znajomości. Mają wystarczająco dużo stałych pacjentów i z reguły trudno wyprosić u nich chwilę dla tymczasowych robotników. Telefoniczny opis objawów, które w naszej opinii są niezwykle groźne - powodu-

je z reguły poradę zakupienia dużej ilości paracetamolu, który, jak mawia ciotka z Ameryki, jest na wszystkie bóle w człowieku.

I faktycznie, okazuje się, że organizm człowieka jest przystosowany do najbardziej ekstremalnych warunków i potrafi sobie poradzić zarówno z polską Służbą Zdrowia jak i holenderskim huisarts. Metodą przyjętą zatem powszechnie w bungalokach jest transportowanie sprawdzonych lekarstw (najlepiej antybiotyków) z Polski i zażywanie ich według przyzwyczajęń. Trzy razy na dzień z reguły się sprawdza.

Bywa jednak i tak, że nagłe załamanie pogody załamuje również lawinowo zdrowie większej ilości pracowników. Zapasy z Polski wyczerpują się wtedy natychmiast (bo jak odmówić gorączkującemu sąsiadowi ostatniej deski ratunku), i stajemy przed koniecznością odwiedzenia lekarza domowego. Żebyśmy nie czuli się zbyt zagubieni w holenderskim świecie - lekarz domowy holenderski, tak samo jak polski - do domu nie przychodzi.

Zaczynamy od sąsiedztwa - owszem, lekarzy jest kilku, ale nie mają wolnych terminów. Na grypę proponują paracetamol i pierzynę oraz odkładają słuchawkę. Zataczając coraz szersze kręgi trafiamy w końcu na samarytanina, który zlituje się nad nami, przede wszystkim dlatego, że nasza ubezpieczalnia znajduje się o dwa kroki od jego gabinetu. Wielkość tego kręgu bywa różna, ponieważ, biuro pośrednika może być na zupełnie innym końcu kraju, niż twoje miejsce pracy. Na korzyść przemawia jedynie to, że Holandia nie jest wiele większa od trzech śląskich województw razem wziętych. Czyli dojazd do lekarza nie powinien przekroczyć 200 km...

Nie wspominałbym o tym, gdyby takie wydarzenie było czysto hipotetyczne. Do tej pory jednak kołaczę mi się w pamięci kilkugodzinny rajd zapchanymi autostradami busem wypełnionym wszelkiej maści infekcjami oraz nosicielami. Czulem się jak, nie przymierzając, arabski terrorysta planujący atak biologiczny na to siedlisko zachodniej dekadencji.

Tym bardziej, że nawet w Holandii zaczęły się ostatnio zdarzać mordy na tle politycznym. Taak... mam wrażenie, że ten policjant z drogówki przygląda się naszemu pojazdowi ze zdwojoną uwagą. Tylko spokojnie. Bez paniki. Z dozwoloną prędkością przejeżdżam obok patrolu, nawet siłę się na uśmiech. Udało się. Nikt nie kichnął.

PS. Nazwiska zostały zmienione.

Nasłuchując polskiej mowy



JERZY SAMUEL BANDTKIE - urodził się w Lublinie w rodzinie protestanckiej pochodzenia niemieckiego. Ponad 20 lat - z przerwami - spędził we Wrocławiu, gdzie ukończył gimnazjum św. Elżbiety, którego później był profesorem. Był też rektorem szkoły Świętego Ducha. Polak z wyboru, zajmował się badaniem przejawów polskości. W imię prawdy naukowej występował przeciwko fałszywym i tendencyjnym tezom nauki niemieckiej. Bronił niknącej na Dolnym Śląsku polszczyzny, protestował przeciw germanizacji w kościele i szkole. Wśród dziesięciu artykułów naukowych opublikowanych przez niego w czasopiśmie „Schlesische Provinzialblätter” były: „Schlesiens Name historisch, nicht etymologisch erklärt” (Nazwa Śląsk historycznie, nie etymologicznie wywiedziona, 1801) i „Die Gebirgsbewohner in Schlesien sind keine Überreste alter

Germanen” (1804) - w języku polskim z tytułem: „Mieszkańce w górach Szląskich nie są szczątkami starożytnych Germanów” wydrukowany w „Pamiętniku Warszawskim” w roku 1809.

W roku 1802 ukazała się we Wrocławiu książka Bandtkiego „Historisch-kritische Analekten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens von Europa”, w której znalazła się rozprawka „Über die polnische sprache in Schlesien”. Była to pierwsza redakcja, opublikowanego w roku 1821 w czasopiśmie „Mrówka Poznańska”, obszerniejszego artykułu: „Wiadomości o języku polskim w Śląsku i o polskich Ślązakach”. Tekst ten, historyk nauki, prof. Henryk Barycz nazwał: „pierwszą nowoczesną monografią polską o Śląsku, napisaną przez Polaka, dla Polaków i pod polskim kątem widzenia” oraz „na długie lata jedynym podręcznikiem wiedzy o polskim Śląsku, napisanym ściśle nauko-

wo, podającym fakty rzetelne, własną pracą badawczą i obserwacją wydobytą” („Jerzy Samuel Bandtkie a Śląsk. Z dziejów pierwszych zainteresowań się nauki polskiej Śląskiem”, Katowice 1935).

W obszernym fragmencie początkowym otwierającym „Wiadomości...” autor określa granice języka polskiego na Śląsku - poczynając od rzeki Ostrawicy oddzielającej Księstwo Cieszyńskie od Moraw; pisze o tym, że w Księstwie Opolskim „bardziej polski niż niemiecki język panuje” i że polszczyzna sięga nawet 2 mile pod Wrocław (Sulimów). Pisze dalej Bandtkie o przykładach dokonywanej - z błogosławieństwem państwa pruskiego - germanizacji w kościołach ewangelickich i szkołach ludowych. W pierwszej części drukowanego przez nas fragmentu Bandtkie powołuje się na swój artykuł „Über die polnische sprache in Schlesien”.

W.J.

Wiadomości o języku polskim w Śląsku i o polskich Ślązakach (Fragmenty)

JERZY SAMUEL
BANDTKIE

(...) Przed r. 1241 był język polski w całym Śląsku panujący, bo świadczą o tym nadania rozmaite, gdzie zawsze imiona polskie wsi nazywają się *in vulgari*. Piastowie śląscy jednak jeszcze przed r. 1241 sprowadzili do Śląska wiele osadników niemieckich, a gdy przez Tatarów lud polski w Dolnym Śląsku r. 1241 bardzo był wyniszczonym, to coraz bardziej Dolny Śląsk zaczął niemczyć, zwłaszcza gdy w Luzacji Serbowie a w Brandenburgii Słowianie Lutykowie i inni współplemieńcy polscy po części wytopieni byli, po części wymarli. W Górnym Śląsku zaś otoczonym od narodów słowiańskich, tj. Polaków, Morawców i Czechów, nie mógł tak się upowszechnić, gdy tam osady niemieckie dla sąsiedztwa słowiańskiego

najczęściej spolszczyły się i dotąd mówią po polsku. Wszelako i w Dolnym Śląsku do dziś dnia są ślady dawnej polszczyzny, jako to niezliczone mnóstwo imion miast, wsi, rzek, okolic i osób, a to w krainach, gdzie już od wieków poprzestano mówić po polsku. (...)

Niemieccy pisarze nazywają język polski w Śląsku das Wasserpölnisch, niby to wodny język polski, i tak pospółstwo nawet różni prowincjonalną mowę polską w Śląsku od czystej polszczyzny. Atoli nigdzie Polacy śląscy nie używają tego wyrazu i nie różnią swej mowy od innej polskiej. Obszernej o tym mówi Bandtkie w dziełku przerzeczonym i sprzeciwia się tym, którzy tę polszczyznę za niepolską poczytują, nazywając ją czasem nad-

odrzańskim serbskim językiem, Oder-Wendisch, czesko-polską mową, Böhmisch-Pölnisch, o czym ani polski, ani niemiecki lud prosty nic nie wie, lecz są to raczej wymysły uczonych ludzi, którzy nie umiając po polsku, o polszczyźnie śląskiej chcą sądzić. Wystawia Bandtkie w tym dziełku, że jeżeli język polski w Śląsku dla wielu powiatowych wyrazów, niektórych Czechizmów i archizmów nie ma być polskim, toż i niemiecki język pospółstwa nie powinien być nazwany niemieckim, gdyż od mowy pisownej niemało odstępował, że jak polski język w Litwie i na Rusi, mimo litewszczyzny i ruszczyzny zawsze jest polskim, tak też samo godzi się twierdzić i o polskim języku śląskim. Powstaje oraz Bandtkie na tych nieuczonych

księży, którzy utrzymują, że nie w czystej polszczyźnie, lecz w powiatowej mowie trzeba ludowi kazania prawić i inne nauki dawać, oraz dowodzi to świadectwami uczonych księży, iż to jest fałsz oczywisty. (...)

Tylko na to znawca tych okolic zgodzić się nie potrafi, żeby Śląską polszczyzną dla różnicy od czystej polszczyzny nazywać Plattpolnisch, polszczyzną niższą, bo Plattdeutsch (platdejczy) nie znaczy grubszej lub niższej niemiecczyzny, lecz tylko dialekt Niższych Niemiec nieksiążkowy, jak Oberdeutsch - dialekt Wyższych Niemiec. Nie leży zaś Śląsk niżej od polskich krajów, jak np. Prusy Zachodnie i Wschodnie. Czysta i górna polszczyzna może być sprawiedliwie Hochpolnisch nazywana, gdy i Hochdeutsch jest język pisowny nigdzie w żadnej krainie dosyć czysto nie używany, ale wyraz Plattpolnisch - niższa polszczyzna jest tylko nowy wymysł wcale niepotrzebny. Jeżeli koniecznie wypada rozróżnić Śląską polszczyznę od innej, to zdaje się najlepiej będzie nazwać ją Śląską, tak jak wielkopolskiej i litewskiej i ruskiej polszczyźnie imiona własne nadawać można od miejsc, w których lud nią mówi, lecz wymyślać dla niej nowe imiona z francuskiego *patois* lub z niemieckich dialektów byłoby rzeczą wcale dziwną. (...)

W samym Dolnym Śląsku w 43 ewangelickich parafiach można rachować do 50.000 dusz, a w katolickich także parafiach tyle drugiego ludu będzie, albo może i więcej, a zatem ogółem przynajmniej 100.000 ludu polskiego znajduje się w Dolnym Śląsku pruskim. W Górnym zaś przynajmniej 500.000 ludu polskiego naliczyć będzie można w kilkuset parafiach, a łącząc to z 10 parafiami dysydenckimi w księstwie cieszyńskim i nierównie większą liczbę katolików tamże zapewne przybędzie znowu 100.000 ludu, a tak razem 700.000 ludu polskiego zawiera Śląsk cały, którego ludność przeszło 2.000.000 wynosi. (...)

Stan Ślązaków polskich jest rozmaity. Panowie i szlachta, najczęściej albo z Czech, albo z Niemiec pochodzący, rzadko kiedy umieją po polsku, iż dawne od piastowych książąt czasów pochodzące familie już zapomniały ten język albo nieraz w okolice takie przeniosły się, gdzie język polski nie jest w używaniu. Wszelako znajdują się i tacy, a niektórzy bardzo starodawni panowie, co swój język ojczysty rozumieją, ale jednak do piśma nie używają go, bo jeszcze za króla, potem cesarza Ferdynanda I, w wieku XVI, 1506, do sądów w księstwie opolskim wprowadzony był język czeski. Dlatego to i prawo ziemskie, i wiele nadań w księstwie opolskim jest po czesku, a polskich nadań nie masz tam żadnych. Roku 1740 ustało używanie języka czeskiego w sądach i w rządzie księstwa opolskiego pod panowaniem Fryderyka II,

króla pruskiego, gdy tenże Śląsk aż po rzekę Opawę i do granic księstwa cieszyńskiego zajął. Wszelako w Austriackim Państwie w Śląsku zachowano jeszcze dawne czeskiego języka używanie aż do najnowszych czasów.

Po miastach rzemieślnicy są po części Niemcy, a po części Polacy, ale wiejskie pospólstwo, jak się wyżej powiedziało, jest polskie. Jedni włościanie są poddani, drudzy wolniejsi. Wieś Wolny Kadłub w pruskim Śląsku, w księstwie opolskim zupełnie wolna. Dla mniej urodzajnych gruntów w Górnym Śląsku lub uboższy, w Dolnym - bogatszy. Wszelako i w Górnym Śląsku znajdują się majątni łodnicy, gburowie i rzemieślnicy, lubo nie mogą równać się z ziomkami swymi w Dolnym Śląsku, gdzie położenie pomyślniejsze wiele przyczyniło się do majątności ludu.

W dawnych nadaniach Piastów śląskich widać na pieczęciach, np. Henryka I strój polski, ale teraz wszędzie u mężczyzn strój niemiecki; kaftaniki noszą w powszedni dzień, suknie i surduty w święta. Dawniej zaś chodził lud wiejski w sukniach płóciennych, ale teraz to po większej części ustało. Granatowe płaszcze w Dolnym, błękitne i szare w Górnym Śląsku są najczęściej w używaniu. Gdy Śląsk pruski do 280 000 postawów sukna co rok wyrabia, to nie dziw, że zarzuciwszy płócienną suknię wzięto się do wełnianych. Sukienników zaś w Górnym Śląsku niepruskim najwięcej i wszyscy prawie rodu niemieckiego. Wiele zaś sukienników jest w Bielsku (Bielitz) w cesarskim Śląsku, ale i ci są Niemcami.

Kuźnie, i hamernie, i inne huty wiele się przyczyniły do zubożenia ludu. Wozenie rudy do wielkich pieców i fryszerek licznych i robota sama daje wielu ludziom pożywienie. Wszystkie prace około żelaza są w ręku Ślązaków polskich. Urzędnicy tylko są Niemcy. Górnicy też samo. Robotnicy w rękodzielnym fajansu w Proszkowie są rodu polskiego i między nimi dobrzy malarze i rysownicy. Chwałą niemieccy urzędnicy zdadność Ślązaków polskich i wiele poddaństwa polskiego przeszło także do fabryk śląskich.

Kobiety wiejskie ubierają się prawie tak jak w Polsce, tylko z tą różnicą, że spódnice ich są kuse, aby widać było pończochy pąsowe, które są ozdobą największą młodych dziewczuch. Nieraz chodzą boso w takich pończochach, tj. pończocha w fałdy setne złożona nie ma wtedy podeszwy. Najwięcej fałdów w pończochach noszą Cieszyńnianki, a gładka jest także pończocha najczęściej u Opolanek.

Na głowie u tychże i u innych Ślązaków w Górnym Śląsku ogromny kape-

lusz czarny lub szary pilśniowy, niestosowany zaśłania twarz od sloty i słońca. Szare lub białe kapelusze, pięknymi wstęgami obszyte, należą najczęściej do stroju odświętnego. Toż samo i około Kluczborka i Byczyny jest we zwyczaju. Ale w Dolnym Śląsku dalej tychże kapeluszków nie używają niewiasty, lecz mają czepki albo gołą głowę, a od słońca są kapuzy słomiane. Jak w byczyńskim i kluczborskim wieśniaczki noszą ogromne kapelusze czarne i szare, tak i w Polsce, w Ostrzeszowskim tym samym wzorem bywają kapelusze słomiane, których już nigdzie indziej, jak tylko w jednej Turynii przed laty dwudziestu nie widziałem. Około Opoli kapelusiki czarne mniejsze. Bytomianki i Pszczynianki wiejskie nie noszą także tych kapeluszków, lecz zaraz na głowie zawiązują na czepku ogromną chustkę, która zamiast szalu lub rańtucha służy i aż do dołu spódnicy niemal zasięga. Jest to prawie tak, jak niektóre Żydówki w Krakowie, a wszystkie podobno w Grodnie chustki zapinają na głowie. Piękne kaftaniki przecinane Pszczynianek, trzema rzędami galonków osadzone. Dworek pszczyńskich naśladowany ubiór nieraz zachwycał oko podróżnych. A kiedy r. 1816, na obchód wesela księcia anhaltynskiego, panującego na Pszczynie z dzielnicy Koethen, cały dwór po włościańsku był ubrany, to ta uroczystość nie była mniej piękna, jak kiedy król Stanisław August w Kozienicach był od szlachty przyjmowany, która po krakowsku się przebrała, i śpiewano wtedy piosenkę: Któż mi mój stan pogani? Piosneczka ta podobno już zaginie, a wszelako warto by było ją zachować, jak drogą Narodu pamiętkę.

Cera i tusza Polek śląskich najczęściej dobra, twarze przyjemne, okrągławe i pulchne. Rańtuchy w Opolu służyć tylko we święta do kościoła lub na uroczystą schadzkę do karczmy. W Dolnym Śląsku ich nie masz. Mieszczanki proste noszą płaszczyki czarne, białym futrem podszyte. Ale te powoli z mody wychodzą i ustępują zwyczajnym wyższych stanów ubiorom. Kartonów taniość przyczynia się do tego, mimo skargi tych, którzy utrzymują, że dawne kosztowne szaty jedwabne długotrwale nie tyle wyciągały wydatku, jak te lichsze materie, które co rok raz lub dwa razy sprawiać potrzeba. Polskie futra atlasowe, grodeturowe lub adamszkowe były niegdyś jeszcze przed kilkunastu laty ozdobą mieszczanek i w Dolnym Śląsku, ale już ich teraz prawie tam nie widać. Rzadziej i po miasteczkach i w Górnym Śląsku i znikną niezadługo ze wszystkim. (...)



Waterloo, czyli „sto dni”

Sto dni!... To pojęcie ma w historii ustalone miejsce, choć nie wszystkim kojarzy się tak samo. Podobnie Waterloo - nazwa niewielkiej miejscowości w Brabancji na południe od Brukseli. W znaczeniu historycznym „Sto dni” to czas gdy po opuszczeniu Elby Napoleon Bonaparte na czele niewielkiego oddziału wyładował we Francji, bez wystrzału opanował kraj i uprzedzając przeciwników wkroczył do Belgii. Podczas decydującej bitwy pod Waterloo poniósł jednak druzgocącą klęskę. Od tego dnia 18 lipca 1815 roku dla Francuzów i niezłomnych napoleonistów (już na wyprawie, szczególnie jednak licznych ongiś w Polsce) Waterloo było i jest symbolem militarnego upadku boga wojny. Co innego jednak oznacza w ojczyźnie Wellingtona, tam ostateczny triumf.

Napomykam o tym nie bez powodu ponieważ „Sto dni” co pewien czas ożywa w Polsce w znaczeniu całkowicie odmiennym - terminu ochronnego. Już generał Jaruzelski, gdy mu się w burzliwym roku 1981 zostało premierem, kołatał w patriotycznym apelu o „sto dni” społecznego spokoju. Także kolejni premierzy III RP, w tym Leszek Miller, poprosili o to samo... choć „sto dni” kojarzy się akurat nie z Austerlitz, bądź Jeną, lecz Waterloo Napoleona, czyli z fatalnym końcem.

Dlatego wypraszać za każdym razem właśnie „Sto dni” spokoju i współpracy jest nie do końca zrozumiałe. No bo czemu nie wołać o dni 200, czy o pełny rok!...

Czyżby działała przemożna magia liczby, choć setka to dla większości nosicieli prapolskich plemników, choć i niemałej części reprezentantek narodowego matriarchatu, to jednak miara pojemności poczynając od porannego klina.

Kiedy więc prasa objawiła w wytłuszczonych tytułach „Sto dni komisji śledczej” nie do końca wiadomo jak to rozumieć? Dużo, czy mało, dobrze czy źle? Jeśli chodzi o realne rezultaty tego śledztwa przez te sto dni - jak dotąd - raczej niewiele dowiedziono, czy wyjaśniono. Nadal przecież nie wiemy kto z imienia i nazwiska, względnie jaka grupa osób z kręgów panującej władzy, po wstępnym sondażu łapczywości na przynętę pt. Pol-sat, wyprawiła Lwa Rywina do Michnika z korupcyjną ofertą: ustawa za łapówkę! Natomiast wiadomo więcej niż trzeba kto, z kim, gdzie i kiedy zjadł lody, wypił kawę, wybrał się na ryby, uczładował przy grillu a nawet oficjalnie wstąpił oddać mocz, potwierdzając pełne rozeznanie w lokalizacji przybytku ujawnione w krzyżowym cięciu pytań. I tak co tydzień, od stu dni, kolejni wezwani stawiają się na przesłuchaniu, by - jeśli rzeczywiście wiedzą znacznie więcej - niczego nie ujawnić.

Ten, który wie na pewno najwięcej, jeśli nie wszystko, czyli Lew Rywin, wykazał się, jak dotąd, niezłomną dyskrecją. Konsekwentnie odmawiał odpowiedzi, i to na wszystkie pytania, powtarzając za każdym razem tę samą formułę. Jeśli także w prokuraturze nie ujawni najważniejszych informacji: kto, no kto, no kto... z imienia i nazwiska?... może się w końcu okazać, że nie da się wykluczyć, iż to sam Lew Rywin, z własnej przemożnej woli, powodowany chęcią przechwycenia

gigantycznej sumy, wysłał sam siebie do Agory z obłąkańczą ofertą.

Ta wersja zaczyna mieć coraz więcej oficjalnych zwolenników, w tym złotoustego szefa komisji, profesora Tomasza Nałęcza, skoro pozwala skutecznie oddalić personalne podejrzenia sięgające ho, ho, ho?!... A przecież, co jest faktem, Lew Rywin w końcu targu nie dobił i nikogo nie oszwał, zaś jako cwany szuler po zastosowaniu „blefu biznesowego” dał się nagrać jak gadatliwy dzieciak przez jeszcze bardziej chytrygo Adama Michnika.

Sto dni coraz bardziej rozmytego serialu pt. Sejmowa komisja śledcza obraduje, dowiódł jak dotąd rzeczywistość tego, że panująca nam III RP to od szeregu lat coraz gęściej spleciona konstelacja siw i salonów, gdzie przy whisky i wymyślnych zakąskach ubija się gigantyczne interesy. I to na luzie, mimochodem: tu toaścik, tam parę słów na uszko, geszefcik rączka w rączkę i bruderszafiki na krzyż. Okazało się też jak powszechnym hobby elit stało się umawianie „na ryby”. To rekreacyjne zajęcie niczego przecież nie dowodzi - a to, że ryby nie brały, bo saki puste!... Nie brały, bo nie brały, lecz kto brał i dobił interesu, na to nie ma świadków.

I to stanie się teraz normą po zdemaskowaniu Rywina, który poszedł na całość bez wstępnej gry i dyskretnych sondaży. Otóż to: pełna konspiracja, zaś w tym jesteśmy absolutnie doskonali, z praktyką sięgającą upadku I Rzeczypospolitej aż po niedawne lata konspiracyj pod znaku „S”. Zapewne skurczą się otwarte salony z dobijaniem targu po kątach a i mniej będzie beznamiętnego gadulstwa po fatalnych doświadczeniach z wykazami telefonicznych rozmów. To nowe ostrzegawcze pojęcie: billingi!... Pojawi się natomiast więcej tajemniczych wędkarzy i to takich, którzy nawet nie założą przynęty, by nie drażnić z natury dyskretnych ryb. Chyba, że taka owaka skusi się na goły hak. W polskim biznesie ten prostacki okres już jednak minął i mało kto się na to nabiera: musi być z góry ustalona, gwarantowana przynęta, do tego bez nadziewania na prymitywny hak. Nie te czasy i nie te fortuny!

Start sejmowej komisji śledczej zapowiadał wstrząs, bezwzględną demaskację i oczyszczenie z zarzutów. Jej posiedzenia transmitowane w całości przez telewizję zamieniły się jednak wnet w gigantyczne tasienie. Im więcej pytań - tym bardziej rozmyty obraz, jak w każdej grze na czas. Wezwani na przesłuchania protagoniści afery, i powołani świadkowie w sprawie, grzęzną coraz bardziej w szczegółach bez

większego znaczenia. Są wśród nich melancholijni legaliści jak Bolesław Sulik oraz hardzi twardziele jak superprezes TV Robert Kwiatkowski, no i Włodzimierz Czarzasty, który obłożony dokumentami i ściągami był przygotowany na osaczające pytania o porażającej docieklivosti, choć najczęściej bez logicznego związku z istotą sprawy. I tak przez sto dni, w poczuciu dziejowej misji. Taki Zbigniew Ziobro, poseł PiS-u postanowił przelicytować nawet arcymistrza destrukcji Jana Rokitę. Dowiódł tego, gdy przez 7 godzin obracał na rozpalonym politycznym ruszcie Leszka Millera, aż ten stracił panowanie nad nerwami premiera i dał się sprowokować. A wszystko za sprawą kamer i transmisji.

Ten serial zamienił się w zamulony tasienie, który może nie mieć końca. Braknie po prostu kadencji sejmiku by przepłynąć wydłużający się w nieskończoność korowód świadków, a członkowie komisji nadymają się w pokazowych scenach jak nienasycony uwagą kamer gwiazdorzy. Jedni już teraz rozpoczęli wyborczą kampanię i zbijają polityczny kapitał na dalsze lata kariery. Inni chcą zdyskontować popularność nie tylko w politycznych rachubach. I tak posłanka Samoobrony Renata Beger, która szokowała dotąd intelektualnym wyuzdaniem myląc elementarne pojęcia, dała się teraz poznać jako kobieta bezpruderyjna. W jednym z wywiadów ujawniła śmiało, że i owszem, lubi seks „jak koń owies”, lubi o każdej porze, choć rano nie zawsze doświadcza orgazmu. Ma także w sobie coś, podobno nawet - jak to stwierdził kolega poseł z tej samej ławy - „kurwki w oczach”!...

Magiczna moc kamer zdominowała komisję śledczą, która pracuje coraz bardziej na pokaz poddana dramaturgii politycznej konfrontacji. Starcia w asyście premiera zrobili swoje i szczepione z sobą w walce strony prą do powołania następnych komisji śledczych. W rewanżu za upokorzenie premiera SLD żąda powołania komisji, która przeświełi afery FOZZ-u i Telegrafu. W odwecie znieważony PiS, który ustami Jarosława Kaczyńskiego nazwał SLD „organizacją przestępczą”, chce powołać aż 5 komisji śledczych, które zdemonstrować ostatecznie partię Millera. A przecież do kamer rwą się wszyscy i swoje wnioski o utworzenie kolejnych komisji śledczych zechcą przedłożyć na pewno LPR, PO, PSL, no i Samoobrona, Samoobrona...

Gdyby do tego doszło skłócony do reszty sejm zamiast stanowić prawą i porządkować państwo zamieni się w gigantyczne kłębówisko komisji śledczych, bez reszty zajętych unicestwianiem politycznych przeciwników. A niczego bardziej niż wojny totalnej na komisje śledcze nie życzą sobie gospodarzy gangsterzy i baronowie gigantycznych przekrętów. Sama afery paliwowa wyceniona na 1,15 miliarda złotych strat to łącznie 107 śledztw, 1263 zamieszanych spółek, 330 podejrzanych i 50 oskarżonych.

...No właśnie: zatrzymać działanie państwa, jego instytucji i struktur, by zamienić III RP w korupcyjny raj, nim nie zostanie wszystko rozgrabione do szcztetu. To dopiero interes. Słowem - Waterloo! Wystarczy kolejnych sto dni.

SKORPION

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Jacek Sarapata znakomity rzeźbiarz po rozwodzie z pierwszą małżonką wiele miał dziewcząt, ale skończyło się, bo pojął Aśkę Kotowską za żonę.

Którejś nocy kiedy to sobie spokojnie spali, zadzwonił telefon.

Rozbudzony Jacek podniósł słuchawkę i z kimś tam krótko rozmawiał...

- Kto dzwonił? - zapytała młoda małżonka.

- Ojciec Aśki - odpowiedział zwięźle Jacek i odwrócił się na drugi bok.



Rys. Ryszard Twardoch



FRASZKI

CZESŁAW CZAİKA

Transplantacja

By nie było niejasności
i żadnego sporu,
zgadzam się po śmierci
na przeszczep... humoru.

Otucha

By dodać mu otuchy
„skromne” nosiła ciuchy.

Ja, społecznik

Gdy idzie o seks, to ostatecznie
mogę udzielać się społecznie.

Niezdedykowana „panienka”

Nie wiedziała kogo
przyjmować niedrogo.

Kanciarz

Wyszło to na jaw kiedy wpadł:
gdy robił kanty na okrągło kradł.

Urozmaicenie

Różnorodność miał w życiu:
to na wolności, to w kiciu.

O nadętych

Zwykle najbardziej nadęci
ćwierć - i półinteligenci.

Trudno

Kiedy żona hoża
trudno uniknąć poroża.

Trudna lekcja

Małżeństwo to najtrudniejsza lekcja:
tu jest sprawdzana nawet erekcja.

Koalicja

Niejedną koalicję
rozbiły ambicje.

- Jest Pan za przystąpieniem do Unii Europejskiej, czy nie?

- Mam trochę wątpliwości. Moje dziecko jest bardzo za. Syn widzi w tym rzeczywiście przyszłość, natomiast mnie przeraża jedna rzecz: to, że Unia jest naprawdę tworem z ogromnym przerostem administracji, to może prowadzić do bezwładu władzy i do rozmaitych wynaturzeń. A z drugiej strony, delikatnie mówiąc, my też nie jesteśmy doskonali.

- Zdaje się, że pod względem biurokracji Unia dogoniła monarchię austro-węgierską z czasów Franciszka Józefa.

- Jest na jak najlepszej drodze. Mam też pewne obawy związane ze szkolnictwem artystycznym. W tej chwili nasza Akademia to jest taki mały światek, który, jak myślę, stale jakoś tam wspólnie doskonalimy. I w związku z tym moje osobiste kontakty z europejskimi szkołami artystycznymi raz przepełniały mnie entuzjazmem, raz - pesymizmem. Generalnie nie podoba mi się ten taki bardzo otwarty system studiów. Na przykład są tam uczelnie, gdzie praktycznie nie ma dyplomu, czyli grono profesorskie, czy szerzej - kadra akademii, w której studiuje młody człowiek, nie widzi efektu swojej pięcioletniej pracy. Nie ma weryfikacji umiejętności, oni zakładają, że jak w każdej pracowni student dostanie ten stopień, te swoje punkty, to wszystko jest O.K. Tam studenci jeżdżą po całej Europie, zbierają punkty, to jest absolutna wolność. I u nas w szkołach artystycznych też jest i była wolność, sam byłem kształcony w takim systemie, jednak istnieje jakaś weryfikacja umiejętności. Tam wszystko weryfikuje rynek, czego z kolei nie ma u nas.

- Poznaliśmy się blisko 20 lat temu, wtedy do wydawnictwa „Księgarnia św. Jacka” przyszła cała grupa młodych plastyków - Pan, Tomasz Struk, Kazimierz Cieślak, Adam Romaniuk. Pamiętam, że większość miała już wtedy kontakty z Europą zachodnią.

- Europa tak naprawdę zaczęła się od Gierka, on dopuścił, że ta pierwsza kropka zaczęła drążyć kamienie tworzące mur oddzielający nas od Zachodu. Pamiętam, że w 1974 roku, zaraz po maturze, udało nam się z bratem wyjechać do Włoch, oczywiście na zaproszenie, przysłał je nam Włoch, którego poznaliśmy w bułgarskich górach. Pamiętam, że przemyciliśmy wówczas 20 dolarów w tubce pasty do zębów, żeby w ogóle mieć jakieś pieniądze. Tomek Struk był na ministerialnym stypendium w Norwegii. Katowicka uczelnia była zawsze znana z projektowania plakatu, mieliśmy w związku z tym kontakty z Finlandią. Teraz studenci mają większe możliwości, korzystają z wymiany zagranicznej w ramach programu „Sokrates”. Te wyjazdy dużo młodym ludziom dają. Nie przejeżdżamy schedy po

Tam nie ma takich szkół

Rozmowa z prof. MARIANEM OSLISŁO,
prrektorem d/s Badań i Kontaktów z Zagranicą
katowickiej Akademii Sztuk Pięknych

Krakowie w momencie usamodzielnienia się, oni mają współpracę z kilkudziesięcioma uczelniami na świecie, są dużą, jak na polskie warunki akademią, nasza szkoła jest bardzo mała, więc i nasze kontakty są skromniejsze - Qenca, Porto, Walencja, Mediolan, Saint Etienne i Grenoble. Dziś przyjeżdża do nas Anglik z Kornwalii, za parę dni rektor Akademii z Mediolanu, prof. Zappa, też w ramach „Sokratesa”. Rozmawiamy także w tej chwili z uczelniami z Niemiec i Danii. Powoli, ale skutecznie budujemy nasze międzynarodowe kontakty. Jest również spore zainteresowanie wykładowcami z katowickiej ASP, są zapraszani na krótkie pobyty, pokazują swoje prace i przedstawiają konkretny temat. Sam kiedyś mówiłem w Jan Van Eyck Academy w Maastricht i Northern Illinois University w DeKalb niedaleko Chicago o polskim plakacie i grafice. Akademia Jana Van Eycka jest bardzo dobrą szkołą projektową i było to dla mnie ciekawe doświadczenie. Wiem, że Romek Kalarus był z podobnym tematem w różnych krajach Europy, poza tym w Izraelu i w Saint Louis w USA.

- Poza tym pokazujecie swoje prace w różnych krajach.

- Jeszcze w „czasach krakowskich” braliśmy udział w dwóch plenerach w latach 1998-99 prowadzonych przez niemieckiego artystę, Bernharda Matthesa, mieliśmy także dużą wystawę Młoda Sztuka z Katowic w Oberschlesisches Landesmuseum w Ratingen-Hösel, prezentowaliśmy wtedy prace naszych studentów z lat 1990-1999. Z nowszych rzeczy dobrze wspominałem akcję artystyczną podczas wystawy EXPO 2000 w Hanowerze w ramach prezentacji województwa śląskiego. Uczestniczyli w tym przedsięwzięciu studenci i wykładowcy naszej uczelni. W pomieszczeniu był długi stół, na nim się pracowało. Studenci przygotowywali z tej okazji wiele prac, m.in. pocztówki i specjalnie drukowane katalogi Akademii. Na tych pocztówkach kaligrafowaliśmy imiona odwiedzających EXPO, różne hasła, dwóch studentów rysowało portrety, mieliśmy również 10 artystycznych pieczętek. Nie wiedzieliśmy wcze-

śniej, że podczas światowej wystawy zwiedzający otrzymują specjalne paszporty EXPO, które można było stemplować w poszczególnych pawilonach tak, jakby się odwiedzało dany kraj. I okazało się, że największa z naszych pieczętek była dokładnie wielkości kartki w tym paszporcie. Kiedy ludzie dowiedzieli się o tych naszych pieczętkach, w polskim pawilonie zaczęły się ustawiać kolejki. Integralną częścią tej akcji był występ zespołu „MOŁR DRAMMAZ” Wojtki Kucharczyka, który jest asystentem w mojej pracowni na Akademii, zajmuje się dźwiękiem i muzyką elektroacousticzną. Przygotował płytę EXPO 2000, która była w czasie akcji odtwarzana. Pomysł polegał na wykorzystaniu śląskiej gwary. Wojtek nagrał swoją ciotkę, która komentowała stare, rodzinne fotografie, później dodał do tego muzykę, wyszła z tego niezwykle interesująca płyta, zdarzało się, że ludzie ze Śląska mieszkający w Niemczech płakali słysząc swoją mowę, widzieliśmy łzy na twarzach. Akcję artystyczną w ramach prezentacji naszego województwa zorganizowaliśmy też w Bratysławie.

- Mówi się, że sztuka jest u nas jedną z niewielu dziedzin, które nie wymagają żadnych okresów przejściowych, dostosowawczych.

- Chodzi o to, żeby się dostosowywać zatrzymując jak najwięcej rzeczy własnych, które są dobre. Dlatego byłbym za mądrą ewolucją naszego systemu kształcenia artystycznego. Tam są bardzo różne szkoły i my też już tego doświadczamy w naszym kraju. Kształci się często segmentowo, istnieje węższa specjalizacja. To dosyć skomplikowane np. w dyscyplinach projektowych. Nowoczesna, ciągle zmieniająca się technologia zmusza nas do szybkiego reagowania. U nas student przechodzi przez system pracowni, daje mu to teoretyczne i praktyczne całościowe wykształcenie. Przez pięć lat nauczyciele są z tym młodym człowiekiem i ta ich troska o jego drogę jest dla mnie bardzo cenna. To mogłaby być dobra oferta także dla studentów z krajów Unii.

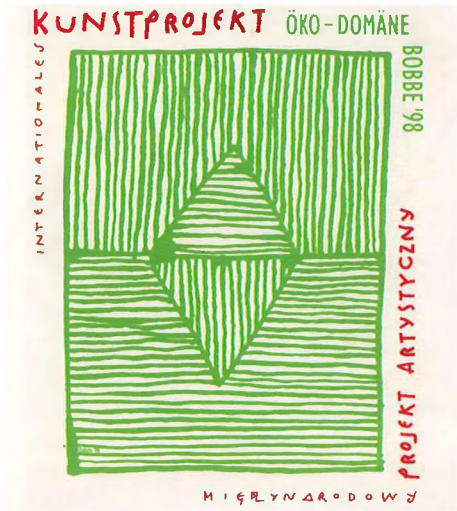
Rozmawiał: BOGDAN WIDERA



Agata Sobczyk



Bernhard Mathes



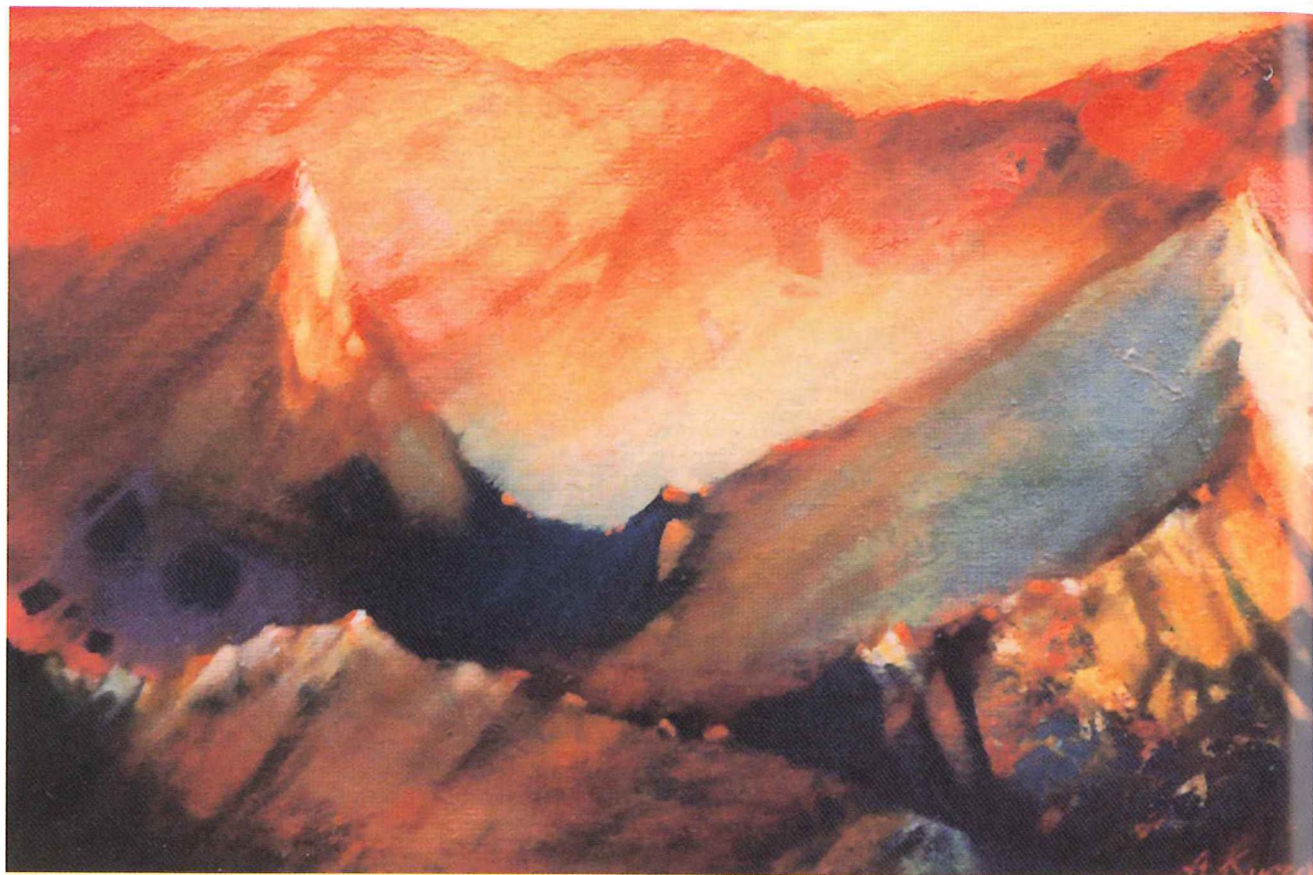
KUNSTPROJEKT



KOMPANIA
PIWOWARSKA



SPONSOR „ŚLĄSKA”

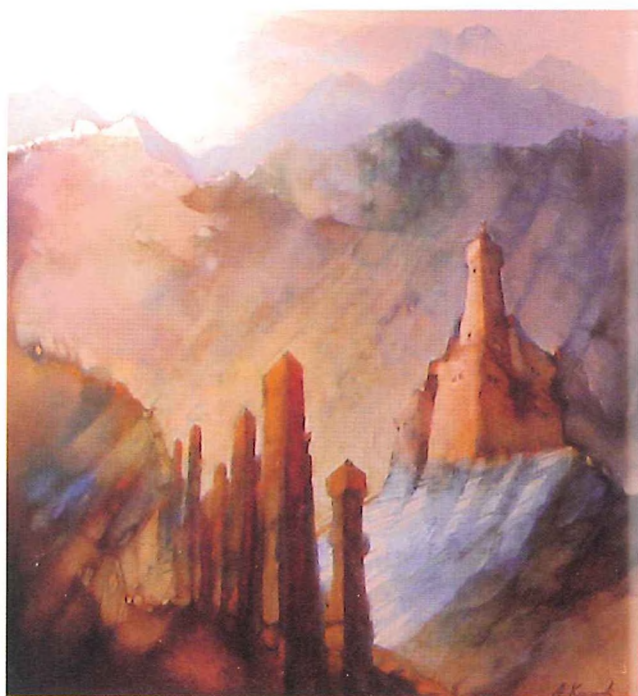


Czerwone Wierchy



Memento

ANDRZEJ
KUCZOK



Szklana Góra

Zimne gniazda

Andrzej Kuczok uznał, że wystawie retrospektywnej, wieńczącej 35 lat pracy twórczej, warto narzucić porządek nie tylko znaków plastycznych, ale i słów. Każdy blok prac, opatrzone był stosownym mottem. Pejzażom, inspirowanym Tatrami i Jurą Krakowsko-Częstochowską, towarzyszył pisany góralską gwara pięciowersz, ułożony przez samego Kuczoka. Motywy śląskie miała dopowiadać również autorska gwarą śląską (*Jeszcze kajś familok do zolyt kusi bloki...*). Dla literackiej równowagi, pojawiły się i zapożyczenia. Cykl obrazów ni to mitologicznych, ni biblijnych, ale na pewno symbolicznych, dopowiedziała cytata z Ezopa: *Zniszcz ziarno zła, bo wyrósł i zniszczy ciebie*. Najciekawsze chyba prace, z olejną *Błękitną rapsodią*, trochę aktem, a bardziej jego awerssem i rewersem, uogólniła myśl Augustyna z Hippony. Nieznany mi bliżej mędrzec odkrył, zapewne co najmniej dwa tysiące lat temu, że *Wszystko ma swoje miejsce w pięknie tego świata*.

Artysta lubi grę w słowa. W stanie wojennym wydał nawet tomik wierszy, dyktowanych goryczą i potrzebą odreagowania na umundurowaną rzeczywistość. Często popełnia liryczne drobniaki przy okazji wystaw przyjaciół, nie unika też autokomentarzy do pokazów własnych prac. - *Przestałem pisać, kiedy zaczął mój syn Wojtek* - mówi. Tak naprawdę jednak kokietuje, gdyż w katalogu wystawy jubileuszowej ogłosił rymowaną deklarację: *Ja nie jestem poetą, ani losu rzeźbiarzem, / jestem tego losu zwyczajnym tragarzem...*

Pisanie o sobie jest oferowaniem łatwego klucza do siebie. Tyle że Andrzejowi Kuczokowi w istocie chodzi chyba nie tyle o klucz, co o świadomość, że bywają drzwi do sztuki i bramy nieodwołalnie zamknięte. Próbuje przekonać, że w twórczości najważniejsza jest pokora, wytrwałe rzemiosło, zgoda na wędrówkę dawno przetartymi szlakami, z dala od awangardy. Jednocześnie chce, abyśmy uwierzyli, że nie zatracił tęsknot, dzięki którym praca zawodowego plastyka nie bywa wyłącznie rutyną i przymusem.

Zawsze chciał być malarzem. - *Jako dziecko rysowałem konie. Te żywe i mechaniczne, bo pasjami szkicowałem samochody*. Wybór liceum plastycznego był naturalny i oczywisty. Obawiał się egzaminu na katowicki Wydział Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. - *Po liceum mieliśmy już uprawnienia zawodowe, byliśmy technikami - metaloplastykami. W akademii uważano ponadto, że przychodzimy już z pewnymi nawykami warsztatowymi, że trudno zmienić nas w artystów - wspomina*. Profesorów przekonał taką rysunków węglem. - *Były haldy, dziadek wypasający kozy, gołębie, familoki. Uznano, że nie silę się na jakąś szczególną oryginalność, ale jestem naturalny i szczerzy. To widać, wystarczyło. Okazało się, że liceum nie stłamsiło wyobraźni*.

Dyplom z malarstwa zaliczył u profesora Rafała Pomorskiego. - *Namalowałem zestaw kubizujących martwych natur. W grafice, dla profesora Aleksandra Raka, przygotowałem cykl śląski. To była klasyczna litografia. Dostałem dyplom z wyróżnieniem. Obowiązkowy był także plakat. Na zakończenie nauki w pracowni Tadeusza Grabowskiego trzeba było wykonać cykl plakatów. Temat konwencjonalny - 1 Maja - ale wybrałem kolorowe wariacje wokół kwiatów. Podobały się* - mówi Kuczok.

Całe życie związany jest z Chorzowem. W rodzinnym domu, gdzie, w 1940 roku, przyszedł na świat, ma dzisiaj pracownię. - *Krótko przed moim dyplomem umarł ojciec. Po studiach trzeba było pomyśleć przede wszystkim o pracy zarobkowej, ambicje twórcze zeszyły, siłą rzeczy, w cień*. Jak wszyscy absolwenci katowickiej szkoły, dobrze radził sobie zarówno w plakacie (zdobył nawet kilka nagród w konkursach), grafice wydawniczej i reklamie. Przez wiele lat współpracował z organizatorami zawodów żużlowych na Stadionie Śląskim. - *Przygotowywałem całą oprawę plastyczną, od plansz reklamowych, po projekty plakatów, proporzyczków i medali, między innymi pamiątkowych Mistrzostw Świata w 1973 roku, kiedy tytuł zdobył Jerzy Szczakiel. Siedzieliśmy z żoną w łóżu obok małżonki sławnego Ivana Maugera. Przed wyścigiem barażowym uczyłem ją poprawnej wymowy nazwiska Szczakiela, bo byłem pewien, że Polak wygra zawody*.

Kuczok, choć zakorzeniony na Śląsku i często o nim, w malarstwie i grafice, opowiadający, udanie odnajdował inspiracje czy rytmy niezależne. Na retrospektywnej wystawie pokazał m.in. odważny *Kociół Batyżowiecki*, namalowany szerokim pędzlem, zderzenie kilku płam, położonych z jakąś zimną czułością. - *Dużo chodziłem po górach. Paradoksalnie można odnaleźć podobieństwa między pejzażem tatrzańskim czy jurajskim a śląskim. Urwiska są jak haldy. Haldy jak urwiska* - mówi artysta. Skalny świat, stromy i niebezpieczny, góruje również na obrazach symbolicznych, takich jak *Memento* czy *Mury Jerycha*. Najlepsze płótna Kuczoka są w połowie drogi od realizmu, od studium natury, ku osobnej o takiej naturze pamięci. Pamięci, w której są wytłumione kolory.

Lubię także geometryzujące pejzaże miejskie. To takie cierpliwe, symultaniczne przypowieści o kształtach trochę prawdziwych, a trochę magicznych i nostalgicznych. Ładne, bo swo-

icie przekładające bryłę na światło ciała są akty. Kuczok z interesującymi efektami wypowiada się w sztuce sakralnej. Jest autorem m.in. kameralnej drogi krzyżowej w kościele pw. Jezusa Chrystusa Dobrego Pasterza w Chorzowie Batorym. Na płaskorzeźbach z wyobrażeniem męczeństwa (z prologiem w Ogrójcu i epilogiem zmarłych wstania) Chrystusa najważniejsza jest skupiona, wyważona ekspresja dłoni i twarzy. To taka ekspresja, która ogranicza samą siebie. Najbardziej cenię sobie jednak Kuczoka-grafika. Na kolorowej serigrafii *Zimne gniazdo* - forma i przebytyski. Kilka planów, kuliśtość w pułapce gniazda. Jakaś spokojna bezimienność. Opada na nią światło. I nasze zapatrzenie. Gra o emocje estetyczne przypomina grę w szachy. Z góry ograniczoną, ale potrzebną, bo powstrzymującą chaos. Najbardziej charakterystyczne są prace, których już tytuł odsłania intencję: *Zagmatwanie, Sieci, Migotanie, Przenikanie*. Kuczok pozwolił posmakować klasyczną, spokojną grę światła i cienia, odnaleźć przyjemność płynącą z dostrzegania przeciwieństw, zaoferował wielość możliwych skojarzeń. Najbardziej udane monotypie lub litografie są zreczną, graficzną pułapką. Syłą nasza potrzeba wyławiania detali, drobin świata, a jednocześnie pozwalają dostrzec syntezę i uogólnienie. W *Brzozie* motyw roślinny poddany został procesowi uczłowieczenia czy właściwie ukobiecienia. Były spotkały się i od razu rozeszły. Najważniejsze jest pod powierzchnią życia - zmyślnego albo prawdziwego.

Czasem jest czegoś za dużo. Może czarno-biała *Ich ziemia*, wyraźnie śląska ziemia, za łatwo cytuje patos kopalni. Może *Śląskie rytmy* aż nadto rytmicznie definiują sentyment. Może trzeba więcej ironii. Ale kiedy najważniejszym sufletem jest życie, ironii niewiele. Kiedy życie w sztuce próbuje się podsumować, siłą rzeczy wszystko bywa nieco spłatanie i wielowątkowe, trochę sprzeczne. Wszystkie gniazda są w tej samej mierze ciepłe, co i zimne. W *Sieciach* rybie formy prowadzą dialog z utajonymi gdzieś na drugim planie ludzkimi twarzami. Ten dialog dryfuje albo szarpie się we wnętrzu sieci. Tyle że tak naprawdę rozmowę prowadzą echa znaków czy symboli.

Wystawa dzieł plastycznych jest już oczywiście nie echem, ale próbą głosu. Niekiedy bywa czymś jeszcze. Retrospekcja Kuczoka dowiodła może prawdy banalnej, ale bardzo uczciwej. Pokazała artystę o wielu twarzach. Świadomego, że bywa to ważniejsze od maski awangardy.

RYSZARD JASNORZEWSKI

Andrzej Kuczok: „Malarstwo, grafika”
Miejska Galeria Sztuki „MM” w Chorzowie.
Kwiecień – maj 2003.

Kierunek: Dania

DANUTA
LUBINA-CIPIŃSKA

Czy III Rzeczpospolita sprzyja rozwojowi bibliotek publicznych i czytelnictwa? Od 1989 roku zlikwidowano w Polsce co siódmą bibliotekę publiczną. Upadł każdy z 9 na 10 punktów bibliotecznych. Przybywa jednak stale czytelników. Jak na polskiej mapie bibliotek publicznych prezentuje się nasze województwo? W mizarii ogólnopolskiej chyba nieźle. Do ideału jednak jest jeszcze daleko.

Zanim sięgniemy do wielkiej statystyki, spójrzmy na to, co dzieje się w niewielkich miejscowościach, choć przecież zlokalizowanych w zurbanizowanym okręgu, jakim jest województwo śląskie. Oto Marklowice. W 1948 roku powołano tam komisję społeczną do walki z analfabetyzmem, która postanowiła zorganizować bibliotekę. Pod koniec tegoż roku z nadwyżki budżetowej zakupiono pierwsze książki. Z ich odzyskaniem - jak odnotowały kroniki - były trudności. Podczas posiedzenia komisji postanowiono więc utworzyć „ruchome walizki biblioteczne”, aby książki trafiły „pod strzechy”.

W 1955 roku w Markłowicach zarejestrowanych było 300 czytelników, biblioteka posiadała prawie dwa tysiące woluminów. W latach 60. zasięg oddziaływania biblioteki zwiększył się o 3 punkty biblioteczne. Lokalem jednego z nich był pokój w prywatnym domu bibliotekarki.

A jak jest dziś? Oto dane najnowsze, z roku 2002. Na 5186 mieszkańców Marklowic jedna piąta to czytelnicy. Księgozbiór w ciągu półwiecza powiększył się ponad dziesięciokrotnie. Obecnie liczy przeszło 21 tysięcy woluminów. Znikły wszystkie punkty biblioteczne. Biblioteka mieści się tylko w jednej siedzibie. W czytelni jednorazowo może zasiąść sześć osób. Gmina dba o bibliotekę, dzięki dotacji - i to wyłącznej -

przyznanej przez gminę, zakupiono w ubiegłym roku 793 książki za ponad 18,5 tysiąca złotych.

Dyktat „minutnika”

A teraz weźmy pod lupę większy ośrodek - Rybnik. W 1937 roku w tym mieście i powiecie istniało 118 bibliotek, w tym 88 ruchomych. Z księgozbioru liczącego blisko 39 tysięcy tomów skorzystało prawie 12 tysięcy czytelników, którzy wypożyczyli łącznie ponad 177 tysięcy książek. Większą aktywność czytelniczną odnotowano wówczas tylko w Katowicach.

Dziś w powiecie rybnickim (Czerwionka-Leszczyny, Gaszowice, Jejkowice, Lyski, Świerklany) jest pięć bibliotek publicznych mieszczących się w 21 placówkach. Z prawie 75 tysięcy mieszkańców ponad 14 tysięcy to czytelnicy korzystający z ich księgozbiorów, liczących blisko 304 tysiące książek. W Rybniku na 145 tysięcy mieszkańców blisko 36 tysięcy to czytelnicy. W mieście są 23 placówki biblioteki publicznej. Ich księgozbiór liczy blisko 411 tysięcy woluminów. Oto dystans, jaki biblioteki i czytelnictwo w tym okręgu pokonało przez blisko 70 ostatnich lat.

Jaka jest skala potrzeb, najlepiej świadczy anegdotyczny już minutnik będący w użyciu w głównej siedzibie Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rybniku. Służy on odmierzaniu czasu tym, którzy chcą korzystać z internetu. Niekiedy reguluje też czas tym, którzy po prostu chcą poczytać książkę lub czasopismo na miejscu. Dlaczego? Bo nieustannie trwa tu czatowanie na miejsce przy komputerze lub przy stoliku czytelnianym. Są dni, przede wszystkim to soboty, gdy ustawia się kolejka. Dlaczego? Bo Rybnik w ostatnich latach stał się poważnym ośrodkiem akademickim, a w kampusie nie ma biblioteki uczelnianej z prawdziwego zda-

lenia. W bibliotece publicznej, w której wzbogacono co prawda księgozbiór, miejsc w czytelni jednak nie przybyło. A tymczasem rośnie systematycznie zapotrzebowanie na książkę, przede wszystkim naukową i popularyzacyjną.

Najlepiej, czyli najgorzej

Jak wygląda to w skali województwa? W 2001 roku w rankingu polskich bibliotek biblioteki publiczne województwa śląskiego zajęły pierwsze miejsce. Ranking ten sporządzono, biorąc pod uwagę trzy wskaźniki: liczbę zakupionych woluminów, liczbę czytelników i liczbę udostępnień w przeliczeniu na 100 mieszkańców.

Za to kondycja materialno-organizacyjna pozostawiała wiele do życzenia. Szczególnie niedoinwestowane były biblioteki na wsi. Na jedną placówkę w naszym województwie przypadało w 2001 roku o 1320 mieszkańców więcej niż przeciętnie w kraju. Mniej było miejsc w czytelniach, a także mniejsze były księgozbiory. Za to wyższe od krajowych były wskaźniki obciążenia usługami, m.in. na jedną placówkę przypadało o 422 więcej czytelników, na jednego pracownika o 140 czytelników i o 3397 więcej wypożyczeń. A jednocześnie zasięg czytelnictwa i aktywność czytelników były wyższe od przeciętnych krajowych.

W 2002 roku nadal wyższe od krajowych były obciążenia usługami. Nadal utrzymały się niekorzystne wskaźniki bazy materialnej przy jednocześnie wysokiej efektywności pracy bibliotek. Na jedną placówkę w województwie śląskim przypadało o 445 czytelników i o 1355 mieszkańców więcej niż w kraju. Na 1 pracownika w 2002 roku przypadało o 81 czytelników i o 2368 więcej wypożyczeń niż w kraju. Wniosek: biblioteki publiczne naszego woje-

wództwa na tle innych województw przy największej liczbie czytelników posiadają najgorszą bazę materialną. I nawet imponująca siedziba spełniająca m.in. rolę wojewódzkiej biblioteki publicznej Biblioteki Śląskiej w Katowicach „wiosny nie czyni”.

Mniejsza sieć

Biblioteki województwa śląskiego tworzą drugą co do wielkości, po województwie mazowieckim, sieć w Polsce. Jednak miniony rok 2002 był kolejnym, w którym spadła jej liczebność. Ubyło kolejnych 6 placówek. Dziś sieć biblioteczna w Śląskiem to 845 bibliotek. Tylko od momentu połączenia w jedno województwo województw katowickiego, bielskiego i częstochowskiego, tj. od 1999 roku, z mapy bibliotecznej regionu ubyły 34 placówki. A to oznacza, że sieć zmniejszyła się o 3,8 proc.

Zmniejszenie liczby placówek bibliotecznych wpłynęło na powiększenie średniego regionu obsługiwanego przez 1 placówkę. W 2002 roku w województwie śląskim na 1 bibliotekę-filię przypadało 5721 mieszkańców (w 1999 r. - 5544). W niektórych regionach naszego województwa wskaźniki sięgają nawet 16 tysięcy na placówkę (tak jest w Bytomiu i Żywcu) i 10 tysięcy (tak jest w Częstochowie, Rudzie Śląskiej, Sosnowcu i gminie Miłówka). Średnia liczebność regionu obsługi w województwie już dawno przekroczyła górną granicę normy, zalecaną przez IFLA-UNESCO, tj. 3-4 tysięcy mieszkańców.

Mimo, że nowelizacja ustawy o bibliotekach z roku 1997 nakazała utworzenie bibliotek powiatowych, w naszym województwie do tej pory powstało tylko 12 z 17 bibliotek tego szczebla. Nadal w pięciu powiatach ziemskich ich brak. Różne są tego przyczyny. Państwo nałożyło obowiązek tworzenia bibliotek powiatowych, ale nie wywiązuje się z zapewnienia na to finansów. Jednak na przykład w Gliwicach do tej pory nie powstała biblioteka powiatowa nie dlatego, że brakuje pieniędzy, ale dlatego, że prezydent miasta nie potrafi dogadać się w tej sprawie ze starostą. Starosta uważa, że siedziba biblioteki powiatowej powinna być w Gliwicach, prezydent - że w którejś z miejscowości powiatu.

Pięć razy mniej niż na Zachodzie

Ajak wyglądają zbiory? Na koniec 2002 roku biblioteki województwa śląskiego dysponowały blisko 17 milionami książek, czasopism i zbiorów specjalnych. Ale zasób zbiorów

w porównaniu z 2001 rokiem zwiększył się realnie tylko o 0,06 proc. Od wielu lat uzupełnianie księgozbiorów jest coraz niższe. W 2002 r. na 1 mieszkańca województwa śląskiego wydano na zakup książek ze środków samorządowych tylko 1,2 zł, a na 1 czytelnika bibliotek - 5,2 zł. To niezwykle niski poziom finansowania zakupów nowych książek, a przecież biblioteki nie mogą stać się archiwami i magazynami książek „przestarzałych”. W województwie śląskim na 100 mieszkańców kupiono zaledwie 6 woluminów książek - a to jest 4- a nawet 5-krotnie mniej niż w większości krajów zachodnioeuropejskich.

Księgozbiory wzbogacane są o zakupy, które przede wszystkim finansują samorządy. Trochę książek przybywa z darów. Ministerstwo Kultury przyznaje też dotacje na ten cel. Jednak gdy dwa lata temu biblioteki województwa śląskiego otrzymały z kasy ministerstwa książki za ponad milion złotych, to już rok temu - zaledwie za dziesiątą część tego.

Komputery to nie wszystko

Wubiegłym roku odnotowano dalszy, choć bardzo powolny postęp w komputeryzacji bibliotek. 102 ze 167 bibliotek stopnia podstawowego było skomputeryzowanych. Jednak tylko powiat mikołowski był jedynym na terenie województwa śląskiego, na terenie którego wszystkie biblioteki były skomputeryzowane.

Te spośród bibliotek w województwie, które są skomputeryzowane, nie są jednak połączone siecią. Jeśli istnieje sieć, to tylko w ramach kilku czy kilkunastu filii biblioteki publicznej w danym mieście. Przeróżne są też systemy informatyczne. Naliczyłam ich aż dziewięć. Podobnie jest w kraju. I niestety to niekorzystnie odróżnia nas od innych, mądrzejszych od nas krajów. Na przykład Czesi mają ujednolicony krajowy system komputerowy bibliotek. Oni potrafili, my - oczywiście nie.

Biblioteki, które postawiły na komputeryzację, znajdują się na różnych jej etapach. Tylko 8 bibliotek (Cieszyn, Częstochowa, Jastrzębie Zdrój, Rybnik, Rydułtowy, Siemianowice Śląskie - Oddział dla Dzieci, Tarnowskie Góry i Wodzisław Śląski) zautomatyzowało większość podstawowych prac bibliotecznych: ewidencję zbiorów, tworzenie katalogów komputerowych i własnych baz bibliograficznych oraz rejestrację czytelników i wypożyczeń.

Tylko 35 bibliotek miejskich, 6 bibliotek miejsko-gminnych i 19 bibliotek gminnych miało dostęp do internetu. Jeszcze mniej bibliotek, bo 24, miało własne strony internetowe. 48 bibliotek posiadało adresy poczty

elektronicznej. Jednak tylko 18 bibliotek miejskich, 3 biblioteki miejsko-gminne i 4 biblioteki gminne udostępniały internet czytelnikom.

Wśród placówek kulturalnych utrzymywanych z budżetów gmin wydaje się, że najtrudniej jest bibliotekom publicznym. To instytucje „non profit”, w oczach radnych jawiące się jako te, które nie przynoszą dochodu. Na ogół biblioteki nie mogą się pochwalić głośną i efektowną działalnością. Nastawione są na cichą „pracę u podstaw”, skupioną na rozwoju intelektualnym korzystających z ich zbiorów podatników. Przejęły dziś bardzo ważną funkcję edukacyjną. W wielu przeżywających restrukturyzację przemysłu miastach są naturalnym zapleczem przede wszystkim dla uczącej się młodzieży. Ich oferta nie może ograniczać się do literatury pięknej, muszą dysponować aktualnymi księgozbiorami z literatury fachowej, ekonomii, polityki, geografii politycznej, itd. Muszą oferować nowe nośniki informacji, jakimi są internet czy CD-Romy.

Nie ma w województwie śląskim, podobnie jak w Polsce, kryzysu czytelnictwa. Jest kryzys dostępu do książek, wynikający z horrendalnie wysokich cen i z utrudnionego dostępu do bibliotek publicznych, które z założenia powinny być podstawowym źródłem uzyskiwania książek przez młodzież i ludzi o niewysokich dochodach.

Wiele zagrożeń dla publicznych bibliotek wynika z nieprzestrzegania prawa. Nowelizacja ustawy o bibliotekach zahamowała co prawda niekorzystny proces łączenia bibliotek publicznych z bibliotekami szkolnymi lub z innymi placówkami kultury, ale niektóre samorządy znalazły kolejną furtkę włączając biblioteki w strukturę urzędu jako referaty, a bibliotekarzy zamieniając w etatowych urzędników.

Dlaczego samorządy nie przestrzegają prawa? Po prostu uznają, że pozbawianie samodzielności biblioteki publicznej jest słuszne, bo powoduje oszczędności w kasie gminy. I tyle. A kto o bibliotekę będzie kruszył kopie?

Na koniec małe porównanie uczynione po to, byśmy wiedzieli, do czego powinniśmy dążyć. Otóż Dania ma tak jak województwo śląskie około 5 mln mieszkańców, podobną, liczącą około 800 placówek sieć biblioteczną, 16 bibliotek regionalnych (w województwie śląskim powinno być 17 bibliotek powiatowych). Co roku w Danii z budżetu na cele biblioteczne przeznaczane się około 300 mln euro. W województwie śląskim - 110 mln złotych. „Złe się dzieje w państwie duńskim?”.

Autorka dziękuje za pomoc przy zbieraniu informacji do artykułu Pani Marii Gutowskiej, zastępcy dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

Wjeżdżając do teatru bronił tłum widzów, głównie młodzieży. Wchodząc w wąskie gardło foyer (spektakl oglądałem na gościnnej scenie katowickiego „Korazu”), rychło poczułem, co znaczy znaleźć się w kleszczach klaustrofobii. Wiem, o to też chodziło realizatorom tego przedstawienia.

Ale tego dnia widzów było więcej niż miejsc na widowni, więc trwanie w tym ścisku i czekanie na moment, gdy aktorzy w białych szpitalnych kitlach sprawdzą nasze „przepustki” i wreszcie nas wpuszczą, graniczyło z prawdziwym cierpieniem. Potem było już lepiej, ale poczucia, że rzeczywistość wraz z Józefem N. przyjechaliśmy jakimś koszmarnym pociągiem, by w końcu trafić w przestrzeń, z której też nie można się wyrwać, nas, widzów, już do końca tego nieco tylko ponad godzinę trwającego spektaklu nie opuściło. To zasługa wszystkich realizatorów i aktorów biorących udział w tej udanej adaptacji, jakże przecież trudno poddającej się wszelkim adaptatorskim zabiegom, prozy Brunona Schulza (przypadek wybitnego i swego czasu głośnego filmu Wojciecha Hasa to raczej wyjątek potwierdzający regułę).

Jacek Bunsch wolał swój spektakl nazwać *Play-Schulz*, czyniąc wyraźną aluzję do Dürrenmatta i jego *Play Strinberg*, a jednocześnie niejako zwalniając się z obowiązku wiernego, linearnego zamieniania obrazów literackich w teatralne. Zresztą, czy byłoby to możliwe? A zatem wysiłek poszedł raczej w stronę stworzenia scenicznych wariacji wokół prozy autora *Sanatorium pod Klepsydrą*, wmontowanych w – co się zowie – schulzowski nastrój. Ten zaś uzyskany został dzięki świetnym rozwiązaniom scenograficznym. Plastyczny kształt tego spektaklu, inspirowany grafikami mistrza z Drohobycza, zdecydował o sukcesie. Słowa i działania sceniczne zespoliły się z onirycznymi wizjami plastycznymi, tworząc spójną całość.

Aktorzy przesuwając zawieszono nad sceną tiule i draperie, poszerzają bądź zawężają przestrzeń teatralną, niejako sytuując ją między realizmem a imitacją. Między życiem a śmiercią. Ba, w pewnym momencie na te przezroczyście materiały rzutnikiem nałożono unieruchomione obrazy



Ojciec gra Jerzy Głubin

Między życiem a śmiercią



Andrzej Dopierała jako Józef N.

peryferyjnego miasteczka, potem – kobiece akty „z epoki”. To były już chwile, gdy Józef N. przekroczył granice czasu i przestrzeni. Erotyka scen pokuszenia utrzymana została w konwencji fatalistycznej i nieco perwersyjnej zabawy. Józef N. raz po raz trafia jakby w sam środek nie zawsze własnych, bo czasem Ojcowskich urojeń, fantazji i fobii erotycznych. Scenicznie – bardzo to atrakcyjne obrazy, choć przecież uzyskano je za pomocą skromnych i – by tak powiedzieć

– nie nachalnych środków i prostych zabiegów inscenizatorsko-scenograficznych. Bo też właśnie prostota tego widowiska najbardziej ujmuje. Tak, jesteśmy w świecie snów i fantazji, w swoistym beczasie, skoro wskazówki zegarów obracają się w innym niż przysłało kierunku. Nic więc dziwnego, że jest to rzeczywistość wykoślawiona, że życie przedrzeźnia majestat śmierci, a śmierć kpi sobie z życia. Ale tych deformujących rzeczywistość zabiegów jest tylko tyle, ile trzeba. Nic więcej.

Play-Schulz jest dobrze zagrany. Porusza zwłaszcza kreacja Ojca. Jerzy Głubin chyba od lat nie dostał tego typu aktorskiej szansy, z której skwapliwie skorzystał. Jego Ojciec jest tyleż człowiekiem, co i ludzkim fantomem. Chciałoby się powiedzieć, że ta postać wyrwała się życiu, by sprawdzić, co jest, co może być po śmierci. Owo życie po śmierci określi zaś sens i dramat naszego bytowania, skoro takie manipulacje w obrębie czasu i przestrzeni, pokażą naszą ludzką ułomność i naszą bezsilność.

Ten rodzaj gry ochoczo podejmuje syn, Józef N. Andrzej Dopierała udanie balansuje między świadomością dość przypadkowego przecież wdarcia się w przestrzeń zamkniętą przed zwykłymi śmiertelnikami, a pełnym zapamiętaniem się, zaczadzeniem tą straszną, ale i porywającą atmosferą owego dziwnego Sanatorium, w którym doktor Gotard (cieszy powrót Wiesława Kańtocha do wyrazistych ról) odwrócił prawa natury.

Obsadę uzupełniają, ale bynajmniej nie statystują: Alina Chelchowska (Adela), Katarzyna Prudło (Pielęgniarka, Bianka), Marek Rachon (Rudolf), Wiesław Kupczak (Subiekt) i Agnieszka Radzikowska (Polda). Bo też każda z tych postaci dobrze mieści się w tym wizyjnym, niepokojącym spektaklu. Niepokojącym, bo pokazującym, jak trudno pojąć istotę przemijania, i jaką cenę trzeba zapłacić, gdy chce się te tajemnice przeniknąć.

KRZYSZTOF KARWAT

Play-Schulz. Sanatorium pod Klepsydrą. Wg Brunona Schulza. Adaptacja i reżeria: Jacek Bunsch. Scenografia: Tadeusz Smolicki. Premiera 17 marca 2003 w katowickim Teatrze Bez Sceny.

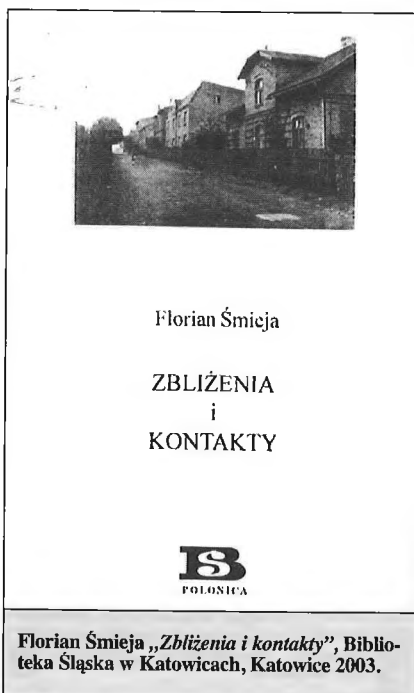
Florian Śmieja gościł niedawno w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Promował tam tom literackich szkiców i wspomnień.

Mieczysława Grydzewskiego spotkał autor, oczywiście, w czytelni British Museum. Tam bowiem redaktor londyńskich „Wiadomości” (a przed wojną „Wiadomości Literackich”) spędzał całe dni na bobrowaniu w obfitych polonikach i nie tylko, zbierając materiał do swojego cyklu *Silva rerum*. Grydzewski, podaje Florian Śmieja, był redaktorem surowym i mimo wielu kurtuazji, apodyktycznym. Stosunek zaś do poezji miał mocno ambiwalentny: w czasach londyńskich przewrotną przyjemność miał znajdować w drukowaniu wierszy o wiośnie w listopadzie albo o kościele wieprzowym w Wielki Piątek.

Kiedy Stefan Kisielewski przyjechał w latach siedemdziesiątych do Kanady, część Polonii sarkawa: „My tu takich nie potrzebujemy”. Więc kiedy goszczący go w swoim domu Śmieja wyspał mu za dużo kawy do filiżanki, Kisiel burknął: „Chce mnie pan otruć?”. Za to na odejdnym podarował gospodarzowi kasztan, niby na reumatyzm. „Ale ja nie mam reumatyzmu?”, odpowiedział Śmieja. „A, widzi pan - rzucił niespieszony Kisiel, - już działa!”.

Z Czesławem Miłoszem pierwszy uścisk dłoni wymienił Śmieja w 1957 roku, przy okazji wielkiej awantury na całe Londyniszczce. Wtedy to, razem z grupą młodych pisarzy skupionych wokół miesięcznika „Merkuriusz Polski”, zaprosił przyszłego noblistę na wieczór autorski do Instytutu im. Sikorskiego. Emigracja zagołowała się na wieść, że były PRLowski dyplomata, zamiast kajać się za współpracę z reżimem, mówi wiersze w świętej sali polskiego Londynu. Zaraz potem pisarz Zygmunt Nowakowski napisał w miejscowym „Dzienniku Polskim”, że lokal, w którym odbył się wieczór Miłosza, należałoby po nim wykadzić. Podobnych anegdot można w tej książce - zbiorze portretów emigracyjnych twórców - znaleźć mnóstwo. W większości jej bohaterami są protagoniści polskiego Londynu, tej dziwnej polskiej wyspy, którą u progu lat pięćdziesiątych ub.w. zaludniało ponad sto tysięcy ludzi, żyjących własnym życiem politycznym, społecznym i kulturalnym.

Młody poeta Florian Śmieja był jednym z nich. Tego niedokończonego tarnogórskiego gimnazjalistę wichry wojny rzuciły do Belgii, gdzie wstąpił do dywizji gen. Maczka. W Anglii i Irlandii skończył studia hispanistyczne, po czym osiadł w Londynie. Wykładał i pisał. Ale nie z wykładów i tłumaczeń wzięła się ta książka. Ona się wzięła z tego, że tuż przed wojną „synek z Kończyc”



Wspomnienia serdeczne

w gimnazjum męskim w Tarnowskich Górach redagował gazetkę ścienną”. Tak właśnie! I tak już mu zostało. Bo w londyńskim środowisku niemalże rówieśnych pisarzy został Śmieja redaktorem trzech ważnych pism literackich („Życie Akademickie”, „Merkuriusz”, „Kontynenty”). A redaktor to ktoś więcej niż obserwator: to uczestnik, otwarta głowa. Ktoś ciekaw świata i ludzi. Wciąż szukający nowych „zblżeń” i pieczołowicie podtrzymujący nawiązane już „kontakty” z tuzami Polski przedwojennej, którzy osiedli w Anglii i z twórcami młodszych roczników, rzuconych tu przez wojnę.

„Zbliżenia i kontakty” to zbiór portretów nie tylko londyńskich; w końcu sam autor w 1969 roku przeniósł się do Kanady, gdzie wykładał ukochaną iberystykę. Ale od czego korespondencja, na co samoloty?... Dlatego są tu sylwetki z Paryża (Jerzy Giedroyc), Hiszpanii (Józef Łobodowski), Portugalii (Maria Danilewicz-Zielińska), Ameryki (Jan Kowalik, Józef Wittlin, Paweł Łysek) czy z dalekiej Wenezueli (B.J. Jenne). Wszędzie tam bywał Śmieja osobiście lub docierała jego niestrudzona korespondencja. I do Polski. Stąd „zblże-

nia” ze wspomnianym już Stefanem Kisielewskim czy Stanisławem Jerzym Lecem, Zbigniewem Herbertem i Antonim Słonimskim, z którym nie napił się kawy w Londynie, ale w „Stylowej” przy Placu Trzech Krzyży, w Warszawie. Bo Śmieja, podobnie zresztą jak jego przyjaciel z grupy poetyckiej, Bolesław Tabor-ski, od Października drukował w prasie polskiej i do Polski przyjeżdżał. Dokładnie od 1962 roku - jak podaje akuratny Słownik pisarzy polskich na Obczyźnie 1939-1980 - aż po dziś dzień; teraz z wykładami, ale wciąż głodny nowych „kontaktów”.

Z pamięci o twórcach drugiej emigracji niepodległościowej jest ta książka. Niejednej postaci poświęcił Śmieja literalny esej i te partie jego książki wydają się dobrym *pendant* do pomnikowych Szkiców o literaturze emigracyjnej Danilewicz-Zielińskiej. Inni bohaterowie wspomnień zasłużyli na skromniejsze szkice, noty prawie, ale zawsze serdeczne i ciepłe. A jeszcze inni są tu na prawach „ocalonych od zapomnienia”, jak Beniamin Józef Jenne, galwanizator z zawodu i Wenezuelczyk z paszportu, wielki oryginał, który zamierzył i wydał własnym sumptem potężne dzieło pt. *Muł Don Chucho* („W piwnicach Polskiej Fundacji Kulturalnej leży jeszcze pewnie paręset egzemplarzy”, mówi Śmieja).

Ale nie byłby Śmieja sobą, gdyby w „Zbliżeniach i kontaktach” nie dał wspomnień o krajanach. Są dwaj - obaj Ślązacy z morcinkowego „zielenego Śląska”, których los wygnał za wielką wodę. Jana Kowalika do Los Angeles, Pawła Łyska do Nowego Jorku. Ten pierwszy, poeta i bibliograf, pochodził ze Skoczowa i po zostanie przede wszystkim jako autor monumentalnej Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939; pięć tomów! - wszystko ręką jednego człowieka, o którym mówić będą: „świecki patron prasy emigracyjnej”. I Paweł Łysek, pedagog i pisarz, urodzony w Jaworzynie, autor pisanej tęsknotą trylogii góralskiej, kustosz ludzi i krajobrazu ukochanego Beskidu Śląskiego.

„Zbliżenia i kontakty” Floriana Śmieji wydała elegancko Biblioteka Śląska w Katowicach. Byłem świadkiem, jak redaktorka tomu, Gabriela Ociepka namawiała autora na publikację dalszego ciągu wspomnień. Trzymam kciuki i wierzę, że kontynuacja będzie na pewno. Kiedy piszę te słowa, Florian Śmieja, 78-letni młodzieniaszek, przemierza właśnie Attykę, z plecakiem na ramieniu. A w tym plecaku - nowe „zblżenia” i nowe „kontakty”.

Na zaproszeniu nie padło słowo „premiera”. Co zatem oglądaliśmy? Otwartą próbę, pokaz prac nad spektaklem - wyjaśnił po godzinnej prezentacji Andrzej Urbanowicz, katowicki malarz i grafik, który od czasu do czasu animuje także działania i akcje teatralne czy raczej - parateatralne. A skoro tak, to i my nie poczuwamy się do obowiązku „regularnego” recenzowania tego przedsięwzięcia. Stąd - poza garścią refleksji - podajemy obszerne fragmenty autorstwa pomysłodawcy tego widowiska, a także poszerzone noty o poszczególnych postaciach. Wydaje się to niezbędne, gdyż spektakl ten z trudem poddaje się klasycznemu opisowi; jest rzeczywiście widowiskiem misteryjnym, w którym dużą rolę odgrywa muzyka, śpiew i uplastycznio-

Projekt przechodził wiele przemian, więc wspomnę, jak do niego doszło. W 1997 roku podczas naszej rozmowy z Henrykiem Wańkiem pojawiła się myśl stworzenia „widowiska alchemicznego” a jednocześnie „śląskiego”, w jakiś sposób osadzonego w realiach śląskich. Od samego początku ustalony był udział w projekcie Mieczysława Litwińskiego, ze względów oczywistych, zarówno muzycznych, jak i hermetycznych. Pomysł spektaklu wiąże się z poematem Walentego Rożdzieńskiego *Officina Ferraria* albo *huta y warstat z kuzniami szlachetnego dzieła żelaznego*. Utwór wydany w Krakowie w 1612 roku opisuje ówczesne hutnictwo i górnictwo głównie na Śląsku (...).

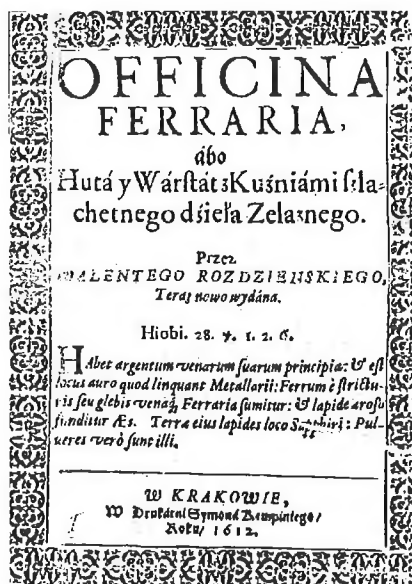
Zamierzaliśmy więc skojarzenie materii wymienionego poematu z tradycją hermetyczną, nam bliską. Tradycja ta, bardzo stara, przedchrześcijańska, wywodzi się z Mezopotamii i Egiptu i płynie przez Pitagorasa, Apoloniusza z Tians, średniowiecznych i nowożytnych alchemistów i mistyków, jak Jacob Boehme na przykład lub do pewnego stopnia Angelus Silesius. Ten nurt ma niewątpliwie powiązania z Kabałą, Gnozą, ale także Tantrą i Taoizmem. To wielka duchowa tradycja nieodmiennie zajmująca się rozwojem człowieka nie poprzez nakładanie nowych upręży, lecz przez nakłanianie do otwarcia oczu i poszukiwania duchowej wolności.

Zatem przesłanie tego spektaklu mogłoby być następujące: „poznaj samego siebie, zobacz swoje mityczne i kosmiczne, swoje duchowe i osobiste uwarunkowania. Spójrz na swoją pracę, swoje wysiłki i na ich rezultaty. Dostrzeż co ci przeszkadza i naucz się cieszyć życiem. Ty sama czy ty sam jesteś kuźnikiem swojego losu. Od twojej intencji zależy, jaki on jest i jaki będzie. Przynajmniej w takiej mierze, w jakiej sobie powierzyłeś jego kształtowanie” (...). Powtarzajmy więc za Angelusem Silesiusem: „Czego pragniesz już wprzód jest w tobie”. Intencja jest kluczem.

ANDRZEJ URBANOWICZ

MISTERIUM

Przywołanie Różdzieńskiego



Poemat Różdzieńskiego to jeden z najcenniejszych zabytków piśmiennictwa polskiego.

ne animacje choreograficzne grupy aktorów-amatorów.

To, że musimy i chcemy podierać się tekstami pomocniczymi, jest też pewną wskazówką interpretacyjną. Cóż, to widowisko przeczytać można tylko z pomocą tych tekstów, a w każdym razie bez nich - symbolika wielu postaci i scen pozostałaby niejasna. Świadomość tego ograniczenia jest trochę deprymująca. Raczej niedobrze się dzieje, gdy spektakl potrzebuje aż tylu „podpórek”.

Głównymi protagonistami zatem są: Walenty Różdzieński (grany przez Antoniego Gryzika), który jest - czytamy - „obecny i nieobecny”. Można potraktować widowisko jako projekcję lub wizję jego umysłu, jeśli wyobrazimy sobie, że spogląda ze swoich zaświatów; Ariadna (grana przez Sabę Krasoczko) - „uosobienie psychicznej intencji, otwiera, inicjuje widowisko; Alter Ego Walentego Różdzieńskiego (Mieczysław Litwiński) - „jest uosobieniem orfickiego barda, dziś powiemy, artysty. Jest jakby fantazją wnętrza protagonisty”; Barburka (Anna Duda) - „jest aspektem Bogini Ziemi. Wyras z tej postaci kształtowany jest w bezpośredniej relacji - zarówno w sensie duchowym, jak i wizualnym -

z twórczością Erwina Sówki”; Alchemista (Marek Przybyła) - „pozo- staje jakby na uboczu głównego nurtu życia, jednak swoją działalnością nań wpływa”. Formuje diagramy odnoszące się do spektaklu; Planety (grupa aktorów i aktorek) - „nawiązują do wyobrażeń tradycyjnych siedmiu Planet”, które „jeszcze kilka wieków temu były powszechnie utożsamiane z najbardziej znanymi metalami (...)”. „Planety, będące przecież metaforami różnych ludzkich kondycji, grają również rolę nas, zwykłych ludzi, splecionych z przeżywanym przez nas życiem”; Mojry - boginie losu i przeznaczenia (...), to tylko Trzy Sprzątaaczki, a także metafora kataklizmów nawiedzających śląską ziemię”.

Uff, zawile to wszystko, a sam prawdaz? Mimo niewątpliwiej urody plastycznej tego widowiska nietrudno było odczuć, że połączenie monologów Różdzieńskiego-Gryzika, cały czas niemal nieruchomo tkwiącego na proscenium, ze scenami symbolicznymi i onirycznymi dokonało się jakby za sprawą wzmocnienia. Innymi słowy - bardzo trudno było te światy z sobą skojarzyć, choć łącznikiem była piękna i na żywo wykonywana muzyka multiinstrumentalisty Mieczysława Litwińskiego i jego duety wyśpiewywane wraz z Sабą Krasoczko (przy akompaniamencie m.in. archaicznego harmonium).

Walorem są także kostiumy i scenografia. Wyobrażenie Różdzieńskiego z otwartą księgą, wyczytującego fragmenty swego poematu, chwytając czasem za kuźniczy młot, jest trafne i przekonujące, bo odwołuje się do historycznej ikonografii przedstawiającej śląskich kuźników i gwarków. Te same słowa można powtórzyć w odniesieniu chociażby do świętej Barbary i Alchemisty. Bardzo jednak trudno doszukać się w tym spektaklu owych pytań o przyszłość Śląska i jego duchowe oblicze, bo i takie przesłanie chciał zawrzeć Urbanowicz, choć akurat tych jego słów tutaj nie przywołaliśmy. Amorficzna struktura tego widowiska zaletą nie jest. Wyraziście za to brzmiały fragmenty poematu i końcowe przesłanie wzmocnione fragmentem z Angelusa. Pochwała godności i wolności jednostki ludzkiej dotarła do widza. Trochę mało...

KRZYSZTOF KARWAT

Officina ferraria albo...? Misterium teatralno-muzyczne na podstawie poematu Walentego Różdzieńskiego. Praca zbiorowa pod kierownictwem Andrzeja Urbanowicza. Pokaz specjalny grupy Oneiron III w teatrze „Korez” w Katowicach 11 maja 2003 roku.

Recital Beaty Bilińskiej

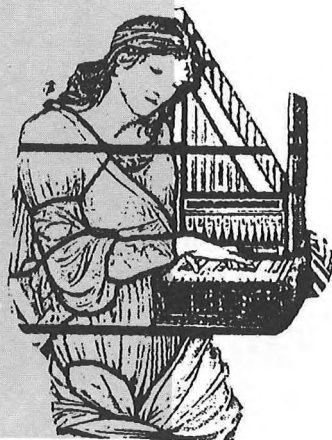
Wielokrotnie uśiłowałam domyślić się, czego dowiadywali się słuchacze konserwatorium warszawskiego na realizowanym tam w latach 80. XIX wieku cyklu wykładów Bolesława Wilczyńskiego pt. „Talent męski i talent żeński”. Założy się, że było to coś podobnego do tego, czym w 1933 roku uraczył kulturalnych krakowian Józef Reiss w elaboracie pod tytułem *Muzykalność kobiety*. Napisano tam: „Melodia jest charakterystycznym pierwiastkiem duszy kobiecej, rytm zaś właściwą sferą męzczyzny [...]”. Kobieta-kompozytorka pozbawiona jest cech oryginalności i samodzielności i naśladuje tylko męczyznę i to nie zawsze z talentem. W grze instrumentalnej rzadko dorównywa męczyźnie. Określenie „gra kobieca” ma pewne znamiona negatywne i niezbyt dobrą opinię!”

Beata Bilińska gra rytmicznie i umie poddać się żywiołowi ruchu. Najlepiej czuje się w utworach, które kojarzą się zdecydowanie z cechami „męskimi”: siłą, panowaniem, wielkością, oryginalnością. Nie dziwię się, że jej ulubionym kompozytorem jest Rachmaninow. Zagrała cały recital jego utworów 3 kwietnia w Domu Kultury na Koszutce (koncert w ramach sezonu „Silesii”). Punktem ciężkości jej programu była *II Sonata*, ta sama, która przyniosła jej jesienią zeszłego roku laury konkursowe we Włoszech. Za każdym razem, kiedy słucham tego utworu w wykonaniu Beaty Bilińskiej, zdumiewa mnie jej wytrzymałość, umiejętność zapanowania nad brzmieniowym aspektem faktury, świetne tempa. Oprócz *Sonaty* usłyszeliśmy kilka preludiów oraz jedną z Etiud-obrazów, zagranych stylowo, z rozmachem i temperamentem. Teraz trzeba by było, żeby pani Beata zagrała w Filharmonii III koncert d-moll. Byłaby pierwszą po Klarze Langer-Danckiej polską pianistką, która wykonałaby ten karkołomny (więc męski) utwór.

Pamięci Karola Stryja

Późna tegoroczna Wielkanoc i poprzedzający ją ciężki (jeśli idzie o pogodę i nastroje) post nie były u nas w tym roku okolicznościami specjalnie wyeksponowanymi muzycznie. W Warszawie, Krakowie czy Poznaniu było tego pełno: pasje i drogi krzyżowe grane i śpiewane, na nowocześnie i w duchu dawnym, z lotrami i w lepszym towarzystwie... A w Katowicach jakoś skromnie. Kwartet Śląski zagrał *Siedem słów Chrystusa na krzyżu* Haydna w zupełnie nie nastrojającym do kontemplacji Giecku; gdzieś przemknęło kilka afi-

MIEDZY NUTAMI



szy zapowiadających zwyczajne koncerty organowe, zmyślnie przemianowane na pasyjne i/lub wielkanocne... Jedynie Cieszyn stanął na wysokości zadania, zapraszając Chór Filharmonii Śląskiej i Śląską Orkiestrę Kameralną do wykonania Haydnowskiego *Stabat Mater* na koncercie zatytułowanym Karol Stryja in memoriam.

Cieszyn pamięta o Karolu Stryju. Już drugi raz miasto zdobyło się na urządzenie koncertu dedykowanego jego pamięci. Ten, o którym mowa, odbył się 16 kwietnia w kościele Jezusowym (ewangelicko-augsburskim). Wykonanie trzeba zaliczyć do udanych, mimo, że kwartet solistów nie był zbyt zharmonizowany. Dobrano głosy o bardzo różnym brzmieniu i „stanie technicznym”. Lekki sopran Iwony Handzlik dobrze sobie radził z koloraturą, nie osiągał jednak przynależnego muzyce pasyjnej patosu. Odwrotnie alt (Joanna Ciupa) – mało ruchliwy, przechodził mimo operowej swady Haydna, jakby bojąc się przemawiać zbyt dosłownie. Tenor Bogdan Desoń był również mało – jak na tenora – przebojowy. Jedynie Adam Szerszeń, lepiej obyty z repertuarem oratoryjnym, zdołał wykonać swą partię w pełni przekonująco, naturalnie i z dramatycznym nerwem.

Odsiadkę nie za bardzo głębokiego utworu wynagrodził mi sowicie spektakl odbywający się za oknem kościoła. Wyreżyserował go dla mnie chyba sam Pan Bóg. Oto za kratowaną szybą, dobitnie, niczym w barokowym teatrze oddzielającą od siebie przestrzeń sakralną i świecką, przebiegała dokładnie w tym samym tempie, co muzyka Haydna, zwyczajna, jak na tę porę, a jednak osobliwa scena balkonowa. Najpierw niewiasta kuchennie odziana wykonała kilka gniewnych gestów, przywołując kogoś z podwórka. Potem

odbyło się misterium wieszania firany-całunu. Na koniec – dokładnie na słowach „Agnus Dei” – pojawiło się na balkonie dziewczę, zastygając w pozie Madonny na długi kwadrans, do czasu, aż gniewny głos przywołał je do porządku. Niestety, słuchaczy też przywołano do porządku, i to całkiem niepotrzebnie. Prowadzący koncert Paweł Przytockki zażądał mianowicie, gdzieś pod koniec koncertu (!), żeby nie robiono zdjęć. Po mojemu – te kilka bladych błysków, które nieśmiało zakwitły w i tak jasnym, rozświetlonym kościele, nikomu nie szkodziło. Gdyby mogły rozpraszać muzyków, znaczyłoby to, że powinni brać pigułki na koncentrację.

Sukcesy Chóru Politechniki Gliwickiej

Z ogromnym opóźnieniem dotarła do mnie informacja o sukcesach, jakie odniósł w zakończonym co dopiero sezonie koncertowym Akademicki Chór Politechniki Śląskiej. Znany i zasłużony Chór o lwowskiej jeszcze genezie, prowadzony przez Czesława Freunda (profesora Akademii Muzycznej w Katowicach, obecnie – dziekana Wydziału Kompozycji, Teorii i Edukacji Muzycznej) przy pomocy Lucjusza Andersa, zajmującego się przygotowaniem emisyjnym chóru oraz Krzysztofa Chlipalskiego, odpowiadającego za organizację działalności, po raz drugi uczestniczył jesienią 2002 roku w Olimpiadzie Chóralnej – największej światowej imprezie chóralnej, na którą przyjeżdżają zespoły z wszystkich liczących się w ruchu chóralnym krajów. Chór gliwicki został laureatem pierwszej Olimpiady, która odbyła się w 2000 roku w Linz. Na ostatniej imprezie – zorganizowanej w dalekiej Korei (oczywiście Południowej, w mieście Busan) zespół zdobył aż trzy srebrne medale, w kategoriach: chórów mieszanych, muzyki sakralnej i muzyki współczesnej.

Jest to kolejny laur w konkursowym dorobku Chóru, który w ostatnich latach wzbogacił się m.in. o wygrany turniej „Legnica cantat”, złoty medal i nagrodę specjalną za wykonanie muzyki współczesnej na festiwalu w Riva del Garda we Włoszech, brązowy medal w Międzyzdrojach, I miejsce na Festiwalu Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce, II miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki KATHAUMIWX w Powell River (Kanada). Cieszą wieści o udanych koncertach zespołu na całym świecie, nieraz w tak prestiżowych miejscach, jak Filharmonia Nowojorska.

MAGDALENA DZIADEK

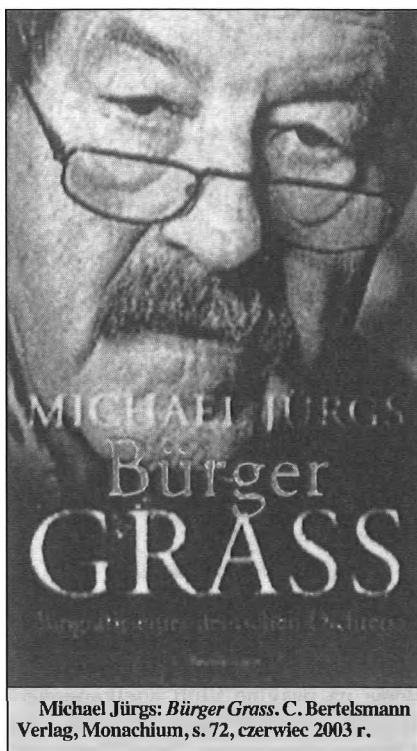
W monachijskim wydawnictwie C. Berterlsmann ukazała się biografia Güntera Grassa pt. „Bürger Grass”. Jej autorem jest były redaktor miesięcznika „Stern”, Michael Jürs, publicysta, nie krytyk literacki, ani nie akademik, bo tych pisarz nie znosi. Nie rozmawia na przykład z Hellmuthem Karaskiem, wybitnym profesorem germanistyki i krytykiem literackim. Michael Jürs podejmuje więc własny styl popularnej opowieści o Grassie, co można nazwać również stylem plotkarskim, nie pozbawionym swoistego wdzięku.

Dowiadujemy się z biografii Jürsa, jakiego Grass jest wzrostu — mierzy 173 cm. Co do honorariów autorskich to za każde 50 000 nakładu własnej książki otrzymuje 18% tantiemy. Jürs nie zawahał się wcale i w swej opowieści biograficznej podał nawet konto pisarza w Berliner Bank: 999/63. Przedstawił nam Grassa bez tajemniczych osłonek, od tej strony prawdziwie męskiej; napisał o miłostkach i przede wszystkim o wielkiej vitalności swego bohatera, który choć już przekroczył siedemdziesiątkę, jak dawniej zachwyca się kobiecymi wdziękami, wie jak potrać struny, których dźwięk wywiera na kobiety przemożny wpływ czarodziejski.

Słowo „Bürger” w tytule biografii, ma w języku niemieckim dwa znaczenia. Po pierwsze to „obywatel”, czyli w tym razie społecznie zaangażowany pisarz, jak sam siebie Grass określa pod tym względem: „obywatel o szczególnych uzdolnieniach”. Po drugie słowo „Bürger” oznacza urodzonego drobnomieszczanina, jakim w istocie był Günter Grass, jako syn kupca towarów kolonialnych, który dzięki potężnemu talentowi literackiemu, rozumieniu sztuki, dzięki uzdolnieniom artystycznym i należytej zapobiegliwości wybił się ponad poziom rodzinnego mieszczaństwa, osiągnął uznanie i dobrobyt, z czego jest dumny, jak informuje nas jego biograf Michael Jürs.

Günter Grass spędził dzieciństwo w niemiecko-polsko-kaszubskim środowisku Gdańska. Jürs ukazuje jego przeżycia wojenne, utratę ojczyzny, po 1945 r. rzemieślniczą pracę kamieniarza, studia artystyczne w Düsseldorfie, zdobycie pięknej Anny córki z dobrego szwajcarskiego domu, pobyt w Paryżu, wprowadzie jeszcze wówczas w biedzie ale i wielkim szczęściu, skąd, co najważniejsze, powraca pisarzem. Niebawem zostaje członkiem grupy literackiej „47”, której patronem był Hans Werner Richter, nazywany przez Grassa „ojcem Nr 1”.

Grassowi pisane było wielkie powodzenie. Jego książki przyniosły mu sukces i sławę światową. W Polsce znamy: „Błaszany bębenek”, „Turbot”, „Kot i mysz”, „Miejscowe znieczulenie”, „Psie lata”, „Moje stule-



Oplotkowany Günter Grass



G. Grass z żoną Anną i córką Laurą. Berlin 1963 r.

cie”, aż do ostatniej, wydanej niedawno, pt. „Idąc rakiem”, jak i inne, w przekładzie Sławomira Błauta, przyjęte z wielkim zainteresowaniem i uznaniem.

Z biegiem lat nadeszło wreszcie i to na co Grass czekał; w 1999 r. przyznano mu została nagroda Nobla. Michael Jürs nie pomija niczego w życiu pisarza, opowiada jak autor „Błaszanego bębenka” gotuje, rysuje, jak pisze i jak

świętuje. Wylicza wszystkie rezolucje, wszystkie zbiorowe protesty jakie Grass podpisywał i w których uczestniczył. Przypomina także aferę, jaka miała miejsce w związku z nieprzyznaniem Grassowi nagrody literackiej Bremy przez „ograniczony myślowo” senat tego miasta i, za Grassem, Jürs komentuje ten fakt równie szyderczo jak wówczas, a przecie wydarzenie miało miejsce przed 40 laty. Jak widać Günter Grass jest wielce pamiętliwy.

Ale i ten bulwersujący moment tonie pośród innych równie znaczących faktów. Grass bierze udział w kampanii wyborczej Willi Brandta, nazywa go po H. W. Richterze swoim ojcem Nr 2. Uczestnicząc również w akcji wyborczej Schrödera przebył 31 000 kilometrów, wygłosił 94 przemówienia w interesie kandydatów Es-Pe-De. powołał 4 fundacje społeczne: Doblin, Chodowiecki, Pankok, Koeppen, każda z funduszem 300 000 marek. Günter Grass zakupił 4 domy: w Behlendorf, Berlinie, Lubece i Wawelsfleth. Wszystkie wolne od obciążeń hipotecznych, co Jürs z uznaniem podkreśla.

Günter Grass jest ojcem dużej rodziny. Ma sześcioro dzieci, w tym trzy córki: Laura, Helene i Nele, po trzech kolejnych żonach: Annie, Weronice, Ingrid. Dochodzą do tego dwaj synowie obecnej żony, Uty, z jej pierwszego małżeństwa, i jak do tej pory, piętnastoro wnucząt.

Dwaj rodzeni synowie Grassa oraz jego córka Laura mają raczej poglądy ojca, głosują na „zielonych” lub na SPD. Pod tym względem wyrodził się jedynie najmłodszy syn pisarza, który nad swym łóżkiem wieszał portrety Straussa i Kohla, rower obklejał nalepkami CDU. Gdy w akcji protestacyjnej przeciw miejscowej SPD zamierzył obkleić również okna swego pokoju, wówczas, jak pisze Michael Jürs, nadzwyczaj tolerancyjny ojciec wystąpił stanowczo przeciw temu: na swoich czterech ścianach syn może wieszać co zechce, lecz dom należy do ojca i na nim nikt nie umieści niczego, co ma związek z CDU.

Stosunkowo niewiele napisał Jürs o twórczości literackiej Güntera Grassa. Przyznał, że nawet bliscy przyjaciele pisarza, raczej unikają rozmów na ten temat w jego obecności. Jak już wiemy Grass nie toleruje krytyków literackich. Sam nie lubi, gdy przedstawia się go w roli intelektualisty. Wyznaje zasadę niezależnego artysty, realizującego się w pracy pisarskiej na temat świata, który go otacza. Darzymy uznaniem i sympatią właśnie takiego Grassa, jakim przedstawił go Michael Jürs.

Ostatnia biograficzna publikacja u nas - Heinricha Vormwega pt. „Günter Grass” ukazała się w Wydawnictwie Dolnośląskim we Wrocławiu w 2000 roku.

JAN PIERZCHAŁA

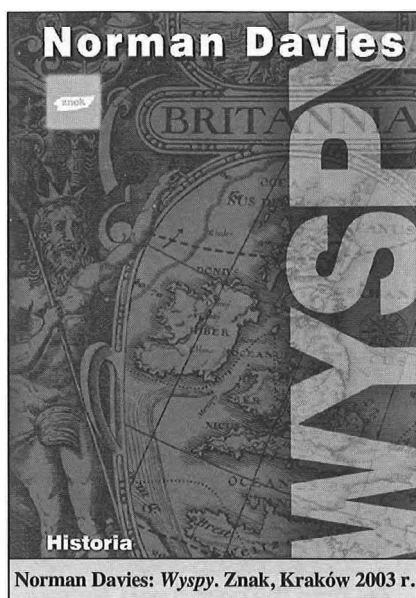
Tak. Potwierdzam to, co podejrzewa większość moich znajomych: codziennie rano mój budzik wprowadza mnie w nowy dzień dźwiękami „Rule Britannia”. Następnie przesyłam całusa portretowi królowej Wiktorii w stroju koronacyjnym. Udać się do łazienki przyjaźnie macham do fotografii Margaret Thatcher. Tony Blair musi jeszcze poczekać. Po śniadaniu wkładam na głowę glengarry (coś pomiędzy beretem a furazerką z pomponem) i zasiadam do pisania. O czym piszę? To chyba jasne: oplakuję minioną chwałę i upadek imperium brytyjskiego.

- Racz wybaczyć Najjaśniejsza Pani to małe „i” oraz małe „b”. Wiem, że gdybyś żyła, powleczone by mnie jeszcze dziś do Tower lub do Tyburn i skrócono o głowę, jak Essex. - Zwracam się do portretu Elżbiety I na okładce jednej z moich ulubionych książek. Na szczęście jednak właśnie w tym roku mija czterechsetna rocznica śmierci tej „królowej-dziewicy”, jak ją nazywali jedni, bądź krwiożerczej baby, zdaniem innych.

Potem biegnę truchtem do najbliższej księgarni i kupuję coś, co będzie kamieniem milowym historiografii w interesującym mnie zakresie. Pędzę do domu z wcale nie lekkim zakupem (1104 strony, plus twarda oprawa i „daviesowska” obwoluta), by jak najprędzej zasiąść w fotelu i rozpocząć lekturę. - O, waleczna Bodiceo, pokonana podstępem pogromczynie Rzymian, o Wilhelmie, władco zdecydowanie frankoński, Cromwellu, pradiadku rewolucyjnych tyranów - bądźcie dziś w tym wielkim dniu ze mną!

I nagle pierwsze ukłucie podejrzliwości. „Wyspy. Historia”. A coż to za tytuł? O jakie wyspy chodzi? Od razu we stępie każdy „blimp” czyli zapyziały Angol otrzymuje prawy prosty, po którym trudno mu się pozbierać. Nazywanie wysp brytyjskimi nie ma historycznego uzasadnienia i jest wręcz obraźliwe dla Irlandczyków i innych celtyckich mieszkańców tej części świata. Podobnie jak nazwanie większej z wysp Anglią, a jej mieszkańca, bez względu na krainę, z której pochodzi, Anglikiem. Potem jest już tylko gorzej. Pada mit za mitem. Po pierwsze mit drugorzędności dziejów ludów celtyckich na Wyspach. Po drugie mit „splendid isolation” (wspaniałego odosobnienia) od zawsze. Po trzecie mit Anglii we Francji. Po czwarte, po piąte i po szóste. Mity polityczne, gospodarcze, ideologiczne. Nie ma sensu wylicznie wszystkich. Co zatem pozostaje?

Bardzo wiele. Zaczniemy od końca: wysoko ucywilizowane i zorganizowane społeczeństwo, budowane przez wiele stuleci nie tylko przez Anglików, ale także przez Walijszyków (szczególnie bliskich secu prof. Daviesa), Kornwalijszyków, Szkotów i Irlandczyków. Obecnie społeczeństwo podlega zjawisku dewolucji czyli łagodnym (na ogół) procesom odśrodkowym. Powstające w ten sposób społeczności stoją w obli-



Wyspy: Północne czy Malowane?

czu integracji z przedstawicielami pozaeuropejskich narodów wchodzących niegdyś w skład w imperium. Sądę jednak, że tak jak spotykamy dziś ciemnoskórych czy skośnookich brytyjczyków, będziemy również widywać Szkotów lub Irlandczyków o takich korzeniach rasowych. Ale to przyszłość, a my podążamy przecież w inną stronę. W towarzystwie Normana Daviesa nie jest to jednak takie oczywiste. Przykład? Niejaki Człowiek z Cheddar. Historia? I jak jeszcze. Oglądałem faceta, mocno zasuszonego, w londyńskim Muzeum Przyrodniczym. Wydawało się, że nie będzie z nim kłopotów. Gdzie tam. Genetycy ostatnio dorwali się do szacownych zwłok wyspiarskiego przodka i pobrawszy materiał z muzealnego obiektu oraz z pewnej grupy jak najbardziej żywych mieszkańców okolic Cheddar doszukali się bliskiego podobieństwa genetycznego u pana Adriana Targetta, nauczyciela historii w jednej z lokalnych szkół. Co z tego wynika, poza radością z odnalezienia tak odległego przodka? Otóż, zdaniem Daviesa, bardzo wiele.

M.in. to „... że znaczny procent ludności dzisiejszej Brytanii stanowi element składowy lokalnych wspólnot plemiennych, które istnieją nieprzerwanie od jakichś trzystu czy czterystu pokoleń. To zaś znaczyłoby, iż każde z tych pokoleń przystosowywało się do każdej kolejnej fali przemian kulturowych, językowych i politycznych zachodzących w ciągu tysiącleci. Ugruntowany pogląd, że „wyspiarska rasa” Wielkiej Brytanii stanowi sumę wielu potężnych inwazji - od mezolitycznych krewnych „Człowieka z Cheddar”, któ-

rzy ponownie zaludnili Wyspy po zakończeniu epoki lodowcowej, po Celtów, Rzymian, Sasów, Wikingów, Normanów i Andegawenów z epok historycznych, którzy niemal całkowicie wyparli swych prehistorycznych poprzedników - już od lat jest przedmiotem ataków. Teraz jednak po prostu nie da się go dłużej utrzymać. Prehistoryczny bank genów z wszelką pewnością uzupełniali i modyfikowali późniejsi przybysze. Ale to nie znaczy, że tego banku już nie ma.”

To jeszcze nie wszystko. Teraz dopiero się zacznie. Otóż „Człowiek z Cheddar” liczy sobie, jak się okazało całkiem niedawno, o wiele więcej lat niż wyspa, na której go odnaleziono. - A to ci historia! - Chciałoby się powiedzieć. - Prehistoryczny Angol mieszkańcem kontynentu.

Już jest gorąco, a gdy Davies opowiada dzieje kontredansa angielsko-irlandzkiego czy angielsko-szkockiego jiga temperta w odczuwalny sposób wzrasta. Taki mały, shakespearowski mit także pada przy tej okazji. Oto widzimy króla Szkotów, niejakiego Macbetha z Moray, który w ujęciu mistrza ze Stratfordu przypomina wizerunek z listu gończego. Tymczasem widziany przez pryzmat jemu współczesnych prezentuje się nieco inaczej. Jakby sfotografowany w chwili gdy odwiedza Rzym. Nie dosyć, że rozrzuca wśród tłumu bilon całymi garściami, co zdaje się nie licować ze szkockim charakterem, to zasłużył na taki wierszowany portrecik:

„Siłacz skórę miał jasną, włosy blond i wzrost słuszny.

Jakże przyjemny zdał się ten piękny młodzieniec.

Opływała w bogactwa Szkocja jak długa i szeroka

Za panowania tego krzepkiego i dzielnego króla.”

Toż to już nie mit. To po prostu gęba. Ale gwoli sprawiedliwości, to nie Master Will Mcbethowi ją przypisał, lecz kronikarze następców Mcbetha, Stewartów. A lady M? Piękna i szlachetna królowa sponiewierana na wieki.

Upadek pozostałych mitów pozwolę prześledzić Czytelnikowi. Zdradzę jedynie dwie z propozycji Normana Daviesa dotyczące nazwy: Wyspy Północne i Wyspy Malowane, zależnie od okresu, o którym jest mowa. I jeszcze, posługując się językiem Plantagenetów, czyli frangielskim: chapeau bas przed Tłumaczką. Takie zróżnicowanie tekstów, pochodzących z różnych epok wymaga translatorskiego geniuszu.

Tymczasem zapadł wieczór. - So to bed. - Jak powiedziałby XVII-wieczny rozpustnik i pamiętnikarz, Samuel Pepys. Wciąż jeszcze nie mogę się zdecydować na zmianę melodii w budziku i usunięcie fotografii. A może niech sobie zostaną. Ostatecznie zdemaskowany mit nikomu już nie może zaszkodzić. Tym bardziej, że Wyspa znów ma połączenie z Kontynentem. Europejskim, rzecz jasna.

WITOLD TURANT

„Idee tworzą bożki. Jedynie zdumienie coś przeczuwa”

Olivier Clement

1.

„Zdumienie” to jedno z tych kilku słów-kluczy „Tryptyku”, które są czymś w rodzaju filarów dźwigających ciężar treści utworu. Jedna z dwóch części pierwszego skrzydła „Tryptyku” nosi wręcz taki właśnie tytuł: „Zdumienie”. Ona to otwiera dzieło.

Dowiadujemy się z niej, że zdolność zdumiewania się jest cechą arcyłudzka, wyróżniającą człowieka spośród stworzeń. „Potok się nie zdumiewa”, tłumaczy Autor, „lecz zdumiewa się człowiek!”. Dlatego człowiek zawsze „był samotny z tym swoim zdumieniem/ pośród istot, które się nie zdumiewały”. I choć „przemijał wraz z nimi”, dzieląc wspólny los wszystkich stworzeń, to jednak czynił to inaczej, „na fali zdumień”. I gdzieś tu właśnie zdaje się tkwić tajemnica wyjątkowości człowieka, zarzewie jego ostatecznej „nieprzemijalności”, jedyne w swoim rodzaju istnienie będące obrazem i podobieństwem Najwyższego. Czytamy: „Zdumiewając się, wciąż się wyłaniał/ z tej fali, która go unosiła”. Człowiek jest więc niejako reprezentantem świata wobec Boga, „miejszem spotkania” „wszystkiego” ze „Słowem Przedwiecznym”. Jest progiem, który świat w nim przekracza. Jest zdumieniem samym. „Kiedyś temu właśnie zdumieniu nadano imię ‘Adam’”. I, jako taki, człowiek - ze środka zdumienia - ma śmiałość mówić „wszystkiemu wokoło”: „przemijanie ma sens”.

Jan Paweł II, papież o duszy poety, nie pierwszy raz przy pomocy kategorii zdumienia definiuje największe pojęcia ludzkiego i chrześcijańskiego *universum*. W pierwszej jego encyklice, w *Redemptor hominis*, znajduje się porywający *passus*, w którym Ewangelia i chrześcijaństwo doczekały się takiego oto określenia: „głębokie zdumienie wobec wartości i godności człowieka nazywa się Ewangelią, czyli Dobrą Nowiną. Nazywa się też chrześcijaństwem. Stanowi o postanieniu Kościoła w świecie - również, a może nawet szczególnie - ‘w świecie współczesnym’. Owo zdumienie (...) pozostaje najściślej związane z Chrystusem”. Zaś w najnowszej, podpisanej 17 kwietnia 2003 r. (czyli już po opublikowaniu „Tryptyku rzymskiego”) encyklice *Ecclesia de Eucharistia* pisze o serii „wielkich i wdzięcznych zdumień”, które budzi w nas Eucharystia, jej niepojęty dar i niepojmowalna tajemnica. I tak we wprowadzeniu uzasadnia cel powstania dokumentu: „Pragnę to eucharystyczne ‘zdumienie’ rozbudzić, pisząc tę Encyklikę (...)”.

„Przekraczanie progu zdumienia” jest więc aktem teologicznym i poetyckim zarazem (a zapewne i egzystencjalnym), głęboko zakorzenio-

JAN PAWEŁ II



TRYPTYK
RZYMSKI

WYDAWNICTWO SW. STANISŁAWA RM

Jan Paweł II: Tryptyk rzymski. Medytacje.
Kraków 2003 r. s. 10.

Przekroczyć próg zdumienia

nym w wyobraźni i języku Papieża. Już sam ten fakt pokazuje jak ważne są dla Jana Pawła II poetyckie rejestry języka, poznawczy walor literatury, możliwości „wyrażania Niewyrażalnego” tkwiące w „mowie wiązanej”. Tak tłumaczył owe związki Czesław Miłosz, wkrótce po światowej premierze „Tryptyku”: zdumienie jest unikalną wartością i zasadą poezji. „To samo zdumienie, które w pierwszej części poematu Papieża wynosi nas ponad czas, wyłącza nas z przemijania. Poezja to zdumienie” - dopowiada Noblista.

Poezja to także zachwyt, „małe ziarrenka zachwyty, zmieniające smak świata” - jak powiedział w „Obronie żarliwości” Adam Zagajewski. I w tę właśnie stronę, w stronę zachwyty i żarliwości, unikających łatwej pociechy i naiwności, bo teologicznie ufundowanych na gruncie wiary w sens stworzenia („było bardzo dobre” Rdz 1,31) i odkupienia („aby przez Niego znów pojednać wszystko z sobą” - Kol 1,20) - rozwija się dzieło Jana Pawła II. A rośnie ono w poprzek wielu tendencji postmodernistycznych w literaturze, stając się swoistym znakiem sprzeciwu wobec nich. Ale nie tylko wobec nich: również wobec gestów nieufności i apriorycznego odrzucenia współpracy teologii ze sztuką, wiary z kulturą, kapłana z artystą. Papież zdaje się wiedzieć doskonale (teoretycznie i prak-

tycznie) to, czego nieraz nie dostaje naszym współczesnym ewangelizacyjnym wysiłkom, a co profetycznie wyraziło wielu. M. in. Hugo Friedrich („literyka jest tajemnicą, jest ona granicznym pasem, wydartym temu, co nie do wypowiedzenia, jest cudem i siłą gwałtowną”) i Paweł VI (mówił do artystów: „Jeśli zabraknie nam waszej pomocy, nasza postęga stanie się jakimś i czymś niepewnym”).

2.

Moja osobista fascynacja „Tryptykiem” i wdzięczność głęboka po jego lekturze dotyka tej właśnie kwestii: że Autor-Papież w ogóle sięga po poezję jako środek wypowiedzi (w dwudziestym piątym roku tego pontyfikatu może nam się to wydawać naturalne, ale rzecz oczywista na pewno nie jest). Że pisze „List do artystów”, „Tryptyk rzymski”, że się zdumiewa i nie lęka się o swoich zdumieniach pisać. Zauważył Krzysztof Koehler: „właśnie fakt, że Jan Paweł II zdecydował się ogłosić swoją kolejną wypowiedź jako poeta, jest szczególnie interesujący i właśnie nad tym, że Papież mówi do nas - *hic et nunc* - językiem poety, warto rozmyślać”. Trzeba, żebyśmy sobie zdali sprawę z siły i przesłania tego wyrazistego gestu: Papież przemawia do nas w formie poetyckiego tryptyku!

Istnieje bowiem w szeregach obrońców prawdy i ortodoksji - piszę to bez jakiegokolwiek ironii: sam chciałbym do służących prawdzie i ortodoksji należeć; o czym donoszę z pokorą - przekonanie, że poezja (szerzej: literatura, sztuka) są dziś koniem trojańskim postmodernistycznych trucizn, *new age*’owskiego braku jednoznaczności itp. Dlatego postulowany jest duży stopień nieufności wobec sztuki, nie tylko „zdegenerowanej” (prześmiewczej, bladeńskiej, bluźnierczej), ale każdej, ponieważ w każdym rodzaju sztuki tkwią ziarna szaleństwa, a przynajmniej ten rodzaj niejasności, który deformuje logikę poznania i zaciemnia drogę do prawdy. Najogólniej: w pięknie tkwi odwieczna pokusa izolacjonizmu od dobra i prawdy; stąd zalecenie najwyższej ostrożności wobec „poezji i poetów” a w sumie zgoda (milsząca, w najlepszym wypadku) na powtórzenie gestu Platona, który miał wszak wygnać poetów z miasta...

Uprościłem zapewne, ale obrońcy powyższego stanowiska, nawet jeśli jest ono znacznie bardziej zniuansowane, mają w ręku mocne argumenty. Oto od dwustu lat mniej więcej artysta usiłuje zająć miejsce kapłana w kręgu (post?)chrześcijańskiej cywilizacji, zapominając, że sztuka nie jest „zamiast”, ale „dla”. I że ona sama, osierocona, samotna (bez siostry religii) - nie da nadziei na przetrwanie. I że „ubóstwiać” można jedynie Boga, zaś sztuka w paralelnej roli może stać się najwyżej bożkiem. Dzieje się to na gruncie jakiegś poważnej erozji

religijności zachodniego kręgu cywilizacyjnego i jest skutkiem poważnych zaburzeń w relacjach wewnątrz triady „piękno - dobro - prawda”.

To wszystko prawda. Ale też tym większy podziw dla odwagi i profetyzmu Jana Pawła II, który mówi przez sam fakt „Tryptyku rzymskiego” (przez fakt jego napisania i decyzję na jego upublicznienie), że prawda potrzebuje piękna, by służyć dobru. Tak - na najgłębszym poziomie moich możliwości odczytania tego tekstu - gest papieski rozumem. Mówi Jan Paweł II samym faktem „Tryptyku”, żeby się piękna nie bać, bo jest ono z Boga, obojętnie kto i w jaki sposób chciałby je na drogach historii zawłaszczyć. Sztukę wynosi Papież na należyne jej piedestał współpracowniczkę prawdy i dobra, broniąc jej tak przed podejrliwością obrońców prawdy, jak przed nihilizmem przeciwników prawdy. To jest chrześcijańskie w esencji. To inkarnacyjna w istocie, to znaczy z cudu Wcielenia wywiedziona - obrona piękna przed jego wewnętrznymi pokusami i zewnętrznymi oskarżeniami. Oto piękna oczyszczenie i rehabilitacja. Grań - z dwiema przepaściami po bokach - po której porusza się autentycznie chrześcijańska filozofia i teologia piękna.

3.

„Tryptyk rzymski” jest tekstem niebywale złożonym. Niech ta teza będzie ostrzeżeniem przed uproszczonymi jego odczytaniami, a zachętą do jego pogłębionej lektury, do - to jedno z większych w ostatnich latach pragnień duszpasterskich Jana Pawła II - kontemplacji. Komplikacja tekstu bierze się nie z odautorskich udziwień (bo takich tu w ogóle nie ma), ale z kondensacji tekstu. W każdej z części utworu krzyżuje się i przenika wiele planów treściowych, lakoniczne frazy kryją w sobie całe wieki rozwoju myśli filozoficznej i dogmatu, obserwujemy nieustanny wysiłek do skupiania tekstu na istocie sprawy a do wycofywania go z jej obrzeży. Otrzymujemy dzieło godne wielkiego umysłu, ducha i poezji: mało słów, predylekcja wobec skrótów, ocean treści. To dobre dla dzieła, trudne dla czytelnika.

„Tryptyk” jest polifoniczny i - wbrew pozorom - nie poddający się jednoznacznej interpretacji w wielu (istotnych!) warstwach. Dobrym tego przykładem jest ostatnich siedem wersów utworu. Brzmia tak:

„- Zatrzymaj się - / Ja noszę w sobie twoje imię, / To imię jest znakiem Przymierza, / które zawarło z tobą Słowo Przedwieczne zanim stworzony był świat. Zapamiętaj to miejsce, kiedy stąd odejdziesz, Ono będzie oczekiwać na swój dzień -”.

Konia z rzędem temu, kto jednoznacznie rozstrzygnie kto i do kogo te słowa wypowiada. Ma rację K. Koehler, kiedy pisze: „jako czy-

telnik nie wiem, kto i do kogo te słowa mówi: Bóg do Abrahama? Autor do Abrahama? Autor do Czytelnika? A może Autor do siebie? Albo Abraham do Autora?”. I tak zapewne miało i ma być: słowa te są większe niż my wszyscy i zapadają w nas wszystkich, dotycząc Każdej i Każdego - nioszących imię, wezwanych do Przymierza.

Złożoność „Tryptyku” jest również konsekwencją nakładania na siebie kilku warstw kulturowych, które interpretują jednocześnie i rzeczywistość (egzystencjalną, teologiczną) i siebie nawzajem. Oto bowiem Księgę Genesis interpretują freski Michała Anioła; medytacyjne strofy „Tryptyku” interpretacyjnie docierają do Księgi Rodzaju już to za pośrednictwem polichromii sykstyńskiej, już to „bezpośrednio”; pejzaż górski (karpaci?) i biblijna scena na Górze Moria stanowią równoprawne toposy dwóch skrzydeł „Tryptyku”. Interakcja wewnątrz i pozatekstowa: malarstwo, literatura (Horacy!), Pismo Święte, teologia, kapłaństwo, biografia (Wadowice!). Ileż strumieni wpada do rzeki dzieła. Poza tym: ktoś z nas, lektorów „Tryptyku” wie, co znaczy widzieć świat, ludzi i rzeczy, z perspektywy papieskiego losu, jego wyniesienia, cierpienia, perspektywy, nadziei?

4.

Skąd to się wszystko wzięło, ta poezja w tekstach Papieża z przełomu tysiącleci? I skąd On się wzięł, Papież-Poeta? Można się odwołać do biografii Karola Wojtyły, oczywiście: że teatr rapsodyczny, że literackie juwenilia to głównie wiersze i dramaty, że doktorat z Jana od Krzyża, geniusza hiszpańskiej poezji i teologii jednocześnie. Że miał się od kogo uczyć. I będzie się miało rację, zapewne. Ale sądzę, że trzeba sięgnąć głębiej. Przynajmniej tak głęboko jak Miłosz: w Janie Pawle II wydaje swój późny, dorodny i uniwersalny owoc polski romantyzm; Polski Papież jest dzie dziecem i kontynuatorem doświadczeń oraz języka Norwida i Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Albo jeszcze głębiej: oto takiego języka i takiej perspektywy twórczej potrzeba dziś światu, Kościołowi. I ten język powstaje na ziemi, ale jego impulsy i inspiracje pochodzą z bardzo wysoka.

Jest też ten utwór aktem odwagi i swoistego wyzwania wobec tendencji panujących we współczesnej literaturze. Jest to prowokacja, znak sprzeciwu, czy - jak powiedział Miłosz - „próba buntu”. Głównie wobec wielkiej wyprzedaży rozpacz w dzisiejszej sztuce (poezji może zwłaszcza). Papież porusza się po polach dramatu i tragedii, nie unika pytań najtrudniejszych, a jednak daje świadectwo sensu. Na dwóch

stronicach rękopisu dołączonego do premierowego wydania poematu widać skreślone papieską ręką słowa: *Totus Tuus ego sum*. Myślę, że czytając te właśnie słowa, zbliżamy się do źródła tajemnicy tego człowieka i tego dzieła: pragnienie świętości jako kwintesencja sztuki. Sztuki życia. Poezja i dobroć, więc niej - powtórzyłby zapewne za Norwidem Wojtyła. Z mocnym akcentem na „i”. Wtedy bowiem wspierają się wzajemnie piękno i prawda, wtedy też - wspólnie, skutecznie - służą Prawdzie.

Jan Paweł II jest ewangelizatorem, to oczywiste. Dokładniej: przede wszystkim ewangelizatorem, a w pewnym sensie - jeśli ów sens rozumieć wystarczająco szeroko i głęboko - tylko ewangelizatorem jako Piotr dzisiejszego Kościoła, Piotr, którego jedynym obowiązkiem jest wyznawać przed światem i dla świata jedyną Chrystusa: „Panie do kogoż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego” (J 6,68). Ale Jan Paweł II nie jest ewangelizatorem zamiast poety. Jest nim jako poeta. Taka jest struktura jego pism: zdumiewa się i tęskni nie tylko w „Tryptyku” i w *Redemptor hominis*, ale już w przedwojennych sonetach. Taka też jest zapewne, jak się domyślamy, struktura jego osobowości, kształt wiary.

Autor „Tryptyku rzymskiego” wpisuje się w ten sposób twórczo w starą jak chrześcijaństwo praktykę rozumienia literatury jako *praeparatio evangelica*. Samo pojęcie zawdzięczamy Euzebiuszowi z Cezarei (III/IV w. Po Chr.) a oznacza ono proces „spulchniania gleby serca” pod zasiew ewangelicznego słowa, proces możliwy dzięki uwrażliwianemu wpływowi sztuki słowa. „Przez sam fakt tego poszukiwania artystycznego, zbliżacie się, niejako po omacku, do Boga” - mówił Jan Paweł II do artystów w Brukseli 20 maja 1985 roku. Ale też medytacyjna poetyckość „Tryptyku rzymskiego” nie jest instrumentalnym potraktowaniem literatury przez teologię. Poezja nie jest służebnicą teologii. Pozostając współpracownicami, obie stają się sługami Ewangelii, zachowując ten rodzaj najwyższej i najgłębszej zarazem wolności, który jest niemożliwy poza Ewangelią.

5.

Wybierając język poezji dla wyrażenia teologicznego przesłania „Tryptyku” Papież uruchamia w odbiorcy dodatkowe moce wyobraźni i serca. Dla skuteczności komunikatu - również najświętszego - ważne jest i „co” i „jak” się mówi. Ważna jest tonacja, kształt, forma. Prawda wola o piękno. Naga treść nie istnieje.

KS. JERZY SZYMIK

Oprawdzie zawartej w tym zbyt rzadko używanym porzekadle świadczyć się zdają choćby te pytania, które filozofia postawiła bardzo dawno, bo na samym początku swojego zaistnienia, a na które do tej pory ludzkość nie otrzymała przekonującej odpowiedzi, pomimo aktualnego stanu wiedzy. Wysockiego przecież. Do tej pory więc nie wiemy, czym jesteśmy, czym jest inteligencja, skąd pochodzimy, jaki jest sens życia.

Do tych wymienionych można by jeszcze dorzucić tzw. pytania Emmanuela Kanta: *Co mogę wiedzieć? Co mam czynić? Czego mi się wolno spodziewać?*

I Te wreszcie, z którymi boryka się głównie teologia wraz z metafizyką: Jaki Bóg miał wybór w tworzeniu wszechświata, jeśli miał go w ogóle? To znaczy, czy mogło nie być tego, co jest? Czym jest ludzki umysł i czy może on przetrwać śmierć? Czy porządek obserwowany we Wszechświecie to wynik planowego działania czy przypadku? Czy teoria fizyczna zawiera coś bardzo prostego, czego Bóg nie byłby w stanie odrzucić? Czy wszechświat sam się potrafi wyjaśnić i czy w ogóle istnieje? A jeśli tak, to jaki go czeka koniec? I kto stworzył stwórcę?

Odpowiedzi na te pytania - zwykło się je też nazywać głównymi - wciąż nie ma. Ale to nie przeszkadza współczesnym poetom, żeby te pytania zadawać od nowa.

Poeci rutyniarze potrafią je od nowa wyartykułować, i na dodatek ozdobić niepowtarzalnością osobistego doświadczenia zanurzonego w sosie aktualnie modnej egzystencjalnej troski o los człowieka i ludzkości. Gra jest zresztą warta świeczki, bo ten rodzaj pytań określa przecież wysokość poprzeczki.

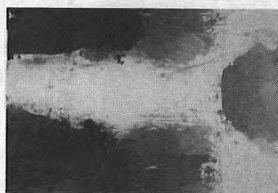
Dość często jednakże pytania główne, jak i te wywodzące się w prostej linii od nich, zadawane bywają z prekolumbijską omal odkrywczością. Z tak wielką, jakby zadający je nie wiedzieli, że zostały już przecież dawno zadane. To się oczywiście poecie może przydarzyć, ale nie może być w ocenie brane pod uwagę.

Trudno też tu nie wspomnieć - dla ścisłości choćby, że są też i tacy, co chyttrze wykorzystują ciągle brak odpowiedzi na pytania, o jakich jest mowa i pod ich adresem - tychże właśnie pytań - stawiają pytania własne.

Zeby pozostać w zgodzie z przesłaniem zawartym w tym porzekadle, co nam posłużyło za tytuł, nie postawimy pytań, do której z wyliczonych grup zaliczyć pytania zawarte w tomiku Dariusza Tomasza Lebiody? A jest to o tyle istotne, bo na ten tomik składa wiele pytań. A jeśli się zważy jego niewielką objętość - no to jest ich tychże pytań jak gdyby za dużo.

Jedne są sygnowane znakiem zapytania czyli tzw. pytańnikami jak np. *Czy wrzuciłbyś bezbronnie - chodzi o niemowlę, przypisek mój, E. W. - I do ognia? / albo Czym jest przestrzeń między nami? Czy / dokąd prowadzą*

Dariusz Tomasz Lebioda



CZARNY JEDWAB BLACK SILK

„Czarny jedwab - Black Silk”, Cross-Cultural Communications, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, New York / Kraków 2002.

Łatwiej pytać niż odpowiadać

drogi! dokąd idzie / człowiek? / Lub też / Czy widział ktoś człowieka / prowadzącego ulicą / ślepego człowieka?

W utworach, w których autor zrezygnował z interpunkcji, pytanie bywa wyartykułowane przy pomocy zaimka pytającego, jak choćby w liryku „Phantom Card”. Ale czy tutaj pytanie *dokąd zdążasz wędrowcze z tobakiem wiatru na plecach z laską zimną w dłoni* jest rzeczywistym pytaniem? Czy też jest może początkiem podprowadzenia o barokowym rodowodzie pod odpowiedź, która ma wymiar pytania, skoro to wszystko, co zostało wyszczególnione, jest dla poety *tylko szum milkącego boskiego pomruku*?

Natomiast wiersz „Niebyt”, a więc już w tytule o dużym ontologicznym ładunku, cały jest pytaniem autora. Pytaniem o to, kim jest tu i teraz. Wymienione ewentualności, wchodzące w rachubę, prowadzą poetę do odpowiedzi, która jest pytaniem znanym z niejednej przecież egzystencjalnej konstatacji. Zwłaszcza konstatacji Egzystencjalistów.

I ostatnie pytanie na koniec. Moje osobiste. Czy wydanie w tej formie swoich wierszy, które - jak czytamy na drugiej stronie tytułowej - *Translated into English by Adam Szyper & Stanley H. Barkan*, nie jest przypadkiem wyrazem co najmniej niewiary autora w samowytarczalność poetyckiego postrzegania świata przy pomocy ojczystego języka?

Pytanie to należy oczywiście do tzw. pytań *dopełnienia*. Czyli takich, które wymagają dopełnienia wiedzy potrzebnej do danej wiarygodnej odpowiedzi.

EDMUND
WOJNAROWSKI

S poglądam na biurko. Sterty gazet, korespondencji, zapisanych kartek. Wśród prawdziwie twórczego galimatiasu, książka - pierwszy poetycki tomik Ewy Bożeny Kwiecień. Odpowiednia pora - myślę. Jak kwiecień, to Kwiecień. „Czarno-białe obrazy” - bo taki tytuł nosi niniejszy zbiór wierszy - mienią się od barw, kuszą dominantą czerwieni.

Wejście w poezję, która nie rozmięka słów, nie ima się taniej emfazy, a obrazy rysowane są wyrazistą kreską - jest prawdziwą przyjemnością.

W posłowniu tomiku pt.: „Cukier, sól, landrynki” - Maciej M. Szczawiński wzmiankuje o silnej motywacji pisania Ewy B. Kwiecień; „będę pisać, muszę pisać”. Z podobnie silną motywacją spotkałam się u Anne Sexton, która w kwestii wewnętrznego nakazu przelewania myśli na papier - stwierdziła: „To jedyna rzecz, jakiej pragnę - mieć tyle jedzenia, aby przeżyć, chodzić na lekcje poezji, pisać - reszta świata nie istnieje”.

Cieszy fakt, iż mimo inklinacji poetki do nadużycia słów (wiersze wcześniejsze), świadomie zredukowała ich ilość do najbardziej istotnych. Preferowana forma wiersza jest przejrzysta, wdzięczna, zarówno w słowie mówionym jak czytanim.

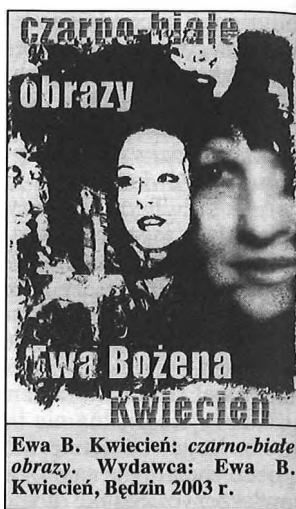
Ewa B. Kwiecień czuje przestrzeń. Operuje nią na tyle swobodnie, aby osiągnąć zamierzony cel. Wbrew pozorowanej beznadziei, nie jest „wylęknioną kotką”. W temacie uczuć (seksu) wypowiada się bez barier prudernej przyzwoitości: „niech dopełni się czekanie”. „(...) chcę być gdzie / w moich piersiach / sutki dotyku warg prosić będą / chcę być gdzie / powój mych ud / ciało uwięzi gałęziami opłecie / chcę być tam być”.

Brutalną prawdą - bulwersuje! Los dziewcząt „handlujących ciałem” - upokarza „zanim obudzą się firanki”, „nie mam własnego imienia / nie pamiętam / sukienka leży na ziemi / niewinność / nie mam własnego domu / tylko publiczny obowiązek / nikt nie przynosi stokrotek / tylko napiwki / znikają”.

Poetka lubi kontrasty. Zaświadcza o tym tytuły wierszy: „czarno-białe tęsknoty”, „lód i ogień”. W wierszu „po-miedzy” - grą przeciwieństw doprowadza do sytuacji, w której „cienka linia” nie wytrzymując przeciążeń - zrywa się.

Starannie dobranym szczegółem (istotą puenty) wydatnie podkreśla siłę wiersza.

BARBARA
DZIEKAŃSKA



Ewa B. Kwiecień: czarno-białe obrazy. Wydawca: Ewa B. Kwiecień, Będzin 2003 r.

Z czerwienią w tle

„żółty wiersz” (...) *drży żółty smutek (...) mały chłopiec w żółtych skarpetkach / oddaje mi swoje lody bananowe, „czerwona cisza” (...) usiadła w fotelu / patrzy / w czerwieni paznokci / słodka jak zapach gazu / gorzka jak relanium.* Poczucie determinacji - też nieobce poetce - osiąga swoje apogeu w wierszach: „auto-sugestia”, „samotność”, „kto mi dał skrzydła”, „mosty”. W wierszu „Adonis” owa determinacja przeradza się w rodzaj buntu. Końcówka brzmi jak przestroga: (...) *z twojej krwi zakwitnie kwiat anemону / i tylko Afrodyta po tobie zapłacze białymi różami.* Stąd już tylko krok do zaniżonej samoceny: „przedświt”.

Dramat obrazu Muncha przełożony na język poezji w wierszu „wernisaż sztuki współczesnej” wstrząsa. Czyżby rażąca siła obrazu znalazła potwierdzenie w równie rażącej sile słowa?

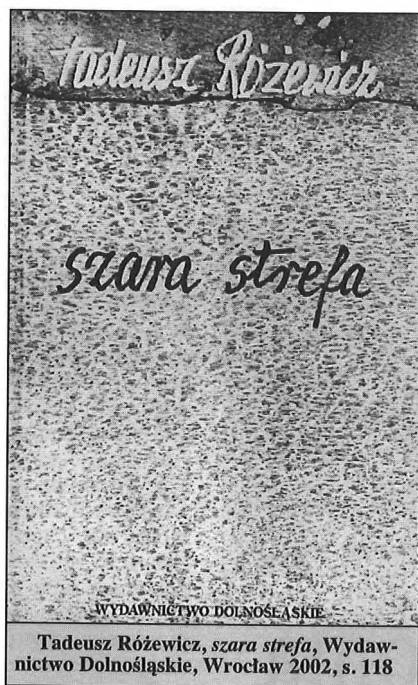
Ale są też wiersze, w których autorka łagodnie osiąga cel, wabi szeptem, pozwala miękko zejść słońcu, a księżyc jak balon wypuszcza w granat nieba (...) *świt / drzewo moje zielone oczy / dzień / puka do ptasich gniazd / okno / promień / uśmiech pelargonii.* „noc” (...) *po plaży / włóczy się cień / rudy księżyc (...) pasie smutek / jak owieczkę.*

Poezja Ewy B. Kwiecień nie jest poezją monotematyczną. Swoją literacką tożsamość postanowiła zaznaczyć wyborem najcenniejszych liryków i erotyków. Myślę, że to słusza decyzja.

Moja szara strefa / powoli obejmuje poezję pisze Tadeusz Różewicz w swoim najnowszym tomie - szara strefa. Obejmuje ona również czytelnika, nie dając łatwo oswoić się z wieloznacznością przekazywanych treści. Mimo że istnieją narzędzia do interpretacji poetyki Różewiczowskiej, tomik nie od razu poddaje się interpretacji, gdyż nic nie jest w nim do końca czarne czy też białe - *brzeży tych nie-kolorów / stykają się*.

Tytuł książki odwołuje się do pojęcia, które definiowane jest jako ogół zjawisk gospodarczych, nieewidencjonowanych, od których nie są płacone podatki. Potoczne znaczenie tych słów, to działalność na pograniczu prawa, nielegalne interesy, łapówkarstwo *etc...* Krytycy dzieł autora dostrzegli w jego twórczości skłonność do sarkastycznego potępienia pewnych przejawów współczesności. W nowym tomiku poeta mówi, że współczesność staje się naszą szarą strefą, w której działalność pisarska nie przechodzi przez cenzurę literackości, a postępowanie - przez cenzurę moralną. Różewicz krytykuje w swych wierszach, jak to określił Julian Kornhauser, „pisanie z pustej głowy”, budowanie [literackiej - A.D.] wieży Bubel. Wszyscy - staruszki, panie na wysokich obcasach - *piszą szparko, trzęsą z rękawa / syją różne dyrdymałki*. Autor potępia również publikę, która *wszystko tyka / robi owa-cje na stojąco / siedząco / i pod siebie*. Dostrzega on także malejącą rolę poety (*eciepecie o poecie*) i degradację słowa. Największy sukces na Targach Książki we Frankfurcie nie odniosły wiersze czytane przez poetów, ale szampan, wódka i kawior Borysa Jelcyna (*tajemnica wiersza*). Różewicz czuje się wyobcowany we współczesnym świecie, Pozbawiony poczucia rzeczywistości, trudno mu się odnaleźć w tym kolorowym zawrocie głowy, w erze Harry'ego Pottera.

Oczywiście pojęcie szarej strefy zostaje rozszerzone przez poetę. Już sam tytuł tomu wpisuje się w palimpsestową konstrukcję wierszy w nim umieszczonych. W miarę czytania odkrywamy coraz to nowe warstwy interpretacyjne i intertekstualne powiązania tekstów. Szara strefa zawieszona jest między bielą a czernią, między światłem a ciemnością. Wydaje się, że Różewicz wysyca szarość ciemnością, zbliża się do niej, czasem wręcz jej dotyka, wprowadzając do utworów tematykę śmierci. Jego wiersze mają charakter kart z pamiętnika, na których bardzo często pojawiają się wspomnienia umarłych. W *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* (1977) poeta wyjaśnia, że *Pisanie wspomnienia*



W szarej strefie

o Umarłym to dla mnie prawie zawsze walka z czasem i ze śmiercią. Przywołuje więc autor bliskich, znanych, by porozmawiać z nimi i choć na chwilę wydrzeć [ich - A.D.] *Krainie Umarłych*. Określa się mianem *pasterza umarłych* ze względu na ocalającą pamięć poety.

Perspektywa metafizyczna utworów Różewicza nasila się od *Płaskorzeźby* (1991), a jego rozważania o śmierci coraz częściej obejmują śmierć własną. Poeta przyznaje w ostatnim tomie, że *czas umierać / ale jakoś się nie chce*, uświadamia sobie strach przed nią. Przygotowanie do niej ilustruje problematyka rozrachunkowa, silnie obecna w ostatniej książce. Autor stara się podsumować własne życie, twórczość, usprawiedliwić swoją ludzką ułomność. Mówi o *zawirowaniach / na drodze życia*, o gubieniu prawdy, o zapominaniu nauki, jaką niesie historia (*Regression in die Ursuppe*), o odżegnywaniu się od bycia moralizatorem - *trzeba więc przesunąć góry / ale ja nie mam potrzebnych / środków technicznych / ani siły / ani wiary*. Różewicz wciąż pracuje nad charakterem własnej poezji, chcąc zbudować wiersz łączący przeszłość z przyszłością, by opowiedzieć o banalności zła, oswoić śmierć.

To, co nie w pełni rozjaśnione w szarej strefie, niesie z sobą tajemnicę. Jej obecności dowodzą choćby

tytuły: *Tajemnica wieczoru poetyckiego, tajemnica wiersza, Tajemnica filozofa, druga tajemnica poety*. Autor próbuje zrozumieć tajemnicę egzystencjalną - sensu życia, śmierci. Dowodzi, że dojrzałość twórcza nie musi wcale prowadzić do odkrycia tajemnicy poezji, która wciąż jest dla niego zagadką. Nawet przy końcu drogi twórczej autor zastanawia się nad jej sensem i kondycją. Dlatego rozważania metapoetyckie pojawiają się w ostatnim tomiku i całej twórczości Różewicza. Mówiąc o pisaniu, autor często przywołuje sylwetki osobowości szeroko rozumianej kultury. W poetyce twórcy kult wielkich osobowości jest głęboko zakorzeniony. Pojawia się w zbiorze Wittgenstein, Kant, Picasso, Goethe, Leśmian, Miłosz, Norwid, Staff.

Właśnie Staff jest postacią najbardziej wyeksponowaną w *szarej strefie*. To dla niego stworzył autor *Appendix*, będący intertekstualną zabawą ze „Starym Poetą”. W nim to podejmuje Różewicz dialog, odżegnując się od zamiaru komentowania twórczości przyjaciela. „Stary Poeta” zaczął pod koniec życia pisać wiersze różewiczowskie. Dojrzały Różewicz odpowiada Staffowi po pięćdziesięciu latach, będąc o rok czy dwa lata starszym od nieżyjącego przyjaciela. Do dialogu dojrzał autor stopniowo. Pierwszym krokiem do podjęcia go było dokonanie wyboru wierszy „Starego Poety”. W 1976 ukazała się książka *Kto jest ten dziwny nieznajomy. Wybór poezji*, którą Różewicz opatrzył wstępem. W *szarej strefie* wchodzi autor w relację partnerską z przyjacielem, czując się uprawniony przez wiek i zdobyte doświadczenia.

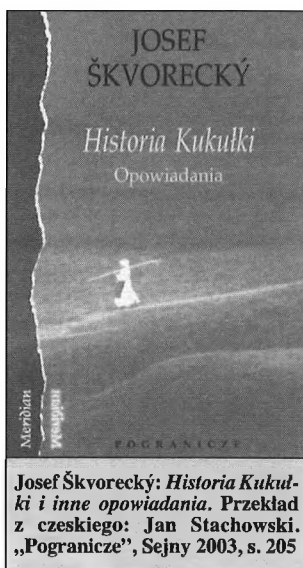
Nasuwa się pytanie dlaczego *appendix* i dlaczego poświęcony jest właśnie Staffowi? *Appendix* to materiał uzupełniający, aktualizujący treść dzieła. Różewicz dopełnia więc dialog, własną biografią poetycką. Spłaca dług „Poldkowi”, w którym zawsze mógł szukać oparcia. *Appendix*, znajdujący się na końcu *szarej strefy*, jest pointą tomu. Odwołuje się on do najświeższej pamięci czytelnika, a pozostając długo w jego świadomości, podkreśla wagę treści zawartych w wierszach korespondujących z twórczością Staffa. Jest on także próbą aktualizacji wierszy zmarłego poety, która wybrzmiewa raczej sarkastycznie. Różewicz, uwspółcześniając wybrane utwory „Starego Poety”, przemycia swój ironiczny stosunek do obecnych czasów. Zreinterpretowane wiersze zioną pesymizmem, choć nie brak w nich łagodnego uśmiechu, bo w końcu *„każdy ma swojego Kanta” / (i piekło „danta”)*.

AGNIESZKA DUDAŁA

Josef Škvorecký od lat należy do czołówek czeskich pisarzy. Sławę przyniosła mu powieść *Tchórze* z roku 1958, choć nakład został wycofany z czechosłowackich księgarń. W Polsce książkę tę wydano w roku 1970, mimo że w tym czasie pisarz przebywał już na emigracji w Stanach Zjednoczonych, a następnie w Kanadzie. W roku 1978 władze komunistyczne pozbawiły Škvoreckiego obywatelstwa czechosłowackiego, co oznaczało wyeliminowanie jego nazwiska także z polskich antologii literatury czeskiej i słowackiej, które ukazywały się na przełomie dekad w wydawnictwie „Śląsk” i „Czytelnik”.

W następnych latach Škvorecký drukowany był w Polsce w tzw. drugim obiegu, tłumaczony wówczas m.in. przez katowickiego tłumacza Jana Stachowskiego, który przygotował także ten wybór. Poza *Historią Kukulki* wyszło w minionych dziesięciu latach jeszcze parę innych książek autora *Tchórze*, m.in. *Powrót porucznika Borówki*.

Aleksander Kaczorowski na okładce polskiego wydania *Historii Kukulki* napisał, że to właśnie twórczość



Josef Škvorecký: *Historia Kukulki i inne opowiadania*. Przekład z czeskiego: Jan Stachowski. „Pogranicze”, Sejny 2003, s. 205

Ironia i liryzm

Škvoreckiego, a nie Hrabala czy Kundery, jest „kwintesencją czeskości”. Ta opinia może zaskakiwać, bo mimo że Škvorecký należy do „niezwykłej trójcy czeskich pisarzy współczesnych”, to pozostaje najmniej znanym

ogniwem owej „trójcy”. Lektura opowiadań z tomu *Historia Kukulki*, z których najstarsze pochodzą z lat 50., a najnowsze — z końca lat 70., przekonuje, że rzeczywiście mamy do czynienia z twórczością najwyższego lotu.

Zachwycą niezwykle poczucie humoru narratora, który w paru przypadkach udaje autora sekretnych dzienników pisanych przez gimnazjalistów w latach 50. Absurdalna rzeczywistość państwa komunistycznego zderzona jest tu z obsesjami i erotycznymi uniesieniami właściwymi dla nastolatków, którzy nie chcą i nie mogą zmieścić się w sztywnych gorsetach praw narzucanych przez szkołę, organizację pionierską czy partię. Tym samym obnażone i wyśmiane zostały podstawy ustroju komunistycznego, choć z pozoru narrator ani żaden z bohaterów tych krótkich opowiadań nie dokonuje ideowych rewizji. Wprost przeciwnie — o oficjalnych instytucjach życia publicznego mówi się tu ze śmiertelną powagą, przyjmując je jako coś naturalnego, gdy jednocześnie wszystko wskazuje na to, że emanują chorobliwym absurdem. I w tym tkwi źródło komizmu.

Ale znajdziemy w tym zbiorze opowiadań także inne tony. Ironię przeniika wtedy delikatny liryzm. Z tej mieszanki wyziera twarz pisarza, który rewiduje przeszłość, sarkastycznie ocenia postawy swych rodaków. Jak w opowiadaniu tytułowym bądź *Rebecce*. Pojawiają się wątki żydowskie, dramaty II wojny światowej i okupacji niemieckiej, która dla części Czechów, przynajmniej na początku, mogła nawet wydawać się wcale nie taka straszna. Ktoś tam nagle zmienił nazwisko i poczuł w sobie niemieckie korzenie. Inny — z obojętnością spojrzawszy na los swych żydowskich sąsiadów, dotąd tolerowanych, ale teraz jednoznacznie obcych. Po wojnie — pozostało współczucie dla tych nielicznych, którzy przeżyli. Współczucie, które nic nie kosztuje, w przeciwieństwie... do żydowskich majątków.

Škvorecký także w paru innych opowiadaniach jawi się jako bystry obserwator czeskiej rzeczywistości (także tej emigracyjnej), który z lubością kpi sobie z inteligencji obyczajowości. Pod warstwą żartu zawsze można dostrzec kropelkę jadu.

KRZYSZTOF KARWAT

Pióro naszej „naczelniej skandalistki” nie złagodziło jak widać nawet pod wpływem macierzyństwa, bo oto do rąk czytelników trafiła kolejna książka Manueli Gretkowskiej, tym razem wydana wspólnie z jej życiowym partnerem — Piotrem Pietuchą. *Sceny z życia pozamałżeńskiego* - bo o nich tu mowa - kryją w sobie dwie opowieści: *Belladonnę* Gretkowskiej i *Pietuchy Samych dla siebie*, o archaicznej wręcz tematyce. Bo czyż jest coś bardziej opisanego od miłości i wiążącej się z nią obsesyjnej namiętności, wszechogarniającego pożądania? Obydwie historie przynoszą starą jak świat opowieść o miłosnych trójkątach. *Belladonna* to zapis rodzącego się z flirtu uczucia w murach buddyjskiego klasztoru między Kamilem - malarzem ukrywającym się przed 2 nałogami: alkoholem i Dominique (jego agentką i kochanką zarazem) a młodą, poszukującą samotności Ewą, która, pragnąc odosobnienia, znalazła aroganckiego Kamila. Przesycona namiętnością szaleńcza wyścieszka skończyła się jednak rozstaniem. Podobny finał ma opowiadanie Pietucha. I tu mamy romans żonatego Jerzego i młodej autostopowiczki Heleny. Ich przypadkowe spotkanie - „intymność płynąca z obcości” zrodziło wzajemną fascynację. Obsesja Jerzego, wypływająca stąd, iż Helena „była spełnieniem marzeń, na które nigdy nie miał odwagi”, doprowadziło do tymczasowego (ale jednak) porzucenia przez niego rodziny.



SCENY Z ŻYCIA POZAMAŁŻEŃSKIEGO
M. Gretkowska, P. Pietucha: *Sceny z życia pozamałżeńskiego*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2003. Stron: 400.

Pozamałżeńskie igraszki

Miłość to nieuchwytny definicyjnie stan. Może być „tańcem obłędu i destrukcji” albo szaleńczym płasem radosnego upojenia. Bywa podobna do blues’a, którego „forma jest wolna, opowiadająco-impro wizująca, (...) i nie zamknięta w ciasną partyturę. (...) To muzyka wygłodniałego serca, dzielenie się samotnością. Sztuka spontaniczna, szkiełująca ulotne emocje, które słuchacz wychwytyje własnym (...) czuciem”. Może być nałogiem, z którego wyzwolenie jest raczej niemożliwe.

W *Scenach...* jednak bywa wszystkim tym naraz, zamieniając życie kochanków w doszczętny chaos. To opowieść o niebywałej sile namiętności - szalonej i rozpasanej, triumfującej nad światem.

Nie jest zaskoczeniem, iż autorzy, obrazując śmiało, obnażają intymną sferę współżycia seksualnego bohaterów swoich opowiadań. Sugestywne obrazy, które bez zahamowań szczegółowo opisują orgazmy i perwersyjne erotyczne zabawy uprawiających seks par, są niemal przewodnimi motywami tej prozy. Jednak prowokacja nie jest moim zdaniem jedynym ich celem. Konkluzja może być znacznie głębsza. Obsesje i namiętności są pretekstem do wejścia w głąb siebie. Z doznań miłosnych, decyzji, wynikających z godzenia się na „łóżkowe układy pozamałżeńskie” można wyciągnąć wnioski dotyczące własnej osobowości, granic wytrzymałości i wewnętrznej siły: Ewa dzięki porzuceniu zrozumie nauki zen, Helena wyjedzie za granicę i być może znajdzie tam swoje szczęście, Jerzy wróci na łono rodziny, a Kamil być może dorosnie do roli odpowiedzialnego ojca. „Belladonna, ziółka czarownic. Mają trujące owoce, nie liście”. Miłość można wachać, podziwiać, ale zjedzenie jej owocu może źle się skończyć. Bowiem „miłość pyszna jest, niecierpliwa, zadrósna jest. Zdradza, kłamie, niczego się nie spodziewa, nie znosi prawdy, poniza, i zawsze się kończy”.

AGNIESZKA NĘCKA

1. Jest w *Późnym popołudniu* (Książka i Wiedza, Warszawa 2001) Marka Wawrzkiewicza wiersz okrutnej piękności. Nosi tytuł *Na przykład* i w prostocie nazwy uogólnia każde doświadczenie ludzkie. A traktuje o końcu drogi, powolnym i nieuchronnym domykaniu się świata, o odchodzeniu...

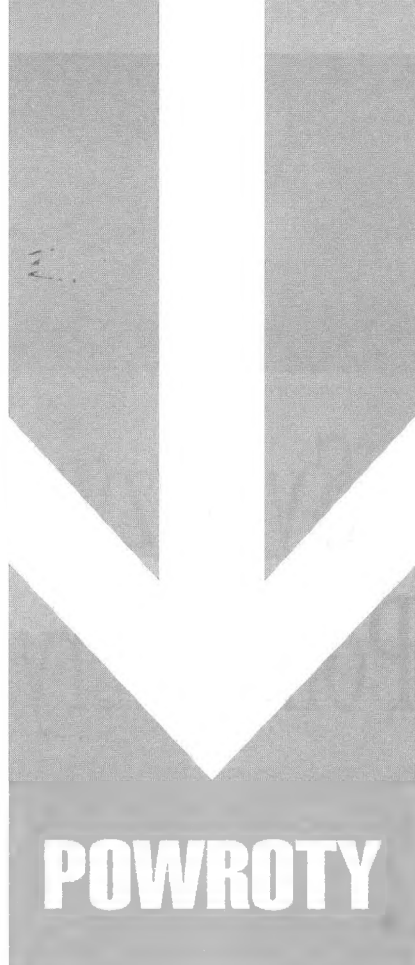
„Świat się kurczy. Coraz nam bliżej w zaświaty” - pisze poeta w wersji pierwszym. A potem zadaje pytania, które trawimy w sobie i które nas trawia: „Do nikogo nie mamy pretensji. Skąd więc / Tyle żalu? Kto nam pozwolił tak mocno / Uwierzyć w siebie? Dlaczego nikt nas nie / Ostrzegł? Czemu byliśmy głusi na umierający / śpiew wody? Ślepi na to dyszące koło / Preraźliwych pór roku?”

2. Poezja metafizyczna, eschatologiczna, mówiąca o upływającym czasie, a wreszcie elegijna, w której mieszają się z sobą rozmaite doznania, pragnienia i niepokoje, stała się w ostatnim dwudziestolecu niesłychanie popularna. Różnorako próbowano tłumaczyć ów niebываły wzrost zainteresowania jedną tonacją stylistyczną. A to, powiadano, zbliżał się koniec wieku, więc lęki cywilizacyjne musiały znaleźć ujście w poezji metafizycznej. A to, dodawano, ostateczne domykanie się okresów literackich, zgon wybitnych pisarzy, trwale rozejście się gustów estetycznych, musiały odnaleźć się w wariacie poezji eschatologicznej. A to, pointowano wreszcie, generalny smutek epoki przybrał szatę elegijną...

Może i tak naprawdę było. Ale nie piszę o tym dlatego, by sugerować, że *Późne popołudnie* Marka Wawrzkiewicza wzięło się z ogólnej mody na refleksję o domykaniu się wieku. Tutaj rzecz jest o wiele bardziej skomplikowana, bowiem pytanie o pojedynczy los zbiega się z pytaniem o przeszłość i nieznana drogą pokolenia. Wiersze autora *Serca przepiórki* każdorazowo sytuują się po stronie skończonego bytu, który - sam w sobie - jest godnością i nieprzeniknioną całością. Mówiąc inaczej: ustanawiają los jednostki w perspektywie **doświadczenia skończoności**.

3. Kategoria ta jest pomysłem Paula Tillicha. Znaczy więcej niż doświadczenie jednej śmierci, mierzy się z wieloma śmierciami. Pyta o sens otwarcia losu i sposoby jego zamykania. O pamięć przeszłości i jej nieustanne trwanie. O nas, którzy spotykamy się przypadkiem, lecz swą obecnością nadajemy sens idei spotkania.

Spokojna fraza wiersza, pogodzenie ze światem (jego naturą), chęć zrozumienia praw, jakie rządzą naszym życiem - wszystko to odnaleźć można w surowym pięknie wierszy Marka Wawrzkiewicza. Nie ma tutaj niepotrzebnej, na wyrost, nadmiernie egzal-



„Coraz nam bliżej w zaświaty”

owanej metaforyki. Poeta stara się mówić jak najciszej, prosto, odzierając wiersz ze wszystkiego, co wprowadzać by mogło niepotrzebną dysharmonię. Dostojeństwo wypowiedzi poetyckiej osiąga się poprzez odpowiednie kontrastowanie wersów, długość i przemienność zdań, przemienność obrazów. Jak np. w tym - wyjątkowej urody - portrecie:

„Ella Fitzgerald stoi między sosnami / Na wysokim brzegu jeziora w Po-sejnelach / I otwiera usta, żeby zaśpiewać. // Ale milczy. Bo z pierzastym łoskotem właśnie nadleciały / Dwa białe łabędzie, bo wiatr poruszył / Tłum płowięjących trzcin, bo zapachniało / Dalekim ogniskiem, bo ostatni promień / Bezlitośnie przeszył gromadkę chmur, / Bo plusnęły późno-wiosła. // Ella przeżyła tyle lat, ale nie zna tej muzyki. / Musi się w nią wsłuchać. / Znaleźć rytm i tonację, / Zmienić skórę. Ona to potrafi. /

Poczekajmy chwilę. Niech no tylko ucichnie jezioro. // Ella Fitzgerald otwiera usta, / Ale nie śpiewa. Umiera. / I świat już nie jest taki jak przedtem, / Choć trwają sosny, / Purpurowieje i złoci się pod wieczór jezioro, / Choć pospiesznie i z trudem / Dogasają dzień, młodość i miłość” (Ella).

4. Upływający czas i świadomość odchodzenia. I to, że „Już można / nie żywić złudzenia. / I to jest wolność”. I to, że „noc się nie skończy. / Nie zobaczymy świtu” (*Dostłownie*). Otóż to wszystko jest wypowiedziane w poezji Marka Wawrzkiewicza ze spokojem, ze zgodą na nieuchronność praw. Doświadczenie skończoności jest tutaj przywróceniem powagi sprawom ostatecznym. Stoickie „koniec” jest obecne bez niedopowiedzeń. Czytamy: „Jest noc - dosłowna jak życie. / Pograża wszystko w roztworze ciemności. / A nas, przeklętych, pozostawia sobie, / bez szalupy, nadziei i dalekich światła” (*Dostłownie*).

Wprawdzie w *Monologu do Gąsiorowskiego* pojawi się fraza: „Ach wrzesień, jesień... / I sam powiedz: za co?”, ale i tutaj nie ma dramatycznego załamywania rąk. Podmiot wierszy Wawrzkiewicza nie jest człowiekiem paskalowskim, raczej kartezjańskim. Nie grozi niebu, nie krzyczy, nie pomstuje na kruchość ciała. Metodycznie przygotowuje się do tego, co nieuchronne, bo przecież - „Coraz nam bliżej w zaświaty”.

5. *Późne popołudnie* jest tomem wierszy prywatnych. Adresy dydakcyjne zawężają krąg odbiorców. Konfesyjna fraza, ściszony głos, a wreszcie konstatacja, że „Z resztek - widać - powstałiśmy. / Została nas resztką” (*Monolog do Gąsiorowskiego*), sprzyjają refleksji, odsuwają rozpacz. Nawiązują kontakt z najbliższymi, wyodrębniają ich z szerszego grona, czynią powiernikami najgłębszych tajemnic.

„Niech się jednoczą zmarli w samotności / I ci, którzy do tego nabywają prawo - / Prawo krwi zamarniętej, bielejącej kości / I posłania mrocznego pod jasną murawą. // Ci wszyscy niekochani, wszyscy oszukani / Niespełnioną nadzieją lub słowem przedwczesnym. / Niechaj na nich milczenie, zapomnienie na nich / Upadnie litościwie, jak śmierć, kiedy we śnie // Wyzwała ich nareszcie ze złudzenia życia / I słowa pożegnania tłum chustą nocy. / Byli winni: kochali, nie starali skryć się. / Byli winni, bo nikt im nie chciał przyjść z pomocą.”

6. Takich wierszy jest w tomie Marka Wawrzkiewicza bardzo wiele. To jeden z najpiękniej okrutnych zbiorów ostatnich lat.

MARIAN KISIEL

W relacji z rzadkiego, niestety, w naszej plastyce wydarzenia, najlepiej bodaj zacząć od tego, co go sygnalizuje, czyli plakatu, który, przez graficzne przedstawienie autora pokaz, wymownie zapowiada, co też dało początek malarstwu, z jakim będziemy obcować w sali katowickiego BWA. Dodam, że do tego rodzaju awiza skłoniła Ludwika Poniewię, świętującego właśnie czterdziestolecie pracy artystycznej, nostalgia za czasami akademickimi. Wtedy to powstał ów autoportret (linoryt), jako praca dyplomowa u prof. Aleksandra Raka.

Później przybył kolor i zdominował dotychczasowy warsztat. Ale z poprzednich doświadczeń w nowych wizjach pozostało jednak wiele. Przede wszystkim zawsze dyscyplinująca oszczędność w doborze środków wyrazu, co w rezultacie niezmiennie objawia się w maksymalnej syntezie przedstawienia malarskiego.

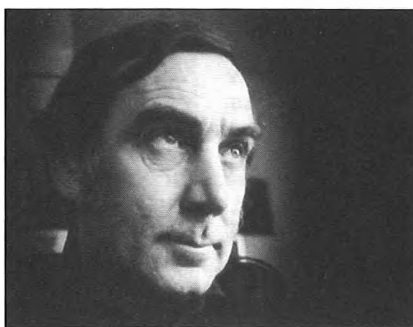
I z takimi właśnie kompozycjami spotykam się już na antresoli, gdzie znajdują się dzieła z pierwszego okresu twórczości, które zresztą w niczym nie ustępują następnym pracom, gdyż Ludwik Poniewię wciąż i wciąż utrzymuje się w doskonałej inwencji twórczej. I jest nadal wierny prostocie - istocie przeciw wszech sztuk! Choć nie, różnią się w jednym - na górze nie spotkam już tak oszalałymi soczystych drzew (korona każdego mieści rozszumiałe lasy), bo zastępują je pejzaże przemysłowe.

I tu napotykam pierwszą trudność w próbach opisu wspomnianego zestawu, ponieważ każde płótno domaga się dokładnej i czulej uwagi, a tymczasem jak pomieścić w jednej recenzji 130 refleksji?

Zadanie ułatwia mi nieco scenariusz wystawy, który bogaty zasób dokonanych artystycznych ustuwa w trzech segmentach: aktów, portretów i pejzaży. Tych ostatnich jest najwięcej, bo odnaleźć je można także... w grupie pierwszej. Ale to spróbuję wyjaśnić może nieco później.

Zacznę więc od najliczniejszej grupy przedstawień - od pejzaży przemysłowych, oddanych przez żywoły rodem z geometrii, a więc za pomocą zamazanych płaszczyzn: prostokątów, kwadratów, trójkątów, klinów i innych, a zawsze ostrych wcięć i zakosów, nonszalanckich krech i gwałtownych zamazów czynionych uderzeniami pędzla. Nie spotykamy się tu jednak z jakąś rozbuchaną kolorystyką, lecz wręcz z jej ascetyczną skalą. Czern jest niezbędna nie tylko dlatego, że jest tak wszechobecna na Śląsku, ale często służy za tło, które należy rozświetlić bielą, złagodzić brązem, ocieplić ugiem, ożywić oranżem, to znów ostudzić ultramaryną.

Obrazy tego przedziału przedstawiają w głównej mierze huty i oczywiście



Ludwik Poniewię

Syntezy Poniewię

Ludwik Poniewię - ur. 23 lutego 1935 w Awirs (Belgia). Studia w ASP w Krakowie, dyplom w 1961. Członek grupy „Arkat” w Katowicach. Udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień w kraju i za granicą. Stypendysta Rządu Francuskiego w roku 1967 (Paryż). Prace w zbiorach muzealnych i prywatnych: Polska, Belgia, Francja, Niemcy, Węgry, Wielka Brytania. Od 1983 roku mieszka w Belgii. Członek ZPAP - Katowice i Królewskiego Stowarzyszenia Sztuk Pięknych (Liège w Belgii).

hałdy. Te drugie oddane są plastycznie najkrócej - w postaci trójkąta, tracącego niekiedy równowagę, to znów jako obłe góry tarasujące horyzont, spod których błyskają świetliki okien domków, również o fakturze żużla...

Niewiele mniejszą część sali zajmują akty kobiece. Ascetyczne modele nie epatują nagością i stąd płynącym powabem i jakby wykluczają pragnienia erotyczne, sycą natomiast samym, jakkolwiek chłodnym, pięknem. Nieświadoma swego obnażenia kobieta, zostaje zawsze kobietą, jeśli się ją ukazuje w najprostszej i skonsensowanej formie. A tę osiąga się przez dynamiczny rysunek. Dziewczęco gibkie postaci wyglądają, jakby wyszły, bądź odwrotnie - zamierzają się posadowić w przestrzeni witrażowej. Jedna od drugiej różni się wyłącznie pozami. Te, ujęte w poziomie, zdają się właśnie należeć do działu pejzaży, o ekscytująco ukształtowanym horyzoncie.

Na koniec staję na wprost i mierzę się wzrokiem z dziesiątkami par oczu, patrzących na mnie z licz-

nych portretów. Wzrokiem przyjaznym i gotowym do porozumienia. Na pewno twórcy zależało nie tyle na uchwyceniu podobieństwa, ile raczej na oddaniu własnego stosunku do utrwalonej twarzy, postaci. One też są świadome, jakim ładunkiem emocji zostały obdarzone. To rysy ujęte w błysku pędzla. Ani jedno oblicze nie jest skażone zniesmaczoną miną...

Sala zapelnia się coraz szczelniej, co nie służy przecież skupieniu. Muszę sobie jednak do skutecznego powetować. No i jakoś tuż po uroczystych wystąpieniach, udaje mi się docisnąć do wielce zaabsorbowanego i niebywale też ukwieconego bohatera celebry, by się umówić choćby na krótką rozmowę.

- Podслушаłem opinie, że jest to wciąż ten sam niepowtarzalny i nadal przekonujący Ludwik Poniewię?

- Pewnie tak się dzieje wedle następującej myśli - po co zmieniać to, co jest po prostu dobre, a w dodatku, czy może przede wszystkim, samoswoje?!

- Niektórzy uważają, że jesteś abstrakcjonistą?

- Może się czasem tak wydawać, pewnie, ale ja myślę konkretnie i o konkretnej, a nie w oderwaniu od rzeczywistości, kompozycji. Prof. Górecki, prowadzący plakat w ASP w Katowicach, mówił o mnie, że oto idzie ten, który pierwszy zobaczył na Śląsku kominy. I oczywiście hałdy. I nie zraża mnie ta etykieta, ponieważ jest to dział malarstwa ze wszech miar interesujący, a bywa intrygujący.

- Byłeś współtwórcą grupy „Arkat”. Kto był obecny z tamtych ludzi na twoim pokazie?

- Przybyli, a jakże! I to stanowiło najradośniejszy moment całej uroczystości. Wymienię chociaż dwa z narzucających się w tej chwili, nazwiska: Staszek Hochul i Eryk Pudełko. Zjawili się również wielu kolegów nawet z licealnych czasów, nie mówiąc już o akademickich.

- Nostalgia, nostalgia... Ucieszyło cię więc zaproszenie katowickiej galerii do pokazania swego dorobku?

- O tak, zależało mi bardzo na tutajszej prezentacji, bo przecież stąd się wywodzą i mocno związany jestem z tematyką Śląska, więc ta oferta spadła mi wprost z nieba!

- Jak się czujesz pod belgijskim niebem?

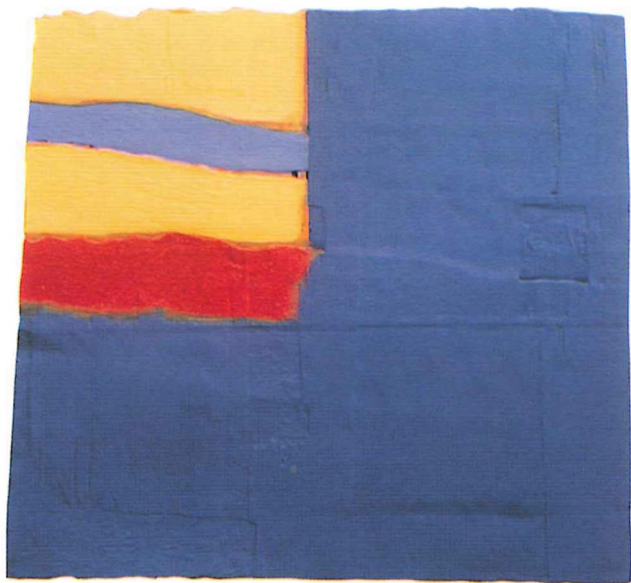
- Cóż, nie narzekam, znajduję bowiem dużo zwolenników moich dokonanych plastycznych. Kilka galerii oraz koneserzy nabywają moje płótna. Goszczę zatem w Holandii, Luksemburgu, Francji, Niemczech. A w Belgii reprezentuję godnie polskie malarstwo...

EDWARD SZOPA

Ludwik Poniewię: Wystawa malarstwa z okazji 40-lecia pracy twórczej. 25 kwietnia - 25 maja 2003 roku. BWA Katowice.



Silésie, 200 x 80

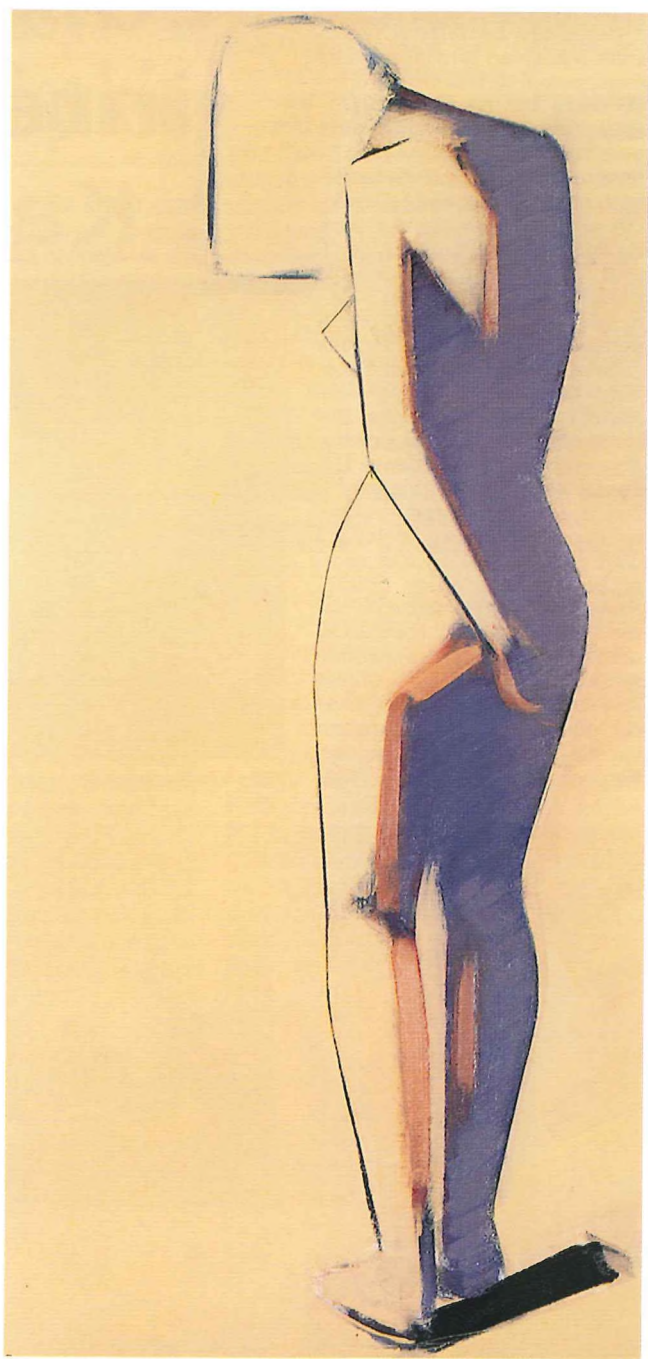


E XVI, 130 x 125

LUDWIK PONIEWIERA



Silésie L49, 120 x 80



Nu C 33, 122 x 62

Sposobem finansowania przebudowy urbanistycznej centrum miasta w oparciu o doświadczenia Saint-Etienne i możliwości wykorzystania funduszy europejskich poświęcona była konferencja pt. „Spotkania europejskie - europejska integracja Katowic”, która odbyła się 13 maja 2003 roku z inicjatywy Urzędu Miasta Katowice oraz Stowarzyszenia Francja-Polska dla Europy. Instytucjami wspierającymi spotkanie były Ambasada Francji w RP, Ambasada RP we Francji, Grupa Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Sejmie i w Senacie RP oraz w Zgromadzeniu Narodowym i w Senacie RF, Międzynarodowa Szkoła Nauk Politycznych UŚ. Konferencji patronowały Danuta Hübner - minister ds. europejskich RP oraz Noël Lenoir - minister ds. europejskich RF.

Uczestnicy konferencji wysłuchali wystąpień prof. Genowefy Grabowskiej („Traktat Europejski nową konstytucją Europy? - jej wpływ na polską konstytucję oraz polskiego obywatela”), marszałka województwa śląskiego Michała Czarneckiego („Oczekiwania regionu związane z akcesją Polski do Unii Europejskiej”), prof. Jacka Wodza („Stosunki polsko-francuskie po roku 2004 - nadzieje i oczekiwania”), prezydenta Katowic Piotra Uścińskiego („Związki bliźniacze miast motorem rozszerzonej Europy”, zastępcy mera Saint-Etienne Gilberta Argoud („Geneza przebudowy centrum Saint-Etienne i jej konsekwencje dla życia miasta”), Z kolei Ren André - deputowany, wiceprzewodniczący delegacji d/s Unii Europejskiej oraz wiceprzewodniczący grupy polsko-francuskiej w Zgromadzeniu Narodowym Republiki Francuskiej omówił temat „Jak pomyślnie zjednoczyć Europę i zbudować jej jedność polityczną.” W trakcie dyskusji zaprezentowano również projekt przebudowy Katowic. (wk)



O rozwoju miasta mówił wiceprezydent Józef Kocurek

Europejska integracja Katowic



Tuż przed rozpoczęciem obrad przy „Chorzowskiej 50”



Zdjęcia: Biuro UM Katowice

Polsko-francuska debata

**ZNAKI
I TWARZE
MIASTA**



Dziś o mało znanym epizodzie związków krakowsko-śląskich. Rzecz tym bardziej warta przypomnienia, gdyż wiąże się z jednym z najbardziej dramatycznych zdarzeń w historii dawnej polskiej stolicy. W upalny czwartek 18 lipca 1850 roku wybuchł tragiczny pożar, który strawił blisko 10 procent zabudowy miasta. Rozpoczął się wskutek nieostrożności robotników remontujących młyn nad Rudawą, przy końcu ulicy Krupniczej. Na nieszczęście wiał porywisty wiatr, który przeniósł ogień na kryte gontem dachy budynków stojących w okolicy południowej części Rynku. Drewniane szopy, stajnie, przybudówki, zewnętrzne schody, nagromadzone w ciasnych podwórkach i na strychach łatwopalne rupiecie paliły się jak pochodnie i przyspieszały pochód pożaru. Gdy próby gaszenia nie dały efektów, wybuchła panika. Mieszkańcy uciekali w popłochu tak jak stali — nie zdążywszy często unieść niczego z bogatego wyposażenia mieszkań. Spłonęły dzieła sztuki i księgozbiory prywatne. Ogień strawił wspaniałe zabytki w kościołach Franciszkanów i Dominikanów. Wśród zwątpienia i przerażenia, jakie ogarnęły krakowian jasnym punktem była — co podkreślają wszyscy autorzy relacji i pamiętnikarze — wspaniała postawa kilku profesorów i wielu studentów Jagiellońskiej wszechnicy. Ale też jednym z najbardziej dramatycznych momentów pożaru było pojawienie się ognia na dachach Biblioteki Jagiellońskiej. Zagrożone zostały nie tylko jej wspaniałe zbiory, ale też gmachy uczelni. Do walki z żywiołem stanął dyrektor księżnicy Jan Muczkowski, profesorowie Kuczyński i Wincenty Pol.

W centrum wydarzeń znajdował się przez wiele godzin Andrzej Cinciała, podówczas student prawa. Traumatyczne przeżycie utkwіło głęboko w jego świadomości. W pisanym po latach pamiętniku — wydanym dopiero w roku 1931 przez Jana Stanisława Bystronia — wspominał: „Byłem u pp. Nurkowskich na ulicy Wiślniej i mieliśmy o godzinie pierwszej zasiadać właśnie do obiadu, gdy strażnik z Mariackiej wieży dał znak, że się pali, że się palą Młyny. Na to hasło rozbiegliśmy się wszyscy, ja zdążyłem do mego pomieszkanka, wrzuciłem wszystkie moje manatki do kufra, a zamknąwszy go poleciałem znów na Wiślną ulicę. Wbiegłem po schodach aż na strych — i zdjawszy buty i surdut wylazłem otworem w dachu, tak zwanym dymnikiem, na dach a stamtąd wdrapałem się w górę, aż na kalenicę. Gdy się stamtąd popatrzyłem na dół, aż mrowie mię przejęło, widząc jak bardzo spadzisty jest dach i jak łatwo mogłem z dachu gontowego na dół zjechać i spaść na ulicę. Zaczęła się palić ulica Gołębia i kościół grecki, a za chwilę dopiero przeniósł się ogień na dom Pod Zajączkiem i dom Wąsowiczowej na ulicy Wiślniej. Jak łatwo to było wtedy troszką wody zagasić pierwszy żar, ale o da-



Glossy górnosławskie

chach nikt nie pamiętał. Za krótki czas przyszło kilku ludzi pracujących w domu do mnie, zrobiwszy kilka otworów w dachu, zajęli tamte miejsca i zlewali dach dostarczoną czyli noszoną w konwiach wodą. Wkrótce zagarnął pożar całą ulicę Wiślną po lewej ręce i ulicę Gołębią, a na dachu, gdzie byłem, takie gorąco panowało, że co chwila musiałem sobie ręce, twarz i nogi zimną wodą polewać. Stanowisko było bardzo ważne, bo gdyby dom, gdzie byłem, nie został uratowany, to by cały uniwersytet i biblioteka, które i tak były bardzo zagrożone, były poszły z dymem, a ogień by się był zbliżył do ulicy św. Anny, a raczej do kościoła św. Anny i pałacu Potockiego i byłaby się ta część od gorąca i polotnego ognia zajęła. Nas bronili wielce dom narożny przy ulicy Wiślniej i Gołębiej, w którym się wtedy urząd podatkowy znajdował, dom pokryty blachą, zlewaną przez licznych ludzi, będących na dachu, wodą. O ratunku, o sikawkach lub dostarczeniu wody nie było mowy. Wytrwałem w tej pozycji na dachu o głodzie, chociaż nie o wodzie aż do godziny 8 wieczór. Wracając z dachu na dół, nie mogłem odszukać butów i surduta i przychodziło iść boso do domu, aż nareszcie zjawił się stróż kamieniczny i przyniósł mi buty i surdut z piwnicy, gdzie je był ukrył.”

Apostoł

W tym jednym dniu spaliło się 160 domów, cztery kościoły, dwa klasztory i pałac biskupi. Wobec ogromu nieszczęścia pojawiły się sugestie o ingerencji czynników nadprzyrodzonych. To była znakomita okazja i temat do umoralniających kazań o gniewie Bożym karzącym ludzi za bezmiar grzechów. W tym nurcie lokuje się rozgłośnie w tamtych latach wystąpienie Aleksandra Jefowickiego. Jeło-

wicki (1804—1877) — absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, uczestnik powstania listopadowego na Wołyniu, został jednym z najczynniejszych działaczy paryskiej Wielkiej Emigracji. Jeszcze przed założeniem przez siebie Księgarni i Drukarni Polskiej (1835) był mecenasem Adama Mickiewicza i wydawcą jego dzieł. W swej oficynie wydał utwory największych współczesnych pisarzy polskich, publikował czasopisma, przysyłał swe artykuły do prasy krajowej. Po kilku latach w jego życiu nastąpił zwrot: ukończył studia teologiczne, wstąpił do świeżo założonego zgromadzenia zmartwychwstańców, działał w Rzymie, a od roku 1850 głównie w Paryżu. Uczestniczył i wypowiadał się we wszystkich ważnych dla Emigracji sprawach. Wygłosił słynne „Kazanie z powodu pożaru Krakowa w dniu 18 lipca 1850 roku, miane na nabożeństwie żałobnym i pokutnym w Paryżu w kościele Matki Boskiej Wniebowziętej dnia 9 sierpnia tegoż roku”, wydane potem kilkakrotnie drukiem.

Wołał więc z ambony: „Upadliście — rzekł Pius IX — dla trzech głównych grzechów: dla ucisku Unii, dla ucisku chłopów i dla rozwodów». Z tych trzech strasznych grzechów jak robotwo niepoliticzone wyszły grzechy bezbożności, bezbraterstwa i rozpusty — i roztoczyły Polskę, tak że się rozpadła w trzy części.” A w dalszej części kazania wywodził: „Dziatki nieposłuszne, młodzi niewystydliwa, starce rozpustne, wszyscy niewierzący, albo źle wierzący, wszyscy zazdrośnicy, niewdzięcznicy, chciwi i okrutni, wszyscy podżegacze nienawiści bratniej i rozsiewacze zgorszenia, wszystkie złe żony i źli mężowie, wszyscy zakonnicy ślubom waszym niewierni, ile was jest w Polsce i na tułactwie po wszech krańcach ziemi, wyście to, wyście wszyscy razem grzechami waszymi Kraków podpalili! — Bo jakakolwiek się przyczyna tego pożaru okaże, zawsze to pewna, że wiatr w rękę Bożym.

A kiedy świętemu miastu za grzechy nasze tak się przydarzyło, cóż będzie z nami grzesznikami?”

Czyż mógł znać treść tego kazania Andrzej Cinciała? Raczej nie. A gdyby był go poznał — nie uważałby siebie za grzesznika, przez którego miasto zostało tak srogo ukarane. On, jeden z inicjatorów odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim, był tu już wcześniej z Pawłem Stalmachem po polskie książki, które na własnych plecach zanieśli do Cieszyna. Teraz był tu jedynym studiującym Ślązakiem. Utrzymywał kontakty z Wincentym Polem, poetą i prozaikiem Adamem Górczyńskim, Teofilem Lenartowiczem, z czasem został guwernerem w domu Eugeniusza hrabiego Dzieduszyckiego. Zawsze, gdy miał sposobność, opowiadał o Śląsku. Jak pisze: „podobnie jak tu, apostołowałem, apostołowałem i na innych miejscach”. A najbardziej przejął się naszymi sprawami jego wychowanek Mieczysław Dzieduszycki, czego dawał później wielokrotnie dowody.

WOJCIECH JANOTA

Tychy teatralne

To już były trzydzieste Tyskie Spotkania Teatralne. Przez kilka dni kwietnia, jak co roku, miastem zawładnęła atmosfera poezji, dramatu, rozmowy o sztuce, o teatrze. Tym razem jednak organizatorzy postarali się o wyjątkowy charakter imprezy, bardziej odświętny, by w ten sposób uhonorować jubileusz TST.

Prezentowane były więc spektakle konkursowe, spektakle mistrzowskie, pokazy efektów pracy podczas warsztatów teatralnych prowadzonych przez Leszka Mądzika. TST zainaugurowano spektaklem „Dublińska legenda” Conora McPhersona w wykonaniu Teatru Studio z Warszawy z udziałem Krzysztofa Majchrzaka, Izabeli Szeli i Rafała Maćkowiaka. W pokazach konkursowych uczestniczyły m.in. Polski Teatr z Wilna, który wystawił Kazimierza Illakowiczówny „W wigilię cudu” oraz Polski Teatr Ludowy ze Lwowa ze spektaklem Mariana Hemara „Wspomnij mnie”.

Szczególne miejsce w tegorocznych TST zajmowało spotkanie z Józefem Szajną. W tajniki jego twórczości wprowadzali uczestników spotkania znawcy sztuki scenografii Jerzy Moskal i Grażyna Niewiadomska z Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego. Spotkanie z tym wybitnym twórcą miało miejsce również w szczególnych okolicznościach, bowiem Józef Szajna został w maju br. uhonorowany tytułem doctora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. W Tychach można było w Galerii „Obok” oglądać wystawę prac scenograficznych Szajny przygotowaną przez Centrum Sztuki „Studio” w Warszawie.

Wspólnym przedsięwzięciem premierowym podczas TST był pokaz spektaklu plenerowego pt. „Gotham” przygotowany wspólnymi siłami przez Teatr Mały w Tychach, Polski Teatr Tańca w Poznaniu i katowicki Teatr Cogitatur.

W zmaganiach konkursowych uczestniczyły zespoły teatralne z Łodzi, Nowej Soli, Białegostoku, Belchatowa, Częstochowy, Opola, Tychów, Gdańska i innych miejscowości. W ich wykonaniu można było zobaczyć spektakle typowo teatralne, spektakle wizji plastycznych oraz studio piosenki aktorskiej. Repertuar również był urozmaicony: pojawił się więc Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”, Różewicza „Kartoteka”, F. G. Lorki „Trzy białe konie i Julia”, spektakle wg tekstów Becketta, Brechta, Kafki. Spektaklem mistrzowskim był „Bal u Salomona” w reżyserii i wykonaniu Ireny Jun.

Również w Tyskich Spotkaniach Teatralnych swoje miejsce ma lżejsza muza. Dlatego też znalazło się miejsce dla Teatru Jednego Mima Ireneusza Krosnego, Kabaretu Mumio i Kabaretu na Cztery Nogi Kutego.

Sześciodniowy maraton teatralny zakończyło tradycyjne ogłoszenie werdyktu jury i rozdanie nagród najlepszym zespołom.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Praca Roku 2002

W galerii Art Nova 2 ZO ZPAP w Katowicach otwarta została wystawa prezentująca prace nadesłane i nagrodzone w tegorocznej edycji konkursu Praca Roku 2002. Jury przyznało Grand Prix Pawłowi Warchołowi za grafikę *Portret Bronisława Chromego*. Wśród prac nagrodzonych znalazło się również malarstwo: Mariusza Kubackiego *Wniebowstąpienie*, Katarzyny Gawrych-Olender *Po obiedzie idę na wojnę*, Reginy Lipeckiej *Wieżowiec*. Nagrodę honorową Prezesa ZO ZPAP otrzymał Iwo Sajdak za grafikę *Bez tytułu*.

Kolejna edycja Pracy Roku nie zaskoczyła, raczej ukazuje pewne status quo katowickiego środowiska artystycznego. W zestawie nadesłanych prac nie było szczególnie wyróżniających się, których autorami byłiby przedstawiciele najmłodszego pokolenia artystów. Dominowali twórcy już uznani, którzy swoim warsztatem, rzetelnością (jak w przypadku laureata Grand Prix), przypominają o istnieniu takich wartości we współczesnej sztuce. Jury nie nagradzało najciekawszych prac w poszczególnych dyscyplinach, lecz skupiło

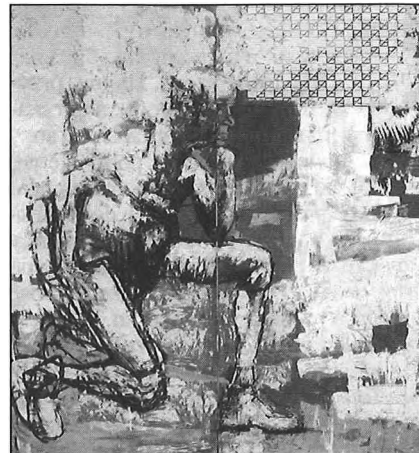


Karol Wieczorek, *Wanna*

się na wyluskaniu tych, które w sposób niekonwencjonalny realizują pewne założenia i realizację problemów plastycznych.

Pierwsza taka wystawa

Na tej wystawie dominowały roczniki przełomu lat 70-tych o 80-tych. „Młodzi stąd” - ta wystawa prezentowana była w galerii „Odeon”, a złożyły się na nią prace malarskie, graficzne, rysunki i ceramika uczniów ostatnich lat szkół plastycznych jak również studentów pierwszych lat Akademii Sztuk Pięknych, wyższych szkół plastycznych, bądź politechniki. Łączy ich jedno: pochodzą z Czeladzi - stąd wyruszy-



Piotr Kossakowski, *Fabriano I*, technika mieszana.

li w poszukiwaniu swojej artystycznej niezależności. Było ich szesnastu: Anna Chranowska, Katarzyna Chranowska, Irmina Ciszek, Paweł Juszczyk, Piotr Kossakowski, Alina Kramarz, Katarzyna Krzywaźnia, Paulina Litwin, Julia Proszowska, Teresa Strojniak, Gabriela Kocot, Dagmara Litwin, Krzysztof Powalka, Marcin Samul, Miłosz Wnukowski, Michał Powalka. Wszyscy mają za sobą udział w wystawach i są laureatami nagród bądź wyróżnień konkursów i przeglądów sztuki. Kiedy z czasem ich prace zagospodzą na wystawie „Stąd-dokąd?”, organizowanej również przez „Odeon” a przeznaczonej dla profesjonalnych artystów, będzie wiadomo, jaki był ich punkt wyjścia. Jeszcze nie są w pełni ukształtowanymi artystami, wielu z nich znajduje się na rozdrożu - takie ich prawo. Obserwując siebie i innych, przekładając na język sztuki to co ich otacza, własne przemyślenia, przekazują swój stosunek do otaczającej ich rzeczywistości.

Wśród bardzo urozmaiconego zestawu prac z pewnością kilka zdecydowanie wyróżniało się dojrzałością i wysokim poziomem artystycznym. Na pewno warto zapa-

Jednym zdaniem

■ W Galerii „Na Żywo” Radia Katowice odbyła się wystawa malarstwa Krystyny Jasińskiej.

■ Na wieczór autorski Barbary Młynarskiej - Ahrens zapraszał Dyskusyjny Klub „Agora” Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zabrze.

■ Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej zorganizował spotkanie z Ryth Hieronymi, niemiecką deputowaną do Parlamentu Europejskiego z ramienia CDU, która mówiła na temat „Aktualny stan prac Konwentu Europejskiego nad przyszłością Unii Europejskiej”.

■ W Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odbył się koncert pedagogów PWSM I st. pt. „Klasika w rudzkim Muzeum”.

■ W tymże samym Muzeum w Rudzie Śląskiej ks. abp Damian Zimoń wygłosił prelekcję

na temat „Kościoł katolicki na Górnym Śląsku wobec problemów społecznych XXI wieku”.

■ Koncert pt. „Kwiaty polskie” z udziałem artystów: Macieja Komandery (tenor), Agnieszki Świtły (fortepian) i Bernarda Krawczyka (recytacje) odbył się w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach.

■ Dr Jacek Kurek, historyk, poeta i wykładowca UŚ w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach podczas spotkania opowiadał o „Budzeniu firanek czyli rzeczy o porankach pod błękitnym niebem Śląska”.

■ Modę lat 20. i 30. XX wieku pokazało podczas wystawy Muzeum w Chorzowie przy współpracy Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

■ „Prawda wyszła na jaw” - pod takim tytułem w Muzeum Archidiecezjalnym w Kato-

miętać niektóre nazwiska, zwłaszcza zaś Piotra Kossakowskiego.

Do wystawy prace kwalifikowali uznani artyści: Zbigniew Blukacz, Mariusz Wnurowski, Jan Powalka.

Wernisaż wystawy odbył się 25 kwietnia br. i jak zwykle do „Odeonu” przyszyły tłumy wielbicieli sztuki.

Literatura polska w „Alternativie Plus”

Na czeskim rynku pism literackich pojawił się kolejny numer „Alternativy Plus”. Czasopismo wydawane w Ostrawie, redagowane przez czeskiego krytyka i historyka literatury Libora Pavere, zaskakuje nie tylko utrzymaną na wysokim poziomie stroną edytorską, ale i interesującą treścią literackich prezentacji. Percepcja nie ogranicza prezentacji wyłącznie do literatury czeskiej. Świadczy o tym najnowszy numer, kontynuujący dialog między kulturą czeską, rosyjską i polską. Obok prezentacji twórczości literackiej i omówień krytycznych uznanych autorów czeskich (J. Seifert, J. Kolař, F. Všečeka) znajdziemy tu przekłady wierszy rosyjskich (I. Bunin, S. Jesienin, B. Pasternak). Sporą część stron najnowszego numeru redaktorzy „Alternativy” poświęcili literaturze polskiej, a bardziej szczegółowo - twórczości osób związanych z Górnym Śląskiem. W nowym numerze „Alternativy” przeczytać możemy przekłady wierszy Wojciecha Brzozki, Ryszarda Chłopka, Pawła Leśzyskiego i Pawła Samy. Teksty tłumaczył Jan Pyszko, a poprzedził je komentarzem dr Paweł Majerski z Uniwersytetu Śląskiego. Z grona poetów starszych generacji pojawiają się w numerze: Stanisław Krawczyk oraz Stefan Kosiewski.

„Chryje z Polską” w Narodowym

13 kwietnia na zaproszenie teatru Narodowego w Warszawie, na Dużej Scenie wystąpił gościnnie Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, przedstawiając sztukę Macieja Wojtyski „Chryje z Polską. Rzecz o Stanisławie Wyspiańskim”.

Ten pierwszy utwór dramatyczny o Wyspiańskim został napisany na zamówienie Teatru Śląskiego, jedyne teatru w Polsce noszącego imię autora „Wesela”. Premiera sztuki odbyła się w październiku 2002 r.

i uświetniła potrójny jubileusz katowickiej sceny. W spektaklu wyreżyserowanym przez Bogdaną Toszę w roli Stanisława Wyspiańskiego wystąpił gościnnie Mariusz Bonaszewski - na co dzień aktor Teatru Narodowego w Warszawie, stwarzając - jak zauważyli gospodarze - jedną ze swoich najlepszych scenicznych kreacji.

Gościnny występ w Warszawie spotkał się z bardzo serdecznym przyjęciem widzów, licznie przybyłych do Teatru Narodowego. Pochlebnych ocen pod adresem samej sztuki, reżysera i aktorów, nie szczędził również uczestnicy pospektaklowego spotkania, prowadzonego przez dyrektora teatru Narodowego Jana Englerta, który podkreślił m.in. narodowy charakter propozycji repertuarowej teatru Śląskiego i wyraził nadzieję na następne prezentacje Sceny w Warszawie.

Wydarzeniem była obecność na spektaklu Leokadii Wyspiańskiej, synowej Stanisława Wyspiańskiego wraz z córką Dorotą Zapędowską, wnuczką artysty. Wśród gości byli także m.in. Ignacy Gogolewski (będący ćwierć wieku temu dyrektorem Teatru Śląskiego), Henryk Bardijewski, Jacek Weksler (dyrektor Teatru Telewizji), Wiesław Myśliwski, Tomasz Łubieński, reżyserzy i aktorzy, a także przedstawiciele Ministerstwa Kultury. Obecny był także autor sztuki, dla którego warszawska prezentacja była równie ważna jak dla zespołu teatru Śląskiego.

Konkurs dla kompozytorów

Oddział Śląski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach ogłasza konkurs otwarty na pieśń o Śląsku na chór mieszany z towarzyszeniem orkiestry dętej.

Celem konkursu jest wzbogacenie polskiej literatury muzycznej o nowe utwory o Śląsku. Przedmiotem konkursu jest skomponowanie pieśni na chór mieszany unisono albo dwu-trzy-czterogłosowy z towarzyszeniem orkiestry dętej w oparciu o nowe teksty literackie lub publikowane, zawierające elementy śląskie.

Kompozycje powinny być na orkiestry małe, średnie lub wielkie. Czas trwania utworu - do 15 minut. W konkursie mogą wziąć udział kompozytorzy zrzeszeni lub niezrzeszeni w związkach twórczych. Na konkurs można przesłać dowolną ilość prac, dotąd nie publikowanych i nie wykonywanych publicznie.

Oceny zgłoszonych utworów dokona jury powołane przez organizatorów. Organizatorzy przewidują nagrody dla kompozytorów w wysokości 4 tys. zł. O przyznaniu i wysokości nagrody decyduje jury.

Kompozytorzy powinni przesłać egzemplarz podpisany godłem, a do partytury dołączyć zalakowaną kopertę ze swoimi nazwiskami.

wicach odbywała się wystawa zorganizowana w 60. rocznicę ujawnienia zbrodni katyńskiej.

■ Dominik Polonński, znakomity wiolonczelista, laureat „Paszportu Polityki”, koncertował w Muzeum w Sosnowcu, podczas wernisażu wystawy poświęconej twórczości Xawerego Dunikowskiego.

■ W Filharmonii Śląskiej odbył się koncert Akademickiej Orkiestry Symfonicznej, podczas którego wykonano utwory S. Prokofiewa i K. Szymanowskiego.

■ Promocja książki prof. Danuty Sieradzkiej pt. „Chorzowski działacz narodowy wydawcą czasopism i podręczników krawieckich Wojciech Samarzewski (1876-1966)” odbyła się w Muzeum w Chorzowie.

■ Związek Górnośląski po raz kolejny był organizatorem Śląskich Godów, które w tym roku przebiegały pod hasłem „My som Europom!”.

■ Spotkanie z Normanem Davisem, autorem książki „Wyspy. Historia”, odbyło się w Bibliotece Śląskiej.

■ „Mała galeria” Biblioteki Śląskiej przygotowała wystawę tkaniny i obrazów Neli Krzewnian, twórczyni „Galerii w Podwórku” w Gliwicach, w której wystawami są przede wszystkim osoby niepełnosprawne.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Piekarach Śląskich obchody Dnia Bibliotekarza połączyła z wystawą uświetniającą 10-lecie działalności Izby Regionalnej.

■ W Galerii Piętro Wyżej GCK w Katowicach prezentowana jest wystawa „W przeddzień integracji europejskiej - Górny Śląsk w oczach dzieci”.

■ Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie w ramach inauguracji sezonu zorganizował m.in. pokaz strojów śląskich, występ orkiestry dętej z Imielina oraz otwarte wystawy.

■ Akademia Filmu działająca w Miejskim Domu Kultury „Koszutka” w Katowicach zorganizowała projekcję filmu Zbigniewa Kamińskiego pt. „Nie-

Prace na konkurs powinny być nadesłane w jednym egzemplarzu w terminie do 31 października na adres Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, ul. Słowackiego 12, 40-093 Katowice.

Żydowskie losy

„Losy społeczności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim” - pod takim tytułem otwarto wystawę w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu. Na planszach i w gablotach pokazano różnorodne judaica, jakimi dysponuje biblioteka. Ekspozycje opowiadają i przypominają historię zagłębiowskich Żydów, czas holocaustu, ale także mówią o dniu dzisiejszym, o życiu poza granicami Polski.

Oczywiście wystawa nie pretenduje do tego, by w pełni wyczerpać temat społeczności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim, ale jest to dobry początek by przypomnieć losy wielu z nich, tych, którzy wpłynęli na historię tego regionu.

Muzycy z inicjatywą

Śląskie Towarzystwo Muzyczne powstało w 1999 roku. Utworzone zostało przez pokolenie młodych muzyków, którzy poprzez swoje działania realizują szereg niezwykle cennych inicjatyw kulturalnych, zwłaszcza koncertów. Ambicją Towarzystwa jest również organizacja festiwalu, seminariów, kursów muzycznych a także prowadzenie działalności wydawniczej, udzielanie stypendiów dla wyróżniających się osobowości twórczych.

Głównym celem istnienia stowarzyszenia jest poszerzenie kręgu miłośników i odbiorców muzyki, stworzenie mecenatu nad niekomercyjnymi zjawiskami artystycznymi oraz współpraca z europejskimi instytucjami kultury, mediami i twórcami różnych dziedzin sztuki.

Prezesem Towarzystwa jest Magdalena Lisak - znakomita pianistka, laureatka Konkursu Chopinowskiego, absolwentka katowickiej Akademii Muzycznej. Komitet Honorowy tworzą znaczne osobistości życia muzycznego: Julian Gembalski, Henryk Mikołaj Górecki, Andrzej Jasiński, Wojciech Kilar, Antoni Wit, Krystian Zimerman.

STM organizuje koncerty m.in. w Studio Koncertowym Radia Katowice. I tak np. 8 maja wystąpiła Orkiestra Muzyki Nowej pod dyrekcją Aleksandra Lasonia i Szymona Bywalca, a muzycy zaprezentowali utwory Vivaldiego, Haydna, Knapika i Eugeniusza Lasonia. Miesiąc wcześniej odbył się Wieczór Klawesynowy, w którym wystąpił Władysław Kłosiewicz - jedna z najwybitniejszych osobowości artystycznych ostatnich czasów.

wdzięczność”, a gościem spotkania była Beata Tyszkiewicz.

■ Specjalny pokaz najnowszego filmu Józefa Kłyka - filmowca amatora z Bojszów, autora westernów i stynnych filmów o Ślązakach w Teksasie - zatytułowanego „Czterech synów ojciec miał”, odbył się w kinie „Światowid” w Katowicach.

■ W Muzeum Historii Katowic można oglądać wystawę poświęconą Zawodowej Straży Pożarnej w Katowicach 1903-2003.

■ Z okazji 20. rocznicy swojej działalności, Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Ślęsia” w Katowicach zorganizowała koncert z cyklu „Portrety muzyczne - Antonio Vivaldi”, który odbył się 15 kwietnia w Sali Koncertowej Polskiego Radia w Katowicach, a wykonawcami byli m.in. Kaja Danczowska, Robert Kabara oraz Kwartet Smyczkowy „Sinfonietta Cracovia”.

Oddech Dalekiego Wschodu

Z wiosną Galeria Bielska BWA jak zwykle ożywa nowymi pomysłami. Tym razem dyrektorkę Małgorzatę Kubicę-Bilską zainspirował wiatr od wschodu. Wraz z nim zmienił się wystrój placu przed galerią. Na przelomie kwietnia i maja ekipa poznańskiego artysty Jędrzeja Stępaka ułożyła tam „żywą” wiklinową rzeźbę. Twórca posadził około 120 dwumetrowych sadzonek wikliny, które oplótł różnymi gatunkami wikliny ciętej ze swej plantacji w Nowym Tomyslu. W ten sposób stworzył „falującą kompozycję”. Ze względu na długi czas wzrostu wikliny praca ta w pełni będzie gotowa we wrześniu br., kiedy to jej twórca pokaże również inne swoje dzieła na wystawie w Galerii Bielskiej BWA, wspólnie z Zygmuntem Łukasiewiczem i Włodzimierzem Cyganem.

Wraz ze zmianą scenerii w Galerii Bielskiej BWA otwarto w maju dwie atrakcyjne wystawy „Współczesne malarstwo chińskie” oraz „Współczesna grafika japońska”.

Podczas wystawy zaprezentowano sześciu artystów chińskich o egzotycznie brzmiących nazwiskach: Bin Feng i Chun Ya Zhou z Chin, Zhuang Hong Yi i Lu Luo z Holandii oraz Chen Yun Wang i Cong Lin Cheng z Niemiec. Artysty, tworząc sztukę z pogranicza dwóch kultur: chińskiej i zachodnioeuropejskiej. Wszyscy pochodzą z prowincji Syczuan w zachodniej części Chin na granicy z Tybetem i ukończyli Sichuan Academy of Fine Arts w Chonging, której program opierał się na nauczaniu starych technik i... nieustannym kopiowaniu mistrzów. Później ich drogi rozeszły się, by po wielu latach spotkać się na nowo. Ich malarstwo, pełne ekspresji i rozmachu, nawiązuje w różny sposób do tradycyjnej sztuki chińskiej.

Ekspozycja prac artystów chińskich mieści się w sali górnej BWA. Na parterze galerii zaprezentowano natomiast współczesną grafikę japońską z kolekcji Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, która zgromadzona została dzięki darom artystów japońskich, uczestniczących w biennale, a od 1993 roku w triennale pn. Male Formy Grafiki.

– Autorami tych grafik są artyści różnych generacji, wywodzący się z odległych nieraz części Japonii, niekiedy mieszkający poza krajem swojego urodzenia. Niektórzy autorzy nawiązują w swej twórczości do tradycji kaligrafii japońskiej i traktują ją jako źródło inspiracji. Większość stanowią grafiki barwne, wykonane w różnych technikach graficznych: drzeworyt, akwaforta, akwatinta, mezzotinta, litografia, serigrafia. Tym, co je łączy jest doskonałość warsztatu, subtelny, finezyjny kolor i czystość formy. Tradycja grafiki japońskiej, a przede wszystkim japońskiej szkoły barwnego drzeworytu ukiyoe oraz rozwój twórczości graficznej w II połowie XX wieku, mają ogromne znaczenie dla kształtowania obrazu sztuki japońskiej ostatnich dziesięcioleci – wyjaśniła Małgorzata Kubica-Bilska.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

W oranżerii Banialuki

Od 12 maja do 3 czerwca w oranżerii bielskiego teatru Banialuka można było oglądać wystawę ilustracji wykonanych przez Janoscha, autora książki „Och, jak cudowna jest Panama”, której inscenizacja w reżyserii Piotra Cieplaka znajduje się właśnie w repertuarze bielskiej sceny dziecięcej.

– Banialuka przygotowała ekspozycję z myślą o swoich najmłodszych widzach, sympatykach Misia i Tygryśka – bohaterów spektaklu „Och, jak cudowna jest Panama”. Wystawa stanowi znakomite i niezwykle atrakcyjne dopełnienie teatralnego widowiska, a jej zorganizowanie możliwe było dzięki trwającej już od dłuższego czasu, świetnej współpracy teatru Banialuka z krakowskim Instytutem Goethego i dzięki finansowemu wsparciu Plus GSM – powiedziała kierowniczka literacka bielskiej sceny Lucyna Kozień.

Z ziemi polskiej do słowackiej

Tegoroczną Złotą Maskę przyznał m. in. artystom słowackim – Ewie Farkaszovej i Janowi Zavorskiemu za scenografię do „Cyrku Dekameron” Piotra Tomaszuka w wykonaniu bielskiego teatru Banialuka. Słowacka artystka jest autorką kostiumów, a jej krajan – dekoracji. Spektakl Banialuki był nominowany także w kategorii przedstawienia roku. Dyrektor bielskiej sceny otrzymał natomiast nominację za reżyserię. Podobny zaszczyt spotkał Władysława Cader za rolę w spektaklu „Pokój Marvina” na scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

W czasie uroczystości wręczono Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski przyznany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Aleksandrowi Andrzejowi Łabińcowi. Bielski artysta, który niepostrzeżenie przekroczył siedemdziesiątkę, jest związany z Bielskiem-Białą od lat 50.

minionego stulecia, kiedy to przybył na Śląsk po ukończeniu studiów w krakowskiej ASP. Tu dał się poznać jako artysta malarz, scenograf, reżyser teatralny i wykładowca akademicki. W Bielsku-Białej był m. in. dyrektorem artystycznym teatru Banialuka i Biura Wystaw Artystycznych.

Z okazji święta ludzi teatru prezydent Bielska-Białej przesłał listy gratulacyjne Barbarze Guzińskiej, Januszowi Legoniowi, Rafałowi Sawickiemu, Alicji Koczeń i Jerzemu Goleni z Teatru Polskiego oraz Alicji Rapsiewicz, Wioletcie Szymusiuk, Ziemowitowi Ptaszkowskiemu, Piotrowi Tomaszewskiemu, Barbarze Łobodziance i Rafałowi Budnikowi z Banialuki. Dyplom specjalny dla Teatru Grodzkiego odebrał Jan Chmiel. Za wspieranie Teatru Polskiego podobnie uhonorowano dyrektora oddziału bielskiego ING Banku Śląskiego Janusza Martyniewicza.

Swoje nagrody przydzielił także Oddział Bielski Związku Artystów Scen Polskich. Corocznym Laurem Dembowskiego obdarował w tym roku Tomasz Lorka z Teatru Polskiego za rolę Prozorowa w „Trzech siostrach” Antoniego Czechowa, Bartłomieja Wyszomirskiego za reżyserię „Tramwaju zwanego pożądaniem” w Teatrze Polskim oraz Ewę Farkaszov za kostiumy do „Cyrku Dekameron” w Banialuce.

Na przedszkolnej scenie

W Miejskim Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach odbyły się II Spotkania Artystyczne Przedszkolaków Gminy Czechowice-Dziedzice. Imprezę zorganizowały Urszula Siudak i Anna Kruczek z dwóch tamtejszych przedszkoli. Nie pisałbym o tym lokalnym wydarzeniu artystycznym, gdyby nie wysoki poziom kilku prezentacji. Okazało się, że niektóre opiekunki młodziutkich artystów potrafią wydobyć z aktorów teatralne uzdolnienia – przy zachowaniu ich dziecięcej autentyczności.

Przedszkolni artyści z 16 placówek zaprezentowali się w bardzo różnorodnym repertuarze – od nowoczesnego tańca poczynając, poprzez dziecięcą klasykę, na folklorze kończąc. Najbardziej dojrzałe próby inscenizacji utworów muzycznych ujawniła nauczycielka rytmiki Jolanta Krzanowska, która prowadzi zajęcia aż w trzech placówkach przedszkolnych.

Jednym zdaniem

■ Premierowe pokazy filmu Franciszka Dzidy „Strefa zmięczenia” z Janem Nowickim w roli głównej odbyły się 1 i 13 maja w Chybiu i Bielsku-Białej.

■ Od 7 do 9 maja w Bielsku-Białej odbył się EkoForum Film Festival – Międzynarodowy i Ogólnopolski Festiwal Filmów Ekologicznych, do którego dopuszczono 30 obrazów z Polski, zachodniej Europy oraz Białorusi i Indonezji.

■ Do 30 czerwca pod adresem Spółdzielczego Centrum Kultury „Best” (ul. Jutrzenki 22 w Bielsku-Białej) można nadsyłać utwory na VII Ogólnopolski Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa 2003”.

■ Od 12 maja do 27 czerwca w galerii Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej można oglądać wystawę dzieł Grażyny Dłużniewskiej (ceramika), Ewy Bergel (tkanina) i Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej (grafika).

■ Świeżo upieczony reżyser Kuba Abrahamowicz wystawił na małej scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej spektakl pt. „Płite: nie zabijaj” oparty na fragmentach „Zbrodni i kary” Teodora Dostojewskiego i biblijnej „Księgi Hioba”.

Malarska niespodzianka

Niemalą niespodziankę miłośnikom dobrego malarstwa sprawiło Muzeum Miejskie w Częstochowie. Okazało się, że muzeum częstochowskie ma całkiem dobrą kolekcję malarstwa polskiego przelomu XIX i XX wieku. Oczywiście, zbiory te nie dorównują skarbowi zgromadzonemu w największych i najbardziej prestiżowych państwowych polskich galeriach, ale jak na możliwości muzeum w średnim mieście, udało się zebrać doskonałą kolekcję.

Okazję do jej prezentacji stworzyła wystawa „Od modernizmu do koloryzmu”, która zaskoczyć może niejednego wybrednego znawcę sztuki polskiej. Kustosze wystawy - Anna Dylewska - z bogatych zbiorów muzealnych (liczących ponad 600 obrazów i tyleż prac graficznych oraz rysunków) wybrała 73 obrazy, które doskonale ukazały wszystkie etapy narodzin nowoczesnej sztuki. Przyjęta formuła ekspozycji pozwoliła objąć nurty malarstwa końca XIX i początku XX wieku, które zadecydowały o kształcie sztuki współczesnej. Żaden inny moment w historii malarstwa nie był chyba tak bardzo brzemienisty w skutku, jak przejście od modernizmu, impresjonizmu oraz symbolizmu poprzez geometryzację do dwudziestowiecznego już koloryzmu.

Na wystawie można obejrzeć prace znakomitych artystów polskich, m.in. najbardziej znanego symbolisty - Jacka Malczewskiego („Rezygnacja” z roku 1913, „Studium mężczyzny” i „Scena rodzajowa”), Teodora Axentowicza („Grajek i dziewczyna”), Włodzimierza Temajera, Juliana Fałata, Wojciecha Weissa, Józefa Pankiewicza, Andrzeja Pronaszkę, Romana Kramsztyka, Jana Cybisa czy Hanny Rudzkiej-Cybisowej. Obok obrazów olejnych znajdują się również dwa projekty witraży Stanisława Wyspiańskiego (karton witrażu do Kościoła Mariackiego) i Józefa Mehoffera (projekt witrażu „Sadzenie drzew wolności”). Jednak to nie wyłącznie prace wymienionych artystów stworzyły klimat artystyczny wystawy. Obok dzieł najbardziej głośnych i rozpoznawalnych publiczność ma również rzadką okazję podziwiać dzieła malarzy, którzy są nieco zapomniani, a ich światna twórczość funkcjonuje do dziś wyłącznie w kręgu bardziej wtajemniczonych odbiorców sztuki. I dlatego warto bliżej przyjrzeć się pracom Alfreda Wirusa Kowskiego, Ferdynanda Ruszczyca, Jerzego Fedkiewicza, Kazimierza Sichulskiego, Alfonsy Kanigowskiej, Rafała Malczewskiego czy częstochowianina Mateusza Mączyńskiego. To właśnie ich obrazy stanowią prawdziwe perełki ekspozycji częstochowskiej i najbardziej potrafią zaskoczyć, tak jak zaskakuje pełna grozy i ekspresji „Wichura” Mariana Wawrzeckiego.

Bogactwo częstochowskich zbiorów to w dużej mierze zasługa wieloletniego pracownika Muzeum Miejskiego, Aleksandra Jaśkiewicza, który do roku 2001 był kustoszem w Muzeum Miejskim.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Cyberfoto 2003

Rozstrzygnięty został VI Ogólnopolski Konkurs Fotografii Cyfrowej Cyberfoto 2003. W galerii „Art-Foto” w Regionalnym Ośrodku Kultury w Częstochowie, który był głównym organizatorem imprezy, odbyła się wystawa 57 artystów, których prace zakwalifikowano do konkursu. Zostali oni wybrani z grona 64 artystów, którzy nadesłali swoje fotografie na konkurs. Komisarzem imprezy i pokonkursowej wystawy był Sławomir Jodłowski.

I nagrodę otrzymał Tadeusz Adamczyk z Zamościa za zestaw prac „Wariacje na ustach”. II nagrodą uhonorowano Marka Janickiego z Poznania za zdjęcie „Cafe Pomidor”. III nagroda powędrowała w ręce Evaldasa Ivanauskasa z Litwy. Przyznano również trzy wyróżnienia, które otrzymali: Romuland Cichos z Lublińca, Jarośław Jasiński z Gołdapi oraz Bernard Zięba z Gliwic.

Nie tylko jazz

W ostatnim miesiącu w Częstochowie odbyło się sporo koncertów o różnej stylistyce muzycznej. W filharmonii miał miejsce koncert, którego gwiazdą był saksofonista jazzowy Tomasz Szukalski, któremu towarzyszyło trio częstochowskie: Wojciech Puszka - fortepian, Roman Twarożek - kontrabas, Arek Skalik - perkusja.

Również jazz w doskonałym wykonaniu rozbrzmiewał na niewielkiej scenie Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, na której wystąpił znany perkusista młodego pokolenia Jacek Kochan, który, jak sam zaznaczył w trakcie koncertu, bardzo lubi grać w Częstochowie i to właśnie w „Gaude Mater”. Kochan wystąpił wraz ze Sławkiem Jaskulke, szalenie dynamicznym pianistą, kontrabasistą Krzysztofem Pacanem oraz duńskim

saksofonistą Jakobem Dinesenem. Kompozycje Jacka Kochana urzekły publiczność energią, dynamiką i techniką wykonania.

Sporym wydarzeniem okazał się również koncert TSA w Klubie Politechnik. Ten kultowy zespół heavy metalowy istnieje już (z przerwami) 22 lata. W Częstochowie wystąpił w swoim najlepszym składzie z Nowakiem i Markiem Piekarczykiem na czele. Ani po zespole, ani tym bardziej po żywiołowo wykonywanych największych przebojach grupy nie widać było, iż TSA to już muzyczne dinozaury. W pełni udokumentowała ten fakt publiczność; dominowali stateczni rodzice, którzy przyprowadzili na koncert swoje całkiem już spore pociechy. Wkrótce jednak wszyscy dali się ponieść atmosferze koncertu.

Dylematy Judasza

W Wielkim Tygodniu na scenie Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie odbyła się premiera „Judasza”, spektaklu opartego na dramacie Karola Huberta Rostworowskiego z roku 1913 pt. „Judas z Kariothu”. Reżyserem spektaklu jest Stefan Szyszko, który dokonał własnej adaptacji tekstu Rostworowskiego, wydobywając jego najważniejsze cechy, mieszczące się między średniowiecznym misterium a dwudziestowiecznym dramatem psychologicznym.

W roli Judasza wystąpił Michał Kula, który stworzył tragiczną postać człowieka rozdartego pomiędzy grzechem a pragnieniem bycia zbawionym. Judasz w aktorskiej kreacji Kuli zmusza widza do postawienia sobie fundamentalnych pytań o istotę wiary i granice własnego wyboru. W roli Racheli, żony Judasza, wystąpiła Ewa Agopsowicz-Kula. W trzy postaci sceniczne: Kajfasza, Jana i Szpiega wcielił się Adam Hutyr, bo w jednym człowieku mieści się przecież wszystko: czystość wraz z pokorą wobec Boga i najstraszniejszy grzech.

Warto przypomnieć, że w roku ubiegłym Szczepan Szyszko zrealizował w częstochowskim teatrze monodram „Zale Matki Bożej pod krzyżem”.

Jednym zdaniem

■ Na scenie Filharmonii Częstochowskiej gościnnie wystąpiła Krystyna Janda ze swym znakomitą przedstawieniem „Maria Callas”.

■ Antoni Dvořák był muzycznym bohaterem koncertu filharmoników częstochowskich pod dyktando Jerzego Swobody.

■ 120 par tanecznych z całej Europy wzięło udział w VIII Międzynarodowym Turnieju Tańca Towarzystwa organizowanym w Częstochowie.

■ W pubie „Beczka” przy Zaulku Wieluńskim wystąpiła grupa „Światliki”.

■ W galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” prezentowane były znakomite litografie Małgorzaty Seweryn.

■ W Ośrodku Kultury Filmowej odbyła się projekcja ambitnych produkcji filmowych w ramach przeglądu „Nowe Horyzonty. Poza granicami konwencjonalnego kina”.

Polnar opolski

Bolesław Polnar obchodzi 25-lecie działalności artystycznej. Jubileuszowa wystawa „Wielki Świat”, której wernisaż odbył się w komnatach zamku w Mosznej, ściągnęła i nadal ściąga tłumy opolan. Nic dziwnego, Polnar to od lat najbardziej znany i uznany opolski malarz.

W Opolskiem, a przede wszystkim w samym Opolu, Polnar wydaje się być wszechobecny. Jest osobą publiczną, rozpoznawaną nawet przez laików. Nic dziwnego, bo Polnar udziela się towarzysko, bywa na wernisażach, premierach i balach. Nie brak tych, którzy pamiętają go jeszcze z młodościowych czynów w Klubie Związków Twórczych, gdzie w swoim czasie upijała się cała opolska śmietanka, nie tylko artystyczna. Dziś to prehistoria, teraz Polnar bywa wszędzie na trzeźwo, bo o czym mówi z całą otwartością - sześć lat temu rzucił alkohol. Dodajmy, że Polnar nie tylko pożegnał się z artystowskim wzorcem młodopolskiego artysty-pijaka, ale odkrył w sobie statecznego pedagoga i od trzech lat z powodzeniem pracuje z uczniami opolskiego liceum plastycznego.

Towarzyska popularność Polnara wydaje się być jednak faktem mało istotnym. O niebo ważniejsza jest jego aktywność artystyczna. I w tym przypadku Polnar wydaje się być wszechobecny. W Opolu w dobrym tonie jest mieć w domu „jakiegoś Polnara”, a jak kogoś nie stać, to i tak kontaktu z twórczością Polnara nie uniknie: malarz nie tylko namalował wiele teatralnych plakatów, ale także zaprojektował herb Opola i współtworzył herb całego regionu (a wcześniej wziął udział w happeningu ośmieszającym pierwotny, chybiłony projekt opolskiego orla).

Znawcy mówią, że Polnarów jest dwóch. Ten wczesny, bardziej dzięki i ekspresyjny, autor obrazów, które - co dziś wspomina z pewnym dystansem - nazywano malarstwem moralnego niepokoju. Drugi Polnar, ten dzisiejszy, jest bardziej stateczny: wyciszony, metaforyczny, poszukujący harmonii. Jedni mówią, że bardziej komercyjny, inni - że dojrzałszy. Rzecz gustu.

Polnar uważany jest, nie do końca słusznie, za malarza kobiet. Ma opinię kokieta i balamuta, który potrafi zaczepić obcą kobietę na ulicy i zapytać z udawanym zdziwieniem, czemu jeszcze mu nie pozowała. On sam dystansuje się od tej opinii bawidamka-prowokatora, choć przyznaje, że kobiety malować lubi. Inna sprawa, że ogromną przyjemność sprawiła mu wystawa w opolskim Muzeum Diecezjalnym, eksponująca zupełnie inne wątki jego twórczości.

Polnar uważany jest powszechnie za najbardziej znany „produkt artystyczny Opolszczyzny”. I nawet filistrzy twierdzą, że potrafią rozpoznać „polnarowską kreskę”. Ma więc powody do satysfakcji.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

„Korfanty” dla Korca

Kapituła Nagrody im. Wojciecha Korfańskiego przyznała swoją honorową nagrodę dr. Leonowi Korcowi. - Dla mnie najważniejsze jest to, że ktoś nagroził takiego synka spod Opola - skomentował wyróżnienie laureat.

Z wnioskiem o wyróżnienie dr. Korca wystąpiło do Kapituły opolskie koło Związku Górnośląskiego. Nic dziwnego - Korce, jak zresztą wielu regionalistów obecnym z dziejami śląskiej ziemi, zawsze podkreślał jedność Górnego Śląska.

Dr Korce to człowiek-institucja. Lekarz dwóch specjalności, neurologii i rehabilitacji. Medyk praktyk, ale także pasjonat dziejów medycyny, autor licznych książek na ten temat: o epidemii cholery na Śląsku, o opolskich uzdrowiskach i o Jerzym Filipie Magalli, lekarzu, który pod koniec XVIII wieku reformował te uzdrowiska. Opolanom dr Korce kojarzy się jednak przede wszystkim z turystyką i krajoznawstwem. Śląskie Sympozja Krajoznawcze (w tym roku Sympozjum takie zorganizowane zostanie po raz 16.) od dziesięciu lat penetrują polsko-czeskie pogranicze. Z Oddziałem Regionalnym PTTK Śląska Opolskiego współpracuje tu czeskie stowarzyszenie Maticze Slezska z Opawy.

Bakshish wraca

Odnotować należy powrót na scenę grupy Bakshish, która - pod bardziej swojską nazwą Bakszysz - robiła furorę w czasie polskiego rockowego boomeru lat 80. Formacja założona przez Jarka Kowalczyka była wówczas najważniejszym rodzinnym zespołem muzyki reggae a zarazem jednym z trzech (obok TSA i Piersi) zespołów kojarzonych z Opolszczyzną.

Kolejne już, bodaj piąte, wcielenie grupy Bakshish zaczęło od krótkiej trasy koncertowej - 30 kwietnia zespół zagrał w krakowskim klubie Szpał, potem odwiedził Oświęcim, Częstochowę, Poznań i Piłę. Na koncertach Bakshish gra stare kompozycje, ale pracuje ostro nad nowym repertuarem.

Warto dodać, że Kowalczyk, niekwestionowany lider grupy, pracuje na co dzień w opolskim Miejskim Ośrodku Kultury. To dzięki niemu w opolskim amfite-

atrze oglądać można było w ostatnich latach nie tylko wiele polskich grup niezależnych, ale także światowe gwiazdy muzyki reggae.

Jedenasty Syfon

Już po raz jedenasty Klub Integracji Twórczych Stowarzyszenie Żywych Poetów z Brzegu zorganizował konkurs poetycki „O Laur Stowarzyszenia Żywych Poetów”. W tym roku wzięło w nim udział aż 448 autorów z całej Polski.

Jury, którym kierowała Marzena Jakubowska z Warszawy, nie przyznało w tym roku pierwszej nagrody, którą tradycyjnie jest złoty Syfon. Były za to dwie nagrody drugie: po połowce srebrnego Syfonu otrzymali Jakub Moderski z Łodzi, druga przypadła Robertowi Królowi z Jasła. Nagrodę trzecią otrzymał Piotr Macierzyński z Łodzi.

Ozimek roztańczony

Dwie ważne imprezy taneczne zorganizował Dom Kultury w Ozimku. Grand prix VIII Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Tanecznych „Płasowadła” zdobył zespół „Can Can” z Brzegu. Przed finałem odbyły się eliminacje w Oleśnie, Głubczycach, Nysie i Brzegu - w Ozimku pokazano 68 z 140 układów choreograficznych przygotowanych z myślą o konkursie. Pracami jury kierował Wiesław Kaszubkiewicz, dyrektor dziecięcego festiwalu tańca w Koninie.

Drugą imprezą były V Mistrzostwa Polskich Zespołów Mażoretkowych połączone z III Międzynarodowym Przeglądem Zespołów Mażoretkowych. Do Ozimka przyjechało 35 zespołów z całej Polski i 9 grup z Czech.



Mistrzostwa mażorettek w Ozimku

Ozimek stał się centrum polskiego ruchu mażoretkowego za sprawą dyrektora miejscowego Domu Kultury Stanisława Rewieńskiego, który jest członkiem władz Europejskiej Federacji Mażorettek oraz inicjatorem stworzenia nowej międzynarodowej federacji, do której złożyli już akces Węgry i Czesi.

Jednym zdaniem

■ Opolski Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki zorganizował VII Przegląd Teatrów Szkolnych „Scena 2003” - wzięło w nim udział 13 szkolnych teatryczków.

■ Arcybiskup Alfons Nossol otrzymał „Ślązaczkę”, nagrodę przyznawaną przez Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie - kapituła nagrody doceniła dokonania opolskiego ordynariusza na polu ekumenizmu oraz integracji między „Polakami, Niemcami i Ślązakami, katolikami i protestantami, uczonymi i prostaczkami”.

■ Zespół Jacka Melnickiego Opole Gospel Choir wziął udział w specjalnym koncercie,

który odbył się na Placu Zamkowym w Warszawie w przeddzień 83. urodzin Jana Pawła II.

■ W Muzeum Diecezjalnym w Opolu oglądać można było wystawę poświęconą konserwacji tkanin - ekspozycja pod tytułem „Res sacrae - sztuka i czas” obejmowała między innymi szaty liturgiczne wypożyczone z muzeum w Bochni i ze skarbca katedry wawelskiej.

■ W Miejskim Ośrodku Kultury w Opolu otwarta została wystawa dyplomowa fotografii Moniki Bayer - ekspozycja pod tytułem „Dwa metry od szczęścia” dokumentuje życie bezrobotnych górników z okolic Wałbrzycha.

Václav Klaus nad Olzą

We wtorek 29 kwietnia, w drugim dniu swojej wizyty w okręgu morawsko-śląskim, prezydent Republiki Czeskiej Václav Klaus - w towarzystwie żony Livii i helmana okręgu Evžena Tošenowskiego - zawiązał też do Cz. Cieszyńska. Na rynku przywitali go liczni goście - nie tylko burmistrzowie Cz. Cieszyńska i Cieszyńska, Henryk Sznapka i Bogdan Ficek, ale również ponad czterech setki mieszkańców miasta.

W półgodzinnym - zamkniętym - spotkaniu z prezydentem Kłausem w sali sesyjnej ratusza wzięli udział przedstawiciele samorządu miejskiego oraz partii politycznych oraz mniejszości polskiej - prezes i wiceprezes Kongresu Polaków, Józef Szymeczek i Henryk Cieślak, przewodniczący miejskiej komisji ds. mniejszości narodowych Rudolf Moliński, a gościem spotkania był też konsul RP w Ostrawie Piotr Czarkowski.

„Bardzo mi się podobało, że prezes Szymeczek nawiązał do przedwojennej tradycji i przywitał prezydenta po polsku, podobnie jak to kiedyś czynili miejscowi Polacy podczas wizyt na Zaolziu prezydenta Masaryka” - powiedział po spotkaniu wiceprezes Cieślak. „Prezydent Václav Klaus zresztą żywo interesował się życiem zaolziańskich Polaków i ten temat zdominował spotkanie w ratuszu. Prezes Szymeczek poinformował zatem prezydenta o tym, ile mieszka w RC Polaków, o działalności polskich organizacji, o problemach, z którymi się borykamy, o współpracy z Polską...” Prezes Szymeczek natomiast poinformował dziennikarzy, że Rada Kongresu wystosuje do prezydenta Kłause list z prośbą o przyjęcie delegacji Kongresu na Zamku Praskim.

Wrażeniami ze spotkania podzielili się również inni jego uczestnicy. Burmistrz Bogdan Ficek był np. zadowolony, że prezydent wysoko ocenił współpracę między obu Cieszyńskami - „Powiedział wprost, że my nad Olzą jesteśmy już w Unii Europejskiej od dawna” - stwierdził burmistrz Cieszyńska. Z kolei Rudolf Moliński, na co dzień kierownik artystyczny Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego dodał: „Zaciekawiło prezydenta moje zdanie o tym, że teraz przed przystąpieniem RC i Polski do Unii Europejskiej wciąż szukamy wzorców dobrej współpracy, a przecież w Cz. Cieszyńsku istnieje teatr z dwoma scenami, które współpracują wprost wzorowo - i to od ponad 50 lat...”

Rozpoczynając spotkanie z mieszkańcami Cz. Cieszyńska, prezydent Klaus przypomniał, że dobrze zna okręg morawsko-śląski i jego problemy. „Wiem też doskonale, że tutejsi ludzie doskonale rozumieją, że jeżeli chcą coś osiągnąć, muszą się o to zatroszczyć sami, nie robi tego za nich ani rząd w Pradze, ani Unia Europejska” - powiedział Václav Klaus z malej sceny. Jego żona Livia zaś stwierdziła: „Jeżeli mój mąż i ja przynajmniej trochę się przyczyniliśmy do tej wspaniałej atmosfery, która panuje na tym rynku, bardzo nas to cieszy. Przyznam się też, że właśnie z podobnych spotkań czerpiemy energię i optymizm”.

Prezydent i jego żona rozmawiali też na rynku z mieszkańcami Cz. Cieszyńska, a przede wszystkim podpisywali swoje zdjęcia. Po dwudziestu minutach konwój samochodów wyruszył w kierunku Trzyńca.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

»Samobójca« w Scenie Polskiej

Gorzką tragicomedię rosyjskiego dramaturga Nikołaja Erdmana „Samobójca” przygotowała na ostatnie dni kwietnia i majowe tygodnie dla swoich widzów Scena Polska Teatru Cieszyńskiego. Premiera sztuki, którą wyreżyserował kierownik artystyczny SP Rudolf Moliński, odbyła się w sobotę 26 kwietnia.

„Samobójca” to tragicomedia o małym człowieku, który zniechęcony życiem postanawia popełnić samobójstwo. Rodzina jest przerażona, ale wkrótce pojawiają się ludzie, którzy chcą jego śmierć wykorzystać do własnych celów. W sumie nikomu na nim nie zależy - ważna jest tylko śmierć Podsiekalnikowa, bo jak mówi jeden z bohaterów sztuki „W naszych czasach to, co mógłby pomyśleć żywy, może wypowiedzieć tylko umarli”...

„Usiądźmy wygodnie w fotelach, śmiejmy się... Ale jeżeli jutro przy świątecznym śniadaniu lub od razu przy powrocie z teatru nasunie się widzowi refleksja i pytanie, dlaczego sztuka napisana przez Erdmana pod koniec lat 20. jest ciągle aktualna, będziemy bardzo zadowoleni” - powiedział przed spektaklem R. Moliński.

Dodajmy, że w rolę głównego bohatera - Siemiona Siemionowicza Podsiekalnikowa - wcielił się Waldemar Cudzik, jego żonę Marię zagrała Lidia Chrzanówna, teściową Serafimę Iljiczną - Janina Buława. W sumie na scenie pojawia się cały zespół Sceny Polskiej, a nawet wiceprezes ZG PKZO i były dyrektor TC Józef Wierzoń (jako grający na akordeonie Maestro). Autorką scenografii i kostiumów była Marta Roszkopfova, muzyki - Zbigniew Siwek.

Młodzi dla młodych

Wystawa fotografii Romana Burdy pn. „Ludzie południowo-zachodniej Etiopii” zainaugurowała w poniedziałek 5 maja działalność czeskokocieszyńskiej siedziby stowarzyszenia obywatelskiego „Liberte”.

„Liberte” działa od początku br., a jego przewodniczącym jest Jakub Moliński.

Jednym zdaniem

■ 70. urodziny obchodził 10 maja poeta, prozaik i felietonista Władysław Sikora.

■ O planach przeprowadzenia redakcji jedynej polskiej gazety w RC - „Głosu Ludu” - z Ostrowa do Cz. Cieszyńska dyskutowała 24 kwietnia Rada Przedstawicieli Kongresu Polaków w RC.

■ Poeci Renata Putzlacher, Janusz Klimsza i Bogdan Trojak wzięli udział w festiwalu poetyckim „Wędrowny robotnik”, który odbył się w dniach 25-26 kwietnia w Brnie.

■ W Teatrze Cieszyńskim odbył się wernisaż wystawy obrazów Marii Elsnier-Michalskiej - polskiej plastyczki od ponad 20 lat mieszkającej w Prowansji.

■ Z okazji 212. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja Kongres Polaków w RC i Stowarzyszenie Inteligencji Chrześcijańskiej zorganizowały nabożeństwo ekumeniczne w czeskokocieszyńskim kościele katolickim pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa.

■ Teatrzyk „Szkapę” z czeskokocieszyńskiego Polskiego Gimnazjum zaprezentował się podczas XXXIV Festiwalu Gimnazjów w Otrókowicach.

Głównym celem „Liberte” jest wspieranie inicjatyw, zwłaszcza kulturalnych, młodych ludzi żyjących nie tylko w obu Cieszyńskach, ale praktycznie na terenie całego Euroregionu Śląsk Cieszyński. Do tej pory „Liberte” zorganizowało dwie imprezy - przegląd filmów dokumentalnych o Jamajce oraz wystawę nt. Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Obie imprezy odbywały się w siedzibie cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego, z którą stowarzyszenie zamierza nadal współpracować.

W nowej siedzibie „Liberte” zamierza organizować wystawy, wieczory poezji i spotkania klubu dyskusyjnego, który poprowadzi Grzegorz Studnicki z Filii UŚ. Zainteresowani mogą tu przychodzić nie tylko na imprezy, ale również po to, by skorzystać z bogatej biblioteki multimedialnej. Będzie tu można znaleźć zarówno kasety wideo i płyty CD, ale również wielki wybór książek i czasopism (w tym również z tzw. drugiego i trzeciego obiegu), m.in. poświęconych muzyce, ekologii, problemom społecznym.

Na kolacji z Melpomeną

Uczcie duchową, składającą się z aż sześciu smakowitych dań, przygotowali dla miłośników Melpomeny na 7 maja weterani ze słynnego ongiś teatryku „Apropo”. Wieczór pn. „Kolacja z wesołą Melpomeną” miał miejsce w Domu Polskim Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelecu, a przyciągnął on nie tylko bywalców przeglądu teatrów małych form scenicznych „Melpomenki”, na którym w latach 80. „Apropo” cztery razy oceniono jedyną nagrodą - Laurem Publiczności, ale też sporo młodzieży.

A co można było obejrzeć? Przedstawiała się z dwoma spektaklami gimnazjalna „Szkapę”, był „apropowski” skecz pt. „Woda mądrości” - tym razem w wykonaniu dzieci „apropowców” z zespołu Granda Banda z Groty Stankosia. Nie zabrakło też poezji najmłodszych zaolziańskich poetów - Tomasza Ryłki, Romana Kropa i Hanny Rybickiej. Gwóździem programu, a więc daniem najbardziej treściwym, była „Legenda o czterech braciach” - Lechu, Czechu, Rusie i Słowaku spotykających się w Cierlicku - w wykonaniu „Apropo”. Zakończył zaś prawie trzygodzinny „Kolację z wesołą Melpomeną” minirecital Ireny Polak (akompaniowała jej na fortepianie Halina Baron), która zaśpiewała kilka nastrojowych pieśni z repertuaru krakowskiego pieśniarza Grzegorza Turnaua.

■ Z powodu braku zainteresowania ze strony Polonii, Macierz Szkolna w RC była zmuszona odwołać Spotkanie Integracyjne Organizacji Polonijnych Europy Środkowej, które miało się odbyć w dniach 22-25 maja na Baginiciu.

■ Jabłonkowska „Nowina” zdobyła 1. miejsce w finale ogólnopolskiego konkursu kapel ludowych działających przy podstawowych szkołach artystycznych, który odbył się w dniach 9 i 10 maja w Wysokim Mieście.

■ Ponad 200 młodych plastyków, uczniów szkół z Zaolzia, Polski i Słowacji wzięło 9 maja udział w plenarnej plastycznym pn. „Krajobraz wokół nas”, który zorganizowały władze gminy Ligołta Kameralna.

■ Komitet Organizacyjny Gorolskiego Święta ogłosił w ramach tegorocznej edycji tej imprezy konkurs poetycki „O palce Hadama z Drugi Izby”.

■ Zespół „Skotnica” działający przy MK PKZO w Orłowej-Lutyni wyjechał - na zaproszenie Związku Polaków w Rumunii - do Suczawy na Bukowinie.

Sportowe związki okręgowe zwykły hucznie obchodzić okrągłe rocznice działalności. Czas recesji w sporcie niestety nie sprzyja takim uroczystościom. W każdym razie nie słychać by działacze Śląskiego Związku Lekkiej Atletyki, któremu w tym roku mija 80-lecie istnienia, organizowali jakąś fetę. Zapewne to efekt nie tylko szczupłej kasy, ale i braku sukcesów.

Na Śląsku lekka atletyka, którą zwykło się nazywać „królową sportu”, nigdy właściwie królową nie była, ustępując piłce nożnej; ale chyba nigdy nie było tak źle, jak w ostatnich latach. I choć polska lekkoatletyka odnosi wcale liczne sukcesy międzynarodowe, to śląski w nich udział jest znikomy, by nie powiedzieć: żaden. Ale skoro jubileusz, to wypada sięgnąć nieco do historii. Otóż jak wynika ze sportowych annałów, pierwsze próby zorganizowania Okręgowego Związku LA podjęto na przełomie 1922 i 1923 r., a czynili to działacze: Rolnik i Brychczy z Czarnych Czarny Las, Latka z Polonii Janów, Bywalec z Brynicy Szopienice, Maniurowie i Kandzia z Orla Wełnowiec, Pander z KS 20 Rybnik oraz Nogaj z Pogoni Katowice. Powołano GOZLA, a pierwszym prezesem został Stanisław Nogaj. Już kilka miesięcy później wybrano nowego prezesa - red. Zbigniewa Orwicza. Pierwszy kryzys organizacyjny w łonie GOZLA wiązał się z popularniejszą w owym czasie w regionie, grą w palanta. Doszło do tego, że Związek objął swą domeną i tę dyscyplinę, a lekka atletyka została zepchnięta na plan dalszy. I właściwie tak już zostało, bo i dziś gry zespołowe są u nas popularniejsze.

Lektura tabeli rekordów Śląska, nad którą pieczę sprawuje Stanisław Marmur - działacz i trener Śląskiego Związku LA, to niewątpliwie gratka dla miłośników wszelkiej statystyki. Analiza zestawienia najlepszych wyników wszechczasów, to z jednej strony dowód na niegdysiejszą wielkość tej dyscypliny na Śląsku, a zarazem potwierdzenie dzisiejszej jej słabości. W wykazie najlepszych widnieją bowiem rezultaty datowane jeszcze z lat siedemdziesiątych, a nawet (uwaga!), z lat sześćdziesiątych. Najstarszy z nich to rekord w trójskoku wynoszący 17,03 m, ustanowiony dokładnie 5 sierpnia 1960 roku w Olsztynie przez późniejszego dwukrotnego mistrza olimpijskiego - Józefa Szmidta. Wkrótce miną więc 43 lata od tego wydarzenia i... nie zanosi się, by ktoś poprawił osiągnięcie „kangura z Zabrza”.

Niewiele młodszy rodowód ma rezultat Andrzeja Stalmacha. Występujący w barwach Górnika Zabrze, ale pochodzący z Jaworzna lekkoatleta ustanowił rekord Śląska w skoku w dal - 8,11 m, w 1968 r. na Stadionie Śląskim. Tak, tak, to nie pomyłka. Kiedyś na tym obiekcie odbywały się prawdziwe uczty „królowej sportu”. Starsi kibice pamiętają zapewne szczególnie mecz ze światową potęgą, czyli ZSRR w 1967 r., przegrany przez męską reprezentację Polski 99:111, ale niespodziewanie wygrany przez żeńską drużynę 66:51. Był to wspaniały spektakl, a widzowie mogli się emocjonować nie tylko rywalizacją drużynową ale i, a może przede wszystkim, rekordowymi osiągnięciami. Przypomnijmy, że podczas tego meczu m.in. rekordowym w skali kraju rzutem popisała się oszczepniczka Daniela Jaworska uzyskując 58,68 m, a Irena Kirszenstajn (dziś pani prezes PZLA - Szewińska) wyrównała rekord świata na dystansie 200 m - 22,7 sek.

80-lecie Śląskiego Związku Lekkiej Atletyki

Stare szaty królowej



Czy pamiętacie tę płotkarkę? To Lucyna Lan-ger-Kalek, jedna z najwybitniejszych polskich specjalistek w biegu na 100 m przez płotki, do dziś rekordzistka Śląska z wynikiem 12,43 s. - z 1984 r.

W następnym roku, w meczu z Włochami (wygranym przez Polaków 117:113), rekord Polski w skoku w dal ustanowił właśnie Stalmach.

Skocznia w dal Stadionu Śląskiego wyróżniała się jakąś wyjątkową magią. Bo po rekordzie Stalmacha, już w 1969 r. Andrzej Stępień skoczył tam 8,21 m. Mało tego, ta magia mobilizowała również zawodników innych narodowości. Podczas wspomnianego meczu Polska - Włochy w 1968 r. Giuseppe Gentile pobił rekordy Itali w skoku w dal - 7,91 m i trójskoku - 16,74 m. To ten sam Gentile, który dwa miesiące później zdobył brązowy medal w konkursie trójskoku Igrzysk Olimpijskich w Meksyku znakomitą wynikiem 17,22 m. Dziś trudno marzyć, by na Śląskim znów zagościła „królowa sportu”, gdyż tam, gdzie jest żużel, nie ma bieżni tartanowej, ale... Może by tak podtrzymać magię chorzowskiej skoczni i raz na jakiś czas urządzić zawody skoczków, np. w przerwie meczu piłkarskiego?

Bardziej realna przyszłość dla lekkoatletów z Chorzowa (i nie tylko) wiąże się z modernizacją stadionu MOSiR przy ul. Lompy. Właśnie niedawno zakończono tam drugi etap modernizacji. Na pytanie, kiedy znów chorzowska publiczność zobaczy w Chorzowie lekkoatletów z wielkimi nazwiskami, na razie trudno o odpowiedź. Trzy lata temu na tym stadionie rozegrano mityng Grand Prix Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Wtedy władze Chorzowa zapewniały, że będzie to już tradycją. Niestety, minęły kolejne lekkoatletyczne sezony i nikt w Chorzowie wielkich rekordów nie ustanawia. A przecież bez znanych nazwisk i spektakularnych rezultatów „królowa sportu” nie będzie... królować. Generalnie obraz bazy treningowej jest fatalny: - Stosunkowo najlepiej jest na stadionach w Częstochowie i Bielsku. Bo obiekt AZS AWF Katowice właściwie nie nadaje się do rozgrywania zawodów juniorów, a nawet przeprowadzania treningu - mówi Stanisław Marmur.

Wracając do śląskich rekordów „z brodą”, trzeba też wspomnieć o wyniku w dziesięcioboju podczas mistrzostw Europy w Rzymie (1974), osiągniętym przez triumfatora tej imprezy - Ryszarda Skowronka, a także o najlepszym wyniku w skoku o tyczce należącego do zmarłego tragicznie mistrza olimpijskiego Tadeusza Ślusarskiego. Na liście pań, jakby trochę bardziej współcześnie, ale i tam nie brakuje „wiekowych” wyników, a najstarszym z nich jest rezultat Danuty Bułkowskiej w skoku wzwyż (z 1978 r.).

W gronie rekordzistów Śląska nie brakuje znamiennych nazwisk. Oprócz wcześniej wymienionych, są tam przecież także tacy mistrzowie jak: Edward Sarul - mistrz świata, Zbigniew Jaremski - wicemistrz olimpijski, Lucyna Kalek i Zenon Licznerski - mistrzowie Europy, a przede wszystkim: Robert Korzeniowski, multimedalista IO, MŚ i ME. A propos Korzeniowskiego, to warto wyjaśnić, że w tabeli rekordów Śląska są te jego wyniki, które osiągnął występując w AZS AWF Katowice. Teraz bowiem nasz piechur reprezentuje Kraków.

- Gdyby nie Korzeniowski, to te rekordy należałyby do bardzo utalentowanego Beniamina Kucińskiego - mówi trener Marmur, opiekun Kucińskiego. Podopieczny Marmura w kilka dni po naszej rozmowie potwierdził słowa trenera i wymazał z tabeli rekordowy czas „Korzenia” na dystansie 5 km, usyskując 40:02,06.

- W naszym regionie działa ok. 60 klubów z sekcjami lekkiej atletyki, ale zaledwie kilkanaście prowadzi odpowiednie szkolenie młodzieży - skarży się Marmur. - Najlepsze to AZS AWF Katowice, Budowlani Częstochowa, Sprint Bielsko-Biała, Płomień Sosnowiec oraz TS AKS Chorzów. W ubiegłorocznym sezonie zawodnicy klubów naszego regionu zanotowali sporo wartościowych rezultatów, rokujących nadzieje na lepszą przyszłość. Ustanowiono m.in. cztery rekordy senierek, dwa junierek i jeden juniorów (do 19 lat). Problem w tym, że tak się dzieje co najmniej od kilku lat, a postępu wśród seniorów nie widać. Na Śląsku nie ma bowiem perspektyw na ciąg dalszy kariery i utalentowani zawodnicy, po skończeniu 21 lat, „uciekają” do innych, moźniejszych klubów w innych regionach kraju lub... rezygnują z uprawiania sportu. Czy zatem królowa na Śląsku skazana jest na ubóstwo?

JERZY MACHURA

DRUKARNIA **im. Karola Miarki** **TOLEK®**

**Drukujemy
na Śląsku,
dla Polski,
... a nawet dla
Unii Europejskiej**

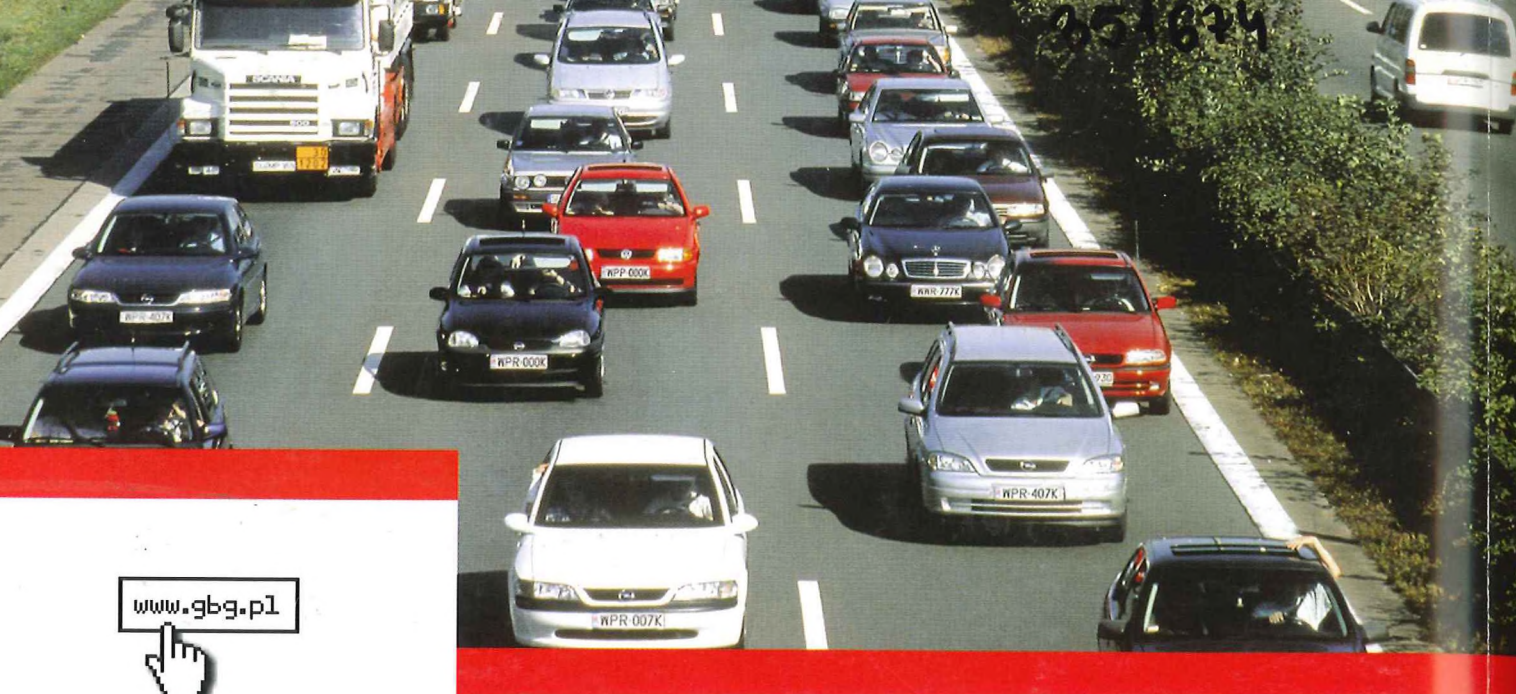


**43-190 Mikołów
ul. Żwirki i Wigury 1
tel. 326 20 90
fax 326 20 99
www.tolek.com.pl
tolek@tolek.com.pl**

***Drukujemy:
czasopisma
książki
foldery
katalogi
ulotki
kalendarze jedno-
i wielopłanszowe***

***Proponujemy usługi
od projektu
do wyrobu gotowego
łącznie z transportem
do Klienta***





www.gbg.pl



GBG AUTO PIERWSZY KREDYT RZECZPOSPOLITEJ

Wiesz, dlaczego **GBG AUTO KREDYT** został uznany przez RZECZPOSPOLITĄ za najlepszy*? Bo jest:

Szybki - dzięki maksymalnie uproszczonym procedurom,
Komfortowy - ponieważ może być złotówkowy lub indeksowany kursem USD oraz EUR i nie wymaga wpłaty własnej,

Tani w utrzymaniu - bo ma korzystne oprocentowanie, a jego spłatę można rozłożyć nawet na 8 lat, więc raty są jeszcze niższe niż dotychczas!

Poza kredytem masz jeszcze do wyboru **GBG AUTO LEASING**.

Pytaj o **GBG AUTO** w salonie samochodowym, komisie lub u naszego przedstawiciela.

*Ranking kredytów na zakup nowego i używanego auta, Rzeczpospolita z dn. 17.10.2002



Zadzwoń już teraz i umów się z naszym przedstawicielem: 0801 163 049

całkowita opłata za połączenie wynosi 0,35 zł (w tym VAT)



GBG BANK